KRZYK CISZY

Thomas Danielle

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pazury, ostre i zakrzywione jak rzeźnicze haki, były pokryte drobnymi zagłębieniami i zabarwione na kolor starej kości słoniowej. Wbiły się głęboko w trzepoczące jeszcze ciało łososia. Strumyczki krwi pofarbowały srebrną nerkę* na soczysty czerwony kolor, jaki przybrałaby, gdyby zdążyła złożyć ikrę.

Niedźwiedź grizzly szybko zdarł i połknął bogatą w olej skórę. Wypruł ikrę i mózg, dwa wielkie przysmaki. Przekręcił dwudziestofuntowego łososia, aby oczyścić go z ości, a potem zawahał się i podniósł swój długi pysk, chwytając w nozdrza powiew wiatru. Jego oczy, brązowe i osadzone blisko siebie, wpatrywały się w wysoką trawę i poplątane krzewy czarnego bzu, rosnące wzdłuż brzegu rzeki, ale doskonały wzrok nie należał do przymiotów tego zwierzęcia. Liczyło ono na znakomity słuch i węch. Jeszcze raz niedźwiedź podniósł pysk, węszył. Potrząsnął swą ciężką głową z irytacją i upuścił na wpół zjedzonego łososia. Ogromny niedźwiedź - tysiąc pięćset funtów wagi - w jednej chwili wślizgnął się w gęste poszycie, pozostawiając po sobie mgiełkę unoszących się w powietrzu owadów - jedyny ślad jego niedawnej obecności.

Był to stary grizzly, samiec - dominant. Wywalczył swoją pozycję pazurami, przez lata staczając krw-.we bitwy o prawo do pokrycia samicy. Podczas długich dni krótkiego lata na Alasce, jego pazury głęboko ryły w tundrze i na kamienistych brzegach rzeki, wygrzebując korzenie i jagody, które wzbogacały jego pożywną dietę rybną. Zaspokajanie potrzeb wielkiego cielska, by pokryło się warstwą tłuszczu, zawsze stanowiło wyścig z czasem. Było jednak niezbędne, aby niedźwiedź przetrwał długą zimę, kiedy ziemia jest zamarznięta i otulona śniegiem, a dochodzące do pięćdziesięciu mil na godzinę wiatry obniżają temperaturę, która stale utrzymuje się na poziomie trzydziestu stopni poniżej zera.

Niedźwiedź zatrzymał się w zaroślach czarnego bzu i stał tak cicho, jakby nie oddychał, nasłuchując i węsząc, czy wiatr przynosi kwaśny odór

* Nerka - ryba z rodziny łososiowatych.

ludzkiego ciała. Spiralny podmuch uniósł srebrnozielone liście. Niedźwiedź znowu zakołysał swą potężną głową, gniewnie przechylając ją na boki. Chciał zjeść swojego łososia, wyciągnąć się nad rzeką w barłogu z udeptanej trawy i spać, póki głód nie każe mu wejść znów do lodowatej wody poniżej katarakty. Będzie stał tam godzinami i łowił połyskliwe, pokryte warstwą srebrnych cekinów łososie, które trzepoczą i wiją się w powietrzu, rozpaczliwie próbując przeskoczyć wodospad i kontynuować swą niebezpieczną podróż w górę rzeki.

- Stój, niedźwiedziu - rozległ się głęboki, władczy głos, odbijając się echem w nadrzecznych zaroślach. Niedźwiedź oparł się nagłej pokusie zagłębienia się w krzaki, byle dalej od znienawidzonego dźwięku. Jego łosoś leżał na gnijącej stercie porzuconych ości. Był czarny od owadów, które delikatnie wysysały z niego krew i świeże soki. Grizzly nie odejdzie daleko. Będzie strzegł swego pożywienia. Jego cielsko zniknęło, zlało się w jedno z ciemnymi cieniami krzewów. Stał nieruchomo, podczas gdy ludzie, których zapach wyczuł, podchodzili coraz bliżej.

Hank Butler złożył na pół swe wysokie na sześć stóp, muskularne ciało, kiedy przepychał się przez gałęzie karłowatych wierzb. Torował drogę wędkarzom, którzy posuwali się za nim, potykając się co chwila. Bezskutecznie walił rękoma w gęste chmury komarów i muszek, unoszących się z trawy i kłębiących w powietrzu - czarnych niczym chmury burzowe. Blade słońce stało wysoko na bezbarwnym jesiennym niebie.

Miał na sobie ocieplane wadery*. Było mu w ruch bardzo niewygodnie. Ale spełniały swoje zadanie - dobrze chroniły przed lodowatą wodą spływającą ze śnieżnych pól i lodowców. Jednak gdy tylko wyszedł z rzeki, żeby ominąć katarakty, i z wysiłkiem posuwał się wzdłuż brzegu po zarośniętych chwastami niedźwiedzich ścieżkach, natychmiast robiło mu się gorąco, czuł się jak w łaźni parowej.

Pot ściekał spod jego czarnej, rybackiej czapki i spływał strużkami na bursztynoworudą brodę, a oczy wciąż zmieniały barwę, przyjmując najrozmaitsze odcienie zieleni i brązu, jakimi mieniły się tutejsze rzeki, które tak namiętnie kochał. Oczy Hanka były osadzone głęboko, a skórę wokół nich pokrywały zmarszczki od ciągłego wpatrywania się w czystą toń. Pod prawym biegła cienka, biała blizna, pamiątka spotkania z rocznym grizzly. Hank był wtedy zapalonym, ale niedoświadczonym uczniem w zawodzie przewodnika wędkarzy. Po raz pierwszy pracował latem na Alasce, jak wielu amerykańskich chłopaków, zwabiony przez jedno z ostatnich dzikich i odludnych miejsc na ziemi. Choć to zdarzenie miało miejsce dwadzieścia lat temu, ciągle pocierał tę bliznę, kiedy czuł się zaniepokojony.

* Wadery - nieprzemakalny ubiór składający się z butów połączonych ze spodniami sięgający niekiedy pod pachy, nakładany na zwykłe ubranie i buty, noszony przez wędkarzy.

Hank przełożył wędkę do lewej ręki, a wolną dłonią prawej przeciągnął po piersi, rozgniatając owady. Na jaskrawym błękicie jego waderów pozostały brudne smugi. Przystanął na środku ścieżki, którą wędrowały niedźwiedzie polujące na łososie. Ich ciężkie łapy zamieniały ścieżkę w lepkie błoto.

Spotkanie sprzed dwudziestu lat wykształciło w Hanku szacunek dla niedźwiedzi, przemierzających wzgórza i rzeki zajmującego trzy miliony akrów Rezerwatu Niedźwiedzi Pustkowia Katmai. Pozostali trzej przewodnicy z Ośrodka Wędkarskiego Black Legs zaklinali się, że podczas walki z młodym grizzly krew Hanka zmieszała się z krwią niedźwiedzia, co sprawiło, że w połowie stał się niedźwiedziem. Zdawał się wyczuwać obecność grizzly na długo przedtem, zanim można go było dostrzec.

Czekając, aż dogonią go ostatni maruderzy z jego grupy, Hank przygotował się, by ponownie ich ostrzec, że na tych ścieżkach powinni trzymać się razem. Zdjął czapkę i dotknął dłonią swoich gęstych włosów, które teraz, wilgotne i skręcone w loki, oblepiały czaszkę. Za chwilę zaczął poklepywać się po głowie i kląć, bo obsiadły ją chmary „czarnych skarpetek" i „białych nóg"* i cięły go w odsłoniętą, wilgotną skórę. Wyciągnął z kieszonki kombinezonu rozpylacz ze środkiem owadobójczym. Zaciskając mocno oczy opryskał nim głowę. Odkaszlnął i wytarł usta wierzchem dłoni, bo opary drapały w nozdrza i w gardło.

Przykro mi, przeprosił w duchu naturę, opryskując szyję, ale te alaskańskie komary wymagają brutalnego traktowania.

Poczekał kilka sekund, aż opary opadną, wcisnął czapkę na głowę i ostrożnie otworzył oczy. Dwaj wędkarze z jego grupy stali teraz **tuż** przy nim - wymachiwali rękami i wędkami, jakby nadawali sygnał, desperacko próbując odpędzić owady.

- Gdzie Kit? - zapytał Hank.
- Była za nami, daleko z tyłu - odparł Leroy.

W czasie tych kilku dni, które spędzili razem, Hank dowiedział się, że Leroy Sullivan, Amerykanin z zachodniego wybrzeża, był człowiekiem, którego równie łatwo było rozgniewać, jak rozśmieszyć. Był niski i śniady, chętnie przechwalał się swoim irlandzkim pochodzeniem, sięgającym czasów klęski głodu w Irlandii i masowej emigracji do Stanów Zjednoczonych. Wielu przybyszom dopisało szczęście i sięgnęli po najwyższą władzę w kraju. Leroy był bogaty i pieniędzmi zastępował dobre wychowanie i maniery. Hankowi trudno było go polubić, ale wciąż sobie powtarzał, że zatrudniono go nie po to, by lubił klientów, ale po to, by nauczył ich łowienia ryb i sprawił, że pobyt na Alasce będzie dla nich przyjemnym przeżyciem.

Dwaj mężczyźni opędzali się od owadów i patrzyli za siebie na pustą ścieżkę.

* „Czarne skarpetki" i „białe nogi" - żartobliwe nazwy rozmaitych gatunków komarów i muszek („czarne nogi", ang. black legs, występujące w nazwie ośrodka wędkarskiego).

- Kiedy łowimy na niedźwiedzim terenie, musimy wszyscy trzymać się razem - ostrzegł Hank zmęczonym głosem. - Mówiłem wam już, chłopcy, że te grizzly bywają duże, a kiedy ułożą się w krzakach do snu, szybciej na nie wejdziecie niż je zauważycie. Grizzly, obudzony ze snu, jest agresywny, gorszy niż pijak z trzydniowym kacem. Jeden cios jego łapy pozbawi was głowy. - Gdy spojrzał na ich twarze wykrzywione złością, że ktoś ośmielił się ich zbeształ, Hank uśmiechnął się pojednawczo. Przypomniał sobie, że to przecież ich pieniądze stanowią znaczną część jego zarobku.

- Kit! - ryknął, a echo poniosło jej imię aż na drugą stronę rzeki.

- Kobiety - mruknął cicho.

Leroy uśmiechnął się i natychmiast wszyscy trzej mężczyźni byli znowu w doskonałej komitywie.

Trzeszczenie gałęzi czarnego bzu i stek przekleństw, których nikt nie spodziewałby się po damie, zapowiadały zbliżanie się Kit. Była prawie tak wysoka jak Hank i miała szczupłe, muskularne ciało młodego chłopaka. Brązowe wadery zwijały się w fałdy na jej wąskich biodrach, a w talii były ciasno spięte paskiem. Kalifornijskie słońce pokryło jej twarz brunatnymi plamkami piegów. Jej ścięte na pazia włosy były związane w koński ogon i wystawały spod rybackiej czapki. Niebieskie oczy miały tak blady odcień, że czasami przypominały srebrne łuski łososia. Teraz malowała się w nich irytacja i gniew.

- Przeklęty brzeg - powiedziała, kiedy stawiając wielkie kroki dołączyła do mężczyzn. - Trzeba być grizzly, żeby przedrzeć się przez to świństwo. - Podrapała czerwone bąble na szyi, którą przed chwilą obsiadły „białe skarpetki". - Znacznie łatwiej jest brodzić po rzece. Nie ma tam tego robactwa - powiedziała z szyderstwem w głosie, patrząc na Hanka.

- Tak - zgodził się Earl, podnosząc wzrok na Kit z uznaniem. - Te cholerne, śliskie kamienie są okropne, ale z pewnością lepsze niż to. — Uderzył dłonią w szyję, zostawiając na skórze czerwone pręgi. Owady zatoczyły tylko szybkie kółko i wróciły w to samo miejsce.

Hank zgromił Kit spojrzeniem i ze złością przygryzł dolną wargę. Nie jest wskazane, by po pierwszym dniu wędkowania klienci wracali obolali i poirytowani. Kit jako kucharka w ośrodku, nieraz musiała słyszeć rozmowy przewodników na ten temat. Wiedziała, że większość klientów to bogaci biznesmeni ze Stanów, spędzający życie za biurkiem. Należało powoli wprowadzać ich w zasady i wymogi wędkowania, by wydało im się łatwym i przyjemnym sportem. Tylko to mogło sprawić, że wrócą tu w przyszłym sezonie.

Wiedziała, że Hank nigdy nie kazał wędkarzom, którzy dopiero co przybyli do ośrodka, spędzać całego dnia na brodzeniu w lodowatej wodzie. Potykanie się na śliskich skałach było wyczerpujące. Uda drżały, a łydki drętwiały, kiedy nieprzyzwyczajone mięśnie musiały walczyć z uderzeniami prądu.

- Kit! - powiedział z ostrzeżeniem w głosie, po czym zapewnił męż-

czyzn, że ścieżka, na której się właśnie znajdują jest o wiele łatwiejsza do przebycia niż równoległy do niej odcinek rzeki powyżej wodospadu, której dno pokrywały wymyte przez wodę głazy - okrągłe i śliskie jak gigantyczne jaja. Prąd zastawiał pułapki w miejscu, gdzie wytryskiwał białymi wachlarzami, by ominąć ogromne, czarne skały przegradzające bystrzynę.

- Zbieramy się - powiedział Hank - i pamiętajcie, trzymamy się razem. Wszyscy - dodał, patrząc na Kit. Mężczyźni roześmieli się, zbliżeni nagle męską solidarnością.

- Byłoby ci chyba łatwiej, gdybyś niosła wędkę czubkiem do tyłu - odezwał się Leroy do Kit. Kiedy odwracał się do niej, malutki, ostrzegający niedźwiedzia dzwoneczek, który nosił na czubku swej rybackiej czapki, zadźwięczał cieniutko. - Wtedy nie zaczepia się tak często o gałęzie.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Patrząc, jak palce Kit zaciskają się na wędzisku, Hank tylko czekał, aż kij się złamie.

- Dziękuję - powiedziała w końcu tonem tak lodowatym, jak rozbijająca się o skały woda. Hank odwrócił się i ruszył wzdłuż ścieżki, dopiero po chwili pozwalając sobie na uśmiech.

Ojciec Kit był właścicielem sieci ośrodków rybackich i namiętnym wędkarzem. Kit była jego piątą córką. Postanowił więc, że skoro natura odmówiła mu syna, to jego najmłodsza córka będzie lepszym wędkarzem niż wszyscy mężczyźni w całych Stanach.

Dziewczyna spełniła wszystkie jego marzenia. Nie tylko wygrała większość konkursów wędkarskich, ale też odziedziczyła po ojcu zamiłowanie do brodzenia po rzekach i łowienia ryb. Z wykształcenia była ichtiologiem i miała niezwykle rozległą wiedzę na temat wszystkich ryb słodkowodnych.

Osiem lat temu odkryła Alaskę. Zafascynowała ją jej dzika, nie skażona cywilizacją przyroda. Dlatego podjęła pracę w Ośrodku Black Legs jako kucharka. W dni wolne od pracy wyruszała z wędką łowić legendarne alaskańskie pstrągi.

Były to ryby o wielkich brzuchach, gdyż żywiły się ikrą łososi, w którą obfitowały koryta tutejszych rzek; silne i olbrzymie, bo w Rezerwacie Katmai obowiązywał program wypuszczania złowionych ryb na wolność.

Kit rzadko chodziła łowić ryby z turystami, ale ponieważ teraz czekali na przyjazd jeszcze jednej pary z Anglii, przekonała Hanka, żeby tego dnia zabrał ją nad rzekę.

Hank nie mógł odmówić. Zwłaszcza tego ranka, gdy leżała przy nim na wąskim łóżku, czekając aż budzik oderwie ich od siebie i ona pobiegnie do kuchni, by przygotować błyskawicznie śniadanie dla rybaków.

Ich przyjaźń opierała się na szacunku, jaki żywili do siebie wzajemnie - oboje niemało wiedzieli o łowieniu ryb. Wkrótce zostali kochankami. Bo kiedy okazało się, że są skazani na swoje towarzystwo przez sześć miesięcy w roku w odizolowanym od reszty świata ogromnym rezerwacie, musieli bliżej poznać zarówno swoje ciała, jak i umysły.

Hank postawił sprawę jasno - nie pragnie stałego związku. Chciał mieć

całkowitą swobodę, chciał łowić ryby we wszystkich rzekach świata. Na początku Kit zgodziła się, bo z pewnością nie miała ochoty siedzieć w domu i czekać na męża, który dwanaście miesięcy w roku zajmuje się rybołówstwem, ale ostatnio, przeglądając zdjęcia dzieci siostry, zaczęła myśleć o malutkim Hanku lub malutkiej Kit i ta myśl stawała się coraz bardziej pociągająca.

Rada Leroya, jak prawidłowo należy przenosić wędkę, bardzo Kit zirytowała. Dziewczyna w milczeniu układała cięte riposty, gdy Hank gwałtownie przystanął. A kiedy Leroy i Earl wpadli na siebie, Kit uśmiechnęła się.

Byliby dobrzy w scenie komediowej, ponieważ Earl był tak wielki i ciężki, jak Leroy mały i lekki, i tak blady, jak Leroy ogorzały. Jego okrągła głowa była łysa, a czarne loki Leroya zwisały aż do kołnierzyka. Earl zdawał się znajdować powód do radości w każdej niemal sytuacji. Jego gardłowy śmiech donośnie rozbrzmiewał nad wodą, niezależnie od tego, czy Earl właśnie złapał, czy stracił pstrąga. A humor Leroya przypominał nastroje jego głodujących przodków. Irlandczyk sprawiał wrażenie człowieka, który ciągnie za sobą płaszcz tylko po to, by ktoś na niego nadepnął - dobry pretekst do kłótni lub bójki.

Kit zeszła ze ścieżki, bo koniec wędki Leroya zakołysał tuż obok jej twarzy. Muszka była luźno zaczepiona w oczku i przemknęła jej przed oczami - jaskrawa i lekka jak ważka.

Właśnie miała go pouczyć w kwestii dobrych manier, gdy zauważyła, że ramiona Hanka zesztywniały. Ścieżka przed nimi zamieniła się nagle w wielką połać stratowanej trawy. Hank wpatrywał się w odciśnięty w błocie ślad, większy niż podeszwa jego rybackiego buta. Ostre ślady pazurów wbitych głęboko w ziemię jeszcze nie napełniły się wodą.

- Co to? - zapytał niepewnie Leroy.

Hank milczał, nasłuchując i wpatrując się w krzaki.

- Cii - powiedział Earl i przerwał, kiedy zbliżyła się Kit.

- Cóż jeszcze, poza yeti może mieć taką stopę? - zapytał Earl, patrząc na wielki, świeży trop na ścieżce.

- Duży — powiedział Hank poważnie, wpatrując się w krzaki. Dobrze wiedział, że nawet biorąc poprawkę na powiększenie odcisku w miękkim błocie, spowodowane masą ciała niedźwiedzia, musi to być ślad bardzo dużego zwierzęcia.

- A... barłóg niedźwiedzia grizzly - powiedziała Kit, patrząc na krąg zgniecionej trawy, z nadzieją, że przestraszy Leroya.

Leroy gwizdnął, żeby zademonstrować swój brak zainteresowania niedźwiedziem, którego nie widział.

- Gwizdy i dzwonki często przyciągają niedźwiedzie - dodała Kit. - Myślą, że zbliża się zdobycz.

Leroy przełknął ślinę i milczał. Kit z radością przyglądała się, jak odpina dźwięczący dzwoneczek od kapelusza i wtyka go do swojej rybackiej kamizelki.

- Spójrzcie na padlinę łososia. - Kopnęła s'cierwo butem i zrobiła krok do tyłu, bo czarna chmura brzęczących owadów niczym sieć spadła na jej twarz.

- Nie rób tego - powiedział ostro Hank. Kit spojrzała na jego zastygłą twarz. Jego palce nerwowo szczypały bliznę. Szybko odsunęła się od łososia i od barłogu niedźwiedzia. - Przerwaliśmy mu posiłek - powiedział Hank, wciąż pocierając bliznę pod okiem. - Wyczuwam jego obecność i zapach. Niedźwiedź jest bardzo blisko. Odejdźcie od tego.

Grizzly obserwował ich. Jego oczy zdawały się zezować, kiedy zauważył, że Kit się oddala. Napięte mięśnie poruszały skórą, która marszczyła się i falowała. Ciemny jak cienie w gęstych zaroślach, przygotowywał się do ataku.

Hank odwrócił się, a jego buty zanurzyły się głęboko w kupę niedźwiedziego łajna, ciemnego i upstrzonego niestrawionymi jagodami.

- Chodźcie - rozkazał, kiedy wytarł buty w splątaną trawę. Nie musiał już nikomu przypominać, że należy trzymać się razem.

- Stój niedźwiedziu - zawołał Hank jeszcze raz. Milczący i bladzi szybko ruszyli przed siebie. Błoto wydawało sprośne mlaszczące dźwięki, gdy posuwali się krok po kroku do przodu.

Grizzly odczekał, aż ucichną ostatnie mlaśnięcia błota, po czym powlókł się ociężale w stronę barłogu. Był już pewien, że ludzie odeszli, więc sprawdził zdeptaną trawę i obwąchał ziemię. Przez chwilę stał niezdecydowany nad swoją rybą. Nasłuchiwał trzasków gałęzi i cichych przekleństw dochodzących z niedźwiedziej ścieżki, którą pospiesznie oddalali się wędkarze.

Kit obejrzała się za siebie. Źdźbła traw, trącane przez delikatne podmuchy wiatru, splątały się znowu. Wyobraziła sobie, że ten grizzly - ogromny i milczący - idzie za nimi, a oni nie mogą go zobaczyć, i tylko kołysanie kłosów traw świadczy o tym, że się zbliża. Ogarnął ją lęk, lodowaty dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie.

Kuszący zapach mięsa i krwi okazał się w końcu silniejszy niż pragnienie, by podążyć w ślad za intruzami. Grizzly pochylił się nad swoim łososiem. Zdarł ostatni płat mięsa i połknął go tak szybko, jakby to była porcja gorzkiego lekarstwa. Dalej rzucał podejrzliwe spojrzenia w kierunku ścieżki. W końcu zaczął kręcić się po udeptanej trawie i szukać wygodnego miejsca na odpoczynek, ale był niespokojny i rozdrażniony. Bliskie spotkanie z ludźmi zdenerwowało go. Gdy ostatecznie zrezygnował z przyjemności kilkugodzinnego snu w zacisznym miejscu, zamruczał cicho do siebie.

Przez chwilę szedł ścieżką wybraną przez wędkarzy, chwytając w nozdrza wiatr i obwąchując wysokie trawy, które niedawno muskały ich nogi. W końcu, zadowolony, że opuścili ten rejon, zawrócił i nagle jego potężne cielsko znalazło się w niewidocznym strumyku. Kiedyś był to niedźwiedzi szlak prowadzący do wody. Przez lata ścieżka zapadała się coraz niżej,

udeptywana przez niedźwiedzie i podmywana przez rzeczne wiry. Teraz znajdowała się na poziomie lustra wody w rzece i stalą się jedną z wielu błotnych pułapek, w których grzęźli nieostrożni wędkarze.

Ciężkie kłosy rzecznych traw otoczyły wieńcem starego niedźwiedzia. Brnąc coraz głębiej w wodę wyglądał jak puszysta zabawka. Rzeka otwierała się po obu jego bokach, pozostawiając za nim smugę białej, spienionej wody. Stał, niewzruszony i ciemny jak skala, badając nurt, po czym z wysiłkiem ruszył w dół rzeki, w stronę katarakty.

Gdy tak brodził po lodowatej wodzie, wygląda! imponująco. Od czasu do czasu zatrzymywał się, aby trzepnąć wymykającego się pstrąga lub łososia. Objadał się rybami przez całe lato. Na wiosnę futro wisiało na nim luźno, jak płaszcz futrzany oferowany na wyprzedaży. Teraz lśniło w słońcu, niczym norki, i ciasno opinało jego spadziste ramiona.

Woda, głęboka i przejrzysta, dawała fałszywe wyobrażenie o sile prądu, który pędził w dół, żeby dalej przewalić się przez kataraktę.

Stary niedźwiedź przeciął odbitą od lądu falę i z powrotem wgramolił się na brzeg. Mokre futro zwisało mu pod brzuchem i wlokło się po błocie. Jednak nawet mokry, z przylepioną do ciała sierścią, nie stracił nic ze swej potęgi. Otrząsnął się, a delikatne kłosy traw pochyliły się nisko. Brązowa, z posiwiałymi na końcach włosami sierść otoczyła go jak aureola i przypominała potarganą perukę. Podniósł głowę. Jego pysk wydawał się bardzo długi na tle nieba. Nagle pełen godności, spokojny krok niedźwiedzia przeszedł w niedbały bieg. Jak większość dużych zwierząt, grizzly pokonał błyskawicznie olbrzymią odległość, sprawiając jednocześnie wrażenie, że posuwa się niezdarnym kłusem.

Kiedy dotarli do katarakty, Hank zatrzymał się i przyjrzał bacznie swojej grupie. Kit nie opowiadała już przerażających, zmyślonych historii o niedźwiedziach i łosiach*-ludojadach i stała teraz, wysoka i nieruchoma, posłuszna jak uczennica wezwana przed oblicze dyrektora.

- Będziemy łowić poniżej katarakty - powiedział Hank podnosząc głos, żeby wszyscy go usłyszeli. - Miejcie się na baczności, bo niedźwiedzie uwielbiają łowić ryby pod wodospadem. Jeśli szczęście nam dopisze, możemy zobaczyć Łódź Podwodną - dodał odwracając się.

- Łódź Podwodną? - z niedowierzaniem spytał Earl, przejawiając pierwsze oznaki zainteresowania czymkolwiek od chwili, gdy natknęli się na niedźwiedzi barłóg.

- To stary samiec-samotnik - wyjaśnił Hank - ma teraz pewnie ze dwadzieścia lat i przez ostatnie dziesięć łowi ryby przy tych wodospadach.

- Nazwano to bydlę Łodzią Podwodną - wtrąciła Kit, nie zważając na to, że Hank daje jej znaki, by milczała - bo jest jedynym niedźwiedziem, który w pogoni za rybą nurkuje pod wodą. Inne rzucają się na nią z góry i chwytają lub uderzają łapą.

* Łoś - chodzi o amerykański podgatunek łosia (ang. *moose)*.

- Łódź Podwodna jest już legendą. To najlepszy rybak ze wszystkich niedźwiedzi łowiących przy kataraktach - ciągnął dalej Hank.

- Właśnie dlatego jest taki wielki - powiedziała Kit, przewracając oczami i wydymając policzki.

Wędkarze roześmieli się i Hank powstrzymał się z napomnieniem, którego właśnie miał jej udzielić. Udało jej się rozładować napięcie.

Nie miał jednak ochoty wracać do ośrodka z dwoma mężczyznami zdecydowanymi wynająć najbliższy hydroplan, by jak najprędzej oddalić się od niedźwiedzi grizzly i wylądować w jakimś bezpiecznym miejscu, jak King Salmon - osada chatek rybackich i przyczep mieszkalnych nad rzeką Nak Nek.

- Więc chodźmy tam - powiedział Earl, ogarnięty nagle wielkim zapałem do łowienia legendarnych pstrągów.

- Tak, rozprujmy im pyski - zaśmiał się Leroy.

Kit skrzywiła się, a Hank modlił się w duchu, żeby jej pasja wędkarska nie okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek.

- O, spójrzcie - powiedziała słodkim głosem małej dziewczynki. Hank westchnął z ulgą, kiedy zmieniła temat. - Popatrzcie na tę śliczną niedźwiedzicę z małym na szczycie katarakty.

Hank odwrócił się gwałtownie i mrużąc oczy podniósł wzrok na wodospad.

Jasnowłosa niedźwiedzica grizzly o sierści w kolorze bladego miodu przyprószonego srebrem, ostrożnie przeszła przez żyłę granitu. Stała teraz z wysoko uniesionym zadem na jednej z obmywanych przez wodę skał i uważnie patrzyła w dół wodospadu, czekając aż łosoś podskoczy wystarczająco wysoko, by mogła go złapać.

Nie było to dobre miejsce do łowienia ryb. Najlepsze znajdowały się u stóp wodospadu. Ruchliwe nerki kręciły się tam całymi gromadami - bezładnie, jak kulki rozlanej rtęci, zanim po raz kolejny podjęły próbę skoku przez kataraktę i popłynięcia w górę rzeki. Jasnowłosa niedźwiedzica wiedziała jednak, że samce-samotniki rządzą skałami i wolała trzymać się od nich z daleka.

Kiedy niedźwiedzie docierały na katarakty, łowienie ryb na szerokim odcinku rzeki pod wodospadami nigdy nie sprawiało Hankowi przyjemności. Prześladował go koszmar, że jeden z jego klientów nie dość szybko zszedł z drogi niedźwiedzia albo przez nieuwagę znalazł się pomiędzy samicą a jej młodymi.

Trudno było wytłumaczyć turystom, że w Rezerwacie Katmai rządzą niedźwiedzie i należy im ustępować. Kiedy zainteresują się pstrągiem trzymanym właśnie na lince, trzeba ją zerwać i pospiesznie opuścić rzekę. Grizzly były pod ochroną i czuły się bezpiecznie. Użycie broni palnej było zakazane, chociaż obecnie niektórzy przewodnicy byli wyposażeni w karabin z petardami. Hank był przekonany, że niedźwiedzie nadużywają swojej uprzywilejowanej pozycji i przepędzają rybaków tylko po to, by pokazać, kto tu rządzi.

Mężczyźni spojrzeli w górę na wodospad, gdzie jeszcze przed chwilą widzieli nagie skały i instynktownie przybliżyli się do Hanka. Przewalające się wody były teraz dosłownie upstrzone niedźwiedziami - jasnowłosa niedźwiedzica grizzly, jej roczne młode i jeszcze dwa trzylatki, prawdopodobnie odstawione przez matkę, by nauczyły się same zdobywać pożywienie.

- Fiuuu, są ogromne - wykrzyknął Leroy, wskazując na trzylatki.

- Ważą pewnie z dziewięćdziesiąt funtów - powiedziała Kit, uśmiechając się szelmowsko do Hanka.

Jeśli młodzieniaszki robią na nich takie wrażenie, poczekajmy, aż zobaczą Łódź Podwodną - pomyślał Hank. Wdrapią się na szczyt drewnianej platformy widokowej na brzegu szybciej niż byłbym w stanie strząsnąć owada. Spojrzał na platformę, wznoszącą się wysoko nad wodospadem. Zbudowano ją dla turystów, którzy odwiedzali ten rejon, by fotografować wielkie niedźwiedzie łowiące ryby.

- Jaki milutki - powiedział Leroy, wskazując na rocznego niedźwiadka, bladego i puchatego jak dmuchawiec, który stał na brzegu i żałosnym pomrukiem przywoływał matkę. Miał wielką ochotę dołączyć do niej, ale brakowało mu odwagi, by przejść po kamieniach, szklistych i gładkich jak czarne i zielone kulki, którymi bawią się mali chłopcy. Matka odwróciła głowę i popatrzyła na dziecko. Przegapiła łososia, który przeleciał obok niej jak wyrzucona w kierunku tarczy strzałka i pospiesznie pomknął w górę rzeki. Warknęła w stronę niedźwiadka, ostrzegając go, żeby pozostał na swoim miejscu, a potem znowu skupiła się na obserwacji wodospadu.

- Tak, milutki - zgodził się Hank - ale uważaj, żebyś nigdy nie podszedł do matki z młodymi bliżej niż na sto jardów. Zaakceptuje twoją obecność w takiej odległości, ale jeśli zbliżysz się choć trochę...

- Zostaniesz przerobiony na mięso dla psów - dodała Kit.

- Chyba nie przetrwa tej zimy - powiedział Hank, uważnie przyglądając się, luźno zwisającej na ramionach skórze jasnowłosej niedźwiedzicy.

C - Biedactwo, próbuje łowić ryby dla siebie i dzieci. Samce przegoniły ją ze wszystkich porządnych miejsc - powiedziała Kit.

- Tylko bez feministycznych przemówień, bardzo dziękujemy - upomniał ją Hank.

- Patrzcie, nawet wolność słowa to samczy przywilej.

- I słusznie - powiedział Leroy - tylko my mamy cos' ważnego do powiedzenia.

Kit energicznie trzepnęła dłonią jakiegoś owada, który dobrał się do jej szyi. Na skórze zostały wstrętne, czerwone ślady palców. Hank wiedział, że to uderzenie było naprawdę przeznaczone dla Leroya. Odpięła i zapięła pasek, wyrównując jednocześnie oddech, a potem skupiła uwagę na wodospadzie, kompletnie lekceważąc Leroya.

Niedźwiadek, ciągle siedząc na brzegu, zwiesił łapę do wody. Poczuł

siłę prądu i cofnął się na trawę, skarżąc się matce, że jest opuszczony i głodny.

Ryk wodospadu zagłuszył odgłos kroków potężnego grizzly, który gnał wzdłuż brzegu rzeki. Oba trzylatki wyczuły go jednak i szybko przeniosły się na płyciznę pod wodospadem, łch nagłe odejście zaniepokoiło Hanka, więc zaczął szukać przyczyny. Właśnie wtedy stary grizzly przedarł się przez koronkowe zarośla i powędrował w kierunku swojego ulubionego tarasu poniżej pierwszej katarakty.

Stary niedźwiedź zobaczył Hanka i grupę wędkarzy. Rozpoznał ich zapach i ryknął gardłowo. Ale było coś pilniejszego, co wymagało jego uwagi. Inny niedźwiedź, prawie tak samo stary i wielki jak on siedział na skale. Nie uciekał. Przeciwnie, kiedy olbrzym zbliżył się do niego, obnażył kły.

- O, nie - szepnęła Kit - ten idiota wyzywa Łódź Podwodną na pojedynek.

- A więc to jest ta sławna Łódź Podwodna - powiedział Leroy - bezpieczny na wysokim brzegu. Nie zdawał sobie sprawy z potęgi, jaka zostanie wyzwolona, jeśli niedźwiedzie zaczną walczyć, ani z niebezpieczeństwa, w jakim oni się znajdują. Dwa oszalałe grizzly będą atakować wszystko, co znajdzie się w pobliżu.

Wielki grizzly, Łódź Podwodna, odepchnął ramieniem cały ciężar i siłę spadającej wody, jakby zmagał się z przelotnym, letnim deszczykiem. Gęsta, kremowa piana spływała strumieniami z jego pyska, kiedy rzucił się na intruza. Ten, który go wyzwał stał nieporuszony na płaskiej, śliskiej skale, a jego czarne, uniesione wysoko wargi odsłaniały długie, pożółkłe zęby. Mrożące krew w żyłach ryki niedźwiedzi wzniosły się ponad grzmot wodospadu.

Pomruk był tak potężny, że włoski na ramionach Hanka stanęły dęba. Leroy i Earl poczuli przejmujący chłód.

Hank na moment oderwał wzrok od niedźwiedzi, aby ocenić, jak szybko może przeprowadzić grupę do drabiny prowadzącej na platformę widokową.

Przegapił pierwszy zaciekły cios Łodzi Podwodnej. Siła ataku spowodowała, że tylne nogi intruza ześliznęły się ze skały. Wisiał teraz na niej, zaczepiony przednimi łapami, rozpaczliwie próbując wdrapać się z powrotem. Ale potężny przeciwnik nie dał mu żadnych szans.

Rzucił się ponownie. Zęby, które niedawno delikatnie oddzielały mięso łososia od ości, wpiły się w szyję wroga i wydarły kawał ciała. Ochłap stoczył się z wodospadu, a ten, który miał czelność wyzwać Łódź Podwodną na pojedynek, podążył za nim. Stracił wszelką ochotę do walki. Z trudem przedostał się na drugą stronę rzeki i wyszedł na bagna, zostawiając pole zwycięzcy.

Łódź Podwodna patrzył, jak jego niedawny przeciwnik oddala się, powłócząc nogami, a za nim ciągnie się strużka różowej krwi, która znaczy jego drogę. Donośnym rykiem ogłosił swe zwycięstwo i pogardę dla wroga. Jego małe oczka były złe i posępne, gdy wpatrywał się w wodospad, lecz

nie było tam nikogo, kto mógłby być jego zdobyczą. Wszystkie niedźwiedzie zniknęły, oprócz młodej matki, która ciągle siedziała na szczycie wodospadu i próbowała schwytać łososia dla małego.

Walka dwóch potężnych samców zaniepokoiła ją. Mruknęła ciche polecenie niedźwiadkowi, by nie ruszał się z miejsca. Instynkt podpowiadał jej, że powinna opuścić ten rejon i zabrać dziecko jak najdalej od rozwścieczonych samców, ale na zboczach gór leżał już delikatny pył, zapowiadający koniec lata - miękki śnieg, który ostrzegał, że nadchodzi zima. Wiedziała, że oboje potrzebują więcej jedzenia, by przetrwać ujemne temperatury. Głód był silniejszy niż strach i pragnienie ucieczki w bezpieczne miejsce, więc została, kołysząc się na wygładzonej skale i czekając aż łosoś znajdzie się w zasięgu jej pazurów.

Łódź Podwodna rzucił okiem w jej stronę, ale była poza jego terytorium i nie stanowiła żadnego zagrożenia.

- W górę - powiedział Hank, prowadząc Leroya i Earla w kierunku drabiny.

- Ale... - zaczął Leroy.

- Ruszaj się - warknęła Kit, szturchając go w ramię grubszym końcem wędki - no, chyba że chcesz się spotkać z tym rannym niedźwiedziem, który wpadnie w szał, kiedy owady obsiada jego świeżą ranę i zaczną wysysać krew.

Leroy powstrzymał się od riposty na temat personelu popychającego gości; jego krótkie nogi przeskakiwały po dwa szczeble naraz.

Hank ścisnął rękę Kit, a potem pocałował ją, gdy pochylił się, żeby jej pomóc wejść na drabinę, a potem na platformę.

- Ciągle nie jest zadowolony - powiedział Hank, patrząc na drugą stronę rzeki, gdzie Łódź Podwodna chodził wielkimi krokami po płaskiej skale, warcząc i kiwając głową.

- Minie trochę czasu zanim się uspokoi, bo krew ciągle się w nim burzy. Zostaniemy tu przez chwilę.

- A nasz lunch? - spytał Earl.

- Jest na górze, w kryjówce obok chatki, gdzie czyści się ryby - powiedziała Kit. Popatrzyła na jego brzuch, napinający szwy waderów.

- Niemożliwe, że już jesteś głodny. Te miodowe wafle i kiełbaski, które przygotowałam na śniadanie na pewno są jeszcze w twoim brzuchu.

- Nie licz na to. Wyhodowanie takiego brzucha zajęło mi całe łata, a teraz muszę stale uzupełniać zapasy, żeby utrzymać mój stan posiadania - parsknął rubasznym śmiechem, poklepując się po żołądku.

- Zawsze możesz zleźć na dół i powędrować brzegiem rzeki - powiedziała Kit - ale będziesz w zasięgu wzroku i łap Łodzi Podwodnej. Muszę cię ostrzec, że w obecnym nastroju najpewniej ruszy w pogoń za wszystkim, co się rusza...

- Co trzeba zrobić, jeśli goni cię niedźwiedź? - spytał Leroy, nagle zainteresowany możliwością spotkania Earla z niedźwiedziem grizzly.

- Stać w miejscu - powiedział Hank. - Tak jak większość drapieżników, grizzly goni wszystko, co ucieka.

- Chciałeś powiedzieć, że mam stać i patrzeć, jak ta bestia idzie na mnie i nie reagować?

- Zwiń się w kłębek, nakryj głowę rękoma, dłonie skrzyżuj na karku i udawaj, że nie żyjesz.

' - I módl się żarliwie - dodała Kit. - Przy odrobinie szczęścia ugryzie cię raz czy dwa, a potem cię zostawi.

- Tobie nic by się nie stało - powiedział Earl do Leroya. - Gdyby niedźwiedź zobaczył cię zwiniętego w kłębek, pomyślałby, że jesteś kupą łajna i przeszedłby obok.

Ryknął śmiechem ze swego dowcipu, przymykając oczy, które przypominały teraz wąziutkie szparki w jego szerokiej, mięsistej twarzy.

Hank i Kit nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Leroy spojrzał spode łba i wszyscy czekali tylko, aż wybuchnie, ale on niespodziewanie się uśmiechnął. Dostrzegł nieprzeparty komizm opisanej przez Earla sytuacji.

- Ty nie miałbyś tyle szczęścia - odparował. - Łódź Podwodna mógłby przez tydzień zrezygnować z łowienia ryb, gdyby miał ciebie w brzuchu. Taka porcja tłuszczu wystarczyłaby mu pewnie na dwie zimy.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby coś znalazło się w moim brzuchu - powtórzył Earl, obserwując jak Łódź Podwodna chodzi tam i z powrotem po skalnej płycie.

- W tym rejonie nie nosi się plecaków. Miejscowe niedźwiedzie z odległości stu jardów potrafią wyczuć zapakowany batonik wetknięty do tylnej kieszeni - powiedział Hank. - Zawsze wkładamy plecaki i żywność do schowków na górze, daleko od niedźwiedzi.

- Kiedy tutaj wszystko się uspokoi, pewnie będziemy mogli pójść do schowka na lunch - powiedziała Kit, pocieszając Earla.

- W ogóle nie ma szczęścia - stwierdził Leroy, patrząc na jasnowłosą niedźwiedzicę.

Niedźwiadek, który czekał na brzegu, aż matka wróci z łososiem, skubnął trawę, a potem pisnął znowu, tylko głośniej. Był głodny, a jeszcze nie umiał łowić szybkich łososi. Przez większą część lata żywili się z matką nerkami, które ginęły po złożeniu ikry, a ich ciała, trędowate i plugawe, bezradnie unosiły się na wodzie.

Nagle jasnowłosa niedźwiedzica błyskawicznym ruchem wyrzuciła łapę, wbijając pazury w ciało łososia. Mocno uchwyciła rybę. Usiadła na skale, opryskiwana przez krople wody, po czym wyrwała kawałek pożywnego mięsa i błyskawicznie połknęła. Dopiero potem odwróciła się i poszła zanieść resztę zdobyczy dziecku. Kiedy niedźwiadek zobaczył, że matka je rybę, zaczął żałośnie kwilić.

Skierowała się w stronę brzegu. Łosoś zwisał z jej pyska jak srebrne wąsy. Właśnie wtedy niedźwiadek zsunął się na najbliższą skałę. Źle ocenił

odległość. Matka upuściła łososia i rzuciła się w stronę dziecka, chcąc wyciągnąć je z wody, ale prąd porwał je w dół rzeki i potoczył po kataraktach. Samica, stojąc na szczycie wodospadu, ryknęła z przerażenia i zaczęła niezdarnie przedzierać się przez wodę z jednej skały na drugą. Rozpaczliwie próbowała dosięgnąć niedźwiadka, ale nie była w stanie przedostać się przez katarakty.

Wielki grizzly spojrzał na jasnowłosą niedźwiedzicę miotającą się po skałach tam i z powrotem, a potem skierował uwagę na małego niedźwiadka, którego prąd znosił prosto w jego kierunku. Zsunął się ze swego rybackiego pomostu, zniknął pod wirującą wodą, a po kilku minutach wynurzył się, trzymając mocno w pysku małe, brązowe, nasiąknięte wodą ciało.

- Och, żeby już ten mały utonął - szepnęła Kit, a grupa wędkarzy, nieruchomych niczym figury woskowe, nie odrywała wzroku od niedźwiedzia.

- Świetny gość, ta Łódź Podwodna, uratował malucha - powiedział Earl z uśmiechem. Uśmiech nagle zamarł mu na ustach, kiedy niedźwiadek, ogarnięty panicznym strachem, przeraźliwie pisnął, wołając matkę. Potem wszystko ucichło, bo grizzly głęboko zatopił kły w czaszce maleństwa.

Łódź Podwodna przykucnął na skale i powoli wypatroszył małego, delektując się mięsem, tak samo, jak wcześniej rozkoszował się jędrnym łososiem. Odrzucił malutkie łapki i kościstą część czaszki, lecz starannie ściągnął całe mięso. Skórę wrzucił do rzeki, która poniosła ją w dół, na płyciznę. Szum wody i nawoływania mew żądnych resztek mięsa zakłócały niezmąconą ciszę.

Samica, zbyt młoda, by stawić czoło dominującemu samcowi, zawyła z gniewu i bólu. Przebiegła przez wodospad i uciekła w gęste krzaki na przeciwległym brzegu rzeki, szarpiąc i rozdzierając wszystko, co stanęło jej na drodze.

Hank przez chwilę słuchał ryków niedźwiedzicy i trzasku łamanych gałęzi, po czym odwrócił się do swojej grupy. Wędkarze wciąż wpatrywali się z przerażeniem w zabarwioną krwią wodę, w miejsce, gdzie mała, brązowa skóra spływała powoli w dół rzeki.

- Kiedy matka jest jeszcze na brzegu, a Łódź Podwodna na swojej skale, wydostańmy się stąd.

- Ale tutaj, na platformie, jesteśmy bezpieczni - powiedział Leroy drżącym głosem, a jego opalona twarz była teraz poszarzała i blada.

- Zanim samica nie przejdzie na tę stronę rzeki - powiedział Hank. - Pamiętaj, że musimy być nad jeziorem o szóstej, żeby hydroplan mógł nas stąd zabrać.

- Z ośrodka porozumiemy się z nimi przez radio i zobaczymy, czy mogą przylecieć wcześniej. Przez kilka dni nie będzie można tutaj łowić. Pewnie to miejsce zostanie zamknięte, dopóki jasnowłosa niedźwiedzica nie poradzi sobie ze swym żalem i nie pogodzi ze stratą dziecka.

- Ale co będzie z naszym łowieniem? - spytał Leroy.

Hank westchnął i spojrzał na Kit, która uniosła w górę ciemne brwi. Wiedział, że go przedrzeźnia, gdy spróbowała go pocieszyć:

- To jeszcze nie koniec sezonu, bracie. Jeszcze zostało ci pięć tygodni chodzenia i nowi klienci, którymi będziesz się musiał zająć.

- No, cóż - powiedział Hank - moglibyśmy łowić na tym odcinku rzeki już teraz, Leroy, i mieć na głowie tę niedźwiedzią matkę, która przejdzie po płyciznie na nasz brzeg, rozpaczliwie szukając kogoś, kogo mogłaby ukarać za stratę dziecka. Moglibyśmy także mieć tutaj Łódź Podwodną, która zejdzie ze skały zmierzyć się z matką. Jest młoda i chuda, i nie stanowi dla niego żadnego zagrożenia. Gdyby ją także zabił, przez wiele dni nie musiałby łowić ryb.

- Najprawdopodobniej skończylibyśmy jak ten niedźwiadek - dodała Kit, wskazując wędką w kierunku miejsca, gdzie skóra misia zaczepiła się o kępę trzcin.

Prąd przekręcił ją i teraz, pokryta białymi i różowymi cętkami, kołysała się na płyciznie, połyskując w bladym świetle słońca. Nadleciały mewy, pracowicie zdarły kawałki tłuszczu i mięsa pozostawione przez Łódź Podwodną. Ich ochrypłe skrzeki rozdzierały zalegającą wokół ciszę.

Leroy przełknął ślinę i odwrócił głowę.

- Ja pójdę ostatnia - zaproponowała Kit.

- Wspaniała dziewczyna - powiedział Hank, dziękując jej, że zgodziła się asekurować grupę.

Szybko zeszli po drabinie, jeden przy drugim, niczym segmenty gigantycznej stonogi. Gdy byli już na niedźwiedziej ścieżce, pospiesznie posuwali się naprzód. - Stój niedźwiedziu - wołali, a w ich głosach pobrzmiewały najrozmaitsze odcienie strachu. Gorąco pragnęli przekonać wszystkie niedźwiedzie zdenerwowane rykami walczących samców i oszalałej z bólu jasnowłosej samicy, że są tylko nieszkodliwymi i bezbronnymi wędkarzami.

Ścieżka wydawała się nie mieć końca, a rybackie buty były bardziej niewygodne niż zwykle, bo zaczepiały się o przykryte mchem korzenie i zapadały w błotniste dziury schowane pod stratowaną trawą.

Wielki grizzly - ciemny i brzydki jak noc, siedział przygarbiony na swoim rybackim tarasie. Jego żołądek był przyjemnie pełny i niedźwiedź rozkoszował się promieniami słońca. Niekiedy leniwie trzepnął jakiegoś łososia, ale nie chciało mu się za nim nurkować. Nagle zesztywniał i wyprostował długi nos, próbując wywęszyć zapach niesiony wiatrem od strony ścieżki wijącej się wzdłuż brzegu rzeki.

Niski pomruk wydobył się z jego brzucha, kiedy niedźwiedź poczuł wstrętny ludzki odór. Otrząsnął futro z wody, która otoczyła jego ciało wirującymi pętlami diamentowych kropelek.

Kit obejrzała się za siebie i popatrzyła na wodospad, żeby sprawdzić,

czy któryś z niedźwiedzi nie ruszył ich śladem. Woda wyglądała w słońcu jak migocząca tysiącem połyskliwych iskierek diamentowa tafla. Na skale siedział Łódź Podwodna, a odbite od wody promienie oświetlały jego ogromną postać. I nagle ten krwiożerczy niedźwiedź przemienił się we wspaniałą, niezależną dziką istotę, uległą jedynie prawu natury.

Kit uświadomiła sobie, że był on po prostu częścią tej ogromnej, niegościnnej, arktycznej pustyni. Tego niewielkiego obszaru naszej planety jeszcze nie ujarzmionego i nie sprofanowanego przez człowieka. Wiedziała, że nie powinni go osądzać ani potępiać. To przytłumiło jej wstręt i odrazę, ale nie rozproszyło lęku.

Obserwowała, jak Łódź Podwodna przeszedł po skałach przegradzających bystrzynę i wspiął się na brzeg, na niedźwiedzi szlak. Kiedy zobaczyła, że oddala się od nich i wędruje w górę rzeki, z powrotem do swojego barłogu, przyspieszyła żeby dogonić Earla.

Stary grizzly ziewnął, przedzierając się przez splątane krzewy czarnego bzu i gęste, wysokie trawy. Na jego wargach widać było jeszcze ciemnoczerwone plamy. Odnalazł swój stary barłóg, okrążył go podejrzliwie, w końcu uspokoił się i położył, a jego cielsko zniknęło w zaroślach, zlewając się z otoczeniem, jak cień w środku dnia.

Kit odetchnęła z ulgą, kiedy na końcu ścieżki zobaczyła rzekę, wpadającą do ogromnego, bladoniebieskiego jeziora.

- Skręcamy w prawo, żeby zabrać lunch ze schowka, czy w lewo, do ośrodka gajowych? - zapytała. - Co robimy?

- W lewo - odpowiedzieli zgodnie Leroy i Earl, jak aktorzy dobrze znający swoje kwestie.

Kiedy dotarli do kamienistego brzegu, Hank wziął ją pod rękę. Rozciągające się między wzgórzami jezioro wyglądało jak płachta mokrego jedwabiu. Earl i Leroy pognali naprzód, w stronę domków, do bezpieczeństwa ofiarowanego przez cywilizację. Jest świetną towarzyszką, dziewczyną z charakterem, i nie chce żadnych stałych związków. Mam szczęście, że ją spotkałem - myślał Hank, a małe kamyczki na brzegu chrzęściły pod podeszwami jego butów.

Patrząc na Hanka, który szedł obok niej wielkimi krokami, Kit porównywała go z tymi dwoma żałosnymi mieszczuchami na przedzie. Już wiedziała, że teraz, z całą pewnością, chce od niego czegoś więcej niż przyjaźni i przypadkowych kontaktów seksualnych. Postanowiła go zdobyć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Boeing, gustownie pomalowany na szaro, granatowo i bordowo, leciał w kierunku polarnej czapy lodowej. Typ 747-235 skonstruowano po to, by w komfortowych warunkach przewozić trzystu siedemdziesięciu trzech pasażerów. Trasa tego lotu biegła nad samym biegunem północnym, gdyż zamierzano skontrolować cały system nawigacji bezwładnościowej. Usunięto cztery siedzenia, żeby umieścić tam specjalny pakiet polarny, zawierający dodatkowy sprzęt ratunkowy, w razie gdyby doszło do przymusowego lądowania na czapie lodowej. Poinformowanie pasażerów, że przez prawie dwadzieścia cztery lata nigdy nie musieli użyć awaryjnego sprzętu, sprawiło załodze prawdziwą przyjemność.

Był to długi, dziewięciogodzinny lot z Heathrow do Anchorage, nad biegunem północnym. Podróżni byli znudzeni, bo na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp niewiele było widać przez okna.

Stewardesa, obsługująca pasażerów w pierwszej klasie, była na nogach od ośmiu godzin i marzyła teraz o chwili, kiedy zrzuci mundur i odpręży się gorącą kąpielą w hotelu w Anchorage. Miała nadzieję, że zmusi się do zjedzenia wczesnego lunchu, podczas gdy jej ciało będzie przekonywać, że to pora obiadu. Załoga najbardziej nie znosiła lotów ze wschodu na zachód, bo organizm potrzebował kilku dni, żeby przestawić swój biologiczny zegar o prawie dziewięć godzin.

Przeniosła ciężar ciała na prawą stopę i ostrożnie zsunęła elegancki pantofel z lewej. Z ulgą poruszyła palcami, a potem pośpiesznie założyła but, wygładziła sukienkę w czerwone i granatowe pasy, i poprawiła jasny kosmyk, który wysunął się z jej starannie zaplecionego francuskiego warkocza.

- Władcza natura, co? - zauważył starszy steward, patrząc na młodą kobietę, która szybkim, zdecydowanym ruchem machała ręką tam i z powrotem.

- Zapłaciła za pierwszą klasę, więc pewnie chce dostać, co się jej należy - dopowiedział jego kolega.

Stewardesa uśmiechnęła się ponuro do starszego stewarda i ruszyła

wzdłuż przejścia między rzędami foteli, do miejsca, gdzie dziewczyna ciągle trzymała rękę uniesioną do góry.

- Słucham panią? - zapytała.

- Proszę? - powiedziała tamta, odrywając wzrok od ekranu malutkiego telewizora, ustawionego przy jej rozkładanym fotelu.

- Przywoływała mnie pani. Czym mogę służyć?

Catherine Ticasuk Chargot, nazywana przez przyjaciół w Londynie Gasey, ponieważ rodzice, rejestrując jej narodziny nie mogli się zdecydować, czy wybrać pisownię Catherine przez „C", czy przez „K", opuściła pośpiesznie rękę, a głęboki rumieniec oblał jej szyję i policzki.

- Och, przepraszam - powiedziała, wciskając wyłącznik telewizora. - Ćwiczyłam zarzucanie. Zarzucanie muszki - dodała, widząc na twarzy kobiety wyraz kompletnego niezrozumienia.

- Widzi pani - próbowała wyjaśnić - to tylko wygląda tak łatwo i tak pięknie. - Casey wskazała na pusty teraz ekran telewizora. - Łowienie ryb... - dodała z wahaniem, świadoma rozbawionych spojrzeń pary siedzącej po przeciwnej stronie przejścia. - Jedziemy łowić ryby i właśnie ćwiczyłam...

- Oczywiście, proszę pani - zgodziła się stewardesa.

- Łowi ryby — wyjaśniła w odpowiedzi na nieme pytanie malujące się na twarzy stewarda. Uniósł brwi i odsunął nakrochmalone, białe mankiety koszuli.

- Jest prawie szósta czasu londyńskiego. Powinniśmy ich nakarmić - mamy jeszcze godzinę do lądowania w Anchorage.

- Cieszę się, że zdążyliśmy przed zimą - powiedziała stewardesa, kiedy przygotowywali wózek. - Mówią, że podczas podchodzenia do lądowania tysiąc razy przeżywa się własną śmierć. Wiatr miota tym 747 na wszystkie strony, jak papierkiem podczas burzy. Moja koleżanka przysięga, że raczej w ogóle zrezygnuje z pracy, niż poleci jeszcze raz tą trasą zimą.

Wysunęła jeden z wózków i postawiła obok szafki, zastawionej talerzami z przygotowanymi wcześniej kanapkami.

- Zobaczymy, czy ta ładna pasażerka zajmie się kanapkami z wędzonym łososiem i da sobie spokój z zarzucaniem muszki - powiedział w zamyśleniu steward.

- Ładna? - powtórzyła jasnowłosa stewardesa. - Czy rzeczywiście uważasz, że ona jest ładna?

- Ma cudowne oczy - odparł. - Oddałbym wakacje nad morzem za to, żeby obudzić się, mając je przy sobie. Nie mówiąc już o tym wspaniałym biuście.

- Jesteś wstrętny - powiedziała stewardesa udając, że się gniewa. - Rzadko pozwalasz swoim myślom wznieść się ponad poziom paska od spodni.

Wyszczerzył zęby, kiedy oblekali twarze w zawodowe uśmiechy. Ruszyli z wózkiem wzdłuż przejścia między rzędami foteli.

- Casey Chargot - powiedział młody mężczyzna z uśmiechem, starannie składając różowe kartki „Financial Times". Pochylił się do przodu i wetknął gazetę do schowka na oparciu fotela. - Pomieszałaś teraz w głowach całemu personelowi Brytyjskich Linii Lotniczych. Pewnie myślą, że lecę z jakąś „słodką idiotką", a nie z inteligentną i atrakcyjną młodą damą, którą mam nadzieję poślubić pod koniec tego roku.

- Dursley - odrzekła, a z jej szyi nie znikał rumieniec upokorzenia. - Przepraszam. Byłam myślami daleko. Zapomniałam, że jesteśmy w samolocie. Ten film jest wspaniały, bardzo mnie wciągnął. Naprawdę mi przykro, jeśli wprawiłam cię w zakłopotanie.

Dursley Carrington położył jej rękę na swojej dłoni. Pogłaskał ją. Dotyk jego długich, wąskich palców podziałał na Casey uspokajająco.

- Nie widziałem tego filmu, ale przed naszym wyjazdem z Londynu czytałem książkę o człowieku owładniętym pasją wędkowania i naprawdę bardzo mi się podobała. Nie masz powodu do niepokoju, Bąbelku. Właściciel tego ośrodka zapewnił mnie, że naszym przewodnikiem będzie Hank Butler. „Stary Bob" zaklina się, że ten facet jest bardziej rybą niż człowiekiem. Myśli jak ryba. Jego klientom zawsze udaje się złowić największe ryby w całej okolicy.

- Czy będziemy z nim tylko my dwoje? - zapytała Casey, modląc się w duchu, żeby w grupie nie było innych rybaków, którzy przyglądaliby się, jak ona zmaga się z poplątanymi linkami. Nie chciała przeżywać upokorzeń.

- Nie, będziemy łowić w czteroosobowej grupie.

- O - odpowiedziała Casey z przygnębieniem.

- Wszystko będzie dobrze, Casey. Cierpliwość to jedna z głównych zalet Hanka Butlera. Pod koniec tej wyprawy będziesz wspaniale łowiła.

- Czy życzy pan sobie coś do jedzenia? — zapytała stewardesa, pochylając się nad Dursleyem z promiennym uśmiechem. Dursley trzymał dłoń na dłoni Casey i natychmiast poczuł, że narzeczona sztywnieje z zażenowania.

- Czemu nie? - odparł. - Choć wydaje mi się, że od startu z Heathrow jesteśmy nieustannie karmieni. Przypuszczam, że nawet strasburskim gęsiom tuczenie sprawia w końcu przyjemność.

Stewardesa roześmiała się i nałożyła na jego talerz górę kanapek.

Spodobał jej się ten wysoki Anglik ze zmierzwionymi włosami. Pierwszy wsiadł do samolotu i od razu zwróciła na niego uwagę. Westchnęła z rezygnacją, gdy ta dziewczyna zajęła miejsce obok niego. Błysk pierścionka z kwadratowym diamentem na serdecznym palcu jej ręki wyjaśniał wszelkie wątpliwości co do natury ich związku.

- Dlaczego wszyscy przystojni faceci dają się tak szybko usidlić? - szepnęła do koleżanki, kiedy z uśmiechem witały wsiadających pasażerów..

- I zwykle przez takie małe szare myszki - dodała koleżanka, przyglądając się uważnie Casey, która czekała, aż Dursley zabierze swoją marynarkę, żeby mogła usiąść.

Dursley Carrington z pewnością nie nazwałby swojej narzeczonej „szarą myszką". Casey miała zaledwie pięć stóp i dwa cale wzrostu. Jej obfity biust byłby bardziej stosowny dla kogoś, kto mierzy co najmniej sześć stóp wzrostu. Talia, przez kontrast, wydawała się bardzo wąska. Zaokrąglone, ale kształtne biodra uzupełniały figurę, nadając jej kształt klepsydry. Biła z niej siła i stanowczość, a jej drobne ciało poruszało się z gracją baletnicy. Wystarczyło spojrzeć jej w oczy - brązowozłote, jak kamień tygrysie oko - i popatrzeć na usta, o kącikach uniesionych do góry w nieustannym półuśmiechu, aby nie mieć żadnych wątpliwości, że jest osobą pełną czaru i uroku.

Dursley nie widział nigdy tak łagodnych i pełnych radości oczu. Nazwał ją Bąbelkiem, bo kiedy był zmęczony, wściekły albo smutny, wystarczyło, że jego wargi musnęły jej uśmiechnięte usta, a jego oczy zajrzały w jej wesołe oczy, by poczuł, że kłopoty znikają.

Miał ochotę śmiać się wraz z nią. Była jak ożywiony górski potok. Kiedyś, podczas meczu polo w Windsor Great Park, niedługo po tym, jak się poznali, nazwał ją pokrzepieniem znużonych.

- Przy tobie zachowuję się jak nicpoń z jakiegoś małego miasteczka na środkowym wschodzie - odparła, przyglądając się uważnie zawodnikom, którzy galopem zjeżdżali z boiska, aby zmienić konie.

Dursley, najstarszy z potomstwa, po śmierci ojca odziedziczył tytuł lorda. Był przyzwyczajony do towarzystwa atrakcyjnych kobiet. Zwykle, dokładnie poinstruowane przez matki, były zbyt nadskakujące. Ten potargany mężczyzna tuż po trzydziestce mógł zdobyć każdą i to o wiele za szybko. Casey kochała konie i doskonale znała się na polo. Jej starszy brat był zawodnikiem drużyny przeciwników. Od razu rzucało się w oczy, jak silna więź łączy rodzeństwo. Wszystko to zaimponowało Dursleyowi i postanowił zdobyć tę dziewczynę, młodszą od niego o dziesięć lat. Zabiegał o nią z niezwykłą determinacją, którą, jak dotąd przejawiał tylko podczas gry w polo.

Casey nie była zainteresowana małżeństwem, a tym bardziej lordowskim tytułem. Jej rodzina była bogata, ale nie miała tytułu szlacheckiego. Casey pracowała w dziale antyków domu towarowego Sotheby's i czuła się szczęśliwa. Jednakże Dursley był pociągającym młodym człowiekiem o silnej woli.

I tak, osiem miesięcy po tym, jak się poznali, zaczęła przygotowywać się do swojej nowej roli szóstej hrabiny Edbury. Miała nią zostać po wielkiej uroczystości ślubnej, którą zaplanowano na koniec roku. Zorganizowanie wesela, które pozostawi niezatarte wrażenie w pamięci uczestników wymaga załatwienia tysiąca spraw. Towarzyszą temu zwykle napięcie i nuda. Żeby od tego uciec, Dursley, z pomocą sir Boba Franshawa, Starego Boba, kiedyś jednego z konkurentów do ręki jego matki, zorganizował wyprawę wędkarską na Alaskę.

- Niech nas tam szukają... z tymi wszystkimi cholernymi problemami

i decyzjami, które koniecznie trzeba podjąć - śmiał się, gdy przedstawiał Casey swój plan. Casey stłumiła ogarniające ją uczucie lęku i zakłopotania. Uśmiechnęła się blado na myśl, że przez dwa tygodnie nie będzie się mogła ruszyć z jakiegoś odludnego miejsca, do którego można dotrzeć jedynie hydroplanem. Perspektywa łowienia ryb od świtu do zmroku wyłącznie w męskim towarzystwie ekspertów zaniepokoiła ją.

Kiedy zaproponowała, że przed tą wyprawą zapisze się na kurs zarzucania muszki, Dursley ze śmiechem rozwiał jej obawy.

- Zaskoczysz ich wszystkich, Bąbelku. To łatwe. Oni używają tylko jednoręcznych wędek muchowych, a nie tych wielkich, oburęcznych, jakich używamy w Szkocji.

Casey chciała mu przypomnieć, że odkąd wyrósł z pieluszek łowił łososie w rzekach przepływających przez jego rodowe posiadłości. To, co dla niego było łatwe, dla niej było przerażające. Ale nic nie powiedziała, podniosła tylko twarz, żeby ją pocałował i otarł łzy. Film, który oglądała w samolocie, ponownie rozbudził jej wątpliwości i niepokoje. Wiedziała, że to niemożliwe, by rzucona przez nią linka z muszką, przecinając powietrze zaświszczała w ciszy i utworzyła wysoko z tyłu doskonałą pętlę, a potem nagle zawróciła do przodu i w końcu opadła, osadzając muszkę miękko i precyzyjnie tuż obok pstrąga. Przeżuwając wędzonego łososia żałowała, że Dursley nie wybrał Bali albo Tahiti, bo tam musiałaby tylko pływać i spać na słońcu.

- O czym myślisz? - odezwał się Dursley, przyglądając się, jak Casey kruszy skórki od chleba i przesuwa okruchy na talerzu.

- Myślałam o ślubie - skłamała, żeby zrobić mu przyjemność.

- Już niedługo, moje maleństwo, będziesz moją żoną, hrabiną Carrington. A wtedy zajmiemy się powołaniem do życia nowego pokolenia arystokratów...

Pochylił się w jej stronę i pocałował ją lekko w policzek, odgarniając gęstą zasłonę jej prostych włosów, tak samo czarnych, jak jej wątpliwości i równie imponujących, jak jej pierścionek z diamentem. Przebiegł palcami po długiej grzywce, sięgającej do prostych, ciemnych brwi. Casey uśmiechnęła się do niego. Kiedy odsunął rękę, grzywka opadła z powrotem i wyglądała tak, jakby uczesały ją ręce biegłego fryzjera.

Koleżanki zawsze zazdrościły jej włosów. Przy każdym ruchu głowy kołysały się z boku na bok jak wahadło. Ale Casey pragnęła mieć na głowie strzechę rudych kędziorów, które zmierzwione opadałyby jej na ramiona i łaskotały w szyję.

Gdy przekręciła pierścionek zaręczynowy na palcu, diament pochwycił i odbił światło lamp. Błysnął kalejdoskopem barw na fotel stojący przed nią. Casey westchnęła i odwróciła się do Dursleya, ale on opuścił oparcie fotela, wetknął poduszkę pod głowę i przymknął oczy.

Popatrzyła na niego jak na obcego mężczyznę. Jego rzęsy w kolorze piasku były za długie, zmierzwione włosy wyglądały tak, jakby ich nigdy

nie czesał. Nagle zapragnęła ukołysać go w ramionach, pogłaskać po głowie i pocałować delikatnie w oczy, tak jak całował ją ojciec, kiedy była dzieckiem. Chciała matkować mężczyźnie, który niedługo miał zostać jej mężem. Piorun nie uderzył, kiedy się poznali. Błyskawica nie przecięła nieba. Była tylko spokojna przyjaźń, która w naturalny sposób skończyła się propozycją małżeństwa.

Myśl o dzieleniu życia z Dursleyem wzbudzała w Casey taki sam niepokój jak łowienie ryb na muszkę. Wszyscy jego znajomi tak dobrze znali swoje genealogie. Wiedzieli, jak należy się ubierać i nie musieli pytać, czy można założyć bryczesy, jeśli się akurat nie wybiera na polowanie na kuropatwy. Żartowali na temat wspólnie spędzonych wakacji i kpili sobie ze „Starego Boba", Jamesa czy Christophera, a Casey naiwnie myślała, że to imiona ich kolegów z Eton lub Oxfordu. Wkrótce już wiedziała, że mówią o hrabiach, diukach i lordach.

Dużo musiała się nauczyć: które rodziny należały do starej szlachty z tradycjami, a które do nowobogackich. Kto miał nazwisko, lecz nie miał pieniędzy, a kto miał jedno i drugie.

Kiedyś wczesnym rankiem zwierzyła się Dursleyowi ze swoich obaw, ale on mruknął tylko, że to naprawdę nie ma znaczenia. Istotne jest - mówił - że będziesz nową hrabiną Carrington i że nasza rodzina rzeczywiście jest „stara". A potem schował głowę w jej ciepłych piersiach. Reszty już nie usłyszała.

Gdy koleżanki Casey dowiedziały się o jej planach małżeńskich - ogarnęło je podniecenie. Atmosfera ożywienia udzieliła się w końcu i jej samej, co sprawiło, że perspektywa wejścia do arystokratycznej rodziny wydała jej się niesłychanie pociągająca.

I tylko czasem, gdy z bliska przyglądała się twarzy Dursleya, Casey zastanawiała się, co się stało z jej dziewczęcymi marzeniami. Cudowny rycerz miał przybyć na białym rumaku i wzbudzić w niej taką namiętność, która niczym trąba powietrzna zwaliłaby ją z nóg. I mieli żyć szczęśliwie aż do śmierci.

To były dziecinne marzenia - upomniała siebie samą. Jesteś bardzo szczęśliwą kobietą. Dursley będzie wspaniałym mężem. Czeka cię życie pełne nowych, podniecających wrażeń. I przecież go kochasz. Nawet jeśli ta miłość każe ci się nim opiekować i go osłaniać, a nie zdzierać z niego ubranie i nie wypuszczać z łóżka przez tydzień.

Casey wyciągnęła rękę i leciutko przebiegła koniuszkami palców po jego zamkniętych powiekach. Dursley uśmiechnął się, ale nie otworzył oczu. Był zadowolony. Znalazł kobietę, z którą chciał się ożenić i uczynić ją matką swoich dzieci.

Rodzice byli nareszcie zadowoleni, choć matka nie mogła się czasem powstrzymać od uwag na temat Samanthy, córki lady Ogilvy, czy Rebeki, siostrzenicy lady Freemantle. Wciąż była wierna stereotypom - błękitnej krwi nie mogła splamić żadna domieszka... Ze zgrozą przypominała historię

prapradziadka Alberta, który był bliski popełnienia mezaliansu. Mając siedemdziesiąt cztery lata oznajmił, że zamierza poślubić hinduską córkę jednego ze swoich Ghurków*. Na szczęście staruszek zdążył umrzeć, zanim zrealizował swój plan. Hrabina, majętna wdowa, stale przypominała swoim dzieciom, żeby nie pozwoliły szalejącym hormonom przyćmić rozsądku i zapomnieć o rodowodzie osoby, którą mają zamiar wprowadzić do rodziny.

Kiedy Dursley przedstawił Casey, jego matka przyjrzała się uważnie jej okrągłej twarzy i gęstym, prostym, czarnym włosom. - Jest w niej jakaś wschodnia domieszka, Dursleyu - oznajmiła. Ale on zapewnił ją, że rodzina Casey jest równie angielska, jak płaskie bułki i herbata i że osobiście sprawdził pochodzenie dziewczyny. Odetchnął z ulgą, kiedy matka skinęła głową i porzuciła ten temat.

Casey pochyliła się nad Dursleyem i pocałowała go lekko w usta. Włączyła telewizor. Wkrótce znowu porwało ją piękno wędkowania i pochłonęło studiowanie zawiłości tej trudnej sztuki. Wzdrygnęła się, kiedy nagle obraz zniknął, a w słuchawkach huknął czyjś głos. Skrzywiła się ogłuszona.

- Panie i panowie, tu mówi kapitan. Proszę przestawić zegarki. W Anchorage jest teraz pięć po dziesiątej rano. Za dwadzieścia minut będziemy lądować. Podczas kołowania otworzy się wspaniały widok na Zatokę Cooka, która oczywiście została odkryta przez naszego kapitana Cooka, gdy poszukiwał niedostępnego Północno-Zachodniego Przejścia. Ci z państwa, którzy znają historię Alaski, oczywiście wiedzą, że zanim polarny pak lodowy zmusił Cooka do powrotu, zdążył przepłynąć przez cieśninę Beringa. Nagroda Brytyjskiej Admiralicji za odkrycie Przejścia Północno-Zachodniego przypadła Robertowi M'Clure, co w tamtych czasach nie było popularną decyzją.

- Gadatliwy, co? - ziewnął Dursley, przeczesując włosy palcami, po czym wcisnął guzik, aby podnieść oparcie fotela. - Pewnie się nudzi. Tkwił w tej kabinie przez dziewięć godzin, a teraz czeka go perspektywa dalszej nudy w Anchorage. - Uśmiechnął się szeroko. - W tym miejscu kłębiły się tłumy, kiedy Exxon Company przysyłała samolotami tysiące ludzi, by oczyścili teren z ropy naftowej, którą rozlał rozbity tankowiec Exxon Valdez.

- Gdzieś czytałam, że w końcu udało się naprawić zniszczenia - powiedziała Casey.

- Zebrali ropę tylko z powierzchni. Została pod skałami na dnie morza. „Czego nie widać, tego nie ma" - to chyba ich zasada - powiedział Dursley cynicznie. - Ratownicy odlecieli, a Anchorage zostało z pustymi hotelami i sklepami bez klientów. Nasz kapitan będzie miał dużo szczęścia, jeśli uda

* Ghurkowie - żołnierze nepalscy, masowo rekrutowani do armii brytyjskiej w połowie XIX wieku.

mu się znaleźć jakąś rozrywkę oprócz polowania i łowienia ryb. - Ziewnął i przeciągnął się. - Stary Bob odwiedzi) Great American Bush Company w zeszłym roku. Powiedział, że można tam zobaczyć niezłe golasy, które mają do zaoferowania mnóstwo regionalnych sprośności. Ale wiemy, że sir Bob Franshaw robi się starym zbereźnikiem.

- Great Alaskan Bush Company? - uśmiechnęła się Casey, przesuwając na palcu swój pierścionek zaręczynowy. Snop słonecznego światła wydobył z kamienia czerwono-zielono-niebieską tęczę. Barwne cętki przebiegły po szarych fotelach.

- To bar ze striptizem, jak utrzymuje Bob - niezbyt wyrafinowanym, ale śmiesznym - odpowiedział Dursley. - To nie miejsce dla ciebie, Bąbelku. - Uśmiechnął się szeroko.

- A dla ciebie? - zapytała.

- Ja mam ciebie - udało mu się zgrabnie uniknąć pułapki.

Uniósł dłoń Casey i ucałował koniuszki jej palców. Uśmiechnęła się do niego - szczęśliwym, pełnym zaufania uśmiechem. Znów spojrzała na ekran telewizora - brak obrazu - więc przymknęła oczy i słuchała kapitana. Albo się nudził, jak sugerował Dursley, albo często odwiedzał Alaskę i kochał tę ziemię. Ten ogromny półwysep był najbardziej wysuniętym na północ stanem amerykańskim. Jeśli ktoś chciałby się wybrać jeszcze dalej na północ, musiałby zanurzyć się w Morzu Arktycznym i popłynąć pod polarnym pakiem lodowym aż do bieguna północnego.

- Rosjanie uważali, że Alaska jest tylko jałową polarną pustynią, po prostu przedłużeniem Syberii. Sprzedali ją Ameryce w 1867 za siedem milionów dolarów - wyjaśnił Dursley, słuchając nieuważnie słów kapitana. - Sekretarz stanu, William Seward miał ciężkie zadanie, żeby przekonać Senat, że warto kupić to miejsce. Ludzie bez końca nazywali je „Lodówką Sewarda".

- Dlaczego właśnie Ameryce? - zapytała Casey, nie otwierając oczu. - Myślałam, że Rosjanie i Amerykanie nienawidzą się wzajemnie.

- To był dziwny układ - odparł Dursley. - Podczas wojny krymskiej, z jakichś dziwnych powodów, Amerykanie wsparli Rosję. Sądzę, że tak naprawdę byli jej jedynymi sojusznikami.

- A Rosjanie, kiedy Jankesi wybijali się nawzajem podczas wojny secesyjnej, wysłali swoją flotę wojenną. Rosja była gotowa udzielić pomocy w wypadku, gdyby Wielka Brytania lub Francja próbowały wtargnąć do Ameryki i zagarnąć to, co jeszcze z tego kraju zostało.

Casey otworzyła oczy.

- Zwariowany świat - powiedziała. - Rosja sprzedała Alaskę, bo myślano, że to bezwartościowa, pozbawiona bogactw mineralnych ziemia. Zdawano sobie sprawę, że handel skórami zamiera, bo rosyjscy handlarze zdążyli wcześniej wybić niemal wszystkie zwierzęta, których skóry uważano za cenne. Ameryka kupuje ten kraj, a następnie doprowadza handel skórami do rozkwitu i, w dodatku, pod koniec lat sześćdziesiątych odkrywa

na Alasce najbogatsze złoża ropy naftowej na całym kontynencie północnoamerykańskim.

- A więc wiesz coś na temat historii Alaski - przekomarzał się Dursley.

- Ja też umiem czytać - odcięła się Casey.

- Aż do czasu, gdy runął Mur Berliński i połowa bloku wschodniego wraz z nim - włączył się Dursley. - Jankesi mieli system wczesnego ostrzegania i bazę lotniczą w pobliżu Barrow. Stamtąd rozpoznawali wczesne sygnały, wskazujące na możliwość rosyjskiego ataku na Stany Zjednoczone. - Zamilkł na chwilę i ziewnął. - W każdym razie jesteśmy tutaj po to, żeby łowić ryby i dobrze się bawić, a nie po to, by się przejmować polityką. Dobrze byłoby, żeby te pstrągi były naprawdę takie wspaniałe i wielkie, jak mówił „Stary Bob". To cholernie długi lot, zdaje się, że zdrętwiały mi nogi.

Wstał, przesunął się do przejścia między rzędami foteli i wyciągnął ręce do góry, dotykając prawie sufitu samolotu, po czym łagodnie przeszedł do serii przysiadów.

Kiedy podnosił się po szóstym, spostrzegł utkwiony w siebie wzrok stewardesy, więc uśmiechnął się do niej.

Casey uniosła szarą zasłonkę na oknie, a Dursley usiadł, posłuszny poleceniu, by zapięli pasy. Mieli wylądować za dwadzieścia minut.

- O, spójrz - szepnęła. Samolot zbliżał się do Anchorage. Był właśnie odpływ i stalowoszare niebo odcinało się od równej powierzchni mokrych nadbrzeżnych piasków. Rozciągały się szeroką, migotliwą tęczą ciemnych, metalicznych popielatości i odcieni kości słoniowej. Widziane z oddali rzeki ograniczające zielone plamy lądu, przybrały barwę stonowanej szarości i połyskiwały biało w zimnym świetle jesiennego alaskańskiego dnia.

- Wygląda, że jest cholernie zimno - powiedział Dursley, pochylając się nad ramieniem Casey w kierunku okna.

Casey nie odpowiedziała. Alaska urzekła ją swym pięknem od pierwszego wejrzenia. Był to dziki i odludny kraj, ale ona miała wrażenie, że kiedyś już tu była.

- Wygląda na ziemię tak bardzo nieposkromioną - powiedziała.

- Tak, mają tutaj chyba więcej rezerwatów niż my wszystkiego na tej naszej malutkiej wyspie - odparł Dursley. - Za prezydentury Cartera, wraz z przyjęciem ustawy ANILCA, do Katmai dołączono milion akrów. Trzy i pół miliona akrów uznano za obszar dzikiej przyrody.

- Wyobraź sobie, że masz całą tę ziemię i oddajesz ją na rezerwat przyrody - powiedziała Casey oszołomiona wielkością cyfr.

- Prawdopodobnie zrobiono to po to, by uprzedzić roszczenia tubylców, którzy uważają, że tradycyjnie ziemia ta należy do nich - dodał cynicznie. - To jedyna rzecz, jaka udała się Carterowi.

Casey nie odpowiedziała. Wielokrotnie słyszała, jak Dursley narzekał na Porozumienie w Sprawie Roszczeń Tubylców do Ziemi, uchwalone w 1971. W myśl tej umowy rodowici mieszkańcy Alaski mogli zażądać

zwrotu czterech milionów akrów ziemi i dziewięciu milionów dolarów opłaty jednorazowej. Jako właściciel rozległych terenów rekreacyjnych, które należały do jego rodziny przez stulecia, Dursley bojkotował nowe przepisy, które pozwalały tubylcom na całym świecie żądać zwrotu tradycyjnych terenów łowieckich i domagać się prawa do polowań.

- Wsadź ich do samolotu, przeleć z nimi nad tym krajem i zapytaj, czy poznają to miejsce? Tubylcy oczywiście odpowiedzą, że ich pradziadek w młodości zabił tutaj woła piżmowego - parsknął Dursley. - I w ten sposób masz z głowy najlepszy kawałek ziemi.

Casey nie odrywała nosa od szyby. Skrycie popierała żądania tubylców. Byli jedynymi ludźmi, którzy sprawiali wrażenie, że potrafią żyć w zgodzie z naturą. W przeciwieństwie do Europejczyków nie walczyli z dziką przyrodą i nie próbowali jej poskromić.

Chciała przejść się wzdłuż krętych strumieni, przyjrzeć się stawom, które, niczym blizny po ospie, upstrzyły ziemię w czasie, gdy lodowce powoli spływały do morza, a wtopione w ich cielska bryły skalne żłobiły dziury w podłożu.

Ten obcy ląd wzywał ją. Zew był zbyt silny, by mogła go zignorować. To była ziemia dręczona i ożywiana przez skrajnie niskie temperatury i niekończące się kataklizmy.

Łagodne, zielone pola Anglii zostały tak daleko. Wzdrygnęła się, nie tylko z powodu surowego krajobrazu, który rozpościerał się w dole. Wiedziała, że nadchodzi czas, gdy będzie musiała powiedzieć Dursleyowi prawdę o swoim pochodzeniu. W jej żyłach płynęła eskimoska krew.

Był to bezlitosny, niegościnny kraj - kraj strzelistych, pokrytych śniegiem gór i lodowatych wiatrów, które przeszywały ciało tak szybko i przejmująco, jak nóż myśliwego tropiącego niedźwiedzie; ogromny, cichy kraj, który tolerował tylko silnych i odważnych. Słabi szybko odkrywali, że ta ziemia pozwala jej mieszkańcom tylko na cichy płacz. Ci, którzy przeżyli surowe zimy, nauczyli się żyć w zgodzie z żywiołami. Bardzo szybko porzucili wszelkie pragnienie okiełznania tych przerażających sił natury.

- Fuj - powiedziała Casey, siedząc ciągle z twarzą przyklejoną do szyby, kiedy samolot dotknął ziemi i powoli rolował w kierunku budynków lotniska. - Co to jest, to szare, brudne paskudztwo, zwalone na kupę obok pasa startowego?

- Popiół wulkaniczny, proszę pani - powiedziała stewardesa, która zatrzymała się w przejściu między rzędami foteli. - Mount Spurr wybuchł nieoczekiwanie około trzech tygodni temu i popiół pokrył Anchorage. Gdy przylecieliśmy tu przed dwoma tygodniami, w całym mieście był jeszcze okropny bałagan. Spadł deszcz, który sprawił, że znaczna część popiołu wulkanicznego osiadła na ziemi. Wygląda na to, że ten odcinek został już oczyszczony.

Casey zmarszczyła nos, a potem odwróciła się, żeby odebrać od dziewczyny swoją marynarkę. Podziękowała z uśmiechem i nagle jasnowłosa

stewardesa zrozumiała, co takiego było w Casey, że mężczyźni się za nią uganiali. Kąciki ust Casey uniosły się w łagodnym uśmiechu, a iskierki w jej oczach obiecywały nie zaznane dotąd rozkosze.

- Musimy spędzić tylko jedną noc w hotelu Kapitan Cook, więc nie powinniśmy się nawdychać za dużo tego popiołu - powiedział Dursley, wsuwając ramiona w rękawy ciemnozielonego anoraka. Oboje z Casey szybko załatwili formalności na lotnisku. Zatrzymali się tylko przy szklanej gablocie z wypchanym niedźwiedziem grizzly, lśniącym w świetle elektrycznych lamp. Jego cielsko wznosiło się dziewięć stóp ponad głowę Casey, a pazury były tak długie, że mogłyby przykryć dłoń mężczyzny. Wpatrując się w ogromne zwierzę, Casey wzdrygnęła się. Uświadomiła sobie, że kręte strumienie, które podziwiała z okien samolotu, płyną przez tereny zamieszkałe przez te przerażające istoty. Nagle pełne pstrągów potoki Anglii wydały jej się nieskończenie bardziej atrakcyjne.

ROZDZIAŁ TRZECI

King Salmon było małym, tonącym w błocie miasteczkiem, rozciągającym się wzdłuż rzeki Naknek, słynącej z doskonałych miejsc do połowu łososi. Zabudowania lotniska tworzyła kupa bezładnie stłoczonych budynków. Kłębił się tam tłum mężczyzn - krzepkich i silnych, w poplamionych anorakach, grubych swetrach i myśliwskich butach. Powietrze było ciężkie od zapachu potu i długo nie pranej odzieży. Rozbrzmiewało męskimi głosami, śmiechem i przechwałkami. Mężczyźni opowiadali o polowaniach i łowieniu ryb, przechwalali się własną dzielnością i odwagą.

Cementowa podłoga przed biurkiem urzędnika odprawiającego pasażerów przypominała tor biegu z przeszkodami. Zastawiona była porożem łosi i karibu, skrzyniami mrożonego i wędzonego łososia, karabinami, łukami i sprzętem rybackim. Wszędzie panowała namacalna niemal atmosfera podniecenia i zadowolenia.

Mężczyźni uczestniczyli w odwiecznym misterium polowania i połowu. Pierwotni wojownicy. Bezlitosnej potędze przyrody mogli przeciwstawić tylko własną zręczność. I podobnie, jak dzikie zwierzęta wracają do domu z myśliwskim łupem. Szerokie na dziewięć stóp poroże łosia - ciężkie, jak wyrzeźbione z kamienia - zawiśnie na ścianie gabinetu. Obok znajdzie się poroże karibu - delikatniejsze, przypominające liście paproci. Znajomi będą zazdościć wielkich, miękkich niedźwiedzich skór, rozciągniętych na podłodze. Z lękiem pomieszanym z zawiścią będą słuchać opowieści o dzikiej przyrodzie. Alaska to ziemia dla mężczyzn. Rozumieli ją i kochali mężczyźni, i te nieliczne kobiety, które ośmielały się przybyć do tego bezwzględnego świata zabijania.

Kit uwielbiała wygląd i zapach mężczyzn, którzy przez wiele dni obozowali poza domem. Wśród takich mężczyzn spędziła dzieciństwo. Rozumiała ich i podziwiała. Byli to ludzie zupełnie inni niż ci, którzy wyjeżdżają do Afryki na safari. Na tamtych, po całodziennym polowaniu, czeka w obozie whisky z lodem. Ci akceptowali życie na warunkach, jakie

stawia przyroda. Rozumieli, że w cichym skradaniu się zwierząt, na które polują, czai się śmierć.

- Przez całe życie będzie się przechwalał tym łosiem - powiedziała Kit, potykając się o rozłożyste poroże, leżące na podłodze.

Hank wyciągnął rękę, żeby pomóc jej odzyskać równowagę.

Skierowała się w stronę małego sklepiku z pamiątkami, schowanego w rogu hali lotniska. Hank śledził ją wzrokiem. W starych, niebieskich dżinsach, zabłoconych butach i granatowym anoraku wyglądała jak chłopak, ale wystarczyło pokazać jej sklep, a okazywała się kobietą z krwi i kości. Wiedział, że uwielbia biżuterię, wyrabianą z przepięknych, szmaragdowozielonych i ciemnoniebieskich arktycznych opali i czarnego, wulkanicznego hematytu.

Lekko i bez zażenowania weszła do sklepu. Hank zauważył, że kilku mężczyzn obserwuje ją uważnie. Poczuł gorący przypływ namiętności. Właśnie miał spojrzeć na zegarek, kiedy jakiś metaliczny głos zapowiedział przybycie samolotu Dan Air z Anchorage. Odetchnął z ulgą.

Stewart Saunders czekał na drewnianym molo na rzece Naknek, gdzie przycumowali hydroplan. Hank wiedział, że powinni wylecieć w kierunku jeziora Nonvianuk i Ośrodka Black Legs, zanim nastąpi zapowiadane pogorszenie pogody. Przez otwarte drzwi zajrzał do hali lotniska, żeby sprawdzić, czy jest już umówiona para turystów z Anglii. Następnie przecisnął się przez tłum i dotarł do sklepiku.

- Chodź - rozkazująco powiedział do Kit - samolot wylądował.

- Które wolisz? Srebrne pstrągi czy niedźwiedzie? - zapytała Kit, potrząsając dwoma parami kolczyków.

- Ryby - odparł, wiedząc z doświadczenia, że jej pytania zawsze wymagają odpowiedzi. Wiedział, że nie namówi jej do wyjścia ze sklepu z pamiątkami, dopóki nie wykaże pełnego zainteresowania jej zakupami.

- Zaraz tam będę — zawołała uszczęśliwiona, gdy Hank przeciskał się do miejsca, gdzie kłębili się pasażerowie czekający na bagaże. Zobaczył Dursleya i Casey, wchodzących do budynku. Natychmiast spodobały mu się swobodne ruchy Dursleya.

Człowiek otwartych przestrzeni - pomyślał. Według sir Boba Franshawa, ten mężczyzna to świetny myśliwy i doskonały wędkarz. Przewodnicy lubili takich klientów, zwalniało to z wielu nudnych zadań, jak odplątywanie węzłów na linkach czy pomaganie w zakładaniu przynęty.

- Przystojny facet - szepnęła Kit, zbliżając się do Hanka.

Hank zmarszczył czoło. Nie rozumiał, dlaczego kobiety uważają tych potarganych mężczyzn o chłopięcym wyglądzie za przystojnych.

- A ona trochę nadęta - ciągnęła dalej Kit, ale zaraz zmieniła zdanie, bo w tej chwili Casey spojrzała na Dursleya i roześmiała się radośnie.

- Dla mnie jest zabawna - odciął się Hank. Ruszył naprzód, by się z nimi przywitać.

Dursley był trochę zaskoczony, kiedy usłyszał, że Kit także będzie ich

przewodnikiem. „Stary Bob" powiedział wyraźnie, że będzie ich prowadził Hank Butler i Bill Dawkins.

- Dwaj najlepsi przewodnicy w Stanach - zapewniał Dursleya.

- Bill złamał nogę w kostce, gdy pomagał klientowi wpadł do wody - wyjaśnił Hank. Domyślał się, co Dursley sądzi na temat kobiety w roli przewodnika wędkarzy. - Nie może pracować do końca sezonu, ale Kit jest doskonałą wędkarką. Świetnie zna te rzeki. Łowiła w nich przez ostatnie osiem lat - dodał to w taki sposób, by sądzili, że przez wszystkie te lata była również przewodnikiem.

- Pobiła także światowy rekord IGFA* w zakresie pstrąga tęczowego, lipienia arktycznego i łososia - dorzuciła Kit z uśmiechem, stawiając krok do przodu, by podać im rękę. - Chociaż nie wszystkie w tym samym czasie.

Kit lubiła Billa Dawkinsa, ale kiedy złamał nogę, w głębi duszy była zachwycona. Latami starała się przełamać męskie uprzedzenia do kobiet przewodników.

Stewart Saunders nie mógł znaleźć doświadczonego przewodnika przed przybyciem Dursleya i Casey, więc w rozpaczy zwrócił się do niej. Zgodziła się, starannie kryjąc euforię, ale pod warunkiem, że dostanie dwuletni kontrakt na piśmie. Saunders nie miał innego wyjścia, jak tylko się zgodzić. Zawsze podziwiał jej wiedzę i umiejętności wędkarskie, a teraz dodał do listy zalet Kit smykałkę do interesów.

Druga kucharka, Angela, zajęła miejsce Kit, ale potrzebowała pomocy. Hank postanowił poczekać aż nowi klienci zaadoptują się w ośrodku, i w najbliższy weekend polecieć ze Stewartem do Anchorage, żeby przywieźć jeszcze jedną kucharkę. Przejęłaby ona część obowiązków Angeli aż do zamknięcia ośrodka na zimę, co miało nastąpić na początku listopada.

Casey czuła się całkowicie zdominowana przez tę wysoką, szczupłą i kompetentną kobietę, która zdawała się być częścią świata mężczyzn, do którego właśnie wkroczyła.

- Zobaczymy, czy da się znaleźć jakiś rekord dla pani, panno Chargot - tonem pocieszenia powiedział Hank, wyczuwając niepokój Casey.

- Casey - powiedziała. - Proszę nazywać mnie Casey, i z góry dziękuję.

Uśmiechnęła się do Hanka. Hank odpowiedział szerokim uśmiechem i w ten sposób od razu nawiązali przyjaźń. W jednej chwili Casey Chargot przestała być dla niego kimś obcym.

- Wrzućmy bagaże do ciężarówki — powiedział, aby ukryć zmieszanie spowodowane nagłym przypływem sympatii dla nowego gościa. Starał się nie patrzeć na Casey, kiedy szukał jej we wspomnieniach. Nie mógł jednak przypomnieć sobie ani czasu, ani sytuacji, w której mógłby ją spotkać.

* IGFA - Międzynarodowe Stowarzyszenie Wędkarstwa Sportowego (ang. *International Gamę Fish Association)*.

Przecież nie mógł znać Casey Ticasuk Chargot, a mimo to poczuł do niej natychmiast głęboką sympatię i od razu wydała mu się bliska.

Wiele lat temu, zanim został przewodnikiem wędkarzy, Hank zastawiał sidła i polował w Barrow z Traperem Jackiem, Eskimosem, który nazywał siebie Inuitem. Kiedyś, gdy przykucnęli za śnieżną ścianą, czekając na foki, zaczęli mówić o kobietach.

- Będziesz wiedział, że kobieta jest przeznaczona dla ciebie, gdy poczujesz, że jej serce bije w tym samym rytmie, co twoje - szepnął Jack. - Istnieje tylko jedna kobieta, której serce bije w rytmie serca mężczyzny. Tylko jedna. Weź ją, nie zagub jej. Nigdy już więcej nie znajdziesz rytmu, który będzie pasował do twojego. Nigdy.

Hank czuł, że Kit bacznie go obserwuje. Otrząsnął się ze wspomnień, zapomniał o słowach Trapera Jacka.

- Ruszmy się, Hank - zaczęła ponaglać. - Stewart czeka na molo. Musimy zdążyć przed zmianą pogody.

Casey pobladła na samą myśl o locie w tej mgle. Nigdy nie leciała hydroplanem i instynktownie nie ufała niczemu, co ląduje na wodzie, a nie na ziemi.

Wszystkie obawy związane z lataniem rozwiały się, kiedy wygramolili się z furgonetki, która zatrzymała się przy molo. Casey już nie myślała o samolotach. Słońce zdecydowało się wyjrzeć na chwilę, jakieś wilgotne, jakby polane wodą. Obudziło wszystkie komary. Casey miała pełne ręce roboty, tłukąc te latające paskudztwa, które, delikatnie, jak pocałunek kochanka, siadały jej na szyi, po czym odlatywały, pozostawiając czerwone, palące pręgi i plamy.

Z nadzieją wpatrywała się w hydroplan - jedyne dostępne tu schronienie. Hank, widząc jej kłopoty, wyciągnął z tylnej kieszeni opakowanie środka owadobójczego. Powiedział Casey, żeby zamknęła oczy i za chwilę dziewczyna dławiła się trującymi oparami, ale owady zniknęły.

- Proszę, weź to sobie. To jedyny środek przeciw komarom, który odstrasza te świństwa. Innymi chyba się żywią.

Kit ze zdumieniem obserwowała jego troskę i niepokój o nową klientkę. Hank zwykle twierdził, że im szybciej mieszczuchy nauczą się akceptować trudy życia w tym kraju, tym łatwiejsza wyda im się wyprawa wędkarska. Częścią tych niewygód z całą pewnością były cieszące się złą sławą tutejsze komary. Największy z dwudziestu siedmiu gatunków bywał nawet nazywany narodowym ptakiem Alaski.

- Dziękuję - powiedziała Casey z wdzięcznością, kiedy chmara owadów krążyła wokół niej nie śmiejąc się zbliżyć. - Wzięłam ze sobą kwiat lawendy i olejek cytrynowy. Nad strumieniami w Anglii naprawdę czynią cuda, ale wydaje mi się, że te nawet nie poczują zapachu...

Potarła ukąszenia za uszami i u nasady szyi.

- Sourdoughowie mówią, że wystarczą dwa komary, żeby podnieść człowieka do góry i porwać - zaśmiał się Stewart.

Casey uśmiechnęła się szeroko, spokojniejsza teraz, kiedy owady trzymały się od niej w bezpiecznej odległości. — Sourdoughowie? - powtórzyła pytająco.

- To ludzie pamiętający dawne czasy, ci, którzy się tutaj urodzili - odpowiedział. - Są naprawdę twardzi i dumni. Potrafią wyżyć z darów tej ziemi nawet w zimie. - Widząc jej zainteresowanie, ciągnął dalej. - Kiedy weźmie się pod uwagę fakt, że w takich miejscach jak Fairbanks przez wiele dni z rzędu może być po czterdzieści pięć stopni poniżej zera, nikogo nie dziwi, że muszą być twardzi.

- Chodźmy - wtrąciła Kit, zirytowana, że Casey jest wciąż w centrum zainteresowania. Popędziła Dursleya na pomost, a potem na molo, zostawiając Hankowi Casey, żeby wprowadził ją do samolotu.

Przewodnicy przypięli klientów pasami do wąskich siedzeń, a potem sami wdrapali się do środka. Usiedli cichutko, czekając aż Stewart sprawdzi hydroplan i włączy silniki.

Stewart odwrócił się do tyłu i uśmiechnął do Dursleya i Casey. Zapytał, czy zapięli pasy, po czym mocno przycisnął słuchawki do uszu. Znaczyło to, że będzie mógł lecieć w ciszy, nie zawracając sobie głowy towarzyską pogawędką. Już dawno zmęczyło go odpowiadanie na zawsze te same, niemądre pytania klientów. Żeby się przed tym bronić, wynajdował wciąż nowe sposoby, by uniknąć nudnej paplaniny.

Hank i Kit, skuleni na wąskich, środkowych siedzeniach, uśmiechnęli się do siebie. Obserwowali, jak Stewart przesuwa i poprawia słuchawki. Ośrodek Black Legs był doskonałym obozem wędkarskim, a Stewart cieszył się uzasadnioną opinią gospodarza najlepszego ośrodka w tym rejonie.

Był surowym nadzorcą, ale przyciągał najlepszych przewodników i najlepszy personel obozów wędkarskich na Alasce. Wędkarze szeroko rozsławili jego dobre imię i ośrodek stał się powszechnie znany. Przyjeżdżali tu ci, którzy szukali najdzikszych i najsilniejszych pstrągów tęczowych. Co roku wracali, by zmierzyć się z ich siłą i przebiegłością.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pomalowany na zielono i żółto hydroplan z legendarną nazwą ośrodka Black Legs i karykaturą owada, umieszczonymi wysoko na ogonie, okrążył drewniane chatki, ciągnące się szeregiem wzdłuż brzegu jeziora Nonvianuk. Pilot chciał w ten sposób uprzedzić personel o przybyciu nowych klientów.

- Oto i oni - powiedział Earl, popijając garść czekoladowych herbatników puszką piwa Budweiser.

- Zakładam się, że on ma lokaja, albo kamerdynera. Wszyscy ci Angole z tytułami żądają, żeby się nimi opiekowano jak chorymi kotami - gderał Leroy. Dotychczas był otoczony troskliwą opieką dwóch przewodników i z niechęcią pomyślał, że będzie musiał dzielić ich względy z jeszcze jedną parą, zwłaszcza parą cudzoziemców. „Amerykańskie rzeki powinny służyć tylko Amerykanom" - było jednym z najbardziej wyświechtanych i irytujących powiedzonek, jakich używał.

Earl zignorował Leroya i sięgnął po następne ciasteczko. Kit uprzedziła Angelę, drugą kucharkę, że Earl wymaga dokarmiania przed i po każdym posiłku. Angela postawiła przenośny stół na drewnianym pomoście i nieustannie donosiła miseczki z ciasteczkami i prażoną kukurydzą.

- Założę się, że ona to niezła babka - rozmarzył się Earl.

- Te angielskie dziewczyny są naprawdę wyśmienite. Wysokie i takie szczupłe, że masz wrażenie, że złamiesz je na pół, kiedy je obejmujesz. I do tego energiczne, pewnie dlatego, że jeżdżą konno, co u nich jest takie modne - powiedział.

- Hmm - mruknął Leroy. - Ta z całą pewnością będzie miała lakier do włosów w jednej kieszeni, a szminkę w drugiej. Będziemy musieli łowić ryby i chodzić tylko tam, gdzie jej wytworne wadery nie pobrudzą się i nie zmoczą. Snoby - oto czym oni są. Po prostu snoby. Myślą, że Bóg stworzył świat wyłącznie dla nich. Że są za dobrzy dla takich jak my.

- Ale ty też masz kupę forsy, Leroy - wycedził Earl.

- A co robił twój dziadek? Przemycał alkohol w czasie prohibicji, prawda?

Przybycie Dursleya i Casey uratowało Earla przed kolejnym wybuchem Leroya. Dursley z łatwością dostosował się do długiego kroku Hanka. Kit dotrzymywała kroku Casey, która potykała się trochę na świeżo wysypanym żwirze.

- Wysoka i szczupła? - zachichotał Leroy, kiedy patrzyli, jak cała czwórka zbliża się do nich.

- Nie zwracaj uwagi na tę nadbudowę z przodu - odparował Earl. - Zobaczysz, że ma śliczne, szczupłe nogi i talię, którą zaraz chciałoby się zmierzyć własnoręcznie. Zgrabniutka - dodał, podnosząc swe cielsko z leżaka, żeby przywitać się z nowo przybyłymi. - Jestem Earl - wyciągnął oblepioną czekoladą rękę.

- Milo mi pana poznać - uśmiechnął się Dursley. - Jestem Dursley Carrington, a to moja narzeczona, Catherine Ticasuk Chargot. Przyjaciele nazywają ją Casey.

- Snoby? - bezgłośnie powiedział Earl. Leroy, mimo szyderczych uwag pod adresem angielskiej arystokracji, stał z przymilnym uśmiechem wyczekując na uścisk ręki Dursleya.

Dursley rzucił się na jeden z leżaków i zanurzył rękę w miseczce z prażoną kukurydzą, czym od razu zjednał sobie Earla. Angol, który lubi prażoną kukurydzę, nie może być taki zły - pomyślał, podsuwając Dursleyowi miseczkę. Wkrótce mężczyźni pogrążyli się w głębokiej dyskusji o pstrągach tęczowych, rodzajach przynęty i rzekach, w których będą łowić, a Earl udawał, że dysponuje wiedzą, której w istocie wcale nie posiadał.

Casey wyglądała na zmęczoną, więc Kit odprowadziła ją do chatki, w której miała mieszkać.

- Śliczna - powiedziała zaskoczona dziewczyna, rozglądając się po drewnianej chatce, w której stały dwa starannie wykonane, pojedyncze łóżka. Czarny piec w kącie buchał ogniem, a wiatr, tańczący po dachu, klekotał rurą kominową.

- Z tej chaty roztacza się wspaniały widok - dodała Kit mile zaskoczona reakcją Casey. Rozsunęła zasłony w beżowe paski. Casey wyjrzała przez drucianą moskitierę na ciągnący się niemal do nieskończoności bezmiar wód jeziora, przypominającego płachtę wyblakłego jedwabiu.

W oddali słońce oświetlało śnieg, okrywający szczyty gór - zapowiedź, że wkrótce cała ziemia będzie leżała bez życia, pochowana pod jego białym całunem. Alaska zaśpiewa znów swoją nostalgiczną pieśń ciszy. Ludzie i zwierzęta będą czekać na słońce, przytłoczeni ciężarem spokoju i ciemności.

- Nie miałam pojęcia, że ten kraj jest tak nieopisanie piękny - odezwała się Casey, niechętnie odsuwając się na bok, kiedy Kit zasłaniała zasłony.

- Nie ma na ziemi drugiego takiego miejsca jak to - odparła Kit. - Surowe zimy strzegą jego nie skażonego niczym piękna. Właśnie dlatego

większa część skażonego ludzkiego gatunku trzyma się od tego miejsca z daleka.

Casey skinęła głową. Ona także uważała, że przeludnienie jest główną przyczyną śmiertelnej choroby planety.

- Jak bardzo jest tu zimno? - zapytała. Wiedziała, że mieszkańcy Alaski opuszczają na zimę swoje osady, by wrócić dopiero na wiosnę, kiedy się ociepli.

- Rekordową temperaturę minus osiemdziesiąt stopni Fahrenheita zanotowano nad Prospect Creek - powiedziała Kit. - Ale nie martw się, to było około dwudziestu lat temu. Wszystko, o czym musisz pamiętać, to tyle, żeby położyć się spać zaraz po kolacji i trochę się wyspać. Teraz jest tutaj jasno aż do północy. To daje złudne wrażenie, że wciąż jest wcześnie. A wtedy filiżanka kawy na przebudzenie o piątej rano jest czymś wysoce nieprzyjemnym.

O piątej rano - pomyślała Casey - i to mają być wakacje!

Uśmiechnęła się dzielnie do Kit. - To brzmi cudownie. Z pewnością będę o tym pamiętać. Dziękuję.

Hank przyglądał się uważnie obu kobietom, które wolnym krokiem zmierzały w kierunku głównego budynku. Kit, szczupła i silna, jak piękny, dziki pstrąg miała w sobie czystą świeżość młodych ludzi, którzy uprawiają surfing na załamujących się falach Kalifornijskiego Wybrzeża. Obiecywała też ciepło i cudowne rozleniwienie, które daje słońce na zachodzie... Jeszcze raz ogarnął go podziw dla pewności, z jaką wkroczyła w obcy jej męski świat.

Kiedy przeniósł wzrok z Kit na Casey, oczarował go sposób, w jaki jej piersi, otulone malinowym swetrem polo, kołysały się w rytm jej kroków. Tweedową marynarkę zostawiła w chatce i Hank po raz pierwszy ujrzał w całej okazałości jej wspaniałą figurę.

- Kieszonkowa Wenus - mruknął cicho do siebie.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby znaleźć się pomiędzy tymi nausznikami w zimową noc - zachichotał Leroy.

Hank ścisnął usta w cienką, prostą linię, żeby powstrzymać się od odpowiedzi. Ze zdumieniem przyłapał się na tym, że chciałby objąć Casey ramieniem i osłonić ją przed takimi ludźmi jak Leroy.

- No, proszę - zadrwił Earl. - To dama. Nie twoja klasa, bracie.

- Nie wygląda mi na Angielkę - zadumał się Leroy. - Te gęste, proste włosy i okrągła twarz... ona ma w sobie coś wschodniego. Może chińskiego lub rosyjskiego.

- Co ty powiesz? Jesteś Amerykaninem już w czwartym pokoleniu. Jednak twoi rodacy ciągle nienawidzą Anglików. Od lat wysadzają ich w powietrze.

- Cholera, nie bez powodu nienawidzimy tych... - odparował Leroy.

Hank nie słuchał tej wymiany zdań. Zdążył się już przyzwyczaić do uszczypliwości swoich klientów. Rozluźnił się, kiedy zauważył, że choć

obrzucają się obelgami, nie przestają darzyć się sympatią. Earl i Leroy łowili razem w Stanach i dobrze się rozumieli. Leroy był dumny ze swoich irlandzkich przodków. Nie stracił złośliwego irlandzkiego humoru, ale to, że był Amerykaninem, uczyniło go bardziej dobrodusznym. Rzucał się z pięściami tylko wtedy, gdy dyskusja dotyczyła polityki albo religii. Earl szybko się nauczył, by nie poruszać obu tych drażliwych tematów.

Zamieszkali w jednej chacie i był to dobry wybór. Obelgi spływały po potężnym cielsku Earla jak woda po kaczce, a jego grzmiący śmiech zagłuszał narzekania Leroya na niedźwiedzie, ryby i jedzenie.

- Casey - zawołał Hank, odsuwając krzesło. Wstał i ruszył po żwirowej ścieżce w kierunku kobiet. - Czy jesteś zadowolona ze swojej chaty? Powiedz, jeśli czegoś potrzebujesz.

Kit była pewna, że teraz wymienią z Hankiem drwiące spojrzenia. Uświadomiła sobie jednak, że on naprawdę troszczy się o wygodę dziewczyny i zmieszała się.

Lepiej uważnie obserwuj tego małego tłuściocha - pomyślała. Nie dość, że usidliła lorda, to jeszcze próbuje zrobić to samo z twoim mężczyzną. Wygięła usta w szerokim uśmiechu, wyprzedziła Hanka i Casey, i uroczyście wprowadziła mężczyzn do głównego budynku. Earl szedł pierwszy, wygładzając przód swej koszuli na samą myśl o obiedzie.

Usadzenie nowo przybyłych przy stole zajęło następne dziesięć minut, bo Dursley zatrzymywał się z uwagą przy każdej rybie-trofeum i przy wszystkich fotografiach wiszących na ścianie. Zderzyli się z Hankiem, kiedy obaj zerwali się z miejsc, żeby odsunąć krzesło dla Casey i pomóc jej usiąść.

- Przepraszam - powiedział Hank, ustępując Dursleyowi.

Dursley uśmiechnął się. Już wcześniej zauważył, jaki wpływ Casey ma na mężczyzn. Nawet w najtwardszych zdawała się budzić instynkt opiekuńczy. Uśmiechnęła się, żeby mu podziękować, a Dursley wiedział, że Hank jest kolejnym, który pragnie kochać i osłaniać tę kobietę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Słońce droczyło się z grupą wędkarzy. Zajrzało do wnętrza hydroplanu, obiecując ciepło i światło, a potem schowało się za szarpane wiatrem chmury, zapowiadając szary, ponury dzień.

Casey wetknęła ręce do kieszeni swej rybackiej kamizelki.

Miała na sobie specjalne wędkarskie rękawiczki i gołe opuszki palców posiniały jej z zimna. Nawet gdybym umiała przymocować nimfę* lub mysz**, nigdy nie uda mi się tego zrobić takimi zmarzniętymi palcami, jęknęła w duchu.

- Ale heca, co? - Dursley wyszeptał w jej stronę, próbując przebić się przez warkot silników. Zaparła się butami w siedzenie przed sobą, bo wiatr szarpnął skrzydłami samolotu, i skinęła głową. Właśnie wtedy Stewart ostro pochylił samolot w prawo. Żołądek podszedł jej do gardła. Przerażona perspektywą wymiotowania przy wszystkich, przełknęła gorzką ciecz, która wypełniła jej usta.

- Spójrz - powiedział Hank, obracając ją w stronę okna, przy którym siedziała. Zmusiła się, żeby spojrzeć w dół, bo Stewart właśnie wprowadził maszynę w ciasny korkociąg. Wydawało się, że samolot zatrzymał się, jednym skrzydłem celując w niebo, a drugim w ziemię. Miała wrażenie, że właśnie ją ukrzyżowano.

Stewart powoli okrążył grupę karibu, odpoczywających na środku wielkich połaci śniegu i lodu. Zwierzęta uniosły delikatnie rzeźbione rogi i spojrzały w górę, na kołujący nad nimi samolot. Poruszyły się niespokojnie, niektóre wstały, ale żadne z nich nie opuściło bezpiecznych, śnieżnych łach. Uciekły na wzgórza, do szaleństwa doprowadzone przez komary, gzy i muchy, które latem prześladowały je nieustannie, tnąc bez litości i wypijając krew. Nie opuszczą tego lodowatego schronienia, dopóki głód ich do tego nie zmusi.

* Nimfa - chodzi o rodzaj muszki wędkarskiej, która imituje żyjącą w środowisku wodnym larwę jętki, nazywaną nimfą.

** Mysz - muszka wędkarska naśladująca gryzonia.

Casey wpatrywała się w te piękne zwierzęta, dobrze widoczne na śnieżnej bieli. W czystym, przejrzystym świetle wyglądały jak istoty z dawno zapomnianego świata. Chciało jej się płakać.

- Sourdoughowie mówią - powiedział Stewart, zdejmując słuchawki i odwracając się w ich stronę - że ciężarne karibu co roku pokonują wielkie odległości tylko po to, by ukryć się w tundrze przed insektami.

- Nie jest to pozbawione sensu - powiedział Leroy, poklepując się po rybackiej kamizelce, żeby sprawdzić, czy tubka kremu przeciw owadom znajduje się na swoim miejscu.

- Jest to także bezpieczny teren - wtrącił Hank. - Nawet wilki tam nie dochodzą. Rozlewiska topniejącego śniegu, zamarznięta ziemia, rzeki pokryte lodem, wyjące wiatry. Tylko szalone karibu wybierają coś takiego na dom dla swoich małych.

- Wyglądają jak renifery czekające na Boże Narodzenie i swoje sanie - powiedziała cicho Casey, z nosem przyciśniętym do szyby. Na chwilę zapomniała o mdłościach.

Dursley odgarnął jej włosy za ucho, żeby spojrzeć jej w oczy. - Kompleks jelonka Bambi - zaczął jej dokuczać.

- Na pewno także pokocha te kosmate, milutkie, brązowe niedźwiedzie grizzly - powiedział Leroy. Skrzywił się z bólu, kiedy Earl walnął go w kolano.

Na widok udręczonych karibu Stewart rozrzewnił się na chwilę, ale zaraz wcisnął słuchawki na uszy i skupił się na pilotowaniu.

Kiedy samolot wyprostował się, żołądek Casey znowu podskoczył do gardła. Zlekceważyła mdłości i dalej wpatrywała się w tundrę, która rozciągała się pod samolotem jak płachta szarego aksamitu. Zdobiły ją podświetlone promieniami słońca białe i żółte porosty. Miejscami zaczęły się już pojawiać jaskrawoczerwone plamy - znaki zbliżającej się jesieni. Ziemia rozbłyśnie jeszcze raz, po raz ostatni zapłonie feerią barw, zanim wybieli ją straszliwy bezruch zimy.

Kiedy samolot obniżył lot, obszar żywej zieleni zniknął w dolinie. Zakola i zakręty znaczyły miejsce, w których spływały z gór spienione wody rzeki. Hank i Kit siedzieli wyprostowani na swych fotelach i w skupieniu przyglądali się mętnej wodzie, jakby już stąd mogli zobaczyć pstrągi.

- Wygląda dobrze - powiedział Hank.

- Nie ma niedźwiedzi - dodała Kit.

- Nie - powiedział Leroy - wszystkie te bestie leżą w swych cuchnących barłogach i czekają na nas.

Earl rzucił okiem na Caseya i znów uderzył Leroya w kolano.

- Dzięki, bracie - powiedział Leroy. - Teraz, gdy zrobiłeś ze mnie kalekę, mogę wracać ze Stewartem do domu i niech diabli wezmą niedźwiedzie.

Earl zaczął chichotać, wyobrażając sobie Leroya wyjaśniającego Ste-

wartowi, dlaczego chce wracać do ośrodka. Jego wadery trzeszczały w szwach na trzęsącym się brzuchu, a po policzkach płynęły łzy. Leroy przestał rozcierać kolana i spojrzał na Earla. Nagle walnął go w plecy, po czym obaj dławili się i pluli ze śmiechu za każdym razem, gdy spojrzeli na siebie. Pozostali przyglądali się im w osłupieniu.

Stewart nic nie słyszał, więc pozostał nieświadomy rozgrywającej się właśnie komedii. Dursley miał cichą nadzieję, że ci dwaj swoim infantylnym zachowaniem nie zepsują mu całego dnia wędkowania.

Samolot zanurkował i Casey kurczowo ścisnęła rękę Dursleya.

Miała nadzieję, że Stewart nie wyląduje na wąskiej i otoczonej skalami rzece. Nie chciała jednak być pierwszą, która głośno wypowie swoje obawy.

Nagle Stewart uniósł samolot ponad pasmo wzgórz i tuż przed nimi, jak kałuże roztopionego ołowiu, ukazały się trzy małe jeziorka. Pilot okrążył największe z nich. Dursley właśnie miał zaprotestować, kiedy samolot opadł na jeden pływak i ścinając warstwę wody, zatrzymał się tuż przy błotnistym brzegu.

- Nie obawiajcie się - powiedziała Kit, widząc ich zdenerwowanie. - Stewart nigdy nie stracił samolotu, ani gościa.

Casey otworzyła oczy. Hank odpiął pasy bezpieczeństwa i skierował się do wyjścia. Gdy otworzył drzwi, wiatr wdarł się do samolotu. Ostrożnie stanął na pływaku, a następnie zszedł do jeziora. Kiedy woda sięgnęła mu aż do ud, Casey uświadomiła sobie, że ją czeka to samo.

Kit dołączyła do Hanka i razem przekręcili ogon samolotu w kierunku brzegu. Pochyliła się, bo wiatr zakołysał nim tuż nad jej głową.

- Pewnego dnia to świństwo utnie mi łeb - mruknęła. Pociągnęła za dyndającą linę odciągową - samolot zatrzymał się zachowując równowagę. Tymczasem Hank wdrapał się z powrotem na pływak i wypakował sprzęt rybacki z ładowni. Zarzucił ciężki nylonowy plecak na ramię, zeskoczył na płyciznę i brnąc przez fale ruszył w kierunku brzegu.

- Wszyscy na brzeg - rozkazał Stewart. Spieszył się, chciał jak najszybciej odlecieć.

Musiał lecieć do King Salmon, żeby wyładować odpadki, które zabrał z obozowiska. Odkrył kiedyś, że to najskuteczniejszy fortel, zniechęcający niedźwiedzie do plądrowania chatek. Angela prosiła go również, by kupił jeszcze trochę czekolady; nieposkromiony apetyt Earla wymagał wciąż nowych dostaw.

- Usiądź na pływaku, a potem zjedź do wody - powiedział Hank do Casey. - Tak jest łatwiej. - Casey zawisła na metalowych stopniach i wcale nie miała ochoty balansować na kołyszącym się pływaku.

- Hej - wykrzyknął do Kit - trzymaj to - i cisnął plecak w jej stronę. Wygięła się pod jego ciężarem, lecz zanim zdążyła zaprotestować, Hank wetknął jej całą garść wędek i zaczął się z powrotem przedzierać w kierunku samolotu.

- Odwróć się i złap mnie za szyję - powiedział do Casey. - Pomogę ci wejść do wody.

Kit poczuła złość, gdy patrzyła na Hanka pomagającego Casey wdrapać się na brzeg.

- Ostrożnie! - krzyknęła, zwracając nagle uwagę wszystkich na Earla, który wyglądał tak, jakby właśnie przygotowywał się do zanurkowania w jeziorze. Jej ostrzeżenie przyszło za późno. Earl zwalił się do wody z gracją niedźwiedzia grizzly rzucającego się na łososia.

Woda trysnęła do góry, oblewając Leroya, który posłuszny zaleceniom Hanka, siedział na pływaku i właśnie spuszczał się do jeziora.

- Ty kretyńska jankeska ofermo - ryknął Leroy. Podniósł z wody swoją wełnianą czapeczkę i zaczął ją wykręcać. - Oddaj mi swoją. Do diabła, nie mam zamiaru zamarznąć tylko dlatego, że jesteś takim idiotą.

- Mam zapasową - próbowała załagodzić Kit. - Ale lepiej zejdź z tego pływaka. Bo inaczej polecisz do King Salmon, wystawiony na wszystkie wiatry.

Stewart potrząsnął głową i szybko wdrapał się do hydroplanu, który Hank wypchnął na jezioro. Wędkarze obserwowali samolot, dopóki nie zniknął na zadymionym niebie, po czym odwrócili się i ruszyli za Hankiem i Kit.

Niezmierna pustka falistego terenu i głęboka cisza kazały im zamilknąć. Nawet Leroy przestał obrzucać Earla inwektywami i podniecony zaglądał mu przez ramię, bo teraz on zamykał pochód.

Kiedy zbliżyli się do rzeki i roślinność przerzedziła się, a sękate gałęzie krzewów wierzb i czarnego bzu zaczęły szarpać ich wadery, Kit przesunęła się do tyłu i zajęła miejsce za Leroyem.

Nigdy nie myślałem, że będę wdzięczny, że kobieta pilnuje mojej dupy - pomyślał Leroy. Jego kroki stały się teraz lżejsze i wskazywały na więcej pewności siebie. Przyspieszył, by dogonić Earla.

Kiedy grupa wędkarzy wyłoniła się z ciemnych nadrzecznych zarośli, zasłony pierzastych chmur rozsunęły się. Promienie słońca oprószyły przelewające się wody złotym pyłem. W dole, w kryształowych głębinach, łososie-nerki broniły swoich gniazd.

Połyskiwały szlachetnym blaskiem, niczym szkarłatne rubiny.

Pstrągi, ciemne jak cień, przebiegłe jak złodzieje, przemykały wśród nich. Połykały wypływającą z gniazd różową, kulistą ikrę. Wiele pstrągów było dotkliwie poranionych, z jednym okiem, co było niezbitym dowodem okrucieństwa atakujących je nerek.

- Zrzucimy tutaj plecak i cały ten niepotrzebny sprzęt - powiedział Hank, wskazując na pokryty rzecznymi okrąglakami cypel, wrzynający się w wodę.

- Czy jest w nim nasz lunch? - zapytał Earl, pełen obaw, że potem nie będą mogli znaleźć tego cypla.

- Tak - szeroko uśmiechnął się Hank. - Zwykle nie nosimy jedzenia ze

sobą z powodu niedźwiedzi grizzly - wyjaśnił Dursleyowi i Casey. - One mają czujniki radarowe zamiast nosów. Ale tutaj się ich nie spotyka. Będziemy łowić na tym odcinku, gdzie rzeka tworzy pętlę i zawraca - w ten sposób przypilnujemy jedzenia.

- Żadnych niedźwiedzi? To dobrze - ucieszył się Leroy. - Teraz dobierzmy się do tych ryb i rozerwijmy im pyski na dobre.

- Tutaj się przygotujcie - powiedziała Kit - i schowajcie do kamizelek wszystko, co będzie wam potrzebne.

Wkrótce nie było słychać nic poza pytaniami dotyczącymi wędzisk klasy szóstej lub ósmej*, dziesięciu lub dwudziestu stóp szybkiej linki tonącej i dwu- lub sześciofuntowej linki prowadzącej**.

Casey znalazła gładki, wypolerowany głaz. Usiadła na nim cichutko, obserwując rzekę. Żałowała, że nie jest w Londynie.

- Chodź, Bąbelku - zawołał Dursley, z wędką pod pachą, gotowy do wymarszu. - Co się stało? Nie wybrałaś jeszcze linki? Hank proponował, żebyśmy użyli...

Casey nie chciała tego słuchać. By sprawić przyjemność Dursleyowi, powiedziała mu kiedyś, że już łowiła ryby. Teraz nadszedł ten okropny czas, gdy będzie musiała się przyznać, że jest kompletnym nowicjuszem.

- Ja mam wędkę Casey - usłyszała głos Hanka. Utkwiła w nim zdumione spojrzenie, a on mrugnął do niej porozumiewawczo. - Zmieniłem linkę prowadzącą. Była trochę za długa, jak na te warunki. - Chodź, Casey, zaprowadzę cię w świetne miejsce, a potem poszukam czegoś dla was - kobiety mają pierwszeństwo...

Wszyscy się roześmiali, choć w oczach Kit nie widać było rozbawienia.

- Kit, zabierz mężczyzn do Sore Leg Bend, a ja dołączę tam za chwilę.

Kit ruszyła przez zarośla, a trzej mężczyźni trzymali się z tyłu, tuż za nią. Została z nimi, obserwując kilka ich pierwszych rzutów. Dursley rzucał pięknymi, ciasnymi pętlami. Kit skłoniła głowę z szacunku dla jego sztuki i poszła dalej, zatrzymując się przy Earlu.

- Earl - powiedziała - rzucanie się całym ciężarem do przodu nie sprawi, że linka wyleci. Używaj ramienia i pozwól lince zaśpiewać, bo właśnie do tego jest przeznaczona.

- W całych Stanach łowiłem ryby w ten sposób - odparł Earl ze śmiechem.

- W porządku - odpowiedziała, idąc dalej w dół strumienia, gdzie Leroy wyplątywał właśnie swoją linkę z kępy kłosów nasiennych traw.

- Przed upływem dwóch tygodni obaj będziecie rzucać prawidłowo - przyrzekła solennie, spiesząc na pomoc Leroyowi, by zdążyć, zanim ten w złości przetnie linkę.

* Wędzisko klasy szóstej - wędziska muchowe są klasyfikowane ze względu na ciężar; wyższy numer oznacza większy ciężar.

** Linka prowadząca - końcowy odcinek linki, nawiniętej na kołowrotek, do którego przymocowuje się krótkie żyłki służące do przywiązania haczyków do muszki; inaczej nić prowadząca.

- Stój, niedźwiedziu. - Głos Hanka zabrzmiał czysto ponad wodą i Leroy zamarł. Przecież tu nie miało być żadnych niedźwiedzi... - Stój, niedźwiedziu. Niedźwiedziu, stój. Stój, no. - Głos Hanka brzmiał coraz donośniej i coraz bardziej apodyktycznie.

- Nawijajcie - krzyknęła Kit - i za mną.

Trzej mężczyźni posłuchali jej natychmiast. Leroy zgubił swoją linkę prowadzącą i przynętę w kształcie ikry, bo scyzoryk przedziurawił mu nylonową kieszeń. Earl nie potrzebował ponaglania — natychmiast uwolnił rybę, którą miał na wędce i dołączył do Kit.

- Podczas marszu wołajcie: „Stój, niedźwiedziu", na wypadek, gdyby niedźwiedź usłyszał Hanka i zawrócił w krzaki - rozkazała Kit.

Leroy przepychał się przez zarośla, nie zważając na ostre gałęzie. Chciał przedrzeć się przez gęstwinę do rzeki, gdzie przynajmniej mógłby zobaczyć nadchodzącego grizzly. Dursley szedł szybko, uważając, by sękate krzewy nie podarły mu waderów. Nie miał ochoty na lodowaty prysznic. Earl co krok grzmiącym głosem wykrzykiwał hasło - ostrzeżenie dla niedźwiedzia. Nie chciał, by zaskoczyło go jakieś stworzenie, przy którym wyglądał jak karzeł.

Kiedy znaleźli się przy kamienistym cyplu, Kit zwolniła. Ich plecak leżał na kamieniach i jeśli cokolwiek mogłoby przyciągnąć niedźwiedzia, to zapach jedzenia.

- Odwróćcie się - szepnęła. - Myślę, że niedźwiedź przyjdzie po nasz lunch. Cofnijmy się do Hanka i Casey. Earl musiał podnieść Leroya, by przekonać go do powrotu w gęstwinę. Promienie słońca wśliznęły się w zarośla i wilgotna ziemia parowała. Wkrótce pot pokrył ich ciała i wsiąknął w wodoodporne wadery. Za chwilę wszyscy drapali się po twarzach i ramionach, przeklinając atakujące ich owady. W końcu zobaczyli Hanka, stojącego na brzegu i wpatrującego się w pokryty otoczkami kawałek suchego lądu. Casey stała za nim, z pobladłą twarzą, i wzrokiem utkwionym w niedźwiedzia, który zdecydowanym, majestatycznym krokiem zmierzał w stronę niebieskiego plecaka. Kiedy podszedł bliżej, wydawało się, że przesłania całe niebo.

Casey zadrżała.

- Masz karabin? - szepnęła do Hanka.

- Nie. To jest rezerwat. Niedźwiedzie są pod ochroną, nie wolno mieć przy sobie żadnej broni palnej. - Uśmiechnął się, by dodać jej otuchy, bo Kit i trzej mężczyźni szybkim krokiem nadchodzili w ich stronę brzegiem rzeki. - One są tu najważniejsze i z całą pewnością nadużywają swoich przywilejów - zażartował.

- Wygląda tak, jakby miał na sobie stare futro mojej babci - powiedział Earl, gdy pojął, co Hank próbuje zrobić.

- Zatem była pewnie taka wielka, jak ty - zachichotał Leroy, próbując ukryć drżenie głosu.

Kit podeszła do Hanka. Cała grupa z niepokojem przyglądała się ich

cichej naradzie. Niedźwiedź wyczuł kuszące zapachy szynki, sałatki i orzechowego ciasta. Otrząsnął się na myśl o uczcie, a Casey z zapartym tchem patrzyła, jak jego posiwiała sierść faluje po ogromnym cielsku. Przykucnął przy nylonowym plecaku, rzucił przelotne spojrzenie na ludzi stojących po drugiej stronie rzeki i przystąpił do rozdzierania specjalnie wzmocnionego nylonu. Robił to z taką łatwością, jakby odrywał kawałek papieru toaletowego.

- Spójrzcie na to - półgłosem powiedział Dursley, przytulając do siebie Casey. - Nie mogłem przeciąć tego nylonu scyzorykiem.

Niedźwiedź rozrzucił kawałki plecaka po kamieniach i rozdarł plastikowe pojemniki z szynką i sałatką.

- On połyka plastik razem z jedzeniem - powiedziała Casey, patrząc w osłupieniu na niedźwiedzia, który skończył pożerać żywność, i zabrał się za plastikowe pojemniki z ketchupem i musztardą.

- Mam nadzieję, że będzie miał najgorszą niestrawność z możliwych - powiedział Earl, obserwując, jak niedźwiedź odrzuca puste pudełka.

- Nie będzie - odezwała się Kit, podchodząc do grupy. - Te niedźwiedzie są gorsze niż kozy. Zamiast żołądków mają chyba piece do spalania nieczystości. Pożerają po prostu wszystko.

- Na przykład mój lunch - powiedział Earl. Pozostali roześmieli się nerwowo.

- Był kiedyś jeden taki w naszym obozie - powiedziała Kit. - Włamał się do magazynu, wypił farbę, benzynę i benzynę lotniczą. Zakończył swój posiłek plastikowymi workami na śmieci. Kilka dni później widzieliśmy go w tundrze, a spod ogona wystawał mu kawałek czarnego worka.

- Benzyna lotnicza to trucizna... Zabija większość żywych stworzeń - rozmyślał głośno Dursley.

Hank zbliżył się do Kit i starannie ustawił wędki w zagłębieniu wierzby.

- Kit i ja przejdziemy na drugi brzeg - oznajmił. - Spróbujemy odpędzić niedźwiedzia.

- Już prawie wszystko zjadł. Możemy go przecież tutaj zostawić. Naje się i pójdzie - odezwał się Leroy.

- To nie jest takie pewne. Właśnie dlatego, kiedy zbliża się niedźwiedź, zrywa się linkę. Nie należy mu nigdy pozwolić, by odebrał jedzenie - wyjaśnił cierpliwie Hank. - Wtedy będzie wiedział, że jest silniejszy.

- Czy chcesz powiedzieć, że te stworzenia nie wiedzą, jaka jest tutaj kolejność dziobania? - spytał Dursley, zmartwiony wyglądem Casey. Była blada i przerażona.

Hank uśmiechnął się do niego wymuszonym uśmiechem.

- Kiedy raz skojarzą człowieka z jedzeniem, zaczną terroryzować wszystkich wędkarzy w rezerwacie, domagając się żywności.

- A my już wiemy, do czego one są zdolne — powiedział Leroy, gotów szczegółowo opisać zdarzenie przy wodospadzie.

Earl kaszlnął ostrzegawczo. Leroy uchwycił jego spojrzenie i instynktownie złapał się za kolano.

- Zostańcie tutaj. Wszyscy. Nie ruszajcie się. Nie próbujcie przychodzić nam z pomocą, a - przede wszystkim - nie biegajcie - ostrzegł Hank, schodząc do rzeki i wyciągając rękę do Kit.

Trzej mężczyźni instynktownie zbliżyli się do Casey. Earl musiał uszczypnąć Leroya w szyję, żeby go od niej odciągnąć i skłonić do uformowania ochronnego kręgu.

- Stój, niedźwiedziu! - krzyczeli Kit i Hank, kiedy brnęli przez rzekę w kierunku kamienistego cypla.

Niedźwiedź podniósł wzrok, a potem zupełnie ich zlekceważył, zajęty skręcaniem aluminiowego stelaża plecaka w chińską układankę. Usiłował wydobyć jeszcze trochę jedzenia.

- Stój, ty przeklęty niedźwiedziu! - ryknął Earl, bo niedźwiedź właśnie wyciągał z plecaka jego kurtkę.

Grizzly zakręcił nią nad głową jak flagą, próbując uwolnić pazury z kędzierzawego, zbitego w kłaki materiału.

- Dopiero co zapłaciłem za to trzysta dolców. Zostaw ją w spokoju!

W tej samej chwili pazury niedźwiedzia rozdarły materiał, i kurtka wylądowała w rzece, po czym spłynęła z prądem.

- Cholera, niedźwiedziu, zapłacisz mi za to — odgrażał się rozwścieczony Earl.

Niedźwiedź ryknął w odpowiedzi. Hank i Kit byli za blisko. Niedźwiedź gotów był bronić swojego jedzenia, którego resztki zostały w strzępach plecaka.

Na polecenie Hanka Kit zatrzymała się, a on przesunął się bliżej pokrytego żwirem cypla, ciągle wołając i przemawiając do niedźwiedzia. Miał nadzieję, że kiedy ten rozpozna ludzki głos - odejdzie i ruszy w górę rzeki łowić ryby. Dobrze wiedział, że niedźwiedzie w Katmai coraz bardziej spoufalały się z ludźmi - nie bały się i były agresywne. To mogło oznaczać niebezpieczne konfrontacje w przyszłości.

Niedźwiedź, jeszcze za młody, by wyzwać na pojedynek dominującego samca, ale wystarczająco dojrzały, by odpędzać od rzeki samice z młodymi, ryknął jeszcze raz i stanął na tylnych łapach.

- O, nie - powiedziała Casey i ukryła twarz w ramionach Dursleya.

- Spójrzcie, rośnie w oczach - dodał przejęty grozą Earl, bo niedźwiedź wyprostował się do pełnej wysokości. - Jest pewnie niemal dwa razy wyższy ode mnie, a ja mam prawie sześć stóp wzrostu.

- To tak, jakbym patrzył na Empire State Building - powiedział Leroy, powoli przesuwając się do tyłu, byle jak najdalej od tej bestii.

Hank szedł tyłem, bardzo powoli, a Kit modliła się, żeby nie wpadł na głaz, co mogłoby wystraszyć niedźwiedzia i skłonić do ataku. Kiedy zbliżył się do niej, Kit wyciągnęła rękę i razem wycofali się, dołączając do pozostałych.

- Dlaczego on ciągle stoi? - spytała Casey.

- Ma nadzieję, że nas przestraszy - odparła krótko Kit.

- No, cóż, z całą pewnością mu się to udało. Niech ktoś mu powie, że może już opaść na cztery łapy - powiedział Leroy, nerwowo poprawiając czapkę Kit, którą miał na głowie.

Niedźwiedź obserwował jak odchodzą - zadowolony ze zwycięstwa, z powrotem opadł na cztery łapy. Obwąchał strzępy niebieskiego nylonu, zwisające girlandami na kamieniach, a potem, rzucając ostatnie spojrzenie na intruzów, ryknął i, jak ustępujący nocy dzień, zniknął w zaroślach.

- Damy mu pół godziny, a potem pójdziemy tam i sprzątniemy ten bałagan - powiedział Hank.

- Co? - wykrzyknął piskliwie Leroy. - Mamy iść na drugą stronę rzeki?

- Katmai jest rezerwatem. Musimy rozpalić ognisko i spalić te kawałki plastiku i papieru - wyjaśnił Hank.

- A potem będziemy łowić ryby - dodała z uśmiechem Kit, by zmniejszyć napięcie. - W końcu po to tu przecież jesteśmy.

- Tak, gadaj zdrów - powiedział Leroy. - Sądzę, że jedynym sposobem złowienia choćby jednego pstrąga jest wynajęcie helikoptera i zarzucenie wędki z góry. Wtedy niedźwiedzie mogłyby mieć cały ten teren do dyspozycji.

- Przyzwyczaisz się do nich - próbowała załagodzić Kit. - Pod koniec tygodnia nie będą cię już martwić. Nawet nie będziesz ich zauważał.

Casey zadrżała w ramionach Dursleya. Nie mogła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek przyzwyczai się do niedźwiedzi.

W końcu przeszli jednak na drugą stronę rzeki. W miejscach, gdzie woda sięgała Kit i mężczyznom po pas, Casey dochodziła do pach. Przeciekała do jej waderów i spływała w dół, do butów, więc kiedy dotarli do pokrytej otoczakami plaży, Kit przekonała Casey, żeby się rozebrała. Wywrócone na lewą stronę wadery schły na słońcu. Casey tymczasem przysiadła na drewnianej kłodzie.

Dziękowała w myślach sir Bobowi Franshawowi, że polecił jej ocieplaną bieliznę, zrobioną z nowej tkaniny, która wciągała pot ze skóry, tak że ciało pozostawało suche.

Earl niemal siłą odciągnął Leroya na koniec kamienistego cypla. Chciał oszczędzić Casey zażenowania z powodu głodnych spojrzeń, jakie Leroy rzucał na jej nogi, ubrane wyłącznie w grube, niebieskie getry.

Małe ognisko, w którym dopalały się kawałki plastiku, buchało jasnym ogniem. Wadery Casey już prawie wyschły, a ona rozmyślała o wrażeniu, jakie „historia z niedźwiedziem" wywoła wśród przyjaciół w Londynie. W tym momencie Kit odwróciła się nagle od ogniska i ostro krzyknęła:

- Zakładaj wadery, szybko!

Podniosła wzrok, gotowa protestować, bo przecież buty były jeszcze

w środku wilgotne, kiedy na odległym końcu cypla pojawił się ciemny kształt. Wpatrywała się w niego przez chwilę, aż dojrzała głowę i nogi. Grizzly wrócił.

- Pewnie nas zobaczył i myśli, że mamy coś jeszcze do jedzenia - stwierdził Hank, pomagając Dursleyowi zapiąć wadery Casey.

- Przejdźcie przez rzekę i zatrzymajcie się w tym samym miejscu, w którym byliśmy wcześniej - krzyknął do Earla i Leroya, którzy ciągle stali tyłem do ogniska i do Casey. - Idźcie powoli i ostrożnie. Niedźwiedź wrócił.

W ciągu kilku minut obaj mężczyźni znaleźli się na przeciwległym brzegu.

Niedźwiedź przyspieszył kroku. Hank nogą stłumił ogień, podniósł to, co zostało z aluminiowego stelaża i wprowadził Dursleya i Casey do rzeki.

- Wspaniałe całodzienne łowienie ryb - powiedziała cicho Kit. - Świetna reklama dla ośrodka.

Ruszyła w stronę rzeki. Hank szedł za nią i przyglądał się jej ze zdumieniem. Ona się nie boi - pomyślał z zazdrością.

Poczuł nagły przypływ adrenaliny. Wiedział, że przez najbliższe cztery godziny odpowiada za bezpieczeństwo grupy. Od tego wszystkiego zrobiło mu się niedobrze. Długo tarł bliznę pod okiem, aż skóra wokół niej zaczerwieniła się i stała się bolesna.

Obawiał się dorastających niedźwiedzi. Jak nastolatki były pewne siebie, nie czuły lęku i zachowywały się irracjonalnie. Żałował, że nie potrafi, tak jak Kit, rozpoznawać niebezpieczeństw grożących ze strony dzikich zwierząt i jednocześnie się ich nie bać. Tu, poza granicami stałych osad ludzkich, byłaby to cenna umiejętność.

Dursley pochylił się i pomógł im wyjść na śliski brzeg.

- Co on zrobi, gdy odkryje, że nie ma już więcej jedzenia? - spytał cicho, by inni nie usłyszeli.

- Albo odejdzie i pójdzie łowić ryby, albo ruszy za nami.

Dursley poważnie skinął głową. Przed tą wyprawą dużo czytał o Alasce. Jedna z książek, w której szczegółowo opisano ataki niedźwiedzi na ludzi, przypomniała mu się teraz ze straszliwą wyrazistością.

- Pójdziemy w górę rzeki, krótszą drogą - powiedział Hank, kiedy wraz z Kit i Dursleyem dołączyli do Leroya i Earla. - Ale musimy cały czas uważać na niedźwiedzia - ciągnął dalej, uprzedzając sprzeciw Leroya.

Niedźwiedź obwąchał piasek pokrywający wygasłe ognisko i przesunął nosem wzdłuż kłody, na której siedziała Casey.

- Popatrz, Casey, on cię kocha - powiedział Earl.

Aby sprawić Earlowi przyjemność, Casey uśmiechnęła się, ale jej uśmiech był blady i wymuszony. Zadygotała. Uważnie przyjrzała się szwom na wędkarskiej kamizelce Dursleya. Zmuszała się do przypominania sobie, jak świetnie się bawili, kiedy kupowali tę kamizelkę. Zastanawiali się czy

Dursley zdąży napompować kamizelkę, jeśli w jednej z tych rwących rzek straci grunt pod nogami i porwie go prąd. Bezpieczeństwo londyńskiego domu wydawało się teraz tak bardzo odległe.

Hank wyjął polaroidowe okulary i wyczyścił je. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył niedźwiedzia, który, unosząc głowę do góry, wietrzył ich zapach i wchodził do rzeki.

- I oto nadchodzi - piskliwie krzyknął Leroy.

- Czytałem, że trzeba się wspiąć na drzewo wyżej niż czterdzieści stóp. W przeciwieństwie do powszechnie panującego przekonania, niedźwiedzie potrafią się wspinać na wysokość od dwudziestu do trzydziestu stóp - oświadczył Earl. - Problem tylko w tym, że tutaj nie widzę niczego wyższego niż trzy do czterech stóp - dodał z niepewnym uśmiechem, przyglądając się karłowatym wierzbom i czarnym bzom.

Po raz pierwszy Dursley popatrzył na Earla z czymś w rodzaju szacunku. Dotychczas lekceważył go - typowy „tłuścioch-żartowniś". Ale teraz jego opanowanie było naprawdę godne podziwu.

Niedźwiedź brnął przez rzekę, jakby szedł po suchym lądzie.

- Ruszamy - powiedział Hank.

Ruszyli pospiesznie jedną z pradawnych niedźwiedzich ścieżek, biegnących wzdłuż rzeki. Oglądając się za siebie, Hank zobaczył, że niedźwiedź wdrapał się na brzeg, pomagając sobie wielkimi, zakrzywionymi pazurami. Otrząsnął się, chwycił trop i skręcił na tę samą ścieżkę.

- Kit - krzyknął Hank. - Przejdźcie przez rzekę na drugą stronę. On jest za nami.

Kit nawet się nie odwróciła. Natychmiast otoczyła Casey ramieniem.

- Razem ześliznęły się do wody i wyruszyły w stronę przeciwległego brzegu. Kit podtrzymywała Casey z taką łatwością, jakby prowadziła dziecko; zadaniem Hanka było wyprowadzenie mężczyzn.

- W krzaki - zarządził, kiedy dołączyli do dziewcząt. - Siadajcie i bądźcie cicho.

Wszyscy przykucnęli. Zarośla zamknęły się nad nimi, a insekty rzuciły się na nieoczekiwaną zdobycz.

Casey siedziała z głową na kolanach, modląc się, żeby niedźwiedź ich nie znalazł. Gęstwina przytłumiła szum przewalającej się i rozpryskującej na skałach wody. Cisza była przytłaczająca - Casey słyszała tylko swój nierówny oddech. Wzdrygnęła się, kiedy poczuła czyjąś rękę na karku. Z wdzięcznością dotknęła ciepłej dłoni Dursleya. Natychmiast jej oddech stał się wolniejszy. Uspokoiła się trochę i palce przestały jej dygotać. Powoli jej twarz odzyskiwała naturalną barwę.

Obserwując ich, Hank na chwilę zapomniał o niedźwiedziu. Pomyślał o Traperze Jacku. Jego słowa brzmiały mu w głowie tak wyraźnie, jakby słyszał je w tej chwili.

- Czy to kobieta, czy zwierzę, jeśli się boją, potrzebują ciepłego dotyku męskiej dłoni. Nie sam lęk jest zły, ale samotność w lęku. Nikt nie powinien

stawiać czoła lękowi w samotności. Ten, który odwraca się obojętnie, niech będzie przeklęty. Pamiętaj o tym - mówił Traper Jack.

Hank otrząsnął się ze wspomnień i podpełzł do skraju gęstwiny. Wyjrzał na zewnątrz.

- Ciągle jest na ścieżce, węszy. Na szczęście wiatr ma dobry kierunek. Wieje w górę rzeki, więc niedźwiedź nie może wyczuć naszego zapachu. A ze swoim wzrokiem szybciej się na nas przewróci, niż zauważy - powiedział, kucając na piętach.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Uśmiechnęli się, gdy usłyszeli głośne burczenie w imponującym brzuchu Earla.

- Ciii - powiedział Leroy - to przywoła niedźwiedzia. Jemu też burczy w brzuchu. Chciałby nas zjeść - dodał i szybko skrzyżował ręce nad kolanami, by je ochronić przed ciężką ręką Earla.

- Gdyby zjadł ciebie, to chyba by się najadł - odparował Earl.

Nagle Hank zesztywniał, a Kit podczołgała się do niego. Wyjrzeli z krzaków.

- Zmienił kierunek, ten drań - powiedział Hank. - Jeśli dalej będzie szedł tym szlakiem, to nas wywęszy.

Zgodnie z przepowiednią Hanka, niedźwiedź zatrzymał się. Wysoko podniósł nos i chwytał wiatr w nozdrza. Kiedy ich poczuł, zaczął biec kłusem w stronę rzeki, ciężko stawiając łapy.

- Znalazł nas - oznajmił Hank.

- Co powinniśmy teraz robić? - zapytał Dursley, głaszcząc palce Casey.

- No właśnie, co? - jak echo powtórzył Earl. - Lepiej od nas biegają, lepiej pływają i lepiej się wspinają. Więc jeśli nikt z obecnych tutaj nie umie latać - wiemy już wszystko.

- Wcale nie - powiedzieli jednocześnie Hank i Kit.

- Będziemy iść przed nim, przechodząc z jednego brzegu rzeki na drugi. W ten sposób dotrzemy do jeziora - zdecydował Hank.

- Już niedługo będzie tu Stewart - pocieszyła ich Kit.

- Ruszamy.

Byli właśnie na środku rzeki, gdy niskie, jednostajne buczenie wypełniło powietrze.

- Stewart! - wrzasnął Leroy. Po chwili krzyczeli już wszyscy.

- Nie - powiedział Hank, uważnie przyglądając się hydroplanowi. To pewnie Lucky Lodge nas sprawdza. Węszą, czy odkryliśmy jakieś nowe miejsca połowów.

- To możliwe? - zapytał Dursley, nieco zaszokowany tak sprzecznym z etyką zawodową zachowaniem.

- Bez przerwy to robią - odparł Hank.

- To bandycki interes - wyjaśniła Kit, kiedy szli, potykając się na mokrych skałach. - Wszyscy właściciele ośrodków udają, że są gotowymi do współpracy przyjaciółmi, ale sukces mierzy się wielkością i liczbą

złowionych w ciągu dnia ryb, więc ośrodki podkradają sobie nawzajem przynęty, przewodników i klientów. A także... - przerwała, bo zobaczyła, że niedźwiedź wdrapuje się na brzeg, z którego właśnie zeszli i znika w zaroślach, które jeszcze przed chwilą były ich kryjówką.

- Czy wszystkie dzikie zwierzęta zachowują się podobnie? - Dursley zwrócił się do Hanka, pozostawiając Kit zadanie prowadzenia Casey przez wysokie, splątane trawy i karłowate krzewy czarnego bzu.

- Co masz na myśli?

- Jedyne dzikie zwierzęta, jakie obserwowałem z bliska to zwierzęta afrykańskie. Jeździłem z ojcem na safari.

Hank milczał. Dursley upewnił się, że dziewczęta nie mogą ich słyszeć i ciągnął dalej.

- Widziałem, że kiedy zwierzę zamierza zaatakować, krąży coraz bliżej swej ofiary, zanim zdecyduje się na ostateczne uderzenie.

Hank skinął głową. Wiedział, co Dursley chce powiedzieć.

- Ten niedźwiedź - ciągnął Dursley poważnym głosem - wciąż zmniejsza dzielącą nas odległość. Był daleko za nami, mając nas tylko w zasięgu wzroku. Teraz prawie czujemy jego zapach.

Hank zwlekał z odpowiedzią. Spojrzał jeszcze raz w kierunku rzeki. Z ulgą stwierdził, że niedźwiedź nie wyłonił się jeszcze z krzaków. Ciągle węszył w zaroślach i prawie na pewno poczuł tam feromony strachu, które po sobie zostawili.

Pewnie szuka następnych plecaków - pomyślał Hank. Wciąż się zastanawiał, co powiedzieć Dursleyowi. W końcu zdecydował, że gdyby zostali zaatakowani, to Dursley, choć wyglądał jak rozczochrany uczniak, byłby człowiekiem, na którym można polegać.

- Zbliża się - przyznał Hank - ale kilka czynników działa na naszą korzyść. Po pierwsze, jest nas sześcioro. Będzie się wahał, czy zaatakować całą grupę. Po drugie jest młody, możemy więc mieć nadzieję, że jest trochę niepewny siebie i swoich możliwości. Po trzecie, jest jesień - teraz niedźwiedzie myślą tylko o wepchnięciu w siebie tyle jedzenia, ile się tylko da, zanim ruszą do swoich zimowych barłogów. Ważniejsze niż konfrontacja z nami jest dla niego jedzenie. Mam nadzieję, że kiedy zbada naszą kryjówkę i nic nie znajdzie, przestanie się nami interesować i spokojnie odejdzie.

- - Nie mamy chyba szczęścia - powiedział Dursley, słysząc głośne pluśnięcie w rzece.

- Na to wygląda - zgodził się Hank - zdaje się, że ten niedźwiedź zawziął się na ciasteczka Angeli.

Wydawało się, że rzeka rozstępuje się przed niedźwiedziem. Toczone przez nią głazy utworzyły brukowaną kamieniami ulicę, która ułatwiała napastnikowi wędrówkę.

- Porusza się teraz znacznie szybciej - zauważył Dursley. Strach ścisnął mu gardło.

Niedźwiedź wyraźnie się ich nie bał. Skoro na widok jego stójki na dwóch łapach porzucili jedzenie i uciekli, tym samym uznali jego dominację. Wciąż mu ustępowali, więc stał się jeszcze bardziej pewny siebie i przyspieszył kroku. Kiedy tak szedł za nimi, jego wielka głowa kołysała się na boki, a nos nieustannie szukał zapachu.

- Dogońmy pozostałych - powiedział Hank. - Jeszcze raz przejdziemy przez rzekę, a potem skierujemy się w stronę jeziora.

Rzucił okiem na zegarek. Miał nadzieję, że Stewart przyleci wcześniej. Jeśli nie, to mają jeszcze pół godziny zabawy w chowanego z niedźwiedziem, któremu ta zabawa wyraźnie się już sprzykrzyła.

Casey zacisnęła zęby i zjechała ze stromego brzegu. Jej buty ugrzęzły w ohydnej stercie gnijących łososi. Mdłosłodki zapach rozkładających się ryb sprawił, że poczuła żołądek w gardle. Woda zmętniała i śnięte ryby zawirowały w ciemnej cieczy. Casey wzdrygnęła się, gdy rybi śluz oblepił jej wadery i zwisał z nich jak obślizgłe sznurki.

- Obrzydliwe, prawda? - współczująco powiedziała Kit, kiedy Casey z chlupotem przedostała się do czystej wody. - Nie rozumiem, dlaczego natura pozwala tysiącom tych łososi, pięknych i srebrnych, przypływać tutaj z morza, a potem wdzierać się pod prąd do miejsc, gdzie składają ikrę, zmieniać barwę na czerwoną i brzydnąć, i nie przestawać pilnować gniazd, podczas gdy gnijące mięso powoli odpada od ich ciał.

Casey wzdrygnęła się, bo kilka łososi z wierzchu sterty spłynęło swobodnie na wodę i zawirowało wokół niej. Patrzyła w ich puste oczodoły, gdy bladoszare, różowe i białe barwy ich martwych ciał migotały w wyblakłym świetle słońca.

Jej ciało przebiegł dreszcz, kiedy jeden z trędowatych łososi na próżno zmagał się z prądem, usiłując wrócić do gniazda wykopanego w pokrytym żwirem dnie. Ale nie miał już siły, by opierać się wodzie. Kiedy staczał się w dół rzeki, by umrzeć, uderzył Casey w udo.

- Tej jednej rzeczy nigdy nie zapomnę - powiedziała Casey. - Tego odoru i tych umierających łososi.

Potknęła się w rowie między dwoma skałami i byłaby upadła, gdyby Kit nie pomogła jej utrzymać równowagi swoim żelaznym chwytem.

- Gdyby teraz widział mnie tata — powiedziała Casey - czując ulgę, że może mówić i przez chwilę nie myśleć o niedźwiedziu. - Zawsze przechwalał się córką, która na polowaniach jest lepsza niż naganiacze. Zanudza przyjaciół opowieściami o córce, która całymi dniami jeździ na nartach, a całymi nocami tańczy. Ciekawa jestem, czy teraz też byłby ze mnie taki dumny, gdyby widział, jak potykam się o skały i ledwie trzymam na nogach.

- Mnie też drżą nogi - skłamała Kit, czując nagły przypływ sympatii do Casey.

Jak na bogatego Angola, nie jest taka zła - pomyślała Kit. Ani razu się nie poskarżyła, a przecież ucieczka przed grizzly to nie zabawa. W każdym razie, upewniła samą siebie, z całą pewnością nie jest kobietą w typie Hanka. A ja nią jestem.

Wyciągnęła rękę do Casey.

- Proszę, trzymaj się - powiedziała. - Niech moje nogi przyjmą pierwsze uderzenie prądu. Płacą mi za to.

Casey podziękowała uśmiechem.

- Obie potrzebujecie mężczyzny, kogoś potężnego. Oto jestem - powiedział Earl. Brnąc przez wodę, z trudem posuwał się w kierunku dziewcząt, które były teraz na środku rzeki. Leroy stał na brzegu, nerwowo spoglądając w dół rzeki. Cała trójka, podtrzymując się nawzajem, potykając o skały ruszyła przez wodę, a nogi plątały im się jak słowa źle nauczonej piosenki.

- Earl - szepnęła Kit - jeśli pojawi się niedźwiedź, miej Leroya na oku. Nie pozwól mu uciekać, ani rzucać się do zarośli. To narazi nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

- Jasne - odparł Earl i pomógł Casey wydostać się na brzeg.

- Zdaje się, że nasz niedźwiedź się zgubił - powiedział Hank, kiedy z Dursleyem dołączyli do grupy.

- Nie kłamiesz? Może poluje na łososie? - spytał Leroy z nadzieją.

- Bez względu na to, co go zatrzymało, wykorzystajmy ten czas, żeby dostać się na wzgórze. Być może, kiedy zejdziemy po drugiej stronie i dotrzemy do jeziora, niedźwiedź całkiem zgubi nasz zapach - powiedział Hank. - Ty prowadzisz, Kit, Casey pójdzie za tobą - ciągnął dalej. - Ja na końcu.

Gdy zostawili za sobą szum rzeki, otoczyła ich cisza. Casey wspinała się, chwytając wielkimi haustami gęste powietrze, zdecydowana nie spowalniać marszu.

Za plecami usłyszała nierówny oddech Earla i astmatyczny świst Leroya. To jej dodało otuchy. Nie była sama. Cisza zalegająca w tym rozległym kraju, która na początku zdumiała ją i oczarowała, teraz stała się nieznośna. Casey miała wrażenie, że skrada się za nią złowieszczo, jak ten niedźwiedź. Chciała krzyczeć. Przerwać ten milczący krąg.

- To te twoje cygara rujnują ci płuca - powiedziała, oglądając się przez ramię w kierunku Leroya, który kopał siateczkę korzeni pokrywających ścieżkę,

- Gdyby mieli w tym ośrodku trochę przyzwoitej, irlandzkiej whisky, czułbym się znakomicie - mruknął. - Picie tego rozwodnionego, jankeskiego świństwa rujnuje mi płuca.

- Nie zauważyłem, żebyś się od tego powstrzymywał - rozpromienił się Earl. - Rzucasz się na to świństwo jak Łódź Podwodna... - powiedział, przerywając w środku zdania. Przypuszczał, że Casey i Dursley nie będą mieli ochoty na wysłuchanie opowieści o Łodzi Podwodnej. Lecz Casey

w skupieniu patrzyła pod nogi, a Dursley przyglądał się niskim zaroślom w poszukiwaniu najmniejszych śladów ruchu. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na jego słowa.

Dursley obawiał się, że niedźwiedź zachował się podobnie jak afrykańskie bawoły - okrążył ich i wyprzedził, a teraz czeka nad jeziorem.

- Przypomina to próbę przejścia przez gigantyczne łóżko wodne w futrze i wysokich butach z cholewami - powiedziała Casey, kiedy wyszli na otwartą tundrę.

Kit uśmiechnęła się szeroko. Gąbczaste, nierówne podłoże z pewnością utrudniało chodzenie.

Casey miała na nogach ciepłe buty, idealne do stania w lodowatej rzece, ale nie do pieszych wycieczek. Kiedy szła, pięty przesuwały się w górę i w dół, a dwie pary rybackich skarpetek już dawno przestały je chronić. Przyjęła ból z zadowoleniem - skoncentrowana na nim zapomniała na chwilę o niedźwiedziu.

Zatrzymali się na szczycie wzgórza, z przyjemnością poddając się smaganiu zimnego porywistego wiatru.

- Idźcie dalej - powiedział Hank. - Wiatr przenosi nasz zapach w inną stronę. Niedźwiedź nas nie wywęszy. Kiedy dotrzemy na brzeg, nie rozrzucajcie sprzętu bezładnie. Bądźcie gotowi do wejścia na pokład, gdy tylko pojawi się Stewart.

Kit spojrzała na niego z kamienną twarzą. Wiedziała, że jeśli niedźwiedź dotrze na szczyt wzniesienia - zdecyduje się na atak.

Dotarli do kamienistego brzegu jeziora i Casey z ulgą opadła na gładkie, wypolerowane głazy. Leroy patrzył na nią, gdy wierciła się, by znaleźć odpowiednie miejsce. Poszedł w stronę brzegu, gdzie zimowy lód powycinał w błocie zagłębienia przypominające fotele. Usadowił się wygodnie, oparł głowę o kępę rosiczek i przymknął oczy.

- Cholera - zaklął i podskoczył.

Nagły ruch zelektryzował grupę. Casey poczuła lodowaty chłód.

Leroy wymachiwał ramionami, jakby nadawał sygnały. Walił nimi na oślep w chmarę „białych skarpetek", którym właśnie zakłócił spokój.

- Wejdź do jeziora - powiedział Hank. - Lubią plątać się nad lądem, a nie nad wodą.

Leroy wgramolił się do lodowatej wody, która sięgała mu do pasa, i przeklinał samego siebie, że nie wydał kilku dolarów więcej i nie zamówił waderów z lepszą izolacją termiczną.

- Nigdy nie myślałem, że jesienią woda może być aż tak zimna - zawołał do Hanka.

- Zanim odjedziecie, będziemy łowić podczas zamieci - pocieszył go Hank.

Leroy właśnie miał odpowiedzieć, kiedy Hank podniósł rękę do góry, nakazując milczenie. Osłaniając dłonią oczy, wpatrywał się w przezroczyście czyste niebo.

- Stewart - powiedział.

- Niedźwiedź - ostrzegł Dursley.

Wszyscy odwrócili się błyskawicznie i spojrzeli we wskazanym przez Dursleya kierunku. Wysoko, na szczycie wzgórza, odcinając się ciemną plamą na tle błękitnego nieba, stał grizzly, a jego sierść falowała na wietrze. Wytężając swój krótki wzrok, wpatrywał się w jezioro.

Tego nerwy Leroya już nie wytrzymały. Był pewien, że niedźwiedź wpatruje się prosto w niego. Brnąc pospiesznie przez wodę, wydostał się na brzeg i zaczął biec wzdłuż kamienistej plaży w kierunku odległego końca jeziora. Miał tylko jeden cel - znaleźć się jak najdalej od niedźwiedzia.

- Stój! - krzyknęli jednocześnie Hank i Kit.

Earl rzucił się na Leroya, chcąc go złapać i przycisnąć do ziemi, ale wiek i lata łatwego życia osłabiły jego refleks. Pozostał więc z pustymi rękami - obolały i pokrwawiony, bo Leroy kopnął go niechcący w policzek. - Nie uciekaj! Zostań z nami! Tu jesteś bezpieczny! - ryknął Hank.

Ale Leroy był głuchy ze strachu. Biegł przed siebie. Jego buty wydawały się szybować nad kawałkami drewna, wyrzuconymi przez fale na brzeg, nad zgniłymi rybami i kamieniami.

Niedźwiedź stał bez ruchu. Wydawało się, że jego nos się wydłuża, kiedy węszył, szukając tego, czego nie mógł zobaczyć. Nagle Leroy przeciął linię wiatru, biegnąc na drugi koniec jeziora.

Niedźwiedź zesztywniał i ruszył za zapachem. Wielkimi susami pędził po zboczu wzgórza i wyglądał tak, jakby pochylił głowę i schował ją między przygarbione ramiona. Przerażenie sparaliżowało całą grupę. Wszyscy zastygli w bezruchu, zesztywniali jak granitowe skały, ciągnące się wzdłuż pasma wzgórz. Niedźwiedź gnał przez tundrę. Hankowi zdawało się, że frunie.

- Stój, niedźwiedziu! - ryknął, wymachując ramionami i puszczając się pędem po plaży, w nadziei, że uda mu się odciągnąć uwagę zwierzęcia od Leroya.

- O, nie - szepnęła bezgłośnie Kit. - Nie rób tego znowu, Hank. Trzymaj się od niedźwiedzia z daleka. Nie możesz pomóc Leroyowi. Najwyżej niedźwiedź zabije was obu. Potrzebuję cię. Czeka nas wspólna przyszłość.

Casey zobaczyła, że usta Kit poruszają się, ale nie słyszała słów. Podeszła do brzegu jeziora i objęła Kit ramieniem.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała półgłosem, ale Kit nie widziała jej, ani nie słyszała.

Niedźwiedź usłyszał krzyki, ale nie zwrócił na nie uwagi. Nareszcie miał do czynienia z jedną postacią. A ta biała się. Godziny wahania i zawiedzionych nadziei dobiegły końca. Uciekająca zdobycz należała do niego. Tym razem był zdecydowany walczyć aż do zwycięstwa. Kiedy biegł, piana ciekła mu z pyska i mokrymi plamami znaczyła krzaki. Jego ryki rozdzierały głęboką ciszę.

Leroy usłyszał ryk. Obejrzał się za siebie. Zobaczył Hanka, który biegł pędem wzdłuż plaży. Wiedział, że pędzący niedźwiedź dosięgnie go znacznie wcześniej, niż Hankowi uda się dobiec chociaż do zakrętu.

- Święta Mario, łaskiś pełna - zaintonował. - Pan z Tobą.

Wypowiadał słowa swojej dziecięcej modlitwy cienkim i drżącym głosem. Znajdował pocieszenie w słowach, które odrzucił wraz z młodością i niewinnością. Szaleńczo uchwycił się wiary, którą kiedyś wyśmiewał. W chwili śmiertelnego zagrożenia szukał tego, co już dawno porzucił.

- Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami, grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej.

Łzy popłynęły po twarzy małego Irlandczyka, a jego pobladłe usta zadrżały.

Ryczenie stało się ogłuszające. Czuł, że jego ciało wibruje. Wydawało mu się, że ryk skupia się ponad jego głową. Krzyknął przeraźliwie, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego szeroko otwartych ust. Upadł na kolana i palcami wrył się w kamienie, wydzierając je z zimnej, mokrej ziemi. Szukał ratunku w bólu. Łzy spływały mu po policzkach. Mocno zacisnął powieki. Nie chciał widzieć niedźwiedzia.

Powrócił obraz małego niedźwiadka, który stoczył się z wodospadu. Poczuł, jak zakrzywione pazury olbrzymiej bestii rozdzierają teraz jego ciało, a zęby zagłębiają się w czaszkę, zabijając go, tak jak zabiły niedźwiadka.

Leżał na kamieniach, jak przybity do krzyża, mokrymi wargami mamrocząc błagania do Maryi Dziewicy. - Błogosławionaś ty między niewiastami...

W swym przerażeniu nie zauważył samolotu, który jeszcze raz zakołował nad nim, po czym zniżył niebezpiecznie lot i oddalił się w kierunku brzegu.

Grizzly usłyszał ryk śmigieł. Ujrzał wielkiego ptaka, który na niego spadał. Odwrócił się i uciekł, a gdy biegł, nogi muskały mu uszy. Nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł do rzeki, gdzie już ani nie widział, ani nie słyszał hydroplanu Stewarta.

Stewart wrócił nad jezioro. Okrążył je i wylądował na powierzchni wody, delikatnie jak ważka.

Kit przedarła się do niego, złapała linę odciągową drżącymi rękami i powlokła samolot do brzegu. Earl pospieszył jej z pomocą, ale potrząsnęła głową przecząco. Pozbierał więc sprzęt rybacki, starając się przejąć obowiązki Hanka.

Stewart wyszedł z kokpitu i, ostrożnie balansując na pływaku, otworzył ładownicę. Bez słowa schowali swoje wędki oraz poskręcany stelaż plecaka i wsiedli do samolotu.

Potem Stewart, ciągle milczący, zakołował po jeziorze do miejsca, gdzie Leroy leżał na kamieniach, a przy nim klęczał Hank. Kiedy wyłączył silniki, Kit otworzyła drzwi do kabiny, wygramoliła się na schody i wyskoczyła do jeziora.

- Leroy, już po wszystkim - powiedziała półgłosem, pochylając się nad nim.

- Święta Mario... - dalej mamrotał Leroy, nieświadomy ich obecności.

- I błogosławiony owoc żywota twojego, Jezus - dokończyła za niego Kit. W końcu Leroy otworzył oczy.

- Nie wiedziałem, że jesteś katoliczką - powiedział słabo.

- Nie jestem. Ale jeden z moich chłopaków był ministrantem. Ciągle na niego czekałam w kościele i wtedy zapamiętałam całe „Święta Mario".

- Chodźcie - powiedział Hank. - Do samolotu. Za dwadzieścia minut będziemy w domu.

Kit odeszła. Chciała dać Leroyowi czas na przyjście do siebie bez świadków. Stała w rozkroku, z rękami głęboko wciśniętymi do kieszeni watowanej rybackiej kamizelki.

Wiedziała, że ona i Hank ponoszą odpowiedzialność za to, w jakim stanie jest Leroy. Stewart oczekiwał od swoich przewodników, że będą unikać niedźwiedzi i nie dopuszczą, by cokolwiek przestraszyło klientów lub naraziło ich na niebezpieczeństwo. Pełna najgorszych obaw czekała na odprawę personelu, jaką Stewart bez wątpienia zarządzi. Myśl o tym, że zostanie zbeształana w obecności tych wszystkich mężczyzn nie martwiła jej wcale. Ojciec bardzo dobrze ją wyszkolił. W każdej sytuacji potrafiła się bronić i wyjaśniać motywy swojego postępowania.

Tylko to, że zostanie zdegradowana do pozycji kucharki budziło jej niepokój. Wiedziała, że ta praca nie jest już dla niej. Będzie musiała opuścić ośrodek, a wtedy straci Hanka. Na samą myśl ogarnęły ją mdłości. Miała wiele „romansów na sezon rybacki". Zwykle trwały one po kilka miesięcy. Między nią a partnerem panowała zwykle milcząca zgoda na to, że miłosna przygoda skończy się z chwilą powrotu do domu, do jednego z czterdziestu ośmiu stanów leżących na południe od Alaski. Ale Hank był inny. Skłonienie go do małżeństwa było zadaniem prawie niemożliwym. Przypominało schwytanie jednego z gigantycznych pstrągów tęczowych gołą ręką i wyciągnięcie na brzeg. Ale gdyby miała dostatecznie dużo czasu, Kit była gotowa podjąć i to wyzwanie.

Kiedy usłyszała chrzęst butów na kamieniach, odwróciła się.

- Dobra robota, Leroy — powiedziała z uśmiechem.

Hank i Leroy popatrzyli na nią oniemiali.

- Zrobiłeś dokładnie to, co należało zrobić. Leżałeś na ziemi i nie ruszałeś się. Jesteśmy z ciebie dumni.

Leroy uśmiechnął się i wyprostował wąskie ramiona.

- Nie tak łatwo wystraszyć Irlandczyka - powiedział. Poklepał Kit po ramieniu i pewnie, wielkimi krokami, ruszył do samolotu.

Hank uniósł dłoń w kierunku Kit. Tę partię rozegrała po mistrzowsku.

Stewart przetarł przednią szybę wierzchem rękawicy. Patrzył na całą trójkę ze zdumieniem. Nie słyszał, co mówili, ale kiedy Leroy dumny jak

paw wkroczył na pływak, nie mogło być żadnych nieporozumień, co do mowy jego ciała.

- Dobra dziewczyna, dobry przewodnik - pogratulował w duchu Kit. Kiedy spojrzał na nią i na Hanka, gdy przypinali się pasami do wąskich siedzeń, Kit wiedziała już, że nie będzie żadnej odprawy, a Angela będzie dalej sama piekła ciasteczka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ośrodek wędkarski Lucky Lodge znajdował się na tym samym terenie, co Black Legs Lodge i był jedynym konkurencyjnym kompleksem wędkarskim. Pete - Drewniana Noga, właściciel Lucky Lodge, był w podłym nastroju. Whisky, którą wypił poprzedniej nocy zalegała mu w żołądku - kwaśna i ciężka. Bolała go głowa. Za każdym razem, gdy zaskrzeczała mewa albo krzyknął bielik*, miał wrażenie, że za chwilę wybuchnie. Jego personel nauczył się mówić do niego szeptem po jednodniowej libacji, i całkiem go unikać, gdy pijatyka trwała dwa dni. Dzisiaj był po „trzydniówce" i nawet kucharz znalazł jakiś pretekst, by wyjechać do King Salmon.

Z trzaskiem przedarł się przez nadrzeczne krzewy. Wyrąbywał przejście wśród wysmaganych przez deszcze i wiatry zarośli. Zatrzymał się, gdy zza wierzb dobiegł go czyjś śmiech.

Dursley opowiadał właśnie Earlowi i Leroyowi jakąś historyjkę z polowania na kuropatwy w Anglii. Wyjaśniał, jak pewien wesoły Hiszpan, biegnąc za ptakiem, który przemknął za linię strzału, postrzelił lorda po swojej lewej stronie, a potem powtórzył swój błąd, obsypując śrutem policzek księcia po prawej.

Amerykanie nie mieli pojęcia o tradycji polowania na kuropatwy, ale uznali, że historia jest przezabawna. Casey wierciła się jak pstrąg na haczyku, próbując znaleźć wygodne miejsce na kamienistym cyplu. Jej oczy promieniały radością. Uśmiechała się szeroko, mimo że słyszała tę historię dziesiątki razy.

Przed chwilą przypłynęli tu z Hankiem. Wyciągnęli łódź na brzeg rzeki Rainbow. Dursley wepchnął kanapkę do ust i wstał, by zademonstrować wyczyny bohatera swojej historyjki. W tym momencie Pete - Drewniana

* Bielik - chodzi o bielika amerykańskiego, zwanego inaczej łomignatem białogłowym *(Haliaectus leucocephalus),* który jest symbolicznym ptakiem Stanów Zjednoczonych (ang. *bałd eagie).*

Noga przedarł się przez krzaki czarnego bzu i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku plaży.

- Zjeżdżać z mojej ziemi! Zjeżdżać z mojej rzeki! Precz od moich ryb! - ryknął, ubarwiając rozkaz soczystymi przekleństwami i wymachując siekierą nad łysiejącą głową. Dursley przełknął kanapkę i wpatrywał się w Pete'a ze zdumieniem. Hank wstał.

- Pete - powiedział - to ja, Hank.

- Znam cię. Ty lisie. Odszedłeś ode mnie do tego wspaniałego miejsca po drugiej stronie jeziora. Lucky Lodge nie było dla ciebie dość dobre.

Hank postanowił mu nie przypominać, że to właśnie od niego wciąż odchodzą przewodnicy, a on sam cieszy się jak najgorszą opinią, na którą w pełni zasługuje.

Pete odwrócił się od Hanka i nagle zobaczył łódź. Wędki sterczały z niej na wszystkie strony, jak kolce na ciele jeżozwierza.

- Nie! - krzyknęli jednocześnie Hank i Kit, kiedy uświadomili sobie, jakie są zamiary Pete'a. Hank dopadł go, zanim ten zdołał dosięgnąć łodzi, ale musiał zrobić unik, bo siekiera świsnęła po jego rybackiej czapce.

- Tak naprawdę to wcale nie chcesz tego zrobić - przekonywała go Kit, gdy siekiera spadła na łódź i wyrwała dziurę w jej boku.

Jedyną odpowiedzią Pete'a było dzikie wymachiwanie siekierą w kierunku łodzi. Na szczęście widział trzy łodzie. Większość ciosów padała obok i omijała tę rzeczywistą.

- Jak nie grizzly, to szaleńcy - zauważył Dursley. Rozsądnie uznał, że to jest osobista sprawa i najlepiej się nie mieszać.

- Przypuszczam, że wrócimy z Hankiem do domu wpław - powiedziała Casey, przyglądając się z obawą bezmiernemu, błękitnemu jezioru.

Hydroplan przywiózł jeszcze jedną grupę wędkarzy i dlatego dwie osoby z ich grupy musiały popłynąć łodzią. Casey zgłosiła się na ochotnika. Wysoko na skale wznoszącej się na środku jeziora znajdowało się gniazdo orła, które chciała zobaczyć. Hank opowiedział jej o bieliku, który każdej wiosny zakłada gniazdo na nagiej, granitowej skale. Kiedy więc usłyszała, że przewodnicy dyskutują nad tym, kto ma popłynąć nad rzekę Rainbow łodzią, a kto poleci samolotem, natychmiast zaczęła błagać o miejsce w łodzi.

Kit musiała polecieć samolotem, żeby pomóc wędkarzom przy wysiadaniu, ale nie wyglądała na zadowoloną. Miała nadzieję, że Casey będzie miała chorobę morską i stanie się dla Hanka ciężarem. Ale Casey nie jeden raz żeglowała po smaganych wiatrem wodach zachodniego wybrzeża Szkocji. Bracia zabierali ją na łódź, gdy tylko nauczyła się biegać na tyle szybko, żeby dotrzymać im kroku. Casey Chargot była doświadczonym żeglarzem.

Podróż przez jezioro Nonvianuk nie była przyjemna. Zerwał się wiatr. Nieruchoma błękitna tafla wody wkrótce pokryła się pianą. Hank obserwował Casey, która, zapierając się nogami o łódź, próbowała zogniskować

lornetkę na orlim gnieździe. Rozkołysana łódź zakreślała ciasne kręgi wokół podstawy skały. Spodziewał się, że Casey zrobi się niedobrze i poprosi go, żeby płynął dalej do rzeki Rainbow, ale ona śmiała się zachwycona, bo udało jej się zobaczyć orła. Podała mu lornetkę. Kiedy zetknęły się ich palce, łódź przechyliła się na bok i Casey wpadła na Hanka. Przytrzymał ją lekko. Jej piersi mocno nacisnęły na jego klatkę piersiową, a jej włosy, pachnące mydłem i solą morską, spadły mu na twarz.

Śmiał się razem z nią, ale czuł tylko gorące pragnienie, by przytulić ją do siebie. Gwałtowność tego uczucia przeraziła go. Nie był jeszcze przygotowany, by wpuścić kobietę do swojego życia. A przeczuwał, że to co właśnie poczuł do Casey będzie trwać przez całe życie.

Żona, którą sobie wyobrażał, była dziewczyną ze Stanów, tak jak on kochającą dziką przyrodę Alaski. Ktoś taki jak Kit, ktoś, kogo porywa samotne wołanie nura na ciemnym jeziorze i widok dzikiego pstrąga, skaczącego w górę. Nie miał ochoty wiązać się z bogatą, angielską dziewczyną, która bałaby się tego pustkowia i była ślepa na jego piękno.

- W jaki sposób bez łodzi dotrzemy do górnego odcinka rzeki? - zapytał Leroy, podskakując za każdym razem, gdy siekiera trafiała w łódź i wyłupywała w niej dziurę.

- Piechotą - odparł Hank. - Brzegi rzeki poprzecinane są szlakami niedźwiedzi. Zajmie to więcej czasu, ale dotrzemy do wielkiej ryby. - Earl natychmiast odkręcił termos i nalał sobie następną filiżankę gorącej zupy.

- Zupa po cieście orzechowym? - zdziwiła się Casey i uśmiechnęła szeroko.

- Wszystko idzie do tej samej starej maszynki do mięsa - odparł Earl.

Wspólne wędkowanie zbliżyło ich do siebie. Byli teraz dobrymi przyjaciółmi. Nawet Leroy częściej się uśmiechał niż burczał. Trudno było nie lubić Casey.

Kit także ją polubiła, ale kiedy Hank uczył ją zarzucać wędkę, nie spuszczała ich z oczu. W nocy Hank dalej przytulał Kit, ale ona czasami miała wrażenie, że mężczyzna wypełnia tylko swój obowiązek, aczkolwiek bardzo przyjemny. Wyczuwała, że myślami jest gdzie indziej i obawiała się, że to Casey jest przyczyną tego roztargnienia. Intuicja mówiła jej, że pomiędzy narzeczoną Dursleya a mężczyzną, którego ona wybrała, tworzy się bliska więź.

Mijały dni w Katmai. Ku swemu zaskoczeniu, Casey zauważyła, że łowienie pstrągów tęczowych wciąga jak narkotyk. Za każdym razem, gdy wyjmowała bezwąsy haczyk z pyska ryby i zanurzała jej smukłe ciało w wodzie, delikatnie przesuwała palcami wzdłuż różowych linii, biegnących pod ciemnozielonym grzbietem, niezmiennie poruszona cudem, jakim było trzymanie dzikiego stworzenia w dłoniach.

Wiedziała, że ryba należy tylko do niej, dopóki skrzela nie wchłoną odpowiedniej ilości tlenu i pstrąg nie odzyska orientacji. Stracił ją wirując i obracając się w tańcu, który wynalazł po to, by zerwać się z haczyka.

Prędkość, z jaką wyskakiwał jej z rąk, zawsze ją zdumiewała. W przeciągu kilku sekund ginął w ciemnozielonej wodzie.

Z radością wyczekiwała teraz na każdy dzień łowienia i na godziny spędzane z Hankiem. On był cierpliwym nauczycielem, a ona pojętną uczennicą.

Kit wróciła do grupy, zostawiając Hanka samego z Drewnianą Nogą, który nie przestawał wymachiwać siekierą. Wędkarze odwrócili się tyłem do tego dzieła zniszczenia i nie zwracali uwagi na to, co się dzieje za ich plecami. Snuli nieprawdopodobne opowieści o rybach, jakie połknęły ich haczyk, ale jakimś cudem urwały się z wędki.

Casey słuchała i uśmiechała się, ale jej myśli wędrowały gdzie indziej. Nie mogła przestać fantazjować na temat Hanka.

Kiedy w nocy leżała w swojej drewnianej chatce, a wiatr klekotał oknem i przynosił samotne, piękne wołanie nura jej serce śpiewało pieśń ciszy, jaką odnaleźć można tylko na prawdziwym pustkowiu. Anglia wydawała się bardzo daleko. A Casey wcale nie pragnęła tam wrócić. A potem, słysząc delikatne pochrapywanie Dursleya, pełna poczucia winy myślała o przyszłości i zastanawiała się, czy będzie w stanie spełnić oczekiwania swojej przyszłej teściowej.

- Wariat - powiedział Hank, kiedy opadł obok Casey na kamienie, oddychając ciężko.

Casey wróciła do teraźniejszości. Słuchając panującej wokół ciszy, zamrugała oczami i uświadomiła sobie, że Drewniana Noga przestał demolować ich łódź.

- Gdzie on poszedł? - zapytała. Chciała zobaczyć, jakich zniszczeń dokonał, ale bała się, że Pete wróci.

- Pewnie na teren Barabar - odparł Hank. - Zwykle, kiedy ma kaca, włóczy się po starych inuickich ziemiankach. Wie, że doprowadza to do wściekłości ludzi badających starożytne kultury. W pobliżu jego ośrodka znajduje się kilka dobrze zachowanych zabytków. Wszyscy się boją, że pewnego dnia je zniszczy. To stary diabeł.

- To ta aleucka krew w jego żyłach - powiedziała Kit zjadliwie. - Ci, w których żyłach płynie krew tubylców, zawsze zachowują się irracjonalnie. To tak, jakby człowiek chciał zrobić z wilka potulnego psa i był zaskoczony, że ten chce go zjeść!

- Tubylców? - zapytał Leroy.

- Sourdoughowie często mówią o Inuitach, Atapaskach i Aleutach „tubylcy" - wyjaśnił Hank.

- Zatem w moich żyłach także płynie krew tubylców - powiedziała Casey.

Dursley roześmiał się.

- Twoja krew, mój Bąbelku, jest tak samo czysta jak moja.

Casey spojrzała na Dursleya uważnie, zanim zdecydowała się odpowiedzieć. Pamiętała, jak jego matka ceniła czystość krwi. Teraz wyraźnie

usłyszała jej słowa. „Dzisiaj bardziej dbamy o rodowód koni rozpłodowych niż partnerów wybranych przez nasze dzieci. No cóż, w mojej rodzinie to się nie zdarzy. Nie pozwolę, aby skażona krew splamiła drzewo genealogiczne Carringtonów". Jeśli mam wierzyć w historię mojej rodziny, to właśnie to się zdarzy - pomyślała Casey. Chwila, której tak się obawiała, właśnie nadeszła.

Dursley przestał się śmiać, czekał co ona ma do powiedzenia.

Casey wzięła głęboki wdech. Wcale nie była pewna, jak Dursley zareaguje na jej wyznanie.

Zawahała się przez chwilę. Obserwowała, jak samica tracza wiedzie flotyllę swoich rybożernych piskląt na drugą stronę rzeki, do bezpiecznego miejsca w krzewach i trzcinach rosnących na przeciwległym brzegu. W ciągu kilku sekund ptaki zniknęły. Ich czarne i żółte plamki doskonale zlały się z cieniami i wodą, nakrapianą przez słoneczne zajączki.

Wszyscy zamilkli. Dursley siedział wyprostowany, z nogą założoną na nogę, jakby czekał na wyrok, zapomniał nawet o kanapce. Casey odkaszlnęła i drżącym, niepewnym uśmiechem odpowiedziała na szeroki uśmiech Hanka. Wiedziała, że musi to Dursleyowi powiedzieć.

Gdy tak siedziała na kamienistym cyplu i patrzyła, jak pstrągi uciekają przed wściekłymi atakami nerek, które tworzyły przy dnie gęstą, czerwoną warstwę, Casey uświadomiła sobie nagle, że chciałaby zjednoczyć się z tą ziemią. Usłyszała jej wezwanie, kiedy z samolotu lecącego do Anchorage patrzyła na srebrne rzeki, wijące się jak chorągwie na wietrze. Zew był jeszcze głośniejszy, gdy klęczała w rzece spływającej z lodowca i trzymała w dłoniach oszołomionego pstrąga. Powinna być tam, gdzie powietrze jest czyste, świeże, niczym nie skażone. Na tej ziemi czuła się jak ślepiec, który odzyskał wzrok.

Dursley ściągnął swoją rybacką czapkę i włosy spadły mu na czoło, a wtedy Casey ogarnęło nieprzeparte pragnienie, żeby go objąć, przygładzić te włosy i sprawić, by znowu się do niej uśmiechnął.

- Po cóż wywlekać stare historie? - pomyślała. Dursley ma rację. Jestem Angielką i razem stworzymy dobrą parę. Bądź spokojna i pozwól przeszłości pozostać tam, gdzie jest jej miejsce...

Kiedy te myśli przemykały jej przez głowę, usłyszała słowa Kit:

- Jak to możliwe, że w twoich żyłach płynie krew tubylców, Casey? Myślałam, że twoja rodzina mieszka w Anglii od setek lat.

- Bo mieszka - odparła Casey, nie patrząc na Dursleya - ale jeśli mam wierzyć w stare rodzinne historie, jeden z moich przodków wybrał się w niebezpieczną podróż na Alaskę, w czasach, gdy rozwijał się handel futrami wyder morskich.

- Tak łatwo dawały się zabijać -- wtrąciła Kit.

Casey skrzywiła się, ale była szczęśliwa, że rozmowa zeszła z tematu jej tubylczych przodków, choćby tylko na chwilę. Czuła, że pali ją w dołku, kiedy zastanawiała się, jak zareaguje Dursley. Miała poczucie winy, że nic

nie powiedziała wcześniej. Wiedziała, że jej ufa i wierzy, że nie mają przed sobą żadnych tajemnic. Miała nadzieję, że Kit będzie dalej mówić o wydrach morskich, ale ona milczała.

- Myślałem, że polowania na wydry morskie doprowadziły do wymarcia gatunku - powiedział Earl, otwierając plastikowy pojemnik na jedzenie, żeby wyskrobać jeszcze jakieś resztki.

- Anglicy zawsze byli narodem sklepikarzy, myślącym wyłącznie o swoich własnych interesach - Leroy włączył się do rozmowy. - Mam na myśli kupców - poprawił się szybko, patrząc na Dursleya. - Ten interes na pewno ich przyciągał.

- Jest to oczywiście całkiem bezstronna opinia - powiedział cicho Dursley. - Nie lubił, kiedy ktoś drwił z jego ojczystej wyspy lub jej mieszkańców.

Dursley zastanawiał się, czy warto wdawać się w dyskusję z Leroyem - przecież wiadomo, że Rosjanie zapoczątkowali handel futrami. Dwaj syberyjscy kupcy założyli rosyjsko-amerykańską kompanię. Car dał im monopol na handel na Alasce pod koniec siedemnastego stulecia.

Chciał wyjaśnić temu zamerykanizowanemu Irlandczykowi, że Karol II nadał Anglikom prawo do handlu skórami na całym obszarze, z którego rzeki odprowadzały wody do Zatoki Hudsona. Ale wiedział, że jego wykład i tak byłby bezcelowy.

Bardziej interesowało go to, co Casey ma do powiedzenia, choć jakaś część jego ,ja" wolała tego nie słyszeć.

On także zauważył, że jej przyjaźń z Hankiem pogłębia się. Był dumny, że jego kobieta jest atrakcyjna także dla innego mężczyzny. Teraz uświadomił sobie, że pragnie mieć Casey Chargot za żonę i nie chce, żeby była atrakcyjna dla innych.

- Było to mniej więcej w tym czasie - zaczęła Casey, podając plastikową torebkę ciastek Earlowi - gdy mój pradziadek, a może prapradziadek, wyruszył na Alaskę z jedną z wielu wypraw, których celem było odnalezienie legendarnego Przejścia Północno-Zachodniego. Zboczyli z trasy, żeby kupować futra. Bujne futra wydr morskich były wtedy bardzo cenne. Spędzili zbyt wiele czasu na handlu i nie słuchali ostrzeżeń miejscowej ludności, że nadchodzi czas „wielkiego lodu". Statek został uwięziony przez lód.

- Myśleli, że lód będzie ich trzymał przez dwa, albo trzy miesiące. Kiedy nauczyli się języka Eskimosów, dowiedzieli się, ku swemu wielkiemu przerażeniu, że dopiero za dziewięć mroźnych miesięcy zobaczą słońce i będą mogli naprawić swój statek, by odpłynąć do Anglii. Pewna eskimoska rodzina postanowiła im pomóc. Zbudowali im dom z kości wieloryba, pokrytych foczymi skórami. Eskimosi pokazali Anglikom, jak się poluje na łosie, karibu, foki i niedźwiedzie, i jak się łowi ryby na lodzie. Prapradziadek zakochał się w jednej z ich córek.

- Fiuu! - wtrącił Leroy. - Pewnie lubił zapach suszonej ryby i wielorybiego tłuszczu.

- Tak samo jak polubiłbyś ty, gdybyś głodował - powiedział gniewnie Earl, widząc, że Casey się czerwieni.

- Kapitan statku był trochę zaszokowany, że jeden z jego oficerów chce się ożenić z córką tubylców, ale w końcu, kiedy prapradziadek coraz więcej czasu spędzał z Eskimosami...

- Oni nie lubią, kiedy się ich nazywa Eskimosami - wtrąciła Kit.

- Inuitowie lub Yupikowie. „Prawdziwi ludzie" - powiedział łagodnie Hank.

Casey podziękowała mu uśmiechem, a Dursley poczuł ukłucie w sercu, gdy uświadomił sobie, co może stracić.

- Kapitan udzielił im ślubu i prapradziadek spędził niemal całą resztę swego życia na Alasce. Ticasuk przyjechała do Anglii, żeby pokazać rodzinie trójkę ich dzieci, ale nie była tam szczęśliwa, oddalona od swojej wielkiej ziemi, pokrytej śniegiem i lodem.

Dursley wzdrygnął się, kiedy Casey powiedziała „Ticasuk". Pamiętał, jak mówiła, że wszystkim dziewczynkom w jej rodzinie nadawano imię Ticasuk - to był hołd składany z pokolenia na pokolenie żonie pradziadka, którą ten uwielbiał przez całe życie.

- Mogę się założyć, że jego rodzice cholernie dali jej odczuć, że jest niemile widziana - powiedział Leroy, który siedział po turecku na kamieniach i zafascynowany słuchał opowieści Casey.

- Moja rodzina była pewnie zaskoczona i przerażona - przyznała Casey. - Wtedy ludzie nie żenili się z tubylkami. Pamiętam awanturę, którą wywołał mój wujek... Gdy byłam małą dziewciynką, wyjechał do Bułgarii i ożenił się z piękną Bułgarką. To nie było znowu tak dawno - dodała. - Moja rodzina uważała, że dziewczyna nie jest „całkiem odpowiednia", choć w naszych żyłach płynęła już krew Inuitów.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęła swoją opowieść, Casey spojrzała na drugą stronę obrusa rozłożonego na kamieniach, ale Dursley nie podniósł wzroku.

Wyciągnął pudełko z muszkami ze swej rybackiej kamizelki i starannie układał nimfy i myszy - sortował przynęty w kształcie ikry według ich barwy. Długie rzęsy zasłaniały jego spuszczone oczy i Casey nie mogła niczego wyczytać z jego twarzy. Poczuła dreszcz na myśl, co powie jego rodzina i przyjaciele. Dursley będzie musiał przyznać, że Casey Chargot nie jest czystej krwi Angielką, co było koniecznym warunkiem, by wejść do rodu Carringtonów. Po raz pierwszy stanęła twarzą w twarz z perspektywą utraty Dursleya. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze, tak jak wtedy, gdy jej buty ugrzęzły w stercie gnijących łososi.

Hank obserwował narzeczonych i widząc ich niepokój wstał szybko, przewracając kubek z zupą Earla.

- Przepraszam, Earl - powiedział - ale czas już zbadać rzekę. Chodźmy.

Earl wypił zupę do ostatniej kropli i pomógł Kit spakować resztki lunchu do plastikowych torebek i wepchnąć je głęboko do plecaka.

- Casey, ty idziesz ze mną - powiedział Hank. - Musimy popracować nad techniką łowienia na nimfę, a poza tym trzeba odnaleźć kogoś z Lucky Lodge i pożyczyć od nich jakąś łódź. Stewart porozmawia jutro z Drewnianą Nogą o naszej, a raczej o tym, co z niej zostało - powiedział, patrząc na doszczętnie połamaną łódź.

Kit cicho podeszła do łodzi i westchnęła z ulgą. Drewniana Noga skupił się na waleniu siekierą w burtę. Wędki nie wyglądały na zniszczone.

- Oto twoja wędka - zawołała do Dursleya. - Ustawię cię w dobrym miejscu i zabiorę ze sobą Earla i Leroya.

Podeszli do łodzi i każdy zajął się swoim sprzętem. Dursley delikatnie pogłaskał wędzisko i starannie sprawdził kołowrotek. Następnie, zadowolony z przeglądu, wziął swoją lekką kurtkę przeciwdeszczową i wepchnął ją do tylnej kieszeni rybackiej kamizelki. Kiedy się odwrócili, żeby wejść do rzeki, Earl kopnął łódkę, tak że zakołysała się, wystawiając na widok publiczny wielkie dziury, pozostawione przez siekierę.

- Traktują sprawę „ostatniego wielkiego pogranicza" bardzo poważnie, prawda? - powiedział, przyspieszając kroku, by zrównać się z Kit.

- To jest kraj, który przyciąga nieugiętych chłopaków i tych, którzy chcą doświadczyć życia na prawdziwym pustkowiu - próbowała bronić Drewnianej Nogi. - On jest tutaj legendą. Stracił nogę na polarnym paku lodowym, kiedy tropił białego niedźwiedzia.

- Miał szczęście, że stracił tylko nogę - powiedział Leroy. - Słyszałem, że te bestie po prostu polują na ludzi.

- To nie niedźwiedź go dopadł, tylko lód - powiedział Hank.

- Lód? - zapytał Dursley z rosnącym zainteresowaniem.

- Pak lodowy jest bardziej przerażający niż niedźwiedzie polarne - powiedział Hank. Dursley zatrzymał się, żeby go posłuchać. Myślał o kolejnej wyprawie na Alaskę, by zapolować na niedźwiedzia polarnego.

- Już samo polowanie jest wystarczająco niebezpieczne — powiedział Hank. - Niedźwiedź polarny to sprytny zabójca, ale lód polarny, na którym musisz polować, to dopiero prawdziwy morderca.

- Nie wiedziałem o tym - odparł Dursley. Leroy i Earl stanęli w pobliżu i słuchali. Casey przyłączyła się do nich, z nadzieją, że Dursley obejmie ją, ale on skupił wzrok na Hanku i pieścił dłońmi swoją grafitową wędkę.

- Prądy morskie i wiatr kształtują lód w gigantyczne zwały lodowe. Ich wysokość sięga od dwudziestu do czterdziestu stóp. W tym, co wygląda jak niekończąca się, nienaruszona lodowa tafla, otwierają się rozpadliny, rozsuwają krawędzie lodowych płyt. Gdy wpłyniesz łodzią do kanału między bryłami lodu, wiatr może zmienić kierunek, a wtedy szczelina zamknie się i jesteś uwięziony.

- Uwięziony razem z niedźwiedziem - powiedział Leroy.

- I tylko się modlisz, by to wielkie pole lodowe nie oderwało się od głównej bryły lodu. Gdyby tak się stało oznaczałoby to wyrok śmierci. Miesiącami dryfowałbyś po czarnym morzu, a niedźwiedź byłby twoim

jedynym towarzyszem - powiedziała Kit, z przyjemnością patrząc na przerażenie, jakie malowało się na twarzy Leroya. - I właśnie wtedy żałujesz, że nie jesteś Inuitem - dodała, uśmiechając się do Casey. - To chyba jedyni ludzie, którzy wiedzą, jak żyć na lodzie.

- Dość już tych twoich historii, Kit - powiedział Hank. - Zobaczmy, ile pstrągów da się wyciągnąć z rzeki Drewnianej Nogi.

- Myślałem, że to rzeka Rainbow - powiedział Leroy.

- Tak właśnie jest, ale Drewniana Noga uważa, że to jego prywatna rzeka - odparła Kit.

Casey czuła, że trzęsą jej się uda, kiedy z determinacją przedzierała się pod prąd. Przedtem cieszyła się na przejażdżkę łodzią w górę rzeki, do miejsca wyznaczonego na stanowisko wędkarskie. Teraz piskliwe nawoływania bielików nie sprawiały jej żadnej przyjemności, a szmaragdowe główki dzikich kaczek nie przyciągały jej wzroku. Ptaki, wiosłując zawzięcie, uciekały przed wędkarzami, rozbryzgując wodę na wszystkie strony.

- Pewnie ta sama rodzina, co w zeszłym roku - odezwała się Kit do Hanka, pragnąc rozproszyć przygnębienie, które ogarnęło grupę po ataku Pete'a na łódź.

- Smaczne? - zapytał Earl.

- Tylko dla kotów - odparła Kit. - Ulubionym przysmakiem tych ptaków są oczy łososi.

- Brrr - wzdrygnęła się Casey. - Dlaczego właśnie oczy?

- Ponieważ, w przeciwieństwie do piskląt nurogęsi, które mają zakrzywioną dolną część dzioba, co umożliwia im jedzenie ryb, kaczkom, które mają krótkie, grube i zaokrąglone dzioby, łatwiej jest wydłubywać oczy. Właśnie dlatego ich mięso przesiąknięte jest zapachem nerek.

Earl skrzywił się i rzucił okiem na Casey i Dursleya. Z trudem przedzierali się w górę rzeki, niby razem, ale osobno. Żadne nie odezwało się do drugiego od chwili, gdy Casey opowiedziała historię swojego pradziadka.

Hank także zauważył napięcie między nimi.

- Tutaj, Dursley - powiedział, wskazując na odcinek rzeki - zacznij tutaj, przy tym wartkim nurcie, i posuwaj się pod prąd. Spotkamy się w rozwidleniu rzeki.

Hank i Kit już dawno zdecydowali, by Dursley łowił sam. Był doświadczonym wędkarzem i lekkomyślność innych tylko go irytowała. Wolał łowić bez towarzystwa.

- Wy obaj chodźcie ze mną - powiedziała Kit, ruszając szybko do brzegu. - Pójdziemy w górę rzeki, wystarczająco daleko od Dursleya i będziemy łowić po przeciwnej stronie.

• - A niedźwiedzie? - zapytał Leroy, przyglądając się podejrzliwie karłowatym zaroślom.

- Tutaj ich nie ma - powiedział Hank.

- Wolą strumienie pełne łososi - dodała Kit.

- Tak. Zdaje się, że już to kiedyś słyszałem. - Leroy potknął się, zaklął i odzyskał równowagę.

- Uważaj - powiedziała ostrzegawczo Kit - jesteśmy w rejonie gniazd łososi, łatwo wpaść do któregoś.

- Jak są głębokie? - spytał Leroy, wpatrując się w zmarszczoną powierzchnię wody wzrokiem krótkowidza i starając się dostrzec okrągłe dołki, w których łososie złożyły ikrę.

- Tobie sięgają tuż pod brodę, a Casey ponad głowę - zażartował Earl, bez wysiłku pokonując prąd.

- Ryby wygrzebują takie doły? - sceptycznie zapytał Leroy.

- Samice używają ogonów, a nurt rzeki wypłukuje żwir - powiedziała Kit. - Ich ogony są w strzępach, kiedy gniazdo jest w końcu gotowe.

Leroy skinął głową, ale nie miał więcej uwag. Zaglądał do rzeki, skupiony na tym, by nie wejść w jedno z tych gniazd, które kojarzyły mu się z pułapkami przeciwczołgowymi.

Hank obejrzał się za siebie. Postanowił jak najszybciej zabrać Casey i odejść jak najdalej od Dursleya. Nie mógł znieść widoku bólu i zakłopotania w jej zwykle błyszczących oczach, kiedy patrzyła na twarz narzeczonego z nadzieją, że odnajdzie w niej jakieś oznaki czułości.

Dursley dotarł do rozwidlenia rzeki. Odnalazł wartki nurt, przewalający się i spieniony, jakby pokryty białą, delikatną koronką. Hank wskazał mu to miejsce jako najodpowiedniejsze dla połowów. Wybrał dwie perełki, jedną jaskrawobrzoskwiniową, w kolorze świeżej ikry łososia, a drugą o stonowanej, różowofioletowej barwie, żeby pasowała do starszej ikry. Zarzucił wędkę tuż poniżej koronek na wodzie i szybko podciągnął linkę. To było gwarancją, że prąd nie będzie jej wlókł przed paciorkami i haczykiem wielką luźną pętlą, ostrzegając pstrąga, że nie jest to zwyczajna ikra wypłukana z gniazda.

Kit obserwowała go przez chwilę, po czym niechętnie odeszła do Earla i Leroya. Chciała ich pouczyć, by podczas zarzucania wędki z cięższą nimfą nie pochylali się gwałtownie do przodu, w stronę rzeki. Bez skutku im tłumaczyła, że czarne pijawki i nimfy podskakujące po nierównym dnie rzeki, często kuszą pstrągi, które odpływają za nimi, zamiast czekać na ikrę, która wpadnie im do pyska.

Odwróciła się, żeby jeszcze przez chwilę popatrzeć na Dursleya. Obserwowanie jak ten doświadczony wędkarz bada rzekę i nęci pstrągi, było prawdziwą przyjemnością. Wsłuchała się uważnie w trzask linki, która leciała do tyłu, za niego. Skinęła głową z uznaniem, patrząc na precyzyjną, ciasno nawiniętą spiralę na jej koniuszku, która utworzyła się, gdy linka opadała, by dotknąć powierzchni wody.

Z ciężkim westchnieniem rezygnacji, Kit zostawiła Dursleya sam na sam z pięknem i samotnością rzeki. Dursley patrzył, jak Kit oddala się w kierunku płycizny, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Była lepszym przewodnikiem niż wszyscy mężczyźni, których dotąd spotkał. Był jej

wdzięczny, że znalazła sposób, by zostawić go sam na sam z wędką, pstrągami i rzeką.

Ciężkimi krokami szła w dół, do miejsca, gdzie Earl i Leroy z zapałem młócili wodę. Nimfy, wywlekane z dna, wisiały na haczykach, czarne i pokryte szlamem. Obaj mężczyźni ciągnęli je z powrotem ponad głowami, a potem tłukli nimi o wodę, jakby chcieli zdzielić rybę tak, by padła nieprzytomna.

- Leroy - zawołała Kit - jeśli będziecie tak robić, tylko wystraszycie pstrągi na śmierć.

- Niezły pomysł - odparł Leroy.

- Mógłbyś też spróbować użyć laski nitrogliceryny - drażnił się z nim Earl, ściągając linkę, jakby miał na haczyku wielkiego białego rekina, a nie czerwoną nerkę, która rzuciła się z wściekłością w stronę nimfy i przypadkiem wbiła sobie haczyk w oko.

- Musisz ją chyba po prostu zerwać - poradziła Kit, kiedy dotarła do Earla i uważnie przyjrzała się lince, która zanurzyła się w wodę.

- Co, z taką wielką rybą! - zaprotestował.

- Jest wielka, ale to wstrętna, stara nerka - powiedziała Kit.

- Niemożliwe - sprzeciwił się Earl. - Hank mówi, że kiedy łososie wpływają do rzek, żeby złożyć ikrę, to już nie jedzą.

- Ona nie je. Rzuciła się na twoją nimfę ze złości. Waliłeś ją tak mocno po głowie, że teraz jest ogłuszona - uśmiechnęła się Kit.

- Nie zamierzam stracić następnej nimfy - powiedział Earl. - Zostały mi tylko dwie. - Nawinął obluzowaną linkę i zaczął powoli wyciągać łososia na brzeg.

Leroyowi dech zaparło, kiedy z wody wynurzyła się dwunastofuntowa ryba. W niczym nie przypominała czerwonego łososia, którego widział na dnie rzeki. Szczęki miała wydłużone, obramowane ostrymi jak igły zębami. Jej głowa była teraz żółto-zielona, co rażąco kontrastowało z jaskrawą czerwienią reszty ciała. Jej dolna szczęka była zakrzywiona do góry w grymasie nienawiści, nadając tej pięknej kiedyś, srebrnej rybie wygląd krwiożerczego, złośliwego stworzenia.

- Wygląda jak morderca - powiedział Leroy, czując wielką ulgę, że Earlowi nie udało się złapać wielkiego pstrąga.

Earl przełknął tę złośliwość i skupił się na wyciąganiu nerki na błotnisty brzeg.

- Należy do rodziny łososiowatych - powiedziała Kit. - rodzina ta powstała na drodze ewolucji, sześć milionów lat temu.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zapytał Leroy.

- Jestem ichtiologiem - odparła, zadowolona z jego pełnego zakłopotania wyrazu twarzy. Po chwili zlitowała się nad nim i wyjaśniła: - To znaczy, że zajmuję się badaniem ryb słodkowodnych.

Earl popatrzył na nią z podziwem. „Książkowa wiedza" była dla niego czymś w rodzaju mistycznej sztuki. Znalazł się w college'u tylko dlatego,

że dobrze grał w piłkę. Na boisku był wielki, silny i bezlitosny. Swoje wykształcenie zawdzięczał umiejętności blokowania przeciwnika i zatrzymywania go. Tam też odkrył jeszcze jedną umiejętność, a mianowicie talent dydaktyczny. Był świetnym trenerem. A to pozwoliło mu teraz zarabiać na bardzo wygodne życie i w dodatku mieć dużo wolnego czasu, który poświęcał rybołówstwu, popularnej formie wypoczynku wśród zamożnych Amerykanów.

- Uważaj na jej zęby - krzyknęła Kit, kiedy Earl pochylił się, żeby usunąć haczyk z oka łososia.

Postawiła stopę na rybie, by ją unieruchomić, i wyjęła szczypce. Zacisnąwszy je na haczyku, wyrwała go szybko.

- Biedactwo, zostało mu jeszcze tylko kilka dni - powiedziała. - Spójrzcie, już odpadają kawałki ciała. - Wepchnęła zdychającą rybę do wody.

- W porządku, chłopcy. - Wzięła wędkę z rąk Earla, sprawdziła długość linki prowadzącej i węzeł mocujący czarną nimfę i haczyk. - Żeby przechytrzyć te pstrągi, musicie zastosować „martwy dryf', a wierzcie mi, one nie są głupie.

- Albo robaka - mruknął Leroy.

- Musicie tak zarzucać nimfy, czy mysz, której używa Leroy, żeby unosiły się bezwładnie po dnie rzeki, w sposób całkowicie naturalny - ciągnęła swój wykład, ignorując słowa Leroya. - Jeśli linka będzie lekko wleczona, pstrąg odpłynie i nawet jej nie dotknie.

- Tak. Ściągnij linkę, ściągnij, ściągnij, ściągnij - przedrzeźniał ją Leroy.

Tak naprawdę trochę się obawiał Kit. Chodziła lepiej i łowiła lepiej niż inni przewodnicy, włącznie z Hankiem. Podczas sprzeczki była strasznym przeciwnikiem, szczególnie, gdy rzecz dotyczyła łowienia ryb. Nauczył się czytać z jej oczu. Kiedy ich błękit, taki jak ten, który można znaleźć głęboko, w samym sercu lodowców, zmieniał się w absolutną szarość, zwiastującą nadejście zwałów zimnej mgły, milkł i przysłuchiwał się innym, zachowując bezpieczną pozycję, jak zawodnik za linią autu.

Glos Kit przepłynął gdzieś ponad nim. Leroy patrzył,- jak złapała i wyciągnęła na brzeg szamoczącego się pstrąga, dokładnie z tego samego miejsca, w którym łowił przez ostatnie dwadzieścia minut.

- Wiedziałem, że on tam jest - powiedział Leroy, kiedy Kit zanurzyła pstrąga w nurcie rzeki, a potem go wypuściła.

To dlaczego go nie złapałeś? - pomyślała.

- Miałeś rację - powiedziała, cały czas pamiętając, że ten agresywny mieszkaniec wschodniego wybrzeża jest jej klientem. - Wybrałeś dobre miejsce do łowienia, Leroy. Jeśli zrobisz coś z tą wlokącą się pętlą, będziesz postrachem wszystkich pstrągów w Katmai.

Leroy uśmiechnął się tryumfalnie do Earla. Jego przynęta uderzyła w wodę, zanurzyła się i prąd natychmiast wyciągnął linkę przed mysz,

leżącą na dnie. Kit westchnęła i usiadła na skałach, przygotowana na kolejny długi dzień.

- Właśnie tak, Casey - krzyknął podniecony Hank. - Zrozumiałaś to. Świetne ściągnięcie. - Obserwowali lśniący, różowy spławik, który ostrzegał, że linka zaraz wyprzedzi przynętę. Hank uśmiechnął się szeroko, kiedy Casey automatycznie szarpnęła linkę w górę rzeki.

Wyciągnęła obciążoną nimfę z dna i zarzuciła ponownie. Jej oczy, ukryte pod daszkiem czapki, były ciemne i nieprzeniknione. W skupieniu przygryzła dolną wargę.

- Masz cierpliwość swoich przodków - powiedział Hank. - Będziesz, dobrym wędkarzem.

Twarz Casey posmutniała. Hank miał ochotę sam sobie wymierzyć kopniaka za to, że przypomniał jej ten niewygodny temat.

- Chodź - powiedział - pójdziemy dalej w górę rzeki. Dajmy odpocząć tym rybom.

Casey zrobiła krok do tyłu. Jej but oparł się o krawędź głębokiego na cztery stopy gniazda łososi. Żwir wyścielający brzeg lejkowatego gniazda obsunął się i dziewczyna zniknęła pod wartko płynącą wodą.

Lodowaty chłód zaparł jej dech w piersiach. Kiedy Hank dopadł do niej, ciężko chwytała powietrze i szamotała się, jak wyczerpany długim wodzeniem pstrąg. Wyciągnął ją i ustawił w pozycji pionowej. Objęła go w pasie, żeby odzyskać równowagę i złapać oddech. Położyła głowę na jego piersi i to dodało jej otuchy. Szukając bezpieczeństwa i pocieszenia, wtuliła się głębiej w jego ramiona.

Czuła się opuszczona i zdradzona, bo od chwili, gdy ujawniła swoje pochodzenie, Dursley ją ignorował. Kiedy nagle znalazła się pod wodą, uwięziona w mulistym żwirze, przestraszyła się. A gdy lodowata woda wdarła się do jej nosa i ust, ogarnął ją lęk, że tonie. Wszystko to sprawiło, że była wyczerpana i przerażona. Rozpaczliwie przywarła do Hanka.

- Cicho, cicho - uspokajał ją. - Zdobyłaś miejsce w drużynie pływackiej Black Legs Lodge i w nagrodę dostaniesz koszulkę.

Ośrodek przyznawał koszulki tym, którzy „pływali" w rzece. Casey uśmiechnęła się blado, zaciskając zęby, żeby przestały szczękać.

Hank obejmował ją i czuł, że dziewczyna drży. Wiedział, że musi ją rozgrzać, zanim wystąpi hipotermia. Zimny wiatr zwiększał współczynnik wychłodzenia, co w przypadku mokTego ciała oznaczało, że w niedługim czasie jego temperatura spadnie niebezpiecznie nisko.

Hank popatrzył w dół rzeki, chcąc zawołać Kit, ale była niemal poza zasięgiem wzroku. Starała się trzymać Earla i Leroya z dala od Dursleya, który przeszedł na drugą stronę rzeki i wszedł do jednego z dopływów. Wyglądało, że znalazł magazyn z pstrągiem. Chętnie zostałby tam tak długo, póki ktoś nie wyciągnąłby go na ilasty cypel na lunch.

Hank uświadomił sobie, że zostali zupełnie sami. Na wpół wyniósł Casey na brzeg, znalazł osłonięte miejsce w kępie karłowatych czarnych bzów i tam ją zostawił. Pozbierał drewno wyrzucone przez fale na brzeg i rozpalił ognisko. Wrzucił go do ognia tyle, ile tylko zdołał unieść, a potem wrócił do Casey. Kiedy biegł po kamieniach, rozpiął zamek tylnej kieszeni anoraka i wyciągnął niebieskie, ocieplane getry i specjalnie przeznaczoną na wyprawy polarne kamizelkę. Lata pracy w zawodzie przewodnika nauczyły go zapobiegliwości.

Casey siedziała na mokrym torfie. Ramionami przyciskała dygocące kolana do piersi, ale palce miała sine z zimna i zbyt zdrętwiałe, by mogła je spleść. Zrezygnowała już z próby powstrzymania się od szczękania zębami. Bolała ją żuchwa. Po jej okrągłej twarzy strumieniami płynęły łzy. Płakała, bo myślała, że już na zawsze straciła ukochanego. Bardzo cierpiała też z powodu zimna. Nie przypuszczała, że zimno może być aż tak dotkliwe. Nawet w Yorkshire, gdzie hula północny wiatr nigdy nie było jej aż tak zimno. A przecież tamten wiatr jest tak samo lodowaty i tak samo przenika do szpiku kości.

Kiedy usłyszała, że Hank wraca, zaciśniętą pięścią otarła łzy. Na policzkach zostały jednak ślady tuszu do rzęs, które wyjaśniały wszystko. Hank rzucił na nią okiem i wiedział, że muszą się pospieszyć, jeśli nie chcą, by znalazła się w szpitalu.

- Rozbieraj się - rozkazał.

Casey utkwiła w nim wzrok, ale dalej siedziała skulona, dygotała i trzęsła się jakby doznała ataku padaczki.

- Musimy cię rozgrzać i wysuszyć, Casey - wyjaśnił. Podciągnął ją do pozycji stojącej i jednym szarpnięciem rozpiął paski waderów. Gdy ją rozbierał, stała spokojnie, jak dziecko, któremu wymierza się właśnie karę. Pochylała głowę, kiedy ściągał jej nasiąkniętą wodą bieliznę. Jej piersi zwisały ciężko i swobodnie, a kremowe ciało pokrywały sine cętki. Hank rozpiął anorak, zdjął koszulę i wytarł nią włosy Casey. Potem masował jej plecy i pośladki, aż krzywiła się z bólu, a jej skóra zmieniła kolor z białoszarego, jaki mają zdychające łososie, na intensywny, soczyście różowy. Kiedy rozcierał jej pośladki i podciągał jej swoje getry wysoko, aż pod piersi, przytrzymywała się jego ramion. Choć bardzo chciał, by była już ubrana w suche ubranie i siedziała przy ogniu, nie mógł nie zauważyć, że jej brodawki sterczą z zimna, jakby niedawno ktoś je ssał.

Energicznie natarł jej piersi, a potem włożył jej przez głowę ciepłą kamizelkę. Szybko wpakował ją w swój wiatroszczelny anorak z podpinką i mruknął z zadowoleniem, kiedy zobaczył, że sięga jej daleko poza kolana. Skarpetki, pomyślał, patrząc na posiniałe stopy Casey. Cholera, nie mam zapasowej pary. Schylił się i podniósł dziewczynę, przewieszając ją sobie przez ramię z taką łatwością, jakby to był koszyk wędkarski. Zaniósł ją do ogniska i posadził tak, żeby palce u nóg znalazły się blisko płomieni.

Sprawdził kierunek wiatru i usiadł przy niej, osłaniając ją od zimnych podmuchów.

- Przepraszam, że byłam taka niezdarna - powiedziała miękko. Hank uśmiechnął się szeroko, bo zauważył, że jej policzki nabierają kolorów i dreszcze stopniowo ustępują.

- Więcej razy wpadłem do gniazd łososi niż mógłbym spamiętać - pocieszył ją, odwiązując buty i ściągając z nóg grube, ocieplane, rybackie skarpetki. Wiatr przedarł się przez cieńsze, wełniane, które nosił pod spodem, więc szybko wsunął stopy w ciepłe buty.

- Połóż mi nogi na kolanach - rozkazał. Rozmasował jej palce, aż poczuła ból, a potem założył na jej małe stopy swoje skarpetki. Sięgały jej do kolan. Pochyliła się do ognia, żeby ogrzać ręce i twarz.

Hank wykorzystał okazję i przyniósł jej ociekające wodą ubrania. Rozwiesił je na karłowatych krzewach czarnego bzu. Wykopał dołki pomiędzy kamieniami, po czym wetknął w nie dwa postawione na sztorc kawałki drewna i rozciągnął pomiędzy nimi nylonową, rybacką linkę. Casey zaczerwieniła się, kiedy wyżymał jej bieliznę i gruby sweter, a następnie wieszał je na lince, żeby wyschły. Następnie wywrócił jej wadery na lewą stronę i wyciągnął z nich buty, z których wylał wodę. Położył je na plecaku, który wcześniej postawił przy ognisku.

Podszedł do niej z termosem kawy. Kiedy metalowa nakrętka parzyła jej wargi, a para zmusiła ją do zamknięcia oczu, Casey uświadomiła sobie, jak bardzo przyjemny był dotyk rąk Hanka.

Raz jeszcze poczuła jego dłonie na piersi. Przeszedł ją dreszcz.

- Ciągle zimno, Casey? - spytał, widząc, że drży.

Skinęła głową pełna poczucia winy. Objął ją ramieniem, a wtedy ona przytuliła się do niego. Natarł jej plecy i ramię, zastanawiając się, dlaczego wydaje mu się tak naturalne, że trzyma w objęciach przyszłą żonę innego mężczyzny. Gdy tak siedział, wpatrując się w płomienie, spokój i cisza dzikiego pustkowia przeniknęły go do głębi. Już wiedział, że ta kobieta jest jego przeznaczeniem. Przepełniony czułością pochylił głowę i delikatnie pocałował jej włosy.

Choć dotyk jego warg był delikatny jak lot jętki i szybki jak uderzenie skrzydła mewy, Casey poczuła go. Uniosła ku niemu twarz. Spojrzał głęboko w jej ciemne oczy i zobaczył, że w ich miękkiej toni, a także w drżeniu pełnych warg maluje się pożądanie.

Kiedy zetknęły się ich usta, szybujący po niebie wielki bielik wydał dziki, namiętny krzyk, który zdawał się błogosławić ich miłosnemu spotkaniu. Długo nie odrywali ust, jakby chcieli zatrzymać czas. Kiedy całował Casey wsłuchany w krzyk białogłowego orła wróciły do niego słowa Trapera.

„Gdy znajdziesz kobietę, której serce bije w rytmie twojego, zatrzymaj ją. Nigdy nie pozwól jej odejść, bo na całym świecie jest tylko jedna kobieta, której serce bije tak jak twoje."

Ta drobna, śniada dziewczyna była właśnie tą, którą musiał zatrzymać przy sobie. Jej inuiccy przodkowie należeli do tej wielkiej, dzikiej ziemi, która podbiła jego serce i, niczym zazdrosna kochanka, nie chciała go uwolnić.

- Stój, niedźwiedziu - krzepki głos Earla odbił się od rzeki. Casey i Hank oderwali się od siebie. Casey otworzyła oczy. Była zupełnie oszołomiona, wyciągnęła ręce do Hanka, by zatrzymać go przy sobie. Przez chwilę przytrzymał jej dłonie, po czym odszedł w stronę ogniska. - Nadchodzą pozostali, Ticasuk - ostrzegł, nazywając ją odziedziczonym po przodkach imieniem.

Casey uśmiechnęła się, a Hank pragnął przytulić ją do siebie, by znów poczuć miękkość jej warg i ciężar jej piersi, mocno napierających na jego ciało. Zamiast tego wstał, podszedł do prowizorycznego sznurka na bieliznę i przewrócił jej ubrania na drugą stronę. Casey wrzuciła resztkę drewna do ognia i wstała.

- Co tu się dzieje? - zapytał Leroy, kiedy wszyscy troje przedarli się przez karłowate wierzby i krzewy czarnego bzu i znaleźli się na otwartej przestrzeni nad rzeką.

- Wygląda to jak targowisko w Delhi w dzień powszechnego prania - zauważył Earl.

Kit szybko oceniła sytuację. Szybko zauważyła, jakie ubrania Casey wiszą na lince i schną, a jakie ubrania Hanka dziewczyna ma na sobie. Jej oczy zwęziły się. Być może miała rację - być może Casey stanowiła zagrożenie.

Casey stała odwrócona do nich plecami, udając, że suszy włosy. Hank wykręcił wodę z jej skarpetek, zanim z powrotem powiesił je na linie.

- Niedźwiedzie? - spytał, nie podnosząc głowy znad sznurka z bielizną.

- O, nie - odparł Earl. - Po prostu śpiewam tę starą piosenkę rybaków, na wypadek gdyby jeden z nich spał gdzieś tutaj w pobliżu.

- Jak wam poszło łowienie? - zwrócił się do Kit, odwracając się do nich przodem. Był pewien, że Kit wyczyta z jego twarzy miłość do Casey, i oczywiście poczucie winy.

- Nieźle - odparła, przyjrzawszy mu się badawczo. Nie znalazła jednak w jego twarzy nic niepokojącego. - Earl złapał cztery dobre ryby, a Leroy trzy.

- Pięć - poprawił ją Leroy.

- Mówiłam o dobrych - odparła Kit.

Hank patrzył rozbawiony, jak Leroy od razu spuścił z tonu. Niewielu potrafi stawić czoło Kit - pomyślał. No, przynajmniej niewielu rozsądnych. Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby jej powiedział o Casey. Wolał jednak tego uniknąć, więc uraczył ich opowieścią o nieszczęśliwym wypadku Casey.

- Pewnie istnieje jakiś łatwiejszy sposób badania gniazd łososi - żartował Earl.

- Po prostu chciała zdobyć koszulkę - powiedział Leroy - a ma czym ją wypełnić. - Skrzywił się na wszelki wypadek, bo Earl ociężale ruszył ku niemu. - Daj spokój, Earl - jęknął - mam tylko dwa kolana, a nie jestem specjalnie dobry w chodzeniu na rękach.

- To uważaj co mówisz - ostrzegł Earl.

Casey roześmiała się czystym, zaraźliwym śmiechem. Hank był zaskoczony, że, gdy w końcu się odwróciła, na jej twarzy nie było śladu winy czy niepokoju.

- Dziękuję ci, Earl - powiedziała. - To dobrze, że mam takiego dżentelmena, który dba o mój honor. - Earl dumnie wypiął pierś, a Leroy się najeżył. - Ale właściwie to Leroy ma rację. Wyobraźcie mnie sobie, jak potykam się o skały, a napis „Wędkarska Drużyna Ośrodka Black Legs" trzęsie się na moich piersiach jak galareta.

Earl szybko chwycił dowcip i jego tubalny śmiech dołączył do czystych, wysokich tonów śmiechu Casey. Nawet Kit się roześmiała. Hank rozluźnił się i szeroko się uśmiechnął.

- Dobrze, że ryby pod wodą tylko dobrze widzą, a nie słyszą - powiedział Dursley, przechodząc przez rzekę, by do nich dołączyć. Na jego widok Casey pobladła.

Zrozumienie, co znaczą mokre ubrania zawieszone na lince, ognisko i Casey, okutana w odzież Hanka, zajęło Dursleyowi kilka minut.

- Dobrze się czujesz, Casey? - zapytał. Dziewczyna głośno przełknęła ślinę, pewna, że Dursley wyczyta wszystko z jej oczu. Spuściła wzrok i skrzyżowała ręce na piersiach, bo kolejny atak dreszczy wstrząsnął jej ciałem.

- Casey wpadła do gniazda łososi - szybko wyjaśnił Hank, dając jej trochę czasu, by doszła do siebie. - W tej lodowatej wodzie jest to bardzo nieprzyjemne i niebezpieczne. Ale wydaje mi się, że ją rozgrzaliśmy. Ubrania już prawie wyschły.

Nagle Dursleya ogarnął niepokój. Ta kobieta - blada i milcząca, która stoi przy ognisku, nie jest tą żywą, radosną Casey, którą znał.

- Nic jej nie będzie? - zapytał z niepokojem, wyobrażając ją sobie chorą na zapalenie płuc.

- Z całą pewnością - pocieszyła go Kit, starając się rozładować napięcie.

Dursley nagle uświadomił sobie, że jeśli coś złego stanie się Casey, w jego życiu na zawsze pozostanie bolesna pustka. Ku swemu zaskoczeniu zdał sobie sprawę, że kocha ją tak bardzo, że gotów jest pogodzić się z jej pochodzeniem. Kiedy patrzył na małą, dygocącą postać, która w zielonym anoraku Hanka wydawała się jeszcze mniejsza, ogarnęło go obrzydzenie do siebie samego. Zawstydził się, że nie zwracał na nią uwagi i egoistycznie spędził cały ranek na samotnym łowieniu ryb, tak daleko od niej, jak tylko było to możliwe. Wetknął wędkę między gałęzie wierzby. Żółte liście zatrzepotały i miękko spadły na szare kamienie.

- Bąbelku - powiedział cicho, kiedy stanął przy niej. Jego głos był teraz zatroskany i pełen miłości. - Przepraszam, że nie było mnie przy tobie.

Objął ją ramieniem i przebiegł palcami po jej włosach, wygładzając wilgotne, splątane kosmyki. - Tak bardzo cię kocham - wyszeptał, całując ją w szyję, za uchem. - Tak bardzo cię potrzebuję.

Casey oparła głowę o jego ramię. Czuła się rozpaczliwie zmęczona i skonsternowana. Dursley dawał jej poczucie bezpieczeństwa, ale wiedziała, że musi należeć do Hanka. Ciche łzy szybko przeszły w rozdzierający szloch. Dygotała tak samo gwałtownie jak wtedy, gdy podmuchy jesiennego wiatru zamieniały wodę na jej ubraniu w warstewkę lodu.

- Cicho, cicho, maleństwo - uspokajał Dursley, kołysząc ją delikatnie. - Już dobrze, wszystko już dobrze.

Nie, nie - szlochała bezgłośnie Casey. - Nic już nigdy nie będzie dobrze. Nie mogę za ciebie wyjść. Muszę ci o tym powiedzieć, a nie chcę sprawiać ci bólu. Wiem, że chociaż ciągle cię kocham, muszę być z Hankiem.

Splątane myśli błądziły po jej głowie. To niemożliwe, żeby można było kochać dwóch mężczyzn, przekonywała siebie samą, szukając ratunku w ramionach Dursleya, ale ja kocham ich obu. Mogłabym być z Dursleyem i mogłabym być szczęśliwa, ale wiem, że nie potrafię żyć bez Hanka.

Hank obserwował, jak Dursley przytula i uspokaja Casey i chciał krzyknąć:

- Zostaw ją w spokoju. Jej miejsce jest w moich ramionach. To ja powinienem ją pocieszać, nie ty! Lecz ten nie chciany intruz - głos rozsądku - kazał mu milczeć.

A kiedy zobaczył, że kładzie głowę na ramieniu narzeczonego, przez głowę przemknęła mu przerażająca myśl, że może ich niedawne uściski i pocałunki znaczyły więcej dla niego niż dla niej. Casey miała właśnie zostać hrabiną Edbury i korzystać ze wszystkich przywilejów towarzyszących jej nowej pozycji społecznej. On mógł zaoferować jej tylko zimy na Alasce i skromne mieszkanie w Londynie. Znajdowało się na najwyższym piętrze domu towarowego, którego okna wychodziły na Tamizę. Okolica nadawała się do zamieszkania, lecz daleko jej było do wytworności. Latem mógłby zabierać ją na Alaskę, gdzie zbierał ilustracje do książki, którą zleciło mu pewne wydawnictwo w Londynie. Wydawca oczekiwał pełnego kompendium, a sądząc po wysokiej zaliczce, jaką mu wypłacili można było im wierzyć.

Hank zdawał sobie sprawę, jak niewiele może jej dać w porównaniu z tym, co mógł zaoferować Dursley Carrington, szósty lord Edbury.

Odwrócił się, by nie patrzeć na Casey wtuloną w Dursleya. Wziął się za sprawdzanie i wymianę przynęt przy wędkach Earla i Leroya. Kit zajęła się mokrymi rzeczami i stała teraz przy ognisku, wymachując grubymi, niebieskimi getrami Casey.

- To twój klient wykąpał się w gnieździe nerki - krzyknęła do Hanka - więc ty stawiasz obiad i drinki, kiedy będziemy w Anchorage.

- W Anchorage? - zdziwił się Leroy. - Myślałem, że zostaniemy tu jeszcze przez dziewięć dni.

- Zostaniemy, Leroy, ale Stewart podczas weekendu leci do Anchorage, żeby zabrać stamtąd drugą kucharkę, która będzie pomagać Angeli. Polecimy z nim razem z Hankiem.

Zanim Leroy zdążył zaprotestować, Kit ciągnęła dalej:

- Przez ostatnie trzy miesiące nie mieliśmy dnia wolnego. Nie będzie nas tylko przez trzy dni. Kiedy wrócimy, to ty mnie będziesz uczył łowić ryby. Bill i Len to fantastyczni przewodnicy. - Uśmiechnęła się do Leroya, a jego nachmurzona twarz rozpogodziła się.

Earl podniósł wzrok, podczas gdy Hank w milczeniu pracował przy jego lince prowadzącej.

- To znaczy, że mamy widoki na rzekę Heartbreak* w towarzystwie Billa i Lena - powiedział, uśmiechając się szeroko do Kit.

- Heartbreak! - Dursley wciąż trzymał Casey za rękę, ale odwrócił się w stronę pozostałych.

- To rzeka, którą pokochacie - powiedziała Kit. - Tworzy wspaniałe wodospady, a potem rozszerza koryto i zwodniczo spokojnie płynie dalej. Można tam znaleźć ryby leżące za skałami, albo przy brzegach, poza głównym nurtem. Jeśli uda wam się schwytać jednego z tych olbrzymów, łowienie pstrągów już nigdy nie będzie dla was tym, czym było dotąd.

Przewodnicy uwielbiali tę pełną zasadzek rzekę i strzegli jej zazdrośnie. Zabierali tam tylko wybranych klientów. Złowione w niej ryby zdobywały nagrody na konkursach, a Heartbreak wystawiała na próbę zarówno umysłowe, jak i fizyczne umiejętności każdego, kto ośmielił się w niej łowić. Po dniu spędzonym na zmaganiach z rzeką, wędkarze byli na ogół w złym humorze. Jedynie najbardziej doświadczeni marzyli o Heartbreak. Kit kochała namiętnie te dzikie ryby i tę dziką rzekę.

- Bill i Len mówią, że w tym sezonie to chyba ostatnia wyprawa na Heartbreak - powiedział Hank z nadzieją, że w ten sposób przekupi grupę i zapomną o oburzeniu, że przewodnicy zostawiają ich na kilka dni.

Myśl o tym, że aż do przyszłego roku nie będzie mogła łowić w Heartbreak, wstrząsnęła Kit. Uświadomiła sobie, że pragnie tylko jednego - spędzić nadchodzący weekend nad tą rzeką, a nie w Anchorage. Zanim ośrodek zostanie zamknięty na zimę, spędzi z Hankiem jeszcze pięć tygodni... Wygląda na to, że będzie wczesna zima, a to znaczy, że pogoda się załamie i Heartbreak stanie się niedostępna. Muszę łowić ryby w Heartbreak z Billem i Lenem. Stewart może sam przywieźć tę kucharkę. Podniosła wzrok, bo Casey kaszlnęła. Kąciki jej oczu zmarszczyły się w uśmiechu.

- Casey - powiedziała - może ty byś poleciała ze Stewartem do

* *Heartbreak* - w dosłownym tłumaczeniu „Łamacz serc".

Anchorage po tę nową kucharkę? Krótka przerwa dobrze ci teraz zrobi. Pochodź po sklepach... Sprawdź, czy potrafisz wyciągnąć całą forsę z karty kredytowej Amex Dursleya.

- Nie lubię robić zakupów - powiedziała Casey. Wszyscy się roześmieli.

- Co?! - wykrzyknęła Kit, której drugą po łowieniu ryb namiętnością były zakupy. - Masz złotą kartę i nie lubisz jej używać? Casey, nie wierzę ci.

- Gdyby ktokolwiek był tak szalony, żeby dać Kit złotą kartę w jednej chwili zrezygnowałaby nawet z łowienia ryb - dodał Hank.

- Możesz także spróbować wykorzystać moją kartę, Bąbelku - powiedział Dursley. - Przydałby mi się ocieplacz na szyję. Ten wiatr zna tajemnicę przedzierania się przez zamki błyskawiczne i paski typu Velcro.

Pierwszą reakcją Casey był sprzeciw. Przecież nie stało się nic takiego, po prostu wpadła do rzeki... Kiedy Dursley wypuścił ją z objęć i czekał na odpowiedź, przypomniała sobie lodowatą wodę i silny, przenikliwy wiatr. Kilka dni z dala od rzeki wydało jej się teraz bardzo kuszącą propozycją.

- Czy Stewart nie będzie miał nic przeciwko temu? - zapytała. Poczuła nagle wielką ochotę na takie luksusy, jak masaż i sauna, z których będzie mogła skorzystać w hotelu Kapitan Cook w Anchorage.

- Jasne, że nie - odparła Kit - i pewnie poleci przez przełęcz Lakę Clark. Oglądanie lodowców i gór z tej wysokości to przeżycie, którego nigdy nie zapomnisz.

- Szczególnie jeśli na rozwidleniu przełęczy pilot skręci w niewłaściwą odnogę i polecicie po wschodniej stronie, zamiast po zachodniej - albo może odwrotnie? - spytał Leroy. Udał, że nie widzi dezaprobaty malującej się na twarzy Kit. - Skończycie na tym, że będziecie lecieć pionowo, bo inaczej się nie da. A potem już tylko skalne i lodowe ściany będą wznosić się przed wami w górę na tysiące stóp. Samolot zamarznie i zostanie w górach na zawsze - zamilkł. Powtarzał zasłyszaną kiedyś historię o zarozumiałym młodym pilocie, który poleciał przez przełęcz, wbrew wszelkim radom, i skręcił w odnogę, prowadzącą tylko do śmierci.

- Stewart ma za sobą kilka tysięcy godzin spędzonych w powietrzu - wtrącił Hank, widząc, że Casey zbladła, a Dursley wygląda na zaniepokojonego. - Przeleciał także dziesiątki razy przez przełęcz Lakę Clark. Nie musi niczego dowodzić....

- Z nim jako pilotem jesteś absolutnie bezpieczna - powiedziała Kit, przesuwając się w stronę Leroya. Leroy uznał, że musi koniecznie wyjść do toalety, by uniknąć jej ostrego języka. - Przelot przez przełęcz to przeżycie, którego nie możesz przegapić, Casey. Stewart z przyjemnością poleci w twoim towarzystwie - skłamała. - Bez Hanka, albo beze mnie nie miałby z kim pogadać.

Hank słuchał Kit, ale zamiast razem z nią żartować z Casey - milczał. Problem, z którym zmagał się od chwili, gdy usłyszał, że podczas weekendu klienci mają łowić w rzece Heartbreak, został rozwiązany.

- Wobec tego zostawię ciebie, Billa i Lena, żebyście zabrali *mężczyzn* do Heartbreak - powiedział. Kit uniosła brwi, ale zanim zdążyła się odezwać, dodał:

- Jeśli nie jedziesz do Anchorage, to skorzystam z okazji i polecę do Barrow, by spędzić kilka dni z Traperem Jackiem. Obiecałem staruszkowi, że go odwiedzę przed końcem sezonu.

Kit uspokoiła się. Stewart wynajmie dla Casey pokój w hotelu Kapitan Cook w centrum Anchorage. Hank będzie bardzo daleko - w osadzie Inuitów na krawędzi paku lodowego, w najdalej na północ wysuniętym ludzkim osiedlu w Ameryce.

Było to niegościnne, wietrzne i zimne miejsce. Kit nigdy nie mogła zrozumieć fascynacji Hanka tym krajem wiecznej zmarzliny. Ziemia jest tu przez cały rok zmarznięta. Tylko powierzchniowa warstwa grubości kilku cali topnieje podczas krótkiego lata i zamienia się w rozmokłe błoto. Hank zdawał się nie dostrzegać smutne osady drewnianych budynków. Nie zwracał uwagi na zardzewiałe części maszyn i walające się wokół żelastwo. Kiedyś powiedziała Hankowi, że Barrow to wielkie wysypisko śmieci całej Alaski. Nigdy więcej nie powtórzyła tego błędu.

- Będę czuł się znacznie lepiej, jeśli ty i Stewart zarezerwujecie dla Casey apartament w hotelu i wynajmiecie samochód z kierowcą na czas jej pobytu - powiedział Dursley.

Casey zawsze czuła się zażenowana, kiedy Dursley mówił o apartamentach i samochodach z kierowcami w towarzystwie ludzi, którzy zatrzymywali się u znajomych i jeździli autobusami, a nie taksówkami. Wiedziała jednak, że to po prostu jego normalny standard życia i że nie robi tego ostentacyjnie.

Leroy i Earl bez wątpienia byli bogaci, ale Hank i Kit - nie. Casey miała ochotę ich przeprosić. Popatrzyła na Hanka, ale on był zajęty tłumaczeniem Leroyowi, że bezładne szarpanie poplątanej linki wcale nie ułatwia rozsupłania węzła. Wydawało się, że Leroy słucha w skupieniu, lecz Hank dobrze wiedział, czym to się skończy. Gdy Leroy podczas rzutu do tyłu znowu opuści dłoń w nadgarstku i machnie linką z haczykiem w wysokie trawy, to tak jak zwykle, zapominając o jego wskazówkach, zacznie targać nią z wściekłością i przeklinać ciasno splątany nylonowy węzeł.

Casey oderwała od nich wzrok i stwierdziła, że Kit bacznie się jej przygląda.

- Hankowi dopiero niedawno udało się mnie nauczyć, żebym nie opuszczała dłoni podczas rzutu wstecznego - powiedziała z szerokim uśmiechem - to taka radość nie musieć odkładać wędki po każdym rzucie i wracać w trawę, żeby wyplątać linkę z kłosów nasiennych.

Kit odpowiedziała uśmiechem. Hank nigdy by się nie zainteresował kimś takim, kto wywraca się w rzece i łowi trawę na haczyk. Tak frustrująca nieudolność doprowadziłaby go do szału. Zawsze było dla niego czymś

niewytłumaczalnym, dlaczego klienci z tak łatwego zajęcia, jakim jest łowienie ryb robią niesamowicie skomplikowane zadanie, wprost ponad ich siły. Stwierdziła, że może się rozluźnić i w spokoju łowić ryby w Heartbreak. Jej matka, świadoma odpowiedzialności, jaką jest wychowanie pięciu atrakcyjnych córek, całymi dniami nie szczędziła im przestróg i ostrzeżeń dotyczących mężczyzn.

„Pamiętajcie dziewczęta, że dziewczyna, którą lubią zarówno mężczyźni, jak i kobiety, nigdy nie jest zagrożeniem. Wasz mężczyzna jest z nią bezpieczny. Strzeżcie się tych, które nie mają przyjaciółek."

Casey słuchała, jak Kit i mężczyźni dyskutują o technikach łowienia stosowanych na Heartbreak.

- Dobrze się stało, że nie będzie mnie z wami - powiedziała. - Czy możecie mnie sobie wyobrazić w takiej rzece? Wiatr by mnie przewrócił. Wszyscy się roześmieli.

Kit uśmiechnęła się do Casey.

- Jutro pokażę ci uzdrowisko dla pstrągów. Są tam ryby, na widok których Earl i Leroy pozielenieją z zazdrości, jak grzbiety nerek. A teraz chodźmy spać.

Dziewczęta zostawiły mężczyzn, którzy rozkoszowali się jeszcze ostatnim cygarem. Kiedy Kit i Casey szły w kierunku swoich chatek, dwaj mężczyźni przyglądali się jednej z nich jeden z miłością, a drugi - z nadzieją.

Noc poprzedzająca lot do Anchorage wydawała się Hankowi wiecznością. Został sam na pomoście, długo po zapadnięciu ciemności. Siedział, słuchając dzikiego, samotnego krzyku nurów na jeziorze. Dopiero wtedy, gdy wąska wstążka szafranu, znacząca linię między niebem a ziemią, rozpłynęła się w nicości, a woda połączyła się z lądem, wstał z leżaka i, szurając butami po żwirowej ścieżce, poszedł do swojej chatki.

Kit leżała na boku, dłonie miała wciśnięte między kolana, jak dziecko, które nie chce zmarznąć. Hank wśliznął się do łóżka, ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Leżał, słuchając jej oddechu i dręcząc się poczuciem winy. W końcu pukanie do drzwi, zwiastujące nowy dzień, położyło kres jego udręce. Nie umiał rozwiązać swojego nowego problemu, który wtargnął w jego życie w czasie, gdy nie chciał żadnych zobowiązań.

Spojrzał na leżącą przy nim Kit. Tęsknił za czarnymi, gęstymi i błyszczącymi włosami, rozrzuconymi na poduszce. Nie chciał tych delikatnych i jasnych. Pragnął pieścić piersi miękkie i ciężkie, a nie te małe i twarde. Pragnął kobiety, która mogła zwinąć się przy nim w kłębek, tak by mógł ją ukryć w ramionach, a nie tej, której głowa i palce u nóg były w tym samym miejscu, co jego. Całe jego ciało boleśnie pożądało Casey.

- Będziesz za mną tęsknił? - spytała Kit, ziewając i przeciągając się leniwie.

Hank wzdrygnął się. Nie wiedział, że Kit nie śpi, ale przygląda mu się badawczo.

- Jasne - odpowiedział automatycznie, podnosząc jej nogę, która leżała w poprzek jego nagiego ciała.

- To udowodnij - roześmiała się Kit i, szybciej niż niedźwiedź rzucający się na łososia, usiadła na nim okrakiem.

- Kit, nie ma czasu... - Ale jego protesty wkrótce ucichły i zastąpiły je nierówne oddechy, kiedy dziewczyna rytmicznie poruszała się na nim. Dotyk jego szorstkich włosów na wewnętrznej stronie ud podniecił ją, a palce Hanka zagłębiły się w jędrne ciało na jej pośladkach, gdy i jego zmysły zareagowały.

- Lepsze niż łowienie ryb, co? - powiedziała Kit, przekręcając się na plecy, a jej szczupłe, muskularne ciało pokryte było mgiełką potu.

Hank uśmiechnął się do niej, ale milczał. Potrzebował gorących ukłuć wody pod prysznicem, by zmyć z siebie winę. Czuł się tak, jakby zdradził Casey. Budziło to w nim obrzydzenie. Nawet świadomość, że ona najprawdopodobniej leży teraz skulona w ramionach Dursleya, nie mogła sprawić, by poczuł się lepiej.

Kit uśmiechała się tajemniczo, gdy patrzyła, jak Hank ubiera się i pakuje swój podręczny bagaż na wyprawę do Barrow. Widziała, że jest przygnębiony i smutny. Cieszyła się, że będzie za nią tęsknił. - Pod koniec sezonu nie będziesz mógł się ze mną rozstać - pomyślała. W milczeniu rozkoszowała się tą myślą. - Jeżeli zostawienie mnie na kilka dni tak bardzo cię unieszczęśliwia, to na pewno mnie kochasz. - Naciągając na siebie kolejne warstwy ciepłej bielizny, podśpiewywała wesoło. Heartbreak była zimną, bezlitosną rzeką, więc trzeba się było dobrze przygotować.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jesienią wierzbówki wybuchają białymi puszystymi kłębkami. Owoce jarzębiny pokrywają ziemię bujnym, krwistoczerwonym kobiercem. Czarno-białe świerkowe lasy grzmią rykiem łączących się w pary łosi.

Te ogromne zwierzęta są najpotężniejszymi przedstawicielami rodziny jeleniowatych. W kłębie są wyższe od dorosłego mężczyzny. Rozpiętość ich rogów jest porównywalna z długością ciała mężczyzny, a ważą tyle, co wielki niedźwiedź grizzly.

Samiec łosia stał na krawędzi połyskującego w słońcu świerkowego lasu. Jego śmiesznie wielki nos, jak u klauna, nadawał mu pozornie dobroduszny wygląd, w niczym nie odpowiadający okrucieństwu zwierzęcia. Niedawno starł sobie aksamitną skórę z rogów; leżała teraz w krwawych strzępach na ziemi i kłakami oblepiała pnie drzew. Rogi miał więc naostrzone. Przestał jeść i był gotów do walki o prawo do pokrycia samicy. Jego ryki odbijały się echem od okolicznych wzgórz - odpowiedział na nie drugi samiec. Konkurent. Oba byki stały teraz naprzeciwko siebie.

- Spójrz na dół! - powiedział Stewart, żywo gestykulując. Wprowadził właśnie samolot w ostry zakręt. Casey przyzwyczaiła się do patrzenia wzdłuż skrzydła samolotu, pionowo w dół. Nie przywierała już do siedzenia ze strachu, że za chwilę wyleci przez okno.

- Łosie! - krzyknął jej do ucha Hank. Casey poczuła na policzku jego oddech, ciepły i wilgotny. Siedziała bez ruchu, spokojna jak sama cisza, byleby tylko nie odsunął się od niej.

A Hank modlił się, żeby te dwa łosie nie odeszły w inne miejsce i żeby Stewart krążył samolotem zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Mógłby wtedy pochylić się w stronę Casey, by na nie patrzeć.

- Są ogromne - powiedziała, przypatrując się obu samcom.

- To największe jeleniowate na świecie - wyjaśnił Hank. - Zmieściłabyś się pod jego brzuchem, stojąc na wyprostowanych nogach.

Byki rzuciły się na siebie. Zwarły się z trzaskiem rogami. Casey była pewna, że słyszy odgłosy walki poprzez ryk samolotu.

Stewart zakołował niżej i większy łoś potrząsnął gniewnie głową w kierunku samolotu.

- Nie chciałbym się z nim spotkać nad strumieniem - powiedział Hank.

Mniejszy łoś szybko skorzystał z okazji, że przeciwnik na chwilę odwrócił od niego uwagę i wymknął się do lasu, poszukać słabszego konkurenta albo innej samicy.

- Łebski chłopak - uśmiechnął się szeroko Hank, kiedy Stewart wyprostował samolot - będzie żył, więc stoczy jeszcze nie jedną walkę.

Casey siedziała z nosem przyciśniętym do szyby i patrzyła, jak rozgniewany samiec kopie mech i potrząsa rogami, głośnym rykiem rzucając wyzwanie nieznanemu potworowi na niebie.

- Czy one walczą na śmierć i życie? - spytała, odwracając się nagle do Hanka. Jej włosy musnęły jego twarz, gęste i ciemne, jak czarna zasłona używana podczas zaciemnienia. Hank miał ogromną ochotę zanurzyć w nich twarz i przytulić Casey. Ale z doświadczenia wiedział, że Stewart ma oczy z tyłu głowy, gdy tylko tego potrzebuje. Znał też jego niezłomne poglądy na temat bliższych związków personelu z klientami.

Hank wzdrygnął się na samą myśl o reakcji Stewarta na informację, że jeden z jego pracowników się zakochał, albo że się związał z przyszłą księżną. Już widział, jak wszystkie ośrodki rybackie na Alasce są dla niego zamknięte. Stewart użyłby wszelkich wpływów, żeby dać wyraz swemu oburzeniu, że z powodu skandalu raz na zawsze stracił klientów z wyższych sfer.

- O czym myślisz? - spytała Casey, usiłując rozstrzygnąć, czy oczy Hanka są dzisiaj brązowe, czy zielone.

Hank przełknął ślinę, nim odpowiedział. Uznał, że to będzie dobra chwila, by przedstawić jej swoją propozycję, bo warkot silników zagłuszał ich głosy.

- Ticasuk - powiedział. Casey poczuła, że fala gorąca zalewa jej twarz i szyję. To imię przywołało pamięć tej cudownej chwili przy ognisku. - Pojedź ze mną do Barrow. To jedna z największych stałych osad Inuitów na Alasce. Być może dowiesz się czegoś o swoich przodkach - dodał, by ją zachęcić. - Mieszka tam mój stary inuicki przyjaciel, Traper Jack. Opowiada fascynujące historie o Inuitach, przekazywane w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie. Będzie pewnie jeszcze w obozie łowieckim - pokaże ci edredony i zwierzęta, które upolował. To jego zapasy na długą zimę. Opowie ci o innej Alasce - o ciężkiej, przygnębiającej, niekończącej się zimie, kiedy słońce nie wschodzi przez siedemdziesiąt dni. O ziemi, na której temperatury mogą się utrzymać na poziomie minus czterdziestu pięciu stopni Fahrenheita przez tydzień albo dłużej. O czasie ciemności, kiedy ludzie odchodzą od zmysłów, bo tak bardzo potrzebują światła. -

Hank zauważył, że Casey się waha, więc mówił dalej. - Traper Jack opowie ci o tundrze. O siedemdziesięciu tysiącach mil kwadratowych monotonnej równiny. O tym miejscu, w którym latem jest tak pięknie, ale w .zimie znajdziesz tylko niegościnną ponurość, smaganą przez huraganowe wiatry.

Casey wzdrygnęła się na myśl o życiu w pozbawionym światła i ciepła bezkresnym lodowym kraju. *

- Opowie ci o „perlerorneq".
- Co to jest? - zapytała Casey, zaintrygowana tym dziwnym słowem.
- To słowo w języku Inuitów oznacza straszliwą depresję, wywoływaną przez zimę polarną - wyjaśnił Hank.
- Och, bardzo chciałabym polecieć z tobą do Barrow, ale nie mogę - powiedziała Casey. - To nie byłoby w porządku.
- Czy wiesz cokolwiek o swoich przodkach? - nalegał Hank. - Kiedy jeszcze będziesz miała okazję, by zobaczyć miejsce, skąd pochodzisz, wsłuchać się w nie, poznać? Nie masz pojęcia o swoim dziedzictwie. A to dziedzictwo, z którego powinnaś być dumna. - Zauważył, że Casey się waha. - Kiedy wrócimy, możemy powiedzieć Dursleyowi, że chciałaś dotrzeć do korzeni, i tak się szczęśliwie złożyło, że mogłaś się ze mną zabrać. Nie musimy jeszcze nic mówić Stewartowi - dodał pospiesznie. - Mój samolot do Barrow odlatuje dzisiaj, ale dopiero później.

Hank uśmiechnął się do niej szeroko. Casey nagle wybuchnęła śmiechem, bo poczuła się wolna i szczęśliwa.

- Właściwie dlaczego nie? Wiesz, że nie lubię robić zakupów, więc zwagarujmy z hotelu Kapitan Cook - powiedziała.
- Zameldujemy cię w hotelu, pożegnamy ze Stewartem i zjemy lunch w Crow's Nest. Znam kapitana, więc będziemy mieli dobry stolik, przy oknie. Jeśli dopisze nam szczęście, zobaczymy wieloryby w zatoce.

Hank przerwał i przeczesał swoją krótką brodę palcami.

- Nigdy nie pamiętam czy okna restauracji wychodzą na Turnagain, czy na Knick Arm - roześmiał się. - Najpewniej wychodzą na Zatokę Cooka - powiedział bez przekonania.
- James Cook zostawił po sobie ślady na całym świecie - uśmiechnęła się szeroko Casey. - Jakby to powiedział Earl? - nie wszyscy Angole są bezużyteczni.

Roześmiali się w tej samej chwili. Teraz, kiedy już podjęła decyzję, Casey cieszyła się na wyjazd do Barrow. To był doskonały pretekst, by spędzić kilka dni tylko z Hankiem. Chciała go lepiej poznać, z dala od rzek i wędkowania.

- Po lunchu, na którym, mam nadzieję, skosztujemy gigantycznego kraba królewskiego, wymeldujemy cię z hotelu i wyruszymy na lotnisko.

Casey była tak pochłonięta słuchaniem Hanka, że nawet nie zauważyła, że samolot się wznosi. Wyciągnęła rękę i odwróciła od siebie mały, okrągły wywietrznik w oknie. Wiało jej prosto w twarz, poczuła łzy płynące z oczu.

Siedziała teraz w milczeniu, przygnieciona majestatem niebiesko-bia-

łych gór, wznoszących się aż do nieba. Słońce wypolerowało śnieg na szczytach, tak że raziły oczy blaskiem i jasnością. Dla kontrastu, szczeliny i doliny, otulone stromymi zboczami, były w kolorze indygo i antracytu, groźne i posępne.

Stewart wmanewrował samolot w wyłom w grzebieniu górskim i Casey aż dech zaparło, bo wydawało jej się, że końce skrzydeł musnęły w przelocie postrzępione, czarne skały, wynurzające się ze śniegu. Wyjrzała przez okno w dół i szybko cofnęła głowę. Miała wrażenie, że góry spadają wprost do skalistej doliny. Miejsce to wyglądało przerażająco, przypominało łoże fakira, wybite gwoździami. Wiatry ułożyły śnieg w niebotyczne fale, gdzieniegdzie przysłaniały go gładko i płasko, jakby ktoś rozciągnął na zboczach gór świeżo wykrochmalone prześcieradło.

Uśmiechnęła się słabo do Hanka, gdy jej oczy napotkały jego wzrok. Gdyby tylko znała przerażającą potęgę i piękno przełęczy Lakę Clark, wolałaby zostać w ośrodku. Była pewna, że w porównaniu z tymi potężnymi siłami przyrody, rzeka Heartbreak przypomina cichy, wiejski strumyczek w Anglii.

Stewart kluczył pomiędzy wznoszącymi się wysoko górami, otaczającymi przełęcz, położoną na wysokości ośmiu i pół tysiąca stóp. Kiedy samolot pikował i przechylał się na boki, Casey czuła zawroty głowy. Zamykanie się i otwieranie smaganych wiatrem grzebieni i wąwozów, migotanie oślepiającej bieli, bladego błękitu i czerni, przyprawiało ją o mdłości. Miała wrażenie, że znalazła się w gabinecie krzywych luster, gdzie przy każdym ruchu obrazy wirują i uciekają.

Przez chwilę przymknęła oczy, by nie myśleć o tych niewiarygodnych siłach, które wzniosły, a potem rozłupały te niebotyczne szczyty.

- Popatrz na prawo! - wykrzyknął Stewart, zdejmując słuchawki i odwracając się do tyłu. - Jesteśmy teraz przy tym rozwidleniu. Dwie odnogi - wschodnia i zachodnia. Ta prowadzi donikąd — powiedział, wskazując na jedną z nich. - To Zakręt Śmierci. — Roześmiał się i przebiegł wzrokiem tablicę rozdzielczą. - Na oko nie ma istotnej różnicy między tymi odnogami, prawda? Kiedy się już tutaj jest, łatwo zrozumieć, dlaczego ci nieszczęśnicy wybierają drogę do piekła.

Z powrotem założył słuchawki na uszy, sygnalizując tym samym, że skończył rozmowę. Uprzedził pytanie Casey, skąd wie, że skręcił we właściwym kierunku.

Napięła pas bezpieczeństwa, żeby spojrzeć do tyłu. Długie, popękane ściany śniegu i lodu wydawały jej się jednakowe. Stłumiła lęk i siedziała w milczeniu, skubiąc paznokcie. Szukała pocieszenia w tej dobrze znanej czynności, a tymczasem samolot pikował i wznosił się w budzących grozę ewolucjach.

- Początek nowego lodowca - powiedział Hank, wykorzystując okazję, by położyć głowę przy jej głowie i wdychać ciepły, perfumowany zapach jej ciała.

Casey spojrzała przed siebie, w kierunku, który wskazywał Hank. Na kilka minut zapomniała o strachu. Podziwiała ogromną rzekę czystego, turkusowego lodu, władczo przepychającego się przez góry, żłobiącego doliny, wypełniającego rozpadliny. Lodowiec poruszał się powoli, wciąż naprzód i w dół, i tylko wieczność mogła zmierzyć jego pochód.

- Mamy ich na Alasce kilka tysięcy.

Wysoko ponad inne szczyty, wznosił się Mount Iliamma. Sięgał trochę powyżej dziesięciu tysięcy stóp. Casey żałowała, że nie może zatrzymać czasu i na zawsze utrwalić w pamięci majestatu przełęczy Lakę Clark. Hank coś mówił, ale ona go nie słyszała. Jak w ekstazie, wpatrywała się w bezgraniczną potęgę i wzniosłość przyrody. Miała ochotę przytulić to piękno i na zawsze zatrzymać je dla siebie.

O wiele za szybko góry złagodniały. Docierali do płaskiej równiny, otaczającej Anchorage. Od wschodu ograniczały ją góry Cughach, widoczne z oddali jako ciemna, rozmazana plama goryczkowego fioletu.

Casey znów przez chwilę poczuła się winna. Stewart okrążał właśnie jezioro Hood, czekając na pozwolenie lądowania.

Zmagała się z głosem sumienia, który ciągle przypominał jej, że przyjęła oświadczyny Dursleya, a zatem była jego kobietą. Próbowała przekonać siebie samą, że ponieważ w jej żyłach płynie inuicka krew, wycieczka do Barrow jest w jej przypadku czymś zupełnie naturalnym. Tymczasem Hank z zainteresowaniem przyglądał się stojącym wzdłuż brzegu jeziora wielobarwnym hydroplanom, kolorowym jak pudełka bożonarodzeniowych petard. Gdy na niego spojrzała, wiedziała, że to z jego powodu jedzie do Barrow.

Własna obłuda przyprawiała ją o mdłości, ale znalazła się w kleszczach uczucia, które było zbyt silne, by można było zaprzeczyć jego istnieniu. Casey przeczuwała, że ta ziemia, dręczona i poniewierana przez potęgę i gwałtowność przyrody, miała być jej przeznaczeniem.

- Zapiąć pasy - powiedział Stewart, bo samolot zaczął kołować coraz niżej. Casey mogła już dostrzec drobne fale marszczące powierzchnię wody. Automatycznie zacisnęła pas bezpieczeństwa.

- Zapięte - odpowiedziała, ale Stewart słuchał już instrukcji lądowania. Dostrzegła małą zmarszczkę skupienia pomiędzy jego brwiami.

Casey nie zdawała sobie sprawy, że już wylądowali, aż do chwili, gdy Stewart przyhamował i samolot zwolnił, a jego ruch był teraz łagodnym kołysaniem na wodzie.

- Zawsze tak robi - roześmiał się Hank, widząc jej zaskoczenie. - Uwielbia pokazywać miejscowym asom, jak naprawdę należy latać.

Stewart obrócił się na siedzeniu i jego malutka, siwa kitka wymknęła się spod baseballowej czapki, dyndając niestosownie do powagi sytuacji.

Kiedy Casey zapytała kiedyś Kit, dlaczego Stewart ciągle nosi ten śmieszny kucyk, ta odparła, że to jego pamiątka po Wietnamie. Stewart odnalazł spokój i piękno na Alasce, ale nie chce zapomnieć, jak odrażającą

istotą może być człowiek. - Pewnie również i z tego powodu jest takim dobrym i sprawiedliwym szefem - dodała wtedy Kit.

- Jeszcze raz szczęśliwie - powiedział Stewart, uśmiechając się do Casey.

- Fantastyczne lądowanie - odrzekła, odwzajemniając uśmiech. - Ciągle czekam na to szarpnięcie w chwili uderzenia o powierzchnię wody, ale ono nigdy nie następuje. Jak ty to robisz?

- Praktyka - odparł Stewart, starannie dobierając słowa. - Praktyka i miłość do tego, co się robi, prowadzą do doskonałości. - Otwoizył drzwi na oścież, odpiął pasy bezpieczeństwa i schodząc w dół, zatrzymał się i wetknął z powrotem głowę do samolotu.

- Pamiętaj o tym - burknął do Hanka.

- Jasne.

ROZDZIAŁ ÓSMY

t

Hank i Casey lecieli w kierunku bieguna północnego i Barrow, podnieceni i szczęśliwi, a jednocześnie pełni winy jak dzieci na wagarach. Start z Anchorage był nierówny. Samolot nagle zjechał z jednej strony pasa startowego na drugą.

W końcu uniósł się ponad stalowoszare morze i, klucząc, leciał w labiryncie chmur, tak ciemnych, jakby nasycono je pyłem wulkanicznym. Kiedy zbliżyli się do Fairbanks, chmury były już oślepiająco białe, więc Casey założyła okulary przeciwsłoneczne.

Jak pięknie, pomyślała patrząc w dół na Fairbanks. Ziemia wyglądała jak paleta malarza, pomazana w wirujące smugi błękitów indygo, szarych zieleni, intensywnych czerwieni, musztardowych żółci porostów i jesiennych jagód. Wielka, szara i mlecznozielona rzeka, poprzecinana białymi cyplami łupków iglastych, wiła się wśród tych cudownych kolorów.

Samolot wylądował na pasie startowym, biegnącym równolegle do rzeki, która teraz miała barwę kawy z mlekiem, a wzdłuż jej brzegów stały hydroplany.

Są tak jaskrawe, jak kwiaty w wiejskich, angielskich ogrodach - pomyślała Casey. Na samą myśl o Anglii i o dwóch rodzinach, przygotowujących jej ślub z Dursleyem, ogarnęło ją przerażenie. Co ja tutaj robię? - powtarzała w duchu. Jeszcze nie jest za późno, możesz złapać następny samolot powrotny do Anchorage. Nikt się o niczym nie dowie i nikomu nie sprawisz bólu. Ale kiedy spojrzała na Hanka, wiedziała, że jest właśnie tam, gdzie musi być.

W Fairbanks zostawiła za sobą wszystkie wątpliwości. Zdecydowana była cieszyć się tą wyprawą i dowiedzieć się jak najwięcej o Inuitach - jej narodzie.

W dole, ciemne, zielone plamy świerkowych i brzozowych lasów, urwały się nagle, jakby ostrze gigantycznego sierpa w dłoni Inuita, uderzyło w ziemię i odcięło lasy od arktycznej tundry. Tundra rozciągała się aż po horyzont, poplamiona i nasiąknięta wodą, jak stara gąbka.

Arktyczna tundra lekceważyła potrzebę oczu, by określić miejsce, w którym zlewa się z niebem - bladym teraz i zasnutym morską mgłą, albo też linię, gdzie znika w głębokich, ciemnych wodach Morza Arktycznego.

- To zdumiewające, co potrafi przywrzeć do tej cienkiej jałowej gleby - powiedział Hank. - Pamiętaj, że tylko zewnętrzna warstwa grubości kilku cali, topnieje latem. Głębiej jest wieczna zmarzlina.

- Lodowa pustynia arktyczna - powiedziała Casey.

- To dobre określenie - uśmiechnął się Hank, patrząc na zegarek. - Wkrótce powinniśmy wylądować.

Comair zniknął w gęstych kłębach szarości, gdy wlecieli w gęstą mgłę, która fałami napływała znad Morza Arktycznego.

- Na szczęście jest wystarczająco jasno, żebyśmy mogli wylądować - powiedział Hank, wskazując w stronę okna. - Ostatnim razem utknąłem tu na cztery dni, czekając, aż mgła się podniesie.

Casey nagle opadły wątpliwości. Myśl o tym, że może nie zdążyć do Anchorage na czas i nie spotkać Stewarta, przeraziła ją. Jeszcze nie wiedziała, co zrobi ze swoją przyszłością.

Wyobrażała sobie, że mroźna północ jest romantycznym miejscem, ale przejazd małym, turystycznym autobusem przez Barrow do hotelu z desek, rozwiał jej marzenia.

Domki wyglądały tak, jakby zupełnie przypadkiem znalazły się w jednym miejscu. Pozbawione fundamentów kołysały się na gąbczastym gruncie. Trudno było powiedzieć, gdzie kończył się teren, okalający jeden dom, a zaczynał następny. Pozornie bezużyteczne, zardzewiałe żelastwo, pokrywało niemal każdy skrawek wolnego gruntu. Skutery śnieżne, niektóre nowe, inne rozebrane na części, pogłębiały wrażenie ogólnego bałaganu. Piękne, ręcznie szyte kajaki z foczych skór, leżały oparte o poobijane aluminiowe łodzie. Na powyginanych prętach do suszenia bielizny, na łodziach i prowizorycznych drewnianych stołach, wisiały pasy mięsa karibu, łosi i fok, a ich kolor w miarę wysychania, zmieniał się z czerwonego w czarny. Psy były przywiązane do słupków na krótkich postronkach. Wyły i skamlały, czując zapach gnijącego mięsa. Trzymano je na uwięzi, w obawie przed rozjuszonymi watahami wilków, krążącymi wokół wsi. Kałuże wody z roztopionego śniegu, które, z powodu wiecznej zmarzliny nigdy nie wsiąkają, dopełniały obrazu opuszczenia i niegościnności. Ponad głowami druty telefoniczne i elektryczne, utkały misterną pajęczynę, niemal zupełnie zasłaniając niebo. Ich plątanina wydawała się zbyt ciężka, by słupy mogły ją utrzymać, więc stały w nieładzie, pod kątem ostrym do powierzchni ziemi. Wszystko razem wyglądało jak porzucony plener filmowy.

W końcu autobus zatrzymał się przed długim, drewnianym budynkiem, stojącym nad morzem. Casey westchnęła ciężko, kiedy uświadomiła sobie, że to ma być miejsce jej cudownego romansu.

- Chodź, Casey - powiedział Hank, otwierając drzwi do sypialni i rzucając bagaże na połatane, pomarańczowe narzuty. - Musisz stanąć na

najdalej wysuniętym na północ skrawku lądu, należącego do Stanów Zjednoczonych.

Dała się porwać jego podnieceniu i zbiegła za nim po hotelowych schodach. Gdy tylko okrążyli róg hotelu i stanęli twarzą do morza, dopadł ich wiatr. Ciemne fale, przygniecione ciężarem lodowych bloków, nie mogły się podnieść. Woda mocno napierała na linię brzegową, która biegła w dal, jak tłusty ślad wokół brudnej wanny.

Nigdy więcej nie będę narzekać na wiatr w Yorkshire, obiecała sobie w duchu. Ciekło jej z oczu i nosa, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie jej ciepło.

Hank stał w rozkroku na szarej plaży i wielkimi haustami wciągał do płuc zimną, morską mgłę. Wiatr wyszarpnął mu włosy spod wełnianej czapki i potargał je. Nastroszył jego rudą brodę, tak że przypominała sierść rozgniewanego kota.

Przyglądając się Hankowi uważnie, Casey uświadomiła sobie, co tak silnie pociąga ją w tym mężczyźnie. Był częścią przyrody, częścią żywiołów. Właśnie tak został pomyślany mężczyzna - wolny i silny. Zapomniała o zimnie i o wietrze, i podbiegła do niego. Chciała dzielić z nim miłość do tej ziemi i jego oczami patrzeć w dal, tam skąd wielkimi masami napływała gęsta i zimna mgła znad bieguna.

Hank osłonił ją ramieniem. Pochylili głowy i razem podeszli do skraju morza, żeby Casey dotknęła lodowatej wody.

- Jak wysoko sięga przypływ? - zapytała, przyglądając się wąskiemu paskowi plaży.

- Tu nie ma przypływu. To jest morze bezpływowe - odparł. - To wschodni wiatr chłoszcze fale, co sprawia wrażenie przypływu i odpływu.

Zamoczyła palce w ciemnej wodzie.

- Wyobraź sobie tylko życie w czymś takim! - wykrzyknęła. Wyciągnęła rękę z wody, jakby ją sparzyło.

- W porównaniu z tym, kąpiel w rzekach Katmai przypomina saunę, prawda? - roześmiał się Hank, rozcierając jej palce w dłoniach, aż poczerwieniały i zaczęły ją szczypać.

Casey oblała się rumieńcem, przypominając sobie ich uściski przy ognisku. Hank, jakby czytał w jej myślach, bo obrócił ją dookoła i pochylił głowę, by dotknąć jej głowy. Poczuła zapach morskiej mgiełki w jego brodzie i wilgotny dotyk kaptura. Uniosła twarz do jego twarzy i wsunęła dłonie pod elastyczny pas jego anoraka.

Miękkie falowanie morza i ich przyśpieszone oddechy, śpiewały pieśń o miłości. Casey wiedziała, że kiedy odda się Hankowi, nie będzie już w jej życiu innego mężczyzny. Stali przytuleni, a mgła zgęstniała i zatarła kontury hotelu, i przykryła miasto Barrow. Zasłoniła całą stworzoną przez człowieka brzydotę i przytłumiła ujadanie psów. W końcu oderwali się od siebie. Jak lunatycy, odnaleźli drogę powrotną do hotelu, prowadzeni przez migotania świateł w oknach.

Chichotali i śmiali się, z wysiłkiem wspinając się po schodach, których nie widzieli. Eskimoska kobieta w recepcji popatrzyła na nich z dezaprobatą. W Barrow nie handlowano alkoholem, choć można go było przywozić z innych miast.

Społeczność Inuitów, jak większość ludzi żyjących w bliskim związku z przyrodą, nie tolerowała alkoholu. Aby uniknąć bijatyk i wszystkich innych kłopotów z tym związanych, zakazali całkowicie jego produkcji i sprzedaży.

Casey, prosząc o klucz, uśmiechnęła się do kobiety. Inuitka uspokoiła się. Ta para nie była pijana, tylko zakochana!- Uśmiech błąkał się wciąż na jej ustach, kiedy patrzyła za nimi, jak idą wzdłuż korytarza.

Doszli do końca i otworzyli drzwi do pokoju. Casey zapaliła górne światło, ale szybko je wyłączyła, żeby nie patrzeć na jaskrawopomarańczowe narzuty. Hank wymacał drogę do łóżka i pstryknął lampkę nocną z beżowym, papierowym abażurem.

Pokój nagle się zmienił. Kolor narzut był teraz ciemnobrzoskwiniowy, a ściany nagle zrobiły się kremowe. Hank opadł na łóżko - zaskrzypiały stare sprężyny. Skrzywił się.

- Przepraszam, maleńka Ticasuk, ale to najlepszy hotel w Barrow.

- To lepsze niż te chaty, w których żyli moi przodkowie, choć niewiele - roześmiała się. Rozpięła watowany anorak i powiesiła go na oparciu krzesła.

- Nie mamy suszonych ryb, wyścielających ściany i podłogę warstwą o grubości kilku stóp - odparł Hank, rzucając czapkę na telewizor, który stał na zniszczonej komodzie.

- Oni też nie mieli - odcięła się Casey, broniąc swej inuickiej rodziny.

- Ależ mieli. Żyli na tych warstwach ryb aż do końca zimy. Kiedy już szystko zjedli, mogli znowu zobaczyć podłogę - drażnił się z nią Hank.

- Na szczęście ja lubię ryby, więc chodź tutaj, moja mała Inuitko - owiedział.

Casey zaczęła się rozbierać, powoli i nieśmiało. Przeszła przez pokój, obrze wiedząc, że każdy krok bezlitośnie oddala ją od tytułu księżnej.

Kiedy zbliżyła się do łóżka, przyspieszyła. Podjęła decyzję. Teraz ragnęła tylko jednego - poczuć na swym ciele ramiona Hanka, a na ustach "ego ciepłe usta.

Hank, oparł się na łokciu i przyglądał się badawczo Casey. W łagodnym ietle taniej lampki nocnej jej ciało jaśniało brzoskwinioworóżowo - jak Renoira.

Zmuszał się, by jeszcze jej nie pieścić, chciał nasycić się widokiem jej agiego ciała.

- Czy chciałby pan zwrócić zamówiony towar, proszę pana? - drażniła ię z nim Casey. Uśmiechnęła się do niego, a jej oczy były ciemne i rozmazone. Hank poddał się i pozwolił rękom i ustom zapuścić się w miejsca ostępne dotąd tylko dla oczu.

- O, nie - mruknął niewyraźnie, kiedy jego usta zamknęły się nad jej wielkimi, różowymi brodawkami. - Ten towar zatrzymam.

Łóżko piszczało i jęczało, gdy Hank zagłębiał palce w okrągłych pośladkach Casey, rozciągając je i unosząc ją w górę, do siebie. Zagłębił się w jej kremowe ciało, rozkoszując się jej miękkością i zmysłowością.

A za oknem, pak lodowy łoskotał i huczał, kiedy wielkie bloki ze zgrzytem naciskały i łączyły się ze sobą. Wiatr groźnie zawodził ostrzegając, że uniesie całą osadę w górę i ciśnie do czarnego morza. Hank i Casey leżeli w objęciach, szepcząc marzenia o przyszłości, a ich ciała wysychały z miłosnej wilgoci.

- Czas na prysznic, kobieto - powiedział w końcu Hank. Odsunął się od Casey i wstał. - Bo w przeciwnym razie nie przeżyję następnych dwóch dni.

- Przeżyjesz - powiedziała gardłowym głosem, Casey - wierz mi, nie będziesz miał z tym żadnych kłopotów. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Hank porwał nieświeży ręcznik z malutkiej łazienki, która wyglądała jakby przez przypadek dobudowano ją do sypialni. Szybko zawiązał go wokół bioder i odkręcił kurki, ale poprzez szum płynącej wody słyszał śmiech Casey.

Wielkimi krokami wszedł do sypialni, wziął dziewczynę na ręce i zaniósł ją, protestującą i wierzgającą, pod prysznic. Trzymał ją w górze, tak że jej nogi oplatały mu biodra, i rozwiązał ręcznik.

- To właśnie przytrafia się kobietom, które drwią ze swoich mężczyzn - powiedział.

Śmiech Casey przeszedł w namiętne okrzyki, a gorąca woda spływała po ich poruszających się ciałach.

Inuicka kobieta w recepcji podniosła wzrok, kiedy Hank i Casey położyli klucz na ladzie.

- Jeśli się pospieszycie, to jeszcze zdążycie do Pepego - powiedziała, spoglądając na wielki, brązowy zegar ścienny.

- Do Pepego? - ze zdziwieniem spytała Casey.

- Na północ od granicy - powiedział Hank, wypowiadając pełną nazwę restauracji. - Podają tam wspaniałą fasolę w sosie chili.

Inuicka kobieta uśmiechnęła się.

Nie czuła się tak od dnia, gdy jej mąż nie powrócił z polowania na foki, na które wyruszył razem z Traperem Jackiem. Wracali do łodzi, którą zostawili w szczelinie między blokami lodu. Ale kiedy oni polowali, kanał wodny zamknął się. Zostali uwięzieni na lodowym paku. Tylko jeden mężczyzna powrócił do wsi, Traper Jack. Bo miał na sobie tradycyjne zimowe ubranie Inuitów, zrobione ze skóry karibu i wilczego futra.

Błagała męża, by nosił ubrania ze skór lisów i karibu, które mu uszyła i o które tak troskliwie dbała. Ale on nie słuchał. Wolał te nowe, europejskie

kombinezony, które nosili uczestnicy ekspedycji polarnych i życiem przypłacił swój wybór.

Po jego śmierci zaczęła pracować w hotelu. Widziała turystów ubranych w drogie, zimowe anoraki, którzy uciekali do hotelu przed zimnem. To potwierdziło jej decyzję, by przyłączyć się do komitetu Trapera Jacka i sprawić, by dzieci Inuitów znowu poczuły się dumne ze swoich tradycyjnych ubrań i ze swojej kultury.

- Przypuszczam, że meksykańska restauracja we wsi Inuitów jest tym, czego należałoby szukać w takim miejscu - powiedziała Casey, kiedy biegli do brzydkiego budynku w kształcie pudełka.

To nie tylko nie kłóci się ze zdrowym rozsądkiem, ale przeciwnie - jest całkiem sensowne - dodała chwilę później, kiedy otworzyli na oścież jaskrawoczerwone drzwi i przywitał ich jazz. Dźwięki muzyki brzmiały dla niej tak, jakby grał sam Dave Brubeck.

Sala była kolorowa i ciepła. Przejście po obu stronach obstawione rzędami stołów, biegło na lewo od drzwi. Casey i Hank zajęli dwa wolne miejsca. Casey przebiegła wzrokiem wywieszone na ścianach listy i plakaty z podziękowaniami od okolicznych szkół.

- Właścicielka jest wspaniałą kobietą - wyjaśnił Hank. - Bardzo dużo robi dla społeczności Inuitów, szczególnie dla dzieci. Wygląda na to, że dzieciaki traktują ją jak żeńską odmianę Świętego Mikołaja.

- Cóż, mieszka w odpowiednim miejscu - zażartowała Casey, a potem zamilkła i zafascynowana wpatrywała się w młodego, krzepkiego mężczyznę, który siedział przy stole po drugiej stronie przejścia. Właśnie postawiono przed nim śnadanie i zajęty był metodycznym mieszaniem jajek sadzonych, tortilli, śmietany i roztopionego żółtego sera, smażonej fasoli i czerwonego sosu chili.

- Je za pięciu - szepnęła Casey - a teraz to wszystko wygląda jak psie wymiociny. - Odwróciła wzrok, bo lepkie strugi jajka zwisały z ust młodzieńca, kiedy łapczywie pochłaniał swoje wytworne danie.

- Dobre maniery przy stole nie są warunkiem koniecznym, by dostać tutaj pracę - powiedział Hank. - Ci faceci pracują w okropnych warunkach i potrzebują dobrego, treściwego jedzenia.

- Ale po co to wszystko mieszać? - zaprotestowała Casey.

- Cii - ostrzegł Hank. - Oto i nadchodzi nasze śniadanie.

Ochoczo podnieśli wzrok, gdy pojawiło się ich zamówienie.

- Zjedz wszystko - rozkazał Hank, kiedy Casey z przerażeniem popatrzyła na swój talerz. - Będziesz tego potrzebowała. Na tej arktycznej pustyni jest bardzo zimno.

- Mam termometr, który pokazuje temperatury do siedemdziesięciu stopni poniżej zera - powiedział Hank, zgarniając resztki sosu chili i ocierając usta. - Kiedy byłem tu ostatnim razem, dostałem go jako nagrodę dla jedynego turysty, który był tak szalony, by odwiedzić Barrow dwa razy - wyjaśnił, uprzedzając pytanie Casey. Roześmiała się wesoło.

- Czy sądzisz, że ja też taki dostanę? - zapytała.
- Nie mów, że zamierzasz tu wrócić - powiedział zdumiony Hank.
- O, tak. Każdej jesieni musimy spędzać tutaj rocznicę naszej miłości - powiedziała poważnie Casey. - Inaczej spotka nas nieszczęście.

Hank wybuchnął tubalnym śmiechem. Kilka osób z personelu zajrzało do sali, zdumionych nagłą wesołością. Byli tu przyzwyczajeni do gderania i kwaśnych min turystów, którzy przybyli do Barrow, oczekując zadbanych igloo i pięknie ubranych w futra Eskimosów, żujących foczą skórę i rzeźbiących wspaniałe figurki niedźwiedzi, fok i wielorybów, i bardzo się zawodzili w konfrontacji z rzeczywistością.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przezroczyste płyty lodu Nilas wyglądały tak, jakby jakaś siła uniosła je z powierzchni oceanu i przesłoniła nimi niebo, tworząc gigantyczne szyby okienne. Przeświecające przez nie światło było rozmyte, szare i zimne.

- Cudowny dzień, prawda, Ticasuk? - spytał Hank, przykucnąwszy przy ziemi, by dokładnie przyjrzeć się jakiejś roślinie. Casey obserwowała w skupieniu, jak odkopuje delikatne pędy. Wydawało się, że dziewczyna nie zwraca uwagi na wiatr, który kłuł jej ciało - zimny i ostry jak lód igłowy*.

- Popatrz, Casey... - wyciągnął w jej stronę dłoń, na której leżał malutki liść o wypukłych, nie uszkodzonych żyłkach - prawdopodobnie tkwi tu od lat, dobrze zachowany, nie naruszony.

Zmusiła się do wyciągnięcia dłoni z podszytej futrem kieszeni parki i natychmiast gorzko tego pożałowała, bo palce poczerwieniały jej z zimna.

- Piękny - powiedziała, zamykając dłoń nad liściem i wkładając ją z powrotem do kieszeni.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że chodzimy po lesie? - powiedział Hank, naciągając czerwoną, wełnianą czapkę na czoło.

- Naprawdę? - odparła Casey. W głębi duszy nie obchodziło ją, po czym chodzą. Chciała tylko wrócić do względnego ciepła tego baraku z desek, który teraz był ich domem.

- Ostatnio, gdy byłem tutaj z Traperem Jackiem, jacyś Brytyjczycy badali ekosystemy arktyczne - ciągnął Hank. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że Casey czuje się coraz gorzej i coraz mniej interesują ją jego wywody. - Choć z początku ich badania wydawały mi się nudne - powiedział - jednak po kilku dniach byłem całkowicie zafascynowany.

Casey skinęła głową i zaczęła przytupywać nogami. Hank pociągnął za malutką roślinkę, mocno przyczepioną do ziemi.

* Lód igłowy - lód tworzący cienkie kryształy w kształcie igieł, powstające tuż pod powierzchnią ziemi i często przebijające ją.

- Zrobili przekroje poprzeczne jednej z tych karłowatych wierzb i naliczyli ponad sto pierścieni wzrostowych w łodydze nie grubszej niż twój kciuk.

Casey spojrzała w dół, na ciasno splątany dywan z roślin. Teraz udało się Hankowi obudzić w niej zainteresowanie malutkimi drzewami i krzewami, które leżały na mokrej ziemi niczym wycieraczka z włókien kokosowych.

- Według Brytyjczyków, którzy robili te badania - ciągnął dalej - w warstwie powietrza mierzonej na wysokości od jednej do dwóch stóp nad ziemią istnieje różnica temperatur wynosząca około piętnastu stopni Fahrenheita.

- Dlaczego? - spytała Casey, coraz bardziej zainteresowana jego wyjaśnieniami.

- Ciemna powierzchnia ziemi pochłania więcej ciepła ze słońca, a wiatry nad samą ziemią są mniej porywiste - odparł.

- Więc te biedactwa muszą rosnąć płasko przy ziemi, żeby przeżyć - powiedziała Casey, trącając butem splątaną kępę roślin. - Ciężko jest być drzewem w tundrze - zamyśliła się - wodę mają tylko latem, gdy topnieje śnieg. Żyją wtedy w podmokłym bagnie. Korzenie zamarzają, jeśli zapuszczą się za głęboko.

- Głęboko! - wykrzyknął Hank. - W niektórych miejscach ziemia jest zamarznięta do głębokości prawie dwóch tysięcy stóp.

- I ten lód nigdy nie topnieje? - zapytała Casey.

- To nie lód, moja mała Ticasuk, to właściwie sama ziemia jest zamarznięta.

Casey potrząsnęła głową. - Arktyka to pewnie jedno z takich miejsc na ziemi, gdzie najtrudniej jest przeżyć - powiedziała.

- Tak właśnie jest - zagrzmiał obcy głos.

Casey obróciła się i ujrzała przed sobą niskiego, przysadzistego mężczyznę. Jego śniada twarz była pobrużdżona i pokryta bliznami. Casey miała wrażenie, że ten człowiek przenika ją wzrokiem i wpatruje się w płaski, pusty horyzont. Kaptur parki odrzucił do tyłu, a jego proste włosy, gęste i ciemne, powiewały na wietrze.

- Traper! - wykrzyknął Hank z szerokim uśmiechem.

Traper Jack nakazał Casey i Hankowi, żeby poczekali na niego na skraju tradycyjnego letniego obozu myśliwskiego Inuitów. Wyjaśnił, że zapuszczanie się na teren obozu nie jest już bezpieczne dla turystów. Grupa inuickich myśliwych postanowiła wreszcie położyć kres temu, czego nie mogły powstrzymać prośby i zakazy. Zastrzelili dwóch turystów, którzy weszli na teren obozu bez zaproszenia. Kiedy zapomniano o całej tej awanturze, ich letni obóz znów stał się obszarem świętym. A obcy nie zakłócali spokoju tubylców. Nie było już turystów, którzy wykrzykiwaliby z oburzeniem, że tutaj się zabija „kochane niedźwiedzie", edredony i fo-

ki. Nikt nie przychodziłby przekonywać myśliwych, by nie polowali na wieloryby, które stanowiły podstawowe wyżywienie całej wioski na czas straszliwej zimy.

- Cieszę się, że cię znowu widzę - powiedział Hank.

Objął Casey ramieniem i pociągnął ją do przodu. - Chciałbym ci przedstawić Casey Ticasuk Chargot.

Oczy Trapera Jacka rozszerzyły się na dźwięk imienia Ticasuk, ale tylko się uśmiechnął.

To powściągliwe powitanie nie zaskoczyło Casey. Hank wyjaśnił jej wcześniej, że Traper ma za nic konwencjonalną wymianę uprzejmości. Odzywa się tylko podczas polowania, albo wtedy, gdy mówi o kulturze Inuitów. Uśmiechnęła się do niego, kiedy podał jej ubranie z brązowej skóry.

- Załóż to na siebie. Jest ze skóry karibu. Będzie ci ciepło.

Casey podziękowała mu i ostrożnie wciągnęła eskimoski tradycyjny ubiór na swój anorak. Traper naciągnął jej kaptur na głowę i zapiął pod brodą.

Poczuła się tak, jakby weszła do suchej sauny po wyjściu z zimnego stawu. Wtuliła się w zwierzęcą skórę i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wiatr nie był już tak ostry i przenikliwy, a dzień zapowiadał się podniecająco.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gigantyczny pstrąg tęczowy - ciemny i nieruchomy jak łódź podwodna próbująca uniknąć pisków hydrolokatora - leżał pod nawisem nie opodal brzegu. Jego ciemnooliwkowy grzbiet zlewał się z ciemną barwą brzegu, jak cień o północy. Był przebiegły i podstępny. Krystalicznie czysta woda szybko przepływała obok niego. Pstrąg leżał poza głównym nurtem rzeki, nie czując jego naporu i bez wysiłku poruszał płetwami. Wybrał najlepsze miejsce - mógł stąd zobaczyć zbliżającego się wędkarza lub niedźwiedzia. Opuszczał swoją kryjówkę tylko po to, by rzucić się na unoszącą się na wodzie ikrę łososi, lub zapolować na szczura wodnego albo pijawkę.

Dursley, Earl i Leroy skradali się za Kit.

- Na dół - rozkazała, a oni natychmiast przykucnęli. - Jest około dwudziestu jardów przed nami, przy przeciwległym brzegu, dokładnie tam, gdzie rośnie ta żółta wierzba.

Leroy usiadł i rozprostował nogi. Był zmęczony, ale odprężony. Przez ostatnią godzinę chodzili za Kit jak zastęp harcerzy. Na szlaku nie było niedźwiedziego łajna, stratowanych barłogów ani głębokich śladów pazurów w błocie. Niebo było czyste, a wiatr przeganiał insekty.

To jest życie - pomyślał - łamiąc łodyżkę trawy i żując ją.

Ta ryba należała do Dursleya. On i Earl próbowali już wcześniej. Bez powodzenia zasadzali się na ciemny kształt, o którym Kit mówiła z uporem, że jest rybą.

Leroy był jednak przekonany, że zarzucali wędkę na pokryte mułem skały.

Widzieli ten ciemny kształt z przeciwległego brzegu i dotarli na śródrzeczną wysepkę. Leroy oczekiwał, że Kit go przeprosi, kiedy odkryją, że miał rację i że to, co biorą za rybę, jest tylko zatopioną kłodą. Wiedział, że pstrąg tęczowy nie mógł być aż tak wielki jak ten cień.

- Zostajesz tutaj z Leroyem - powiedziała Kit do Earla. - To ogromna sztuka. Nie chcę, żebyśmy go wypłoszyli.

- Gdy chodzi o mnie, to świetnie - powiedział Earl.

- Ta kobieta ma stalowe mięśnie - jęknął Leroy, masując łydki, kiedy Earl zwalił się na ziemię obok niego.

- Najwyższy czas, żeby Hank wrócił, on przynajmniej daje ludziom od czasu do czasu chwilę wytchnienia.

- To dlatego, że ona jest kobietą - powiedział Earl - i musi dowieść, że jest równie dobra, jak mężczyzna. Coś jest w tych kochających przyrodę dziewczynach.

Leroy nagłe wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wyobraź sobie te nogi wokół ciebie - powiedział, patrząc, jak Kit i Dursley znikają w zaroślach.

- Ciebie przecięłaby na pół - zadrwił Earl, zirytowany, że Leroy dobrze sobie radzi w tej rzece, która sprawia, że tylko bolą mięśnie, a ryb ani śladu.

Łowienie ryb w innych rzekach na Alasce kompletnie go zepsuło, bo tam pstrągi zdawały się ze sobą walczyć o przywilej połknięcia haczyka. Ryby w Heartbreak po prostu łamały serce.

- Przynajmniej mogłaby mnie objąć nogami - odparował Leroy.

Earl zlekceważył ten przytyk na temat swoich wymiarów.

- Popatrz tylko na tych dwoje - powiedział, wskazując na Kit i Dursleya, którzy uważnie przyglądali się plątaninie traw.

- Ta ryba musiałaby mieć teleskopowe widzenie, żeby ich dostrzec - mruknął Leroy.

- Te wielkie widocznie mają, bo nawet twój cień je niepokoi - powiedział Earl, popisując się świeżo nabytą wiedzą.

- Masz jedną szansę - powiedziała Kit do Dursleya. - Spróbujmy na szczura wodnego.

Dursley uśmiechnął się do niej szeroko.

„Teraz wstrzymajcie rapsodię i spójrzmy na rzekę/ Czy widzicie królewską obecność w tym błyszczącym stawie?".

- Orvis - Kit od razu rozpoznała cytat. Dursley skinął głową z podziwem.

Razem wybrali włochatą przynętę w kształcie myszy i Dursley przywiązał ją do ośmiofuntowej linki. Wprawdzie wolałby dziesięciofuntową, ale Kit przekonywała go, że te wielkie ryby są bardzo sprytne. Gdyby pstrąg zobaczył linkę w wodzie, straciliby go.

- Gotowe? - zapytała Kit, patrząc, jak Dursley jeszcze raz sprawdza węzły. - Proponuję, żebyś rzucił zaraz powyżej tego miejsca, tutaj, nad tą wierzbą, a potem poruszaj przynętą w jedną i drugą stronę i przesuwaj ją w dół rzeki, w stronę ryby.

Dursley wstrzymał oddech. Z ostrożnością i precyzją gracza w golfa, walczącego o milion dolarów, zbadał zmarszczenie powierzchni wody, położenie ryby i wiatr. Potem wypuścił powietrze z płuc i rzucił.

Linka poleciała do tyłu - prosto i wysoko, a potem błyskawicznie skoczyła do przodu, upuszczając mysz do wody, w miejsce, gdzie będzie wyglądała tak, jakby wyczerpana walczyła z prądem, który znosi ją w dół rzeki, prosto do miejsca, gdzie ukryła się ryba.

- Widzisz?! - krzyknęła Kit, bo wielki, czarny cień odpłynął od brzegu. - O, nie - powiedziała, kiedy wrócił na swoje poprzednie miejsce. - Tylko oglądał wystawę. Spróbuj jeszcze raz.

To jest to - pomyślała. - Stracił ją. Teraz ta ryba za nic nie zaatakuje.

- Jeszcze raz? - zapytał zaskoczony Dursley.

- Tak, jeszcze się nie wystraszyła - skłamała Kit, choć dobrze wiedziała, że wielka ryba nigdy nie ruszy się po raz drugi. - To był doskonały rzut. Mysz kołysała się dokładnie nad nosem pstrąga. Mam wrażenie, że jeśli uda ci się powtórzyć ten rzut, ryba weźmie.

Dursley wytarł mokre dłonie o rękawy grubej koszuli pod anorakiem. Tym razem Kit wstrzymała oddech, kiedy linka raz jeszcze wyśpiewała swoje ciche wołanie.

Mysz szarpnęła się i zakołysała na powierzchni wody, a Dursley przesunął ją dokładnie tam, skąd prąd zniesie ją nad pstrąga. To był kolejny doskonały rzut. Przynęta wyglądała jak zmagający się z prądem szczur wodny i ryba nie mogła się oprzeć. Błyskawicznym ruchem, o wiele za szybkim, by oko mogło za nim nadążyć, gigantyczny pstrąg tęczowy wyskoczył ze swej kryjówki.

Woda wystrzeliła do góry i pokryty różowymi prążkami łuk lśniącej zieleni wzniósł się wysoko nad powierzchnię. Srebrno-biały brzuch ryby zawisł na iiekundę nad wodą. Kiedy pstrąg poczuł opór i pociągnął za mysz, a potem za linkę, podskoczył jeszcze raz. Trysnęła woda. Kolorowy pstrąg potrząsnął głową, starając się wyrwać srebrny haczyk, który mocno utkwił w jego dolnej szczęce. Kit zacisnęła pięść i na przemian zginała i prostowała rękę.

Część niej, jak zawsze, była po stronie tej pięknej, dzikiej ryby. Przynaglała ją, by urwała się z haczyka, który czynił ją posłuszną woli Dursleya. Lecz druga część szalała z radości, że udało się poskromić nieokiełznany żywioł. Dursley miał teraz szansę odczuć w pełni siłę, z jaką walczą giganty z Heartbreak.

Wędzisko wygięło się tak, że koniuszek prawie dotykał kołowrotka. Ryba zanurzyła się głęboko, ciężka i nieustępliwa, niczym jedna z zielonych skał, wyścielających dno rzeki.

- Właśnie teraz pragnie złamać ci serce - powiedziała Kit. Wytężając wzrok próbowała odróżnić pstrąga od skał.

- Albo moje wędzisko - uśmiechnął się szeroko Dursley, z podziwem przyglądając się łukowi, w jaki się wygięło. - Żałuję, że Casey nie może tego widzieć - dodał, przygarbiając ramiona, żeby zmniejszyć napięcie i wysiłek mięśni.

I Hank - pomyślała Kit.

- Nigdy nie uwierzy, że ruszyliśmy „Chytrego Rysia". Tak go nazwali przewodnicy, odkąd wszelkie próby ujarzmienia pstrąga kończyły się niepowodzeniem. To imię podsunął im pewien brukowiec komentujący wyczyny byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Po prostu utrzymuj napięcie linki - poradziła Kit, widząc, że Dursley rozprostowuje zdrętwiałe palce. - Możemy zostać tu bardzo długo...

Stała w rozkroku, a wiatr uderzał kołnierzem kurtki w jej odsłonięty policzek. Nie spuszczała z oczu koniuszka wędki Dursleya, ani linki. Wyczyściła swoje polaroidowe okulary i włożyła je znowu. Pstrąg zniknął, doskonale wtapiając się w barwy dna rzeki.

Earl i Leroy, którzy podskakiwali i wrzeszczeli w podnieceniu, kiedy ryba nagle wyłoniła się nad powierzchnię wody, teraz ucichli i w skupieniu przyglądali się walce. Byli urażeni zachowaniem Kit, bo gdy popędzili nad samą wodę, wyzwała ich od idiotów.

- Miała rację - przyznał niechętnie Earl, obserwując, jak Kit przechodzi przez rzekę i coś szepcze do Dursleya. - Mogliśmy przestraszyć rybę i zerwałaby linkę.

- Słodka Maryjo, zachowaj - odparł Leroy. - Ta kobieta by nas zabiła. Wolałbym spotkać się z niedźwiedziem grizzly. - Przerwał. - No, nie... może jednak Kit byłaby lepsza.

- Hank będzie zły jak osa, kiedy się dowie, że Kit naprowadziła Dursleya na wielką rybę - wyszczerzył zęby w uśmiechu Leroy. - Wszyscy robili zakłady, że jak zwykle wrócimy z pustymi rękami.

- Mam nadzieję, że ta ryba ruszy się przed lunchem - powiedział Earl, patrząc na zegarek. - Trzyma tę wędkę już prawie pół godziny.

Kiedy wypowiedział ostatnie słowo, koniuszek wędziska Dursleya błyskawicznie odskoczył do tyłu i ryba jeszcze raz popisała się swoją wielkością i piękną barwą. Przez chwilę zawisła w stożku zielonej wody, spadającej kaskadą. Potem zanurkowała. Kołowrotek Dursleya zapiszczał, bo pstrąg błyskawicznie rozwijał linkę, pędząc szaleńczo w kierunku nurtu rzeki, do wolności. Dursley miał już tylko linkę pomocniczą. Patrząc, jak linka znika z kołowrotka, jęknął.

- Miałem na tej szpulce sto pięćdziesiąt jardów zapasu.

- Zbierz ją szybko! - krzyknęła Kit. - Pstrąg ucieka na głęboką wodę przy rozwidleniu rzeki. Jeśli tam dotrze - stracimy go.

Dursley nawijał tak szybko, jak tylko było to możliwe. Czuł każdy mięsień.

- Jego ojcem był chyba gigantyczny łosoś - wysapał, gdy, potykając się, pędził za rybą w dół rzeki.

Earl i Leroy nie byli w stanie oprzeć się ogarniającemu ich podnieceniu. Wdrapywali się na skarpę i spadali na dół, wiwatując i wykrzykując słowa zachęty, hałaśliwi jak kibice na jankeskim stadionie. Szybko zapomnieli o bolących nogach i ostrzeżeniach Kit.

Kit dotrzymywała kroku Dursleyowi. Zaciskała zęby, żeby na niego nie

wrzeszczeć, gdy potykał się na śliskich skałach. Tymczasem ryba wykorzystywała okazję i odwijała coraz więcej linki. Odnalazła nurt rzeki i płynęła tak szybko, jakby unosiła się w powietrzu.

W końcu zatrzymała się w swej dzikiej ucieczce. Dursley wykorzystał tę chwilę i rękawem anoraka otarł pot z czoła. Odetchnął głęboko. Czuł, jak puls wali mu w uszach. Ta szalona pogoń odebrała swój haracz. Ciągle nie mógł uwierzyć w siłę i wagę tej ryby.

Nerwy miał napięte do ostatnich granic. Cała jego istota skupiona była na tym, by wciągnąć rybę na brzeg i ją dotknąć. W tej chwili była dla niego najważniejszą rzeczą w życiu. Całymi dniami wyciągał dwudziestoczterodwudziestosześciocalowe pstrągi. Ale teraz bolały go już ramiona. Wiedział, że czeka go długa walka.

- Zostańcie na brzegu, z daleka od ryby - krzyknęła Kit. Zauważyła, że Leroy gotów jest wskoczyć do rzeki, tak bardzo pragnął zobaczyć pstrąga. Uważał, że już jest ich. - Ani się waż podejść bliżej. Ona nie może widzieć, że stoisz na brzegu. Właśnie szykuje się do walki.

Earl skinął głową. Szarpnął Leroya i postawił obok siebie.

Kit próbowała załagodzić sytuację.

- Jeśli się wystraszy, to zawróci jeszcze raz - tłumaczyła - dotrze do głębokiej wody, a wtedy go stracimy.

- Mało prawdopodobne - wydyszał Dursley. - Popłyniemy za nim.

Kit poklepała go po ramieniu.

- Złapiesz go. Tylko bądź cierpliwy. Staraj się trzymać go tak, żeby płynął w górę rzeki. Musisz go zmęczyć.

Poczuła nagłą litość dla tej wspaniałej ryby, zanurzonej głęboko w wodzie, i tak desperacko walczącej o wolność. Ale jedyna szansa na złowienie pstrąga-legendy, którego Hank i inni przewodnicy bezskutecznie nęcili od wielu miesięcy, przeważyło nad współczuciem.

Postrzępione, białe chmury, jak dmuchawce, wezbrały teraz niczym szare, brzemienne deszczem brzuchy i przesłoniły słońce. Wiatr przybrał na sile i zawirował wzdłuż rzeki.

- Odpoczywa - powiedziała Kit - musisz go pilnować.

Dursley wiedział, że Kit ma rację, ale był już zmęczony. Stał głęboko zanurzony w rzece, zapierając się nogami o dno, żeby wytrzymać napór prądu, który w każdej chwili mógł wepchnąć go do lodowatej wody. Wiatr, który najpierw ochłodził, a potem wysuszył jego pot, teraz zacinał wściekle, zabierając ciału resztki ciepła.

- Wiem - warknął - łowiłem ryby, kiedy ty jeszcze byłaś w powijakach. Nie traktuj mnie jak dziecko.

Kit skinęła głową. Nazbyt dobrze znała to napięcie i lęk przed stratą „wielkiej ryby". Odwróciła wzrok od linki, żeby sprawdzić, czy Earl i Leroy nie ruszyli się z przeciwległego brzegu. W tym momencie pstrąg zawrócił i skierował się pod prąd, prosto na nich. To zaskoczyło Dursleya. Linka leżała na wodzie długą, luźną pętlą.

- Nawijaj. Nawijaj - wrzasnęła Kit.

Dursley zaczął ściągać linkę ręką, rozpaczliwie usiłując nie zostawić rybie swobody, co pozwoliłoby jej wyrzucić haczyk.

Odwrócili się i rozpoczęli długą walkę z rybą, brnąc w górę rzeki i zmagając się z prądem.

- Nie mogę w to uwierzyć - wysapał Dursley, kiedy z powrotem przedzierał się pod prąd. - Ta ryba gna teraz w górę rzeki, walcząc z tym obrzydliwym prądem, zupełnie jakby płynęła w dół...

Ciężkie buty mężczyzny zsuwały się z gładkich, obmywanych wodą skał, kiedy jak oszalały nawijał linkę. Czasami musiał stać bez ruchu, bo siła prądu trzymała go w swych kleszczach. Potrząsnął głową i natychmiast oślepiły go spływające z czoła strużki potu. Kit wyciągnęła jaskrawozieloną apaszkę z kieszeni, uniosła jego stylizowane na lotnicze okulary i otarła mu oczy.

- Dzięki - powiedział, kiedy rzeka zmętniała mu w oczach, a potem znów zobaczył ją wyraźnie.

- To wchodzi w skład usługi - uśmiechnęła się szeroko Kit - a teraz wyciągnijmy go, zanim postanowi znowu płynąć z prądem.

- Jeśli to zrobi, poddaję się - powiedział Dursley.

Kit wyraźnie się przestraszyła. Trzeba to sfotografować. Bo inaczej całe przedsięwzięcie będzie tylko kolejną rybacką opowieścią.

- To musi być rekord IGFA. Rekord świata w zakresie pstrąga tęczowego - skłamała Kit.

Podziałało. Dursley nagle odzyskał entuzjazm. Bob, który łowił we wszystkich najlepszych miejscach na świecie, wciąż szukając tej jednej, jedynej ryby, byłby wściekły, gdyby się dowiedział, iż Dursley złowił największego tęczowego pstrąga już podczas pierwszej wyprawy na Alaskę. Tego pstrąga, o którym marzą wszyscy wędkarze.

- Powiedziałabym, że ma dobre osiemnaście funtów - ciągnęła dalej Kit. Nie była w stanie ocenić wagi ryby podczas jej kilku zapierających dech w piersiach skokach ku wolności, ale cel osiągnęła. Klient znów zapalił się do walki.

Uśmiechała się, kiedy ramię w ramię posuwali się w górę rzeki, potykając się co krok.

Earl spojrzał na nowy, ciemnozielony plecak, który leżał na kremowym, ostro wcinającym się w wodę, piaszczystym cyplu. Popatrzył w górę rzeki. Zadowolony, że Kit była całkowicie pochłonięta Dursleyem i rybą, ześliznął się z brzegu.

- Hej - zawołał Leroy. - Obedrze cię ze skóry.

- W porządku, poszli za rybą, w górę rzeki. Nie patrzy na nas - odkrzyknął Earl. Jednym szarpnięciem otworzył zapinane na rzepy paski, zamykające plecak, i wyciągnął niebieskie, plastikowe pojemniki.

Przez kilka chwil Leroy stał niepewnie na niedźwiedzim szlaku, ale kiedy Earl wyciągnął ociekającą majonezem kanapkę, zaburczało mu

w brzuchu. Nie pamiętając już o złości Kit, o spłoszeniu ryby i o niedźwiedziach, bezbłędnie odnajdujących jedzenie, przyłączył się do Earla. Starannie podzielili lunch na cztery porcje, biorąc tylko własny przydział, jakby chcieli podlizać się Kit. Kawa była czarna i gorąca. Wielki kubek zniknął w dłoniach Earla, kiedy ten ogrzewał sobie palce.

Obaj mężczyźni, zaczerwieniem po posiłku i gorącej kawie, siedzieli tyłem do wiatru. Patrzyli jak Dursley brnie tam i z powrotem chwiejnym krokiem po rzece, która ich do cna wyczerpała.

Nieustanny opór linki zaczynał męczyć rybę. Miała już dość tej szarpaniny. Nagle się zatrzymała. Poczuła, że opór zelżał. Natychmiast wykorzystała okazję, by podskoczyć, energicznie potrząsając głową. Ale ciemny haczyk mocno tkwił w skórze jej dolnej szczęki, choć jego ostre kolce już dawno się spłaszczyły.

Rozgniewana i zmęczona bitwą, raz jeszcze zawróciła i próbowała wpłynąć w główny nurt, zgodnie z jego kierunkiem. Linka pozostała wciąż mocno napięta, a ryba nie miała już siły, by wepchnąć srebrną głowę do głębokiej ciemnej wody - jedynego schronienia, którego tak rozpaczliwie teraz potrzebowała. Wykręciła w poprzek rzeki, w kierunku miejsca, gdzie tak często odnajdywała wolność. Sękaty korzeń złotolistnej karłowatej wierzby, który kiedyś tkwił w ziemi, teraz dumnie sterczał z brzegu, a jego poskręcany koniec dyndał w wodzie.

- Nie pozwól jej przepłynąć rzeki - powiedziała Kit, odgadując perfidny plan pstrąga. - Zapłacze linkę na tym korzeniu i zerwie ją.

Dursley zacisnął zęby i skrzywił się z bólu - z trudem utrzymywał się na śliskich głazach. Zdołał jednak zatrzymać rybę z daleka od środka rzeki.

- Zaczyna się męczyć - powiedział i zebrał linkę.

- Świetnie. Doprowadzimy ją do tej płycizny, gdzie zostawiliśmy plecak. To dobre miejsce, żeby wyciągnąć ją na czysty ląd - powiedziała Kit. Jej głos był nienaturalnie piskliwy, bo na samą myśl, że zobaczą i zmierzą tę rybę, która przez kilka godzin gnała ich po rzece Heartbreak tam i z powrotem, ogarnęło ją szalone podniecenie.

Odwróciła wzrok od wędki Dursleya, żeby ocenić odległość od piaszczystego cypla i zamarła. Był znacznie bliżej, niż sądziła. Dokładnie tam, gdzie chcieli delikatnie wprowadzić rybę na płyciznę, siedzieli Earl i Leroy.

- Hej - ryknęła. Wiatr porwał jej ostrzeżenie i ze świstem poniósł w górę rzeki. Gdy uświadomiła sobie, że nie usłyszą jej przy tym huraganowym wietrze, skupiła uwagę na Dursleyu, który posuwał się w dół rzeki, znacznie teraz wolniej, i miarowo nawijał linkę. Zaczęła szukać innego miejsca do wyciągnięcia ryby na ląd. Nie znalazła nic. Tylko strome, pokryte karłowatymi zaroślami brzegi. Heartbreak pieniła się wokół sterczących ponad wodą skał, albo leżała - zwodniczo spokojna i nieruchoma, w cichych, szerokich rozlewiskach.

Proszę, niech ci kretyni się nie ruszają, modliła się w duchu Kit, kiedy

zbliżali się do cypla. Dursley przekręcił głowę pstrąga, który płynął teraz w kierunku płycizny, jak dobrze wyszkolony pies myśliwski.

- Nie puszczaj - ostrzegła Kit, widząc, że napięcie zaczyna opuszczać Dursleya - te wielkie ryby mają w sobie ducha walki nawet wtedy, kiedy przykłada się do nich taśmę mierniczą.

W tej chwili Earl czknął, przeciągnął się i wstał.

- Dobre było. Napchałem się - oznajmił.

Leroy wstał także i niechcący potrącił butem srebrną zakrętkę od termosu, która stoczyła się do rzeki. Wlazł do wody, żeby ją złapać, zanim porwie ją prąd.

Pstrąg był zmęczony, gotów zakończyć walkę, ale gdy błyszcząca, srebrna zakrętka przemknęła mu przed nosem, a tuż za nią pojawiły się ciemne buty, poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. Ostro wykręcił z płycizny. Kołowrotek zatrzeszczał, kiedy potężna ryba raz jeszcze zaczęła błyskawicznie rozwijać linkę.

Ramiona Dursleya gwałtownie opadły.

- Zbieraj i nawijaj - rozkazała Kit, a jej głos brzmiał tak świeżo i ochoczo, jak kilka godzin temu. - Mamy go. Jest naprawdę zmęczony. To tylko chwilowe ożywienie.

Przypływ adrenaliny, jak cholera - pomyślał Dursley. Linka pomocnicza błyskawicznie znikała z kołowrotka. Próbował sobie przypomnieć, czy wziął sto pięćdziesiąt, czy dwieście jardów zapasu. Widząc, jak linka znika w rzece, miał nadzieję, że wziął jednak dwieście. Przeczuwał, że będzie potrzebny.

Kit obrzuciła Leroya wściekłym spojrzeniem.

- Gdzie twój rozsądek? - syknęła, kiedy, potykając się, szła przez cypel. - Wdrapuj się na górę i znikaj stąd. Przyprowadzimy tu tego pstrąga z powrotem. Jeśli jeszcze raz zobaczę cię w pobliżu tego miejsca, będziesz martwy.

Leroy bez słowa podszedł do Earla. Razem wspięli się na brzeg i usiedli na kępkach trawy, niewidocznych z cypla. Milczeli.

Złamali zasadę i zostali słusznie ukarani. Otrzeźwiła ich myśl, że przez nich Dursley mógł stracić swoją rybę. Patrzyli, jak Kit i Dursley znikają w dole rzeki.

- Matko Boska - wymamrotał Leroy - niech wyciągną tę rybę na ląd. Niech jej nie stracą.

Jakby w odpowiedzi na modlitwę, znikające w oddali postaci odwróciły się i zaczęły ostrożnie pokonywać drogę w górę rzeki.

Leroy jeszcze głębiej zapadł się w trawę. Kilka owadów i usiadło na jego karku. Nawet ich nie strzepnął, tak bardzo się starał, by już nigdy więcej żaden ruch nie wystraszył pstrąga.

Earl siedział po turecku i obserwował wędkę Dursleya, gdy wędkarze zbliżali się do nich.

- To nie jest ryba. To jakiś nadludzki rekin - powiedział.

- Ciii - ostrzegł Leroy.
- Ryby nie słyszą.
- Nie, ale Kit tak.

Earl milczał.

- Doskonale - ucieszyła się Kit, kiedy wycieńczony walką potężny pstrąg tęczowy wpłynął na płyciznę.

Uklękła w rzece tuż obok lśniącej ryby. Trzymała linkę prowadzącą w dłoni, a drugą ręką szukała w kieszeni kamizelki taśmy mierniczej. Ta sytuacja powtarzała się już po raz czwarty - Kit klękała, chwytała linkę prowadzącą, a wtedy ryba zakręcała i rzucała się w dół rzeki. Gnali zadnią, przerażeni, że haczyk wyrwie się z białej skóry wyścielającej jej pysk i ryba ucieknie.

Tym razem zwyciężyli. Dursley ukląkł przy Kit, zdarł z dłoni rękawiczki. Obmył ręce w rzece, zanim spróbował wziąć w nie rybę. Nie chciał zniszczyć ochronnego śluzu, który pokrywał jej łuski, i narazić jej na infekcję. Kiedy dotknął ogona, pstrąg zaczął się gwałtownie szamotać. Kit podłożyła rękę pod jego brzuch i trzymała tak długo, aż Dursleyowi udało się uchwycić rybę poniżej skrzeli. Pokrywy skrzelowe uderzały jak skrzydła szkarłatnego motyla, kiedy rozpaczliwie szukała tlenu.

- Trzydzieści sześć i jedna czwarta cala - szepnęła Kit, trzymając taśmę w drżących palcach. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Jeszcze raz rozciągnęła taśmę od płetwy ogonowej do pyska, w którym ciągle dyndał zaczepiony w szczęce haczyk.

- Zgadza się - krzyknęła tryumfalnie. - Trochę ponad trzydzieści sześć cali. Teraz zmierzmy obwód.

Kiedy jej sine z zimna palce owijały taśmę wokół brzucha ryby, Dursley zacieśnił chwyt. Pstrąg potrzebował tlenu i wił się na wszystkie strony, szukając wody.

- Jeszcze chwileczkę - uspokajała go Kit, jakby był niesfornym dzieckiem. - Jeszcze tylko jeden pomiar i włożymy cię na chwilę do wody, a potem zrobimy kilka zdjęć.

Earl i Leroy zbliżyli się bezszelestnie do Dursleya i Kit, unosząc wysoko kolana, jakby szli po gnijącej stercie łososi.

- Aparaty fotograficzne - rozkazała Kit, nie podnosząc wzroku.

Natychmiast zawrócili i po chwili każdy z nich kurczowo ściskał w dłoniach aparat fotograficzny.

- Dwadzieścia dwa cale! - wrzasnęła Kit. Walnęła Dursleya w ramię, niemalże przewracając go na ziemię.

- Wspaniale, chłopie! Pobiłeś rekord!

Dursley, porwany entuzjazmem, zapomniał o swojej angielskiej powściągliwości i angielskich manierach i odwzajemnił uderzenie.

- Nadzwyczajna kobieta! Jesteś fantastycznym przewodnikiem. Gdyby nie ty, poddałbym się już kilka godzin temu.

Kit uśmiechnęła się do niego szerokim, chłopięcym uśmiechem. Poło-

żyła jedną rękę ponad dłonią Dursleya przy ogonie ryby, a drugą poniżej jego dłoni, pod brzuchem. Następnie okręciła linkę wokół swojego ramienia, wciskając w ten sposób haczyk mocniej w szczękę pstrąga. Potem wpuściła go do wody.

Nazbyt często widywała wyrywające się z rąk wędkarza ryby wypuszczane do wody. Nie uwięzione przez haczyk wbity głęboko w ciało - były wolne. Wędkarz mógł tylko patrzeć, jak jego zdobycz umyka w dal, nie utrwalona na kliszy. Earl i Leroy pstrykali zdjęcie za zdjęciem.

Skrzela pstrąga błyskawicznie otwierały się i zamykały, gdy ryba wchłaniała tlen. Szczęśliwi, że żyje i oddycha, Dursley i Kit znów wyjęli ją z wody, podnieśli do góry i trzymali z taką dumą, jakby podawali dziecko do chrztu. Tymczasem Earl i Leroy wciąż fotografowali.

- Ktokolwiek złapał tę rybę, ten kłamie - powiedział Leroy.

Popatrzyli na niego ze zdumieniem, po czym wszyscy wybuchnęli niepohamowanym śmiechem.

- Tylko Irlandczyk mógł powiedzieć coś tak idiotycznego - parsknął Earl. - Z tobą naprawdę jest coś nie w porządku.

Walnął Leroya w plecy. Leroy zachwiał się i mało brakowało, a wylądowałby na Dursleyu i rybie.

- To sprytne - roześmiał się Dursley. - Muszę to sobie przypomnieć, kiedy będę łowił ryby z Bobem.

Skonsternowany Leroy zajął się swoim aparatem fotograficznym.

- Film się skończył - jęknął.

- Nic dziwnego - powiedział Earl, ciągle pstrykając aparatem. - Musiałeś zrobić co najmniej czterdzieści pięć zdjęć Dursleya z rybą na trzydziestosześcioklatkowej kliszy.

Na krótką chwilę Dursley zamknął oczy i wyobraził sobie, jak szczęśliwa byłaby Casey, gdyby tu była razem z nim.

- Żałuję, że Casey nie zobaczy tej „jedynej w życiu" ryby - powiedział, odpinając srebrne kleszcze od klapy swojej rybackiej kurtki.

Usta Casey, o uniesionych w zaraźliwym uśmiechu kącikach, i jej tańczące oczy, przemknęły w jego pamięci. Poczuł głęboką tęsknotę za kobietą, " torą już wkrótce miał poślubić.

A ja żałuję, że nie ma tu Hanka... Powinien zobaczyć, że to ja aprowadziłam klienta na taką rybę - pomyślała Kit, ale nic nie powiedziaa.

Dursley ostrożnie zacisnął kleszcze o igiełkowych końcówkach na haczyku i wyciągnął go ze szczęki pstrąga.

- Walnij go w łeb - rozkazał Leroy podnieconym głosem. - Nie bierz jeńców! - ryknął.

Kit odsunęła się od ryby, zostawiając Dursleyowi przyjemność uwolnienia jej. Umyła palce w lodowatej wodzie, wytarła je o rękawy i wetknęła głęboko do kieszeni anoraka. Odnalazła na szczęście metalowe ogrzewacze do rąk, których używa wielu przewodników.

- Nie wolno nam tego zrobić - powiedziała cicho - pamiętaj, tutaj nie zabija się zwierząt.

- Pewnie dlatego dorastają do takich gigantycznych rozmiarów, jak ten pstrąg - powiedział Earl, nie przestając fotografować. Tym razem robił zdjęcie jak Dursley uwalnia rybę.

- Więc nie znajdzie się w księdze rekordów IGFA - powiedział Leroy. Zbladł, kiedy zrozumiał co właśnie powiedział. - Więc spędziliście cały ten czas łowiąc rekordowego pstrąga, który wcale nie jest rekordowy?!

- To nie jest sprawiedliwe - powiedział Earl, biorąc stronę Leroya. - Powinno się zabierać rekordowe ryby.

Dursley klęczał w wodzie i trzymał pstrąga w łagodnym nurcie. Uśmiechnął się, a Kit pomyślała, że jednak ze smutkiem. Ryba leżała spokojnie w jego rękach, i wtedy ogarnęło go poczucie winy. Być może wodził ją zbyt długo i zamęczył ją na śmierć. Odpłynie teraz w dal, białym brzuchem do góry, pokazując światu, że ją zabił.

Pstrąg wciąż leżał nieruchomo w wodzie, lecz gdy prąd naparł na jego pokrywy skrzelowe, jego ciało wypełniło się tlenem i siłą, których tak bardzo potrzebował. Walka z haczykiem wyczerpała go. Teraz odpoczywał, próbując odzyskać orientację.

Kciuki Dursleya delikatnie naciskały na jaskraworóżowe prążki, ciągnące się wzdłuż srebrnych boków ryby. Pomyślał, że przyroda, kończąc swoje dzieło, dodała do srebra trochę złota, a tam, gdzie jeszcze czegoś brakowało - rozpyliła platynę.

- Jest taki piękny - szepnęła Kit.

Earl i Leroy stali na krawędzi piasku i patrzyli na rybę z zachwytem i lękiem, ale bez odrobiny nawet zazdrości. Zimne, szare światło odnalazło pstrąga i ożywiło go blaskiem tęczy namalowanej na ołowianym niebie.

Nagle Dursley poczuł, że przez jego palce przebiega ledwie wyczuwalna fala. Pstrąg zadygotał. Kiedy nabrał sił i poruszył się w jego dłoniach, wędkarz poczuł jakąś drobną cząstkę tego cudu, którego doznaje matka rodząca dziecko.

Trzasnąwszy swym potężnym ogonem, pstrąg wyśliznął się z jego uścisku i pognał do swojego świata. Mężczyzna patrzył z powagą jak ryba, mocno pracując płetwami, przedziera się przez płyciznę i znika w ciemnozielonych głębiach Heartbreak.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Szli za Traperem Jackiem do jego chaty, zbudowanej na letnich terenach łowieckich Inuitów, kiedyś oddalonych od Barrow, a dziś zaliczanych do jego peryferii. Casey ciekawie rozglądała się wokół. Rozluźniła kaptur, bo w ostrym blasku słońca wydało jej się, że wiatr ucichł. Hank spojrzał na nią i poprawił jej włosy.

- Moja mała Eskimoska - zamruczał. Kiedy to powiedział, uświadomił sobie, jak bardzo w tej tradycyjnej, obszytej futrem parce przypominała Inuitkę. Taka sama okrągła twarz, ciemne oczy, tylko innego kształtu. Migdałowe, szeroko rozstawione, bez śladu mongoloidalnego zwężenia czy skośności, świadczyły o angielskiej krwi płynącej w jej żyłach. Lecz jej uśmiech był taki sam, jak uśmiech inuickich dzieci. Dzieci te, gdy tańczyły dla turystów miały smutne i posępne buzie, ale na uśmiech odpowiadały uśmiechem, który je rozjaśniał, a wtedy stawały się piękne.

- Twoje miejsce jest tutaj, przy mnie, Ticasuk - wyszeptał. - Możemy razem poznawać ten wspaniały kraj. Tę ziemię, która rzuca wyzwanie każdemu, kto zwątpi w potęgę Mocy Nieśmiertelnej.

Kiedy mówił, Casey raz jeszcze ujrzała wznoszące się ku niebu góry wokół przełęczy Lakę Clark i majestat ogromnych lodowców, żłobiących drogę wśród skał. W odpowiedzi ścisnęła jego dłoń.

- Kiedy lecieliśmy przez przełęcz, czułam, że właśnie tutaj odpoczywa Bóg, z dala od tego bałaganu, jaki udało nam się zrobić na świecie - odparła.

Szli razem, spokojnie i w pełnej harmonii.

Inuiccy mężczyźni, których mijali, zdawali się nie zwracać na nich uwagi. Zajęci byli naprawianiem grubych opon do śniegołazów, rozciąganiem skór morsa na długich łodziach umiak, naprawianiem jednoosobowych kajaków lub majstrowaniem w japońskich silnikach do aluminiowych łodzi, które zastępowały tradycyjne kajaki ze skóry.

Casey zatrzymała się, by popatrzeć, jak Inuit starannie wkłada części zaburtowego silnika, pomiędzy paski suszącego się mięsa karibu, rozłożonego na wywróconej do góry dnem łodzi.

- Zmontuje ten silnik błyskawicznie - powiedział Hank. - Inuici mają talent w rękach, potrafią naprawić maszynę, której nigdy przedtem nie widzieli.

- To dzięki stuletniej praktyce w wyrabianiu łodzi i narzędzi z kości, skór, wyrzuconego przez morze drewna i wszystkiego, co zdołali znaleźć na tej jałowej ziemi - wyjaśnił Traper. Zwolnił i przystanął przy nich.

- Swoją wrodzoną wiedzą techniczną wprawili niejednego specjalistę w zakłopotanie - wyszeptał Hank, gdy Traper Jack znów ruszył do przodu, stawiając wielkie, majestatyczne kroki.

- No, cóż, tego jednego po nich nie odziedziczyłam - roześmiała się Casey. - Mam nawet trudności z maszyną do szycia.

- Właśnie dlatego gromadzą to całe żelastwo - powiedział Hank, wskazując na tandetną kolekcję pozornie bezużytecznych przedmiotów, które walały się dokoła. - Przez lata gromadzili wszystko, co mogło się tutaj przydać. Do dziś pozostał im ten instynkt gromadzenia, choć odkrycie ropy naftowej na North Slope sprawiło, że teraz są bogaci i stać ich na kupienie sobie wszystkiego, czego potrzebują... - Kocham cię, Ticasuk - powiedział nagle. Kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, wilcze futro, okalające jej kaptur połaskotało go w nos.

Gdy szli krętą drogą przez obóz, niektórzy inuiccy mężczyźni wpatrywali się w Casey. Ich twarze były skupione, a oczy bez wyrazu. Dreszcz przebiegł jej po plecach.

Kobieta w hotelu powiedziała im, że mieli wiele szczęścia, bo znaleźli się w Barrow przy ładnej pogodzie. Mgła, która zwykle napływa dwadzieścia mil w głąb lądu, podniosła się i odsłoniła słońce. Mimo to Casey czuła, że nad nowymi chatami, które zastąpiły stare namioty myśliwskie, zawisła jakaś ponura groźba, niewyraźna jak wczorajsza mgła.

W tej chwili rzeźby Inuitów ożyły: postacie z ustami szeroko rozwartymi w odrażającej agonii, szamani dosiadający niedźwiedzi i pędzący gdzieś do tajemniczej i przerażającej krainy sennych koszmarów...

Odezwała się jej podświadomość i przypomniała jej czasy, gdy jej przodkowie drżeli na myśl o niebezpieczeństwach polowania. A jednak, w tym niegościnnym obozie, zbudowanym na skrawku ziemi schodzącej do morza tundry, czuła się spokojna i dziwnie podniecona. Obóz leżał na migracyjnych szlakach ptaków i sąsiadował z morskimi ścieżkami waleni powracających z Morza Beauforta.

Szli krętą dróżką pomiędzy chatami. Casey wiedziała już po co zgromadzono tu całe to żelastwo, oparte o ściany domów i walające się wokół nich, tworzące groteskowe ogrody porzuconego złomu. Skupiła się więc na odkrywaniu śladów dawnych polowań. Próbowała wyobrazić sobie jak jest tutaj zimą, jak mogą żyć ludzie - w tym kraju gdzie słońce zachodzi na sześćdziesiąt sześć dni, jak mogą przeżyć ponury czas ciemności, gdy budzący grozę Ivu, gigantyczna lodowa kra, odrywa się od paku i pędzi w głąb lądu niby moc piekielna, zabijająca wszystko, co spotka na swojej drodze.

Inuici dobrze znali depresję, ten przytłaczający stan ducha, „perleron-rneg", który wielu z nich doprowadzał na skraj szaleństwa. Zdarzało się to wtedy, gdy jedynymi dźwiękami, rozlegającymi się w styksowej ciemności zimowej nocy, było przenikliwe zawodzenie północnego wiatru, wiejącego w głąb lądu znad lodów polarnych, i przyprawiający o mdłości łoskot ton lodu, napierającego na siebie, miażdżącego się z trzaskiem i tworzącego niebotyczne zwały.

- Spójrz, Hank - zawołała Casey, pochylając się pod sznurem, obwieszonym kremowymi kaczkami edredonowymi. Wiatr rozwiewał ich piórka, ukazując miękki spód. Kiedy tak wisiały przymocowane za szyje, przekręcając się i tańcząc na wietrze, wyglądały zupełnie jak żywe.

Hank pogrążony był w przyjacielskiej pogawędce z Traperem Jackiem. Casey musiała zawołać jeszcze raz, żeby ją usłyszał i zatrzymał się. Gładziła teraz pożółkłą sierść niedźwiedzia polarnego, którego skóra była przypięta na sznurze obok gęsi. Traper Jack szybko zawołał coś do mężczyzny, który zbliżał się do Casey. Z jego dłoni zwisała stara łyżka do opon. Następnie Traper krzyknął do Casey.

- Nie dotykaj żadnej zdobyczy. Chodź z nami. Tak będzie lepiej.

Wyczuwając kogoś za plecami, Casey odwróciła się do inuickiego myśliwego.

- Bardzo mi przykro - przeprosiła. W odpowiedzi mocniej zacisnął dłoń na łyżce do opon.

Casey poczuła żelazny chwyt, który unieruchomił jej ramię, aż skrzywiła się z bólu. Traper Jack stał przy niej i coś tłumaczył myśliwemu. Jego argumentacja chyba uspokoiła mężczyznę, choć jego oczy wciąż były zimne i bezlitosne jak mróz bez szronu.

- Ja tylko podziwiałam skórę - wyjaśniła Casey, kiedy Traper Jack i Hank odprowadzili ją od chaty myśliwego. - Nigdy przedtem nie dotykałam futra niedźwiedzia, zawsze uważałam, że jest białe, ale ta miejscami była brzoskwiniowożółta. - Głos jej drżał. Próbowała go kontrolować.

Traper uświadomił sobie, jak bardzo jest wstrząśnięta, i przełożył swój wykład na później. Szybko polubił Casey i tę jej fascynację wszystkim, co ją otacza. Postanowił ją uspokoić. Zaczął mówić o niedźwiedziu.

- Sierść niedźwiedzia polarnego jest bezbarwna. Wydaje się biała tylko dlatego, że załamuje światło słoneczne. Dotykałaś tej gęstej wełny pod sztywnymi, zewnętrznymi włosami ochronnymi. Włosy ochronne są w środku puste i chronią sierść przed splątaniem, kiedy jest mokra.

Casey słuchała Trapera Jacka z szeroko otwartymi oczami. Spotkanie z myśliwym zdenerwowało ją, ale nie zniechęciło. Pragnęła wiedzieć wszystko o tej niezmierzonej, dzikiej ziemi, gdzie piękno i okrucieństwo łączyło się niczym para nieodłącznych kochanków. O ziemi, która urzekła ją natychmiast i bez reszty. Wiedziała, że Traper Jack jest tym, kto pozwoli jej zobaczyć i zrozumieć ten naród i ten kraj. Jej naród i jej kraj. Po

pierwszym szoku, wywołanym przygnębiającym krajobrazem wokół Barrow, widziała już tylko pomysłowość Inuitów. Fascynowali ją.

- Pamiętaj, że jesteś teraz w letnim obozie łowieckim Inuitów. - Przerwał, szukając słów, które byłyby w stanie oddać w słowach jedyne w swoim rodzaju misterium polowania. - Mimo że młodzi ludzie używają teraz automatycznej broni palnej, a nie naszych pięknie rzeźbionych oszczepów, wciąż szanują duszę łownej zwierzyny. „Inva", wewnętrzny duch zwierząt, jest dla nas czymś bardzo ważnym. Zwierzę musi umierać ze świadomością, że myśliwy szanuje je i podziwia. Ty, jako obca, nie-Inuitka, jesteś profanką. Nawet w tych czasach wielkich przemian konieczny jest szacunek.

- Przepraszam - powiedziała Casey speszona.

- Kiedy wracacie do Anchorage? - zapytał Traper Jack, nagle zmieniając temat. Udawał, że nie zauważył cienia smutku, który przemknął przez twarz dziewczyny, ani jej dłoni, szukającej dłoni Hanka i ściskającej ją mocno.

- Jutro - odpowiedział Hank, nienawidząc myśli o powrocie do Kit i Dursleya, i tych wszystkich wzajemnych oskarżeń, które nieuchronnie nastąpią.

Traper Jack wpatrywał się w morze, poza pasek ciemnoszarej wody, tam, gdzie lód przemieszczał się w ogromnych blokach, przypominających pancerz olbrzymiego zwierzęcia. Wciągnął do płuc zimne, morskie powietrze, głęboko, jak niedźwiedź węszący za zdobyczą.

- Czuję zapach morskiej mgły - powiedział, patrząc w kierunku polarnej czapy lodowej. - Mark Air nie poleci przez kilka najbliższych dni.

W ciągu kilku sekund Casey miotała się między euforią a przerażeniem. Słowa Trapera znaczyły, że będzie miała Hanka tylko dla siebie odrobinę dłużej, ale także i to, że Stewart Saunders dowie się, że poleciała do Barrow. Aż do tej chwili miała nadzieję, że kiedy przyleci, by zabrać ją do obozu, będzie czekała na niego w hotelu, i cała wyprawa pozostanie tajemnicą jej i Hanka. Znalazłaby jakiś pretekst, by zerwać zaręczyny z Dursleyem. Kiedy wszystko się uspokoi, wróci tutaj, na Alaskę i do Hanka.

Hank objął ją ramieniem i mocno przytulił. Chłonęła jego siłę, wdzięczna za bezpieczeństwo, które jej daje.

- Wszystko jest zapisane, Ticasuk - powiedział półgłosem, próbując jej dodać otuchy. - W tym naszym nieskończonym wszechświecie nic nie dzieje się przypadkiem. Być może to nie jest to, czego chcemy, ale na pewno to, co ma być. Razem stawimy temu czoło.

Traper Jack udawał, że ich nie słyszy. Jego pokryta bliznami twarz, była nieodgadniona.

- Jutro wyruszamy na polowanie na niedźwiedzia polarnego. Może byście się do nas przyłączyli?

Hank spojrzał na Casey i zawahał się.

Traper zatrzymał się przed wejściem do swojego namiotu i z uwagą przyglądał się tej angielskiej dziewczynie o inuickim imieniu. Zmrużył oczy

i zobaczył swoją córkę, gdy była mniej więcej w jej wieku - młodą i pełną entuzjazmu. Potrząsnął głową. Nie widział jej od czasu, gdy krzepki młodzieniec pracujący przy północnoalaskanskim rurociągu, zabrał ją do Zatoki Prudhoe. Słyszał, że wyrzekła się swoich inuickich korzeni i została „amerykańskim kociakiem".

A oto miał przed sobą brytyjską dziewczynę, pragnącą wrócić do swoich korzeni. Kiedy odwrócił się od niej, uśmiechnął się. Los dał mu jeszcze jedną córkę. Pokaże jej miłość i piękno, które kryją się pod brzydotą wszystkiego, co tutaj widziała.

- Ticasuk - zawołał, a Casey pospiesznie podeszła do niego. - Pamiętaj - nasz naród próbuje stopić starą kulturę z nową. To stwarza problemy. Przyłącz się do nas i ujrzyj na własne oczy odwagę inuickich myśliwych, Ticasuk. - Odciągnął skórzaną klapę od swego namiotu i ruchem ręki zaprosił ich do środka. - Będziemy mieć karabiny, a nie tradycyjne, długie na dwadzieścia stóp oszczepy, jakich używaliśmy w czasach mojej młodości - uspokoił ich. - Tak będzie znacznie bezpieczniej.

- Polowanie na niedźwiedzie polarne jest zawsze niebezpieczne, Traperze - zaoponował Hank, raz jeszcze patrząc na Casey.

- Och, bardzo chciałabym iść z wami, ale, jak, do licha, polowaliście na niedźwiedzie oszczepem? - zdumiała się Casey. Miała nadzieję, że uda się jej rozproszyć obawy Hanka.

Traper Jack uśmiechnął się, kiedy pomyślał o czasach swojej młodości, o dniach, spędzanych na krze lodowej, na tropieniu zwierząt wtopionych w śnieżny krajobraz. Przypomniał sobie ten straszliwy zgiełk, kiedy czuł całą potęgę i wściekłość nabitego na drzewce zwierzęcia, od którego oddzielała go tylko poprzeczka. I ten strach, gdy przekręcał oszczep w ciele konającego niedźwiedzia, tnąc i rozrywając jego wnętrzności, zawsze z nadzieją, że zdąży dobić ranne zwierzę, zanim zdoła się uwolnić i rozszarpać jego ciało na strzępy.

- To był rytuał. Inicjacja mężczyzny - powiedział Traper. Roztropnie pominął szczegóły polowania. Kobiety chyba nigdy nie rozumiały tego gwałtownego podniecenia towarzyszącego zabijaniu. One tylko widziały krew i czuły ból. - Chyba lepiej będzie, jeśli zostaniesz w hotelu - powiedział do Casey, zwątpiwszy nagle w sens i rozsądek zabierania kobiety, angielskiej dziewczyny, na polowanie na jedno z najgroźniejszych i najniebezpieczniejszych zwierząt, jakie zrodziła ta planeta.

- Sądzę, że Traper ma rację, Ticasuk - zgodził się Hank, przypominając sobie wszystkie te przerażające historie o niedźwiedziach-mordercach, albo o tym, że kra, na której stali myśliwi, oderwała się od głównej części paku lodowego i popłynęła na pełne morze, zabierając ludzi i niedźwiedzia.

- O, nie, proszę, nie - błagała Casey, patrząc na obu mężczyzn. - Nie mogłabym zostać tu sama i czekać na samolot.

Hank wiedział dokładnie, czego się obawiała po powrocie do Katmai.

Czas na polowaniu upłynie szybko i nie zostanie nawet chwili, by martwić się o Dursleya - pomyślał.

- Zabierzmy ją, Traperze - powiedział, a Casey odetchnęła z ulgą. - To wytrzymała dziewczyna. Będę się nią opiekował.

Traper milczał przez chwilę. Powykręcanymi palcami głaskał piękną rybacką przynętę, którą wziął z drewnianego stołu. Skinął głową i wręczył Casey mały kościany przedmiot.

- Pewnego dnia, kiedy tu wrócisz, nauczę cię, jak się łowi ryby w zimie, i opowiem ci o Arktosie, Wielkim Niedźwiedziu z kraju, który leży poza północnym wiatrem.

Casey podziękowała uśmiechem. W najgłębszym zakamarku jej serca, coś bezgłośnie śpiewało.

Traper Jack wiedział, że Casey wróci na Alaskę, do Hanka. Widział, jak , rumienią się jej policzki, a oczy tańczą z miłości, kiedy na niego patrzy.

- Znalazłeś tę, której serce bije tak, jak twoje - powiedział cicho. - A jeśli pozwolisz jej odejść, twoja przyszłość będzie długim, bezgłośnym płaczem.

Casey przenosiła spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego, a słowa, które ledwie słyszała, wprawiły ją w zakłopotanie.

- Wszystko w naszym wszechświecie uderza w przypisanym sobie rytmie. Wiosna zmienia się w lato, które z kolei, staje się jesienią, a potem umiera i usypia w uścisku zimy. - Zwierzęta rozumieją rytm życia i żyją zgodnie z nim. My jesteśmy jedynym gatunkiem, który z nim walczy. Właśnie dlatego będziemy zniszczeni. Wielka Siła Życiowa nie toleruje burzenia równowagi - powiedział Traper. Uśmiechnął się do Casey ze smutkiem, kiedy sadzał ją na chropowatym, drewnianym stołku, pospiesznie uprzątniętym z noży i figurek wystruganych z kości. - Posłuchaj, mała, angielska Inuitko, i zapamiętaj te słowa. Czuję, że kiedyś będziesz ich potrzebowała. Wiem, że będziesz.

Moje lęki,
te malutkie, co zdawały się tak wielkie.
Bo wszystko co potężne
musiałem zdobyć i ujarzmić.

A jednak,
jest tylko jedno co naprawdę ważne.
Żyć, by zobaczyć, jak wstaje dzień
i to światło, które świat wypełnia.

Głęboki głos Trapera donośnie rozbrzmiewał w małym namiocie. Casey poczuła dreszcz. Bezgłośnie powtórzyła ostatnią zwrotkę, zatrzymując ją

przy sobie, jak talizman. Była zdumiona. Sądziła, że Traper jest wykształconym przez misjonarzy Eskimosem, który polował, zastawiał sidła i łowił ryby, żeby przeżyć. Nie spodziewała się po nim filozofii i poezji.

Hank się roześmiał.

- Traper jest pisarzem. Opublikował już dwie książki o poezji i jedną o legendach Inuitów.

Starzec przyjął komplement i podziękował lekkim skinieniem głowy. Zapalił piecyk gazowy, podgrzał wodę i przygotował trzy kubki kawy.

- Opowiedz mi jakąś inuicką legendę - poprosiła Casey, obejmując dłońmi filiżankę z kawą i rozkoszując się jej ciepłem.

Traper hałaśliwie pociągnął z filiżanki. Jego wzrok błądził po tundrze, rozciągającej się za małym okienkiem namiotu.

- Opowiem wam jedną z naszych najsłynniejszych legend. To opowieść o niedźwiedziach, uczy szacunku dla tych wspaniałych zwierząt. - Zamknął oczy, wyobrażając sobie historię, która wyłaniała się z jego pamięci.

- Pewnego dnia piękna, młoda dziewczyna wyszła z wioski zbierać jagody. Spotkała młodego mężczyznę, który był piękny i dobry. Natychmiast go polubiła, więc kiedy ją poprosił, by z nim poszła, zrobiła to. Kochali się w tundrze, a letnie słońce ogrzewało ich ciała.

Kiedy nadeszła zima, mężczyzna wykopał dla nich norę na zboczu wzgórza. Poszła z nim do tej nory, ale zaczęła myśleć, że on nie jest człowiekiem. Zrobił się bardzo owłosiony, a kiedy patrzyła, jak polował na zwierzęta, wyglądał jak niedźwiedź, jednak gdy był z nią, wracał do postaci mężczyzny.

Hank cichutko przeszedł przez pokój i usiadł u nóg Casey, obejmując je ramieniem.

- Tej zimy kobieta urodziła w swojej jamie dwoje dzieci. Zapomniała o swej rodzinie i o wszystkim innym.

- Traper przestał na chwilę mówić i podniósł kubek z kawą. Wyciągnął dzbanek w stronę Casey, która potrząsnęła głową przecząco. Czekała na dalszy ciąg historii.

- Byli razem szczęśliwi, kobieta i niedźwiedź - powiedział Traper. - Potem nadeszła wiosna. Bracia kobiety wyruszyli z wioski, żeby polować na niedźwiedzie, jak robili to każdej wiosny. Przyszli do jamy kobiety. Niedźwiedź-człowiek usłyszał ich i zanim wyszedł, zaśpiewał żonie piosenkę, piosenkę o szacunku dla niedźwiedzi. Powiedział jej także, jak trzeba gotować łeb martwego niedźwiedzia i śpiewać mu pochwalną pieśń.

Bracia kobiety zabili niedźwiedzia, kiedy wyszedł z jamy. Kobieta wróciła do wioski z dwójką swych dzieci. Nauczyła ludzi kochać i szanować niedźwiedzie. Nauczyła ich gotować łeb zabitego niedźwiedzia i śpiewać słowa ku jego chwale.

Lata mijały i ciało kobiety pokryło się futrem. Pewnego dnia bracia zaczęli się z niej wyśmiewać. Wtedy kobieta natychmiast zamieniła się w niedźwiedzia i zabiła całą swoją rodzinę.

Casey wysączyła kawę do dna i ciągle wpatrywała się w Trapera, jakby chciała, by mówił dalej.

- Ludzie, którzy mieszkają blisko niedźwiedzi, zawsze darzyli je głęboką czcią i traktowali ich jak członków rodziny - wtrącił Hank. - Niektóre grupy etniczne wierzą, że są potomkami niedźwiedzi. - Popatrzył na Trapera, szukając potwierdzenia.

Traper skinął głową.

- My wierzymy, że niedźwiedzie są obdarzone wielką mocą. Zawsze istniał jakiś związek między nami a niedźwiedziami. Ludzie i niedźwiedzie przez wieki dzielili pola jagodowe i łososiowe rzeki. Niedźwiedzie nigdy nie traktowały człowieka jak zwierzynę łowną. - Westchnął i podniósł nóż, który właśnie rzeźbił. Jego rękojeść przedstawiała niedźwiedzia lecącego nad tundrą. - Te czasy już się skończyły - powiedział cicho. - Teraz jest za dużo ludzi. Nie szanują niedźwiedzi. Już nie są zadowoleni z tego, że dzielą z nimi rzeki. Chcą je mieć tylko dla siebie. Wkrótce niedźwiedzie zaczną nienawidzić ludzi i polować na nich. Zamiast być naszymi szanowanymi przodkami, staną się znienawidzonymi i budzącymi grozę wrogami.

- Dlaczego więc polujecie na niedźwiedzie? - zapytała Casey.

Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego wcale jej nie dziwi, że oto siedzi w namiocie z foczej skóry i rozmawia z wykształconym człowiekiem o jego przodkach, którzy byli niedźwiedziami. Traper pochylił się nad swoją rzeźbą. Cisza była długa i bolesna.

- Ponieważ niedźwiedzie, jak morsy, foki i wieloryby, dostarczają mięsa, które jest niezbędne, by Inuici przeżyli zimę. Nie poluje się na niedźwiedzie po to, by piękne skóry leżały przed kominkiem, Ticasuk - wyjaśnił Hank, dobrze wiedząc, że Casey złamała zasadę gościnności i Traper nie odpowie jej na to pytanie. - To jest brutalny, surowy kraj. Odkrycie nafty na tych terenach umożliwiło Inuitom zbudowanie domów towarowych i sprowadzanie samolotami świeżych kwiatów do flakonów. Oni jednak nadal ufają tylko sobie, swojej sile i zręczności, i dlatego polują, a mięso wielorybów i niedźwiedzi przechowują w podziemnych, lodowych spiżarniach. Potrzebują też skór morsów i fok na kajaki i odzież zimową.

Traper słuchał w milczeniu, od czasu do czasu kiwając głową.

- Są wdzięczni zwierzętom, które zabijają. Traktują śmierć zwierzęcia jako dar. Oni nie zabijają po to, by zabijać.

Traper Jack popatrzył na Hanka, siedzącego po drugiej stronie namiotu, na jego przejętą twarz, i poważną, kiedy starał się wyjaśnić Casey ceremoniał zabijania. Traper pochylił się znowu nad swoją rzeźbą, tułów niedźwiedzia z kości coraz bardziej przypominał tułów człowieka. Był zadowolony. Hank rozumiał ich sposób życia. Dobrze się tego nauczył. Małżeństwo z Ticasuk będzie dla niego odpowiednie. Mimo że w żyłach

dziewczyny płynie tylko wąski strumyczek krwi Inuitów - to wystarczy. Oboje będą dziećmi krainy, która zachowała swe piękno, ponieważ Duch Wszechświata sprawił, że tylko garstka ludzi, silnych i przepełnionych miłością do tej ziemi, może przetrwać tutejszy klimat.

Jednak gdy spojrzał na Casey, poczuł niepokój. Ich droga nie będzie łatwa.

- Musimy już pożegnać się z Traperem. Trzeba odpocząć przed jutrzejszym polowaniem, Ticasuk - powiedział Hank. Casey posłusznie wstała, lecz Traper zatrzymał ją, unosząc w górę dłoń, niewiele większą od jej dłoni.

- Po pierwsze, musimy znaleźć dla ciebie ubranie - powiedział, z lekceważeniem wskazując na jej obszyty futrem anorak.

- To szybko przemoknie. A wtedy natychmiast zamarzniesz na śmierć.

- Ale... - powiedziała Casey, gotowa wyjaśnić, że jej anorak to najwyższej jakości odzież zimowa.

- Mój siostrzeniec zmarł w zeszłym roku - powiedział cicho Traper. - Jak wielu naszych młodzieńców, odrzucił tradycyjną odzież z futer i skór na rzecz tych nowych amerykańskich kombinezonów, przeznaczonych dla polarników. Ich śniegołaz, kolejny niebezpieczny wynalazek, zepsuł się. Próbowali pieszo dotrzeć z powrotem do obozu.

Traper przerwał i potrząsnął głową myśląc o grobie na ogrodzonej białym parkanem parceli. Miejsce to leżało daleko w głębi tundry, za nie używanym teraz wojskowym samolotem, wyposażonym w system wczesnego ostrzegania i stacją radarową.

Casey zamilkła, a po chwili zmieniła temat rozmowy, bo ten ciągle był dla Trapera bolesny.

- Dlaczego nie podobają ci się śniegołazy? - spytała. - Myślałam, że to wspaniały wynalazek do poruszania się po śniegu i lodzie.

- Traper spędził całe życie z psami - wyjaśnił Hank. - Trudno jest przestawić się na maszyny...

- I niebezpiecznie - dodał Traper. - Jeśli złapie cię zamieć albo burza śnieżna, możesz się skulić pod psami i zasnąć. Grzeją jak najlepszy koc. Jeśli burza trwa zbyt długo, masz też jedzenie. - Prychnął pogardliwie. - Spróbuj zjeść śniegołaz!

- Och, Traperze, nie - powiedziała Casey, krzywiąc się. - Chyba nie jesz swoich psów?

- Zawsze zabieram ze sobą jedną lub dwie nędzne kreatury, których nienawidzę - powiedział, szperając w skrzyni stojącej w tylnej części namiotu.

Casey otworzyła usta, ale Hank uciszył ją ostrzegawczym spojrzeniem.

- Są - powiedział Traper, tryumfalnie wyciągając stertę ubrań.

Na samą myśl, że ma to założyć, zadrżała. Ubranie wyglądało jak towar wystawiony na targu ulicznym na Pettincoat Lane, w którym grzebały już tysiące rąk.

Hank mrugnął do Casey, kiedy Traper rzucił w jej stronę następną parkę, zrobioną ze skór karibu i wilczego futra.

- Prawie wszystkie ubrania zimowe Inuitów zrobione są z karibu zabitych jesienią, zanim ich sierść zbije się w kłaki, bo wtedy ubranie byłoby za ciężkie i niewygodne - powiedział Hank, ratując ją przed koniecznością odezwania się.

. Casey skrzywiła się, kiedy Traper dał jej wkładki do butów, zrobione ze skór ptaków oraz buty, z podeszwami z futra niedźwiedzia polarnego, żeby można w nich było cicho stąpać po śniegu.

- Większość waszych brytyjskich wypraw używa teraz ubrań Inuitów - powiedział Traper, który chyba wyczuł jej zakłopotanie. - Lepiej jest przeżyć, niż ubrać się zgodnie z najnowszą modą, Ticasuk.

- Dziękuję, bardzo ci dziękuję - powiedziała Casey, nagle skruszona, że zraniła jego uczucia nie doceniając podarunku. - Naprawdę jestem bardzo wdzięczna.

Jutro będziesz - pomyślał - patrząc, jak Hank otwiera klapę namiotu. Pospiesznie do nich dołączył, bo nie chciał, żeby szli sami przez obóz łowiecki.

Patrzył, jak Casey i Hank idą wzdłuż szarej drogi, trzymając się za ręce. Casey zatrzymała się, żeby zerwać rosnący w tundrze arktyczny mak. Stanęła na palcach i zatknęła delikatny, żółty kwiat za pasek baseballowej czapeczki Hanka, a wiatr zerwał jej z głowy kaptur parki.

Patrzył, jak Hank odsunął włosy dziewczyny i pochylił się, żeby ją pocałować.

Rzucił okiem na niebo, odwrócił się i ruszył w powrotną drogę wśród letnich chat i namiotów. Wiatr przygnał pierwsze wstęgi mgły - szare i gęste, jak potargane włosy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Stewart Saunders minął należącą do biura turystycznego malowniczą chatę z okrąglaków, z dachem obłożonym darnią i ogrodem, pełnym jesiennych kwiatów. Spojrzał spode łba na turystów, którzy pośpiesznie wchodzili do chaty po mapy i informacje. Był tu już po raz piąty. Starannie obejrzał ważący pięć tysięcy funtów jadeitowy głaz narzutowy, położony przy drzwiach, a potem zaczął chodzić dookoła abstrakcyjnej rzeźby, poświęconej Williamowi Sewardowi. Rzeźba ta wprawiła go w zakłopotanie, podobnie jak kupno Alaski, pozornie jałowego i bezużytecznego kawałka ziemi, wprawiło kiedyś w zakłopotanie Amerykanów.

Zawrócił w kierunku słupka milowego, stojącego przed chatą, który ogłaszał, że Anchorage jest skrzyżowaniem Światowych Dróg Powietrznych. Jego siwa kitka, niczym rękaw lotniskowy, służący za drogowskaz, powiewała, targana przez porywisty wiatr.

Z wściekłością kopnął w jedną z ozdobnych kapust, którymi był wysadzany chodnik prowadzący do chaty. Czując się winny rzucił okiem na chatę, gdy liście, z czubkami w kolorze burgunda, skłoniły się do ziemi. Pospiesznie pochylił się i wyprostował roślinę, depcząc starannie ziemię wokół niej.

Ta idiotka chyba potrafi znaleźć róg Czwartej Alei i Ulicy F, mruknął do siebie bezgłośnie. Miasto zostało zaprojektowane przez inżynierów wojskowych. Nawet najgłupsi nie mogli się w nim zgubić.

Odsunął czapkę do tyłu i spod wpół przymkniętych powiek spojrzał w dal, na szczyty Gór Chugach, błyszczących jaskrawo jak światła neonów, pnących się ku górze, jakby chciały dotknąć nieba. Ich piękno tylko jeszcze bardziej go rozdrażniło. Właśnie tam chciał teraz być, znów na tym pustkowiu, z daleka od miasta, którego granice zamykały obszar o rozmiarach stanu Delaware.

- Przeklęte baby - mruknął. - Niesolidna banda.
- Dzień dobry - usłyszał wesoły głos, tuż za plecami.

Stewart błyskawicznie się odwrócił, gotów wygłosić wykład na temat spóźniania się.

- Dokładnie na czas - uśmiechnęła się, podciągając rękaw pomarańczowego anoraka. - No, prawie. Dopiero dwie po dziesiątej.

- A miałaś tu być o dziewiątej - powiedział Stewart sucho.

- Nie, proszę pana - odparła. - Byłam umówiona na dziesiątą, więc przepraszam za dwie minuty spóźnienia.

Stewart postanowił na razie wstrzymać się z wykładem. Trudno było znaleźć kucharkę w ciągu sezonu. Nie mógł sobie pozwolić na kłótnie z tą dziewczyną w Anchorage, gdzie mogła po prostu odejść i zostawić go na lodzie. Kiedy już będą w ośrodku, trudno jej będzie obrócić się na pięcie i powiedzieć, żeby się wypchał z tą swoją robotą, no, chyba że chciałaby wrócić do miasta na piechotę.

- Chodźmy więc - burknął gburowato - musimy zabrać kilka osób z hotelu Kapitan Cook i mojego przewodnika. Pewnie nie wylecimy przed lunchem.

Idąc za nim równym krokiem, Ginger uśmiechnęła się w duchu i pogratulowała sobie. Angela ostrzegła ją, że Stewart to taki pies, który szczeka, ale nie gryzie. Poradziła jej jednak, żeby nie dała się zastraszyć już na samym początku, w przeciwnym razie zrobi z niej chłopca do bicia dla całego ośrodka.

No, panie Stewart Saunders - pomyślała - sądzę, że ja i pan dobrze się rozumiemy. Czekali właśnie przy przejściu przez ulicę, prowadzącym do wysokiego, musztardowobrązowego hotelu, którego okna wychodziły na Zatokę Cooka.

Stewart spojrzał na zegarek, pchnął ciężkie, szklane drzwi do hotelu. Miał nadzieję, że Dursley nie zirytował się z powodu spóźnienia. Przylecieli tu razem, bo Anglik chciał jak najszybciej zobaczyć się z Casey. No cóż, ma teraz Casey, pomyślał Stewart ze skrywanym uśmiechem, a nie widzieli się przez trzy dni. Prawdopodobnie nie zauważył nawet upływu czasu.

Wielkimi krokami przemaszerował obok sklepów, ustawionych po obu stronach długiego przejścia do recepcji. Okna wystawowe nęciły turystów obrazami, inuickimi rzeźbami i odzieżą. Potrząsnął głową na myśl o dramatycznym spadku liczby turystów kilka lat temu, kiedy media doniosły światu, że wybrzeże Katmai pokryte jest czarną warstwą śmiercionośnej mazi. Prawie trzy tysiące mil kwadratowych, obejmujących najważniejsze z ekonomicznego punktu widzenia tereny rybackie i niezrównanie piękną Cieśninę Księcia Williama, zostało zatopionych ropą naftową wyciekającą ze zniszczonego tankowca Exxon Valdez.

On i wielu innych właścicieli ośrodków, było przekonanych, że ta katastrofa zaważy na alaskańskiej turystyce na wiele dziesiątków lat. Trudno było przekonać ludzi, by spędzali swój cenny czas i wydawali swoje cenne pieniądze w miejscu, które stało się cmentarzyskiem uduszonych ptaków i ryb - wymarłą ziemią. Telewizja przekonała ich, że piękno i dziką przyrodę zniszczono na zawsze.

Odchrząknął, kiedy mijał miejscową kawiarnię The Pantry. Zwykle

gwarna, dzisiaj wyglądała na opuszczoną. Rozejrzał się za Dursleyem i Casey, ale ich nie dostrzegł.

- A więc, mój dobry człowieku, proponuję, żeby skontaktował się pan z terminalem lotniczym w Barrow i dowiedział się, kiedy moja narzeczona wróci do Anchorage.

Szef boyów z ulgą popatrzył na Stewarta, który zbliżał się pośpiesznie. Dursley najwyraźniej żądał rzeczy niemożliwych.

- Dursley - powiedział, zaniepokojony gniewem malującym się na twarzy lorda.

- Casey tutaj nie ma - rzucił Dursley ostrym głosem - ani też nie ma pańskiego przewodnika, Hanka Butlera.

- Nie, Hank poleciał do Barrow, żeby odwiedzić mojego starego mentora, Trapera Jacka - powiedział Stewart.

- I Casey też - warknął Dursley.

Stewart milczał. Musi być przecież jakieś wyjaśnienie tego wszystkiego. Słuchając, jak Dursley bębni palcami o blat biurka, Stewart zdał sobie sprawę, że musi znaleźć rozsądne wytłumaczenie, i to szybko.

Ticasuk. Tym razem pamięć podsunęła mu dokładnie to, czego potrzebował. Przypomniał sobie, jak przewodnicy zebrali się w jego chacie na codziennej odprawie. Kit i Hank mówili wtedy o pochodzeniu Casey. Pękali ze śmiechu na myśl o przyszłych lordach Carringtonach, uzależnionych od suszonych ryb i inuickich lodów, czyli o przyprawiającej o mdłości mieszanki moroszek,* lodu i tranu.

- Barrow jest najbardziej wysuniętą na północ osadą na kontynencie amerykańskim - powiedział Stewart. - To osada Eskimosów. Jestem pewien, że Casey przekonała Hanka, by pozwolił jej pojechać z nim. Wydaje się bardzo interesować Eskimosami i ich kulturą.

Stewart roztropnie postanowił nie przypominać Dursleyowi o pochodzeniu jego narzeczonej.

- To bardzo niepodobne do Casey - odrzekł Dursley trochę łagodniejszym tonem.

- Z Hankiem będzie bezpieczna. On i Kit są razem od wielu lat. Oczekuję na zaproszenie na ślub, pewnie przed końcem roku - skłamał Stewart.

Podziałało. Dursley rozluźnił się. Odwrócił się do Ginger z uśmiechem.

- Dursley Carrington - powiedział, wyciągając rękę. - Proszę mi wybaczyć, że byłem niegrzeczny i nie przywitałem się z panią wcześniej, ale...

- Sie ma - odpowiedziała Ginger, przesuwając gumę do żucia pod drugi policzek. - Nie przejmuj się, rozumiem to. Ostatni facet, z którym chodziłam, spotkał dziewczynę na jednym ze statków przewożących wycieczki na lodowce. Pracował na tym statku. Dobrze się rozumieliśmy, ale on wolał porozumiewać się z nią... - Radośnie żuła gumę, nieświadoma, że

* Moroszka - rodzaj maliny o żółtawoczerwonych owocach, rosnącej na torfowiskach.

Stewarta świerzbią ręce, by ją udusić. - Zycie czasem jest jak rozbity garnek pełen... śmieci. - Szybko zamieniła ostatnie słowo na bardziej cenzuralne i zamilkła, uchwyciwszy spojrzenie Stewarta.

- Musisz wybaczyć tym dzieciakom - powiedział Stewart, rozmyślnie stając przed Ginger i dając jej znaki, by nareszcie sobie poszła. - Nawet nie wiedzą, że są niegrzeczne. Myślą zawsze, że wszystko jest w porządku.

- Ta choroba wydaje się powszechna - odparł Dursley, rozglądając się wokół, w poszukiwaniu szefa boyów, który roztropnie znalazł jakieś pilne sprawy w innej części hotelu.

- W czym mogę ci pomóc? - zapytał Stewart, przeklinając w duchu Hanka.

Dursley dowiedział się tylko, że mgła przesłoniła Barrow, personel lotniska nie był w stanie przewidzieć, kiedy samolot znów będzie mógł odlecieć.

- Tutaj, na Arktyce, jest się całkowicie uzależnionym od kaprysów pogody - tłumaczył Stewart spokojnie. - Mgła może zatrzymać samoloty na lotnisku nawet na dwa czy trzy dni. Ale nie martw się. Zadzwonię w kilka miejsc i dowiemy się, jaka jest aktualna prognoza.

Dursley opadł na jeden ze skórzanych foteli i przyglądał się, jak obok niego przetacza się wózek bagażowy, przypominający ogromną mosiężną klatkę dla ptaków. Czuł się wyczerpany.

Kiedy usłyszał, że Casey wymeldowała się z hotelu razem z Hankiem, niemal natychmiast po odejściu Stewarta, poczuł się tak, jakby bokser wagi ciężkiej wymierzył prawy prosty prosto w jego żołądek. Skrzywił się, oszołomiony. Nie wierzył własnym uszom. Aż do tej chwili był pewien, że Casey należy wyłącznie do niego. Niewiele dziewcząt odrzuca taką okazję! W Londynie powszechnie uważano, że Casey Chargot zrobiła doskonałą partię.

Przez całe życie korzystał z przywilejów należnych arystokracji. Po raz pierwszy musiał pogodzić się z myślą, że ktoś odbiera mu to, co on uważa na własne. Nie było to przyjemne. Pozostawiło uczucie mdłości i oszołomienia.

Pragnął zobaczyć Casey, usłyszeć, jak się śmieje, poczuć jej ciało. Pragnął czuć jej oddech, taki ciepły i pachnący piżmem, jak jagody żurawiny, rosnącej w brzozowych lasach. Tak bardzo chciał jej powiedzieć, że ją kocha. Chciał ją przytulić i wyjaśnić, że historia rodu i czystość krwi nie mają żadnego znaczenia. Nie mógł sobie wybaczyć, że był w stosunku do niej taki chłodny, kiedy powiedziała mu o swoim inuickim pochodzeniu. Tak bardzo ją kocha...

Casey - zawołał bezgłośnie. Proszę, bądź ciągle moją!

Poczuł, że pieką go oczy. Po chwili podniósł wzrok, bo miękka tapicerka na stojącym obok niego krześle ugięła się pod ciężarem czyjegoś ciała.

- Dowiedziałem się - mówił Stewart - że to dwudniowa mgła. Powin-

ni być tutaj pojutrze, w porze lunchu, a to znaczy, że będą w ośrodku odpowiednio wcześnie, by napić się whisky przed obiadem.

Dursley uśmiechnął się z przymusem. Ciągle był jak ogłuszony i działał instynktownie. Usłyszał własny głos, dziękujący Stewartowi za informację. Czuł, jak coś w nim zamiera. Ta wiadomość oznaczała dwie noce bez Casey. Tyle chciał jej powiedzieć...

- Stawiam obiad - powiedział Stewart. - Przy tej ulicy jest malutki lokal, gdzie podają najlepsze kraby królewskie w całym Anchorage.

Ginger chyłkiem przemknęła obok recepcji, patrząc uważnie, czy Stewart znów nie każe jej się wynosić.

- Ty też możesz z nami iść - powiedział niechętnie. - Zdaje się, że Angela będzie musiała sobie poradzić sama jeszcze przez dwa dni. Kiedy już będziemy na miejscu, przejmiesz poranne dyżury.

To ją oduczy tego zuchwalstwa - pomyślał z satysfakcją.

Ginger skinęła głową. Wyskakiwanie z łóżka o wpół do piątej rano nie martwiło jej wcale.

- Świetnie - odparła, owijając elastyczną wstążkę wokół niesfornych, ognistorudych włosów, zaplecionych teraz w gęsty warkocz. - Jestem przyzwyczajona do wczesnego wstawania i ciężkiej pracy. Moja rodzina to Sourdoughowie, a nie Cheechakowie.

Stewart skrzywił się. Dawni osadnicy nie przepuszczali żadnej okazji, by powiedzieć nowo przybyłym, że są od nich lepsi.

- Co to znaczy? - zapytał Dursley, szczęśliwy, że jest coś, co pozwoli mu na chwilę zapomnieć o tym, że Casey jest właśnie z Hankiem w Barrow.

- Cheechakowie, to nowi, tacy jak Stewart - powiedziała Ginger. - Moja rodzina pochodzi od *promyszlennikow,* traperów rosyjskich, którzy przybyli tu z Syberii w poszukiwaniu futer w połowie siedemnastego wieku.

- I doprowadzili do tego, że wydry morskie stały się gatunkiem wymierającym - dodał Stewart, zły, że dziewczyna nazwała go Cheechako. - Bardzo łatwo było na nie polować. Samice leżały na wodzie na grzbiecie, trzymając na brzuchu swoje dzieci - wyjaśnił Dursleyowi. - Jedno uderzenie wiosłem wystarczyło, by je zabić. Zabili więcej zwierząt, niż zdobyli skór, bo matka z dzieckiem szła na dno, zanim zdążyli wyciągnąć ją na brzeg i obedrzeć ze skóry.

Ginger zignorowała te uwagi. Wolała nie myśleć o tym krwawym okresie w historii Alaski, kiedy to handlarze futer zmuszali Aleutów, by dla nich polowali na wydry morskie. Szybko się zorientowali, że wystarczy zabrać kobiety i dzieci na zakładników, by zmusić mężczyzn do posłuszeństwa. Tych, którzy stawiali opór, rozstrzeliwano.

- Sourdoughowie oczywiście uważają się za potomków pierwszych osadników - powiedział Dursley. - Ale dlaczego nazywa się ich Sourdoughami? Co znaczy słowo „Sourdough"?

- To proste - zakwas, zaczyn do chleba. Wszyscy podróżnicy mieli ze sobą słoik zakwasu. Jest to mieszanina drożdży, cukru i mąki, którą dodaje się do zagniecionych ziemniaków. Trzyma się to w zamkniętym słoiku przez trzy dni, i gotowe.

Ginger uśmiechnęła się szeroko do Dursleya.

- Pewnie dziś na obiad będą bułki na zakwasie.

Spojrzenie Dursleya pobiegło za następnym wózkiem bagażowym, który potoczył się do frontowych drzwi. Żałował, że nie ma na nim bagażu Casey. Wyobrażał ją sobie jak drepcze obok ogromnego wózka i uśmiecha się, podbiegając do niego. Pogrążony w myślach, przestał słuchać.

- Wszystko w porządku? - zapytał Stewart.

- Przepraszam. Tak. Co mówiłeś? Wybacz, myślami byłem gdzie indziej - odparł Dursley, prostując się w fotelu.

Jeszcze mu nie przeszło - pomyślał Stewart. Ten człowiek cierpi. Jeśli ten idiota, Hank, zrobił coś głupiego, sprawię, że wszystkie ośrodki w Katmai będą dla niego zamknięte.

- Gdy mężczyzna kocha kobietę - śpiewał głośno Dursley, okropnie fałszując, gdy gorąca woda prysznica parzyła go w plecy. Podniósł twarz do góry, spłukując mydliny z oczu i próbując wyartykułować słowa starej piosenki Percy Sledge'a.

- Sprawia wrażenie szczęśliwego - dodała Ginger, gdy wraz ze Stewartem przechodzili obok apartamentu Anglika. - Szczęśliwszego niż ty.

- Ciii!

- W porządku, przecież ten facet nie śpi.

Właśnie w tym problem, pomyślał Stewart. Drżał na samą myśl, iż Dursley otworzy drzwi i zobaczy, że on niepostrzeżenie wyprowadza dziewczynę z hotelu.

- To pewnie to wino - powiedział. - Powinienem pozostać przy piwie.

- Poszło ci doskonale - uśmiechnęła się Ginger. - Zwłaszcza jak na faceta w twoim wieku.

- Nie chodzi mi o to, jak, ale dlaczego w ogóle to zrobiłem - mruknął Stewart, z trudem przełykając komplement, jakim go uraczyła.

- Z tego samego powodu jak każdy facet - odpowiedziała, splatając włosy w warkocz. Stewart nie pozwolił jej nawet wziąć prysznica. - Chciałeś.

Kiedy czekali na windę, Stewart milczał, ale gdy drzwi zamknęły się za nimi i winda ruszyła na parter, wiedział, że musi zapytać.

- Robiłaś? Bierzesz?

Ginger roześmiała się.

- Nie martw się, biorę pigułki od lat.

Stewart ciągle sprawiał wrażenie zaniepokojonego i **szarpał zamek** wiatrówki.

- Aaa - powiedziała Ginger. - Wielkie A. To cię martwi.

Stewart skinął głową i odkaszlnął.

- W dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym.

Zabawił się, a teraz się boi - pomyślała - kiedy światełka na tablicy migotały, wskazując kolejne piętra.

- No cóż... - przerwała i udała, że się zastanawia. - Być może robiłam test przed Budem, tym facetem, który pracuje przy rurociągu, a może to było po Stephenie, tym z tankowca z Valdez. W każdym razie, to wcale nie jest takie cholernie dobre. Dają ci świstek „negatywny" i pięć lat później ten robal się budzi. Trach i już cię nie ma.

Stewart zbladł i zrobiło mu się niedobrze. Nie mógł uwierzyć, że poszedł do łóżka z Ginger. Niewiele pamiętał. Teraz był następny w kolejce. Nie było sensu obwiniać jej za to. W dzisiejszych czasach dzieciaki myślą, że nic im nie grozi... Bo przecież *to* nie atakuje młodych, a jeśli już, to na pewno nie ich.

- Nie przejmuj się - powiedziała Ginger, wyskakując z windy na parterze. - Żyj dniem dzisiejszym. Jutra może nie być.

Zastanawiał się, jakie są szanse na znalezienie nowej kucharki. Uświadomił sobie, że musi zjeść śniadanie z Dursleyem, a potem zabrać go na lotnisko, by przywitać Casey. Przyznał się do porażki. - Nigdy więcej - przysięgał. - Nigdy więcej.

Ginger uśmiechnęła się do niego szelmowsko przez ramię.

- Do zobaczenia na lotnisku, proszę pana!

Dwa dni później, zegar na terminalu lotniczym pokazywał, że lot Mark Air z Barrow ma już godzinę opóźnienia. Stewart obserwował, jak Dursley nerwowo spaceruje po sali.

- Idź zapytać, kiedy ten cholerny samolot tu będzie - szepnął do Ginger.

W ciągu ostatniej godziny pytała już cztery razy, ale widząc, że wąskie wargi Stewarta zacisnęły się, kiedy oczy śledziły ruchy Dursleya - wstała. Wcisnęła swoją przenośną torbę pod krzesło Stewarta, a wtedy cienki i metaliczny głos obwieścił przybycie samolotu z Barrow, Prodhoe Bay i Fairbanks.

Stewart odetchnął z ulgą, przygładził wąsy, wciągnął czapkę głębiej na uszy i podszedł do Dursleya. Lepiej będzie, jeśli Hank wymyśli jakąś cholernie dobrą historię, pomyślał, patrząc na pasażerów brnących w błocie i popiele wulkanicznym.

Ludzie wysypali się z samolotu. Ani śladu Hanka i Casey. Stewart obrócił się na pięcie i wielkimi krokami poszedł w stronę informacji, zanim Dursley zdążył zareagować.

- Ależ tak, proszę pana - powiedziała młoda dziewczyna. - O drugiej będzie następny samolot. Pańscy przyjaciele przylecą właśnie nim. Mamy opóźnienie z powodu mgły w Barrow, ale wszyscy dzisiaj tutaj będą.

Stewart podziękował jej i już spokojny poszedł poszukać Dursleya i Ginger.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Casey obudziła się i zobaczyła, że Hank opiera głowę na łokciu. Przyglądał się jej tak intensywnie, jakby za chwilę miał oślepnąć. Uśmiechnęła się do niego sennie, lecz jego twarz nadal była poważna.

- Co się stało? - zapytała, zaniepokojona, że wydarzyło się coś strasznego. - Czy dzwonili z Anchorage? Czy Dursley chce wysłać po nas samolot? Czy nie możemy pójść na polowanie na niedźwiedzia?

- Cicho, mała Ticasuk. Wszystko w porządku. Po prostu zastanawiałem się, jak można pokochać kogoś tak bezgranicznie i tak szybko?

„Kiedy spotkasz tę jedyną, której serce bije w rytm twojego, będziesz o tym wiedział." Te słowa, refren piosenki, znów wróciły. Wiem o tym, Traperze, pomyślał. Właśnie ją znalazłem i zrobię wszystko, by ją zatrzymać. Uśmiechnął się i pochylił się, aby ją pocałować. Casey zachichotała.

- Moja broda cię łaskocze - przekomarzał się, przesuwając się w dół, wzdłuż jej ciała. - Sprawdźmy, jak reaguje twój brzuszek. Możemy także zobaczyć...

Kieszonkowy budzik zaćwierkał na szafce nocnej. Hank zapalił światło i sprawdził, która godzina.'

- To cię uratowało - powiedział, poklepując ciepłe, okrągłe pośladki Casey. - Wyskakuj z łóżka, jak dobra eskimoska żona. Idź i znajdź niedźwiedzia dla swojego mężczyzny.

Casey tak bardzo pragnęła uczestniczyć w polowaniu, że to pragnienie okazało się silniejsze niż potrzeba bycia z Hankiem. Z poczucia obowiązku podreptała pod prysznic.

- Byłaby z ciebie cudowna tancerka go-go w jednym z tych barów ze striptizem przy drodze do Las Vegas - powiedział Hank, opierając się o drzwi łazienki.

Casey na próżno usiłowała zakryć piersi. Hank wkroczył do kabiny i przytrzymał jej ręce z tyłu. W zimnym powietrzu poranka, jej piersi były napięte i sterczące, a brodawki pomarszczone i twarde.

- Nie zasłaniaj się - powiedział łagodnie. - Są piękne. - Uwolnił jej

ręce, które teraz luźno opadły, a Casey stała spokojnie, kiedy przyglądał się jej badawczo.

Widoczna przyjemność, jaką Hank znajdował w patrzeniu na jej ciało, i jego kompletny brak zahamowań, na początku ją zdumiały. Zauważyła też, że ona sama w skupieniu wpatruje się w fornir pokrywający drewniane meble, albo skubie nitki sterczące z pomarańczowych narzut, podczas gdy on chodzi po pokoju, gotowy ją posiąść. Teraz uczyła się znajdować radość w nagości i być dumną ze swego ciała.

- Jeśli nie wrócisz pod prysznic, nie zdążymy na polowanie - powiedział, usadawiając się znowu przy framudze.

Nigdy dotąd Casey nie kąpała się w czyjejś obecności. To był zawsze jej czas prywatny. Teraz nie miała wyboru. Hank nie zamierzał wyjść z łazienki, a musieli spotkać się z Traperem.

Kiedy przesuwała mydłem po ciele, a gorąca woda spływała na nią z prysznica, Casey złapała się na tym, że jest jej przyjemnie, gdy Hank na nią patrzy. Pewnie byłabym dobrą striptizerką, pomyślała, namydlając piersi. Ich wielkość wprawiała ją w zakłopotanie, odkąd uświadomiła sobie, że mężczyźni, rozmawiając z nią, wpatrują się w jej biust. W końcu nauczyła się nie zwracać na to uwagi. Namydliła szczelinę między pośladkami. Mydło wyśliznęło się jej z rąk i zaczęło jeździć po podłodze malutkiej kabiny. Pochyliła się, żeby je podnieść.

- Hank - powiedziała, udając zaskoczenie. - Myślałam, że wybieramy się na polowanie.

- Bo się wybieramy - odparł ochryple. - To zostanie na później.

Przez króciutką chwilę obraz Dursleya z ręcznikiem zawiązanym wokół bioder, przemknął przed jej oczami. Dursley zawsze czekał za drzwiami łazienki. Nigdy nie zakłóciłby jej prywatności. Dżentelmeni tego nie robią.

Kiedy delektowała się ostatnimi sekundami kąpieli i gorącą wodą, spływającą wzdłuż ciała, porównywała Dursleya z Hankiem. Dursley zachowywał się w łóżku jak rozkoszny szczeniak, ciepły, ruchliwy, pieszczotliwy. Zawsze kochali się pod kocem albo pod prześcieradłem. Każdy ruch był łagodny i ukryty przed ciekawskimi spojrzeniami. Hank zdzierał pościel, kazał jej oglądać ten akt miłosnego zespolenia i cieszyć się nim. Był silny i wymagający. Pieścił ją aż do kompletnego wyczerpania. A potem z uśmiechem obserwował jej rozkosz, zanim sięgnął po swoją.

Casey wzdrygnęła się. Czuła, że zdradza Dursleya. Podziwiała go i bardzo lubiła, i za nic nie chciała sprawiać mu bólu. Pełna poczucia winy wyszła z kabiny prosto na malutki ręcznik, który Hank dla niej przygotował. Po chwili jej ramiona pokryły się gęsią skórką.

- Ja cię wytrę - powiedział Hank. Rozstawiła nogi, żeby utrzymać równowagę, a on nacierał jej ciało, aż przybrało barwę płatków róży

- Teraz wskakuj w ubrania, które dał ci Traper - rozkazał, wchodząc pod prysznic.

Spoglądając w kierunku łazienki, Casey chyłkiem wyciągnęła z torby

białą, ocieplaną bieliznę. Nie miała wątpliwości, że bielizna z foczych skór byłaby najlepsza na takie polowanie. Ale przecież to jeszcze nie zima, przekonywała siebie samą. Hank i Traper nie będą wiedzieli, że ma na sobie elegancką, angielską bieliznę przeznaczoną specjalnie dla uczestników wypraw polarnych. Usłyszała zakręcanie kurka od prysznica. Szybko naciągnęła na siebie ubrania ze skóry karibu, uważając, by niczego nie podrzeć w pośpiechu. Poczuła dotyk ptasich piór, gdy wsuwała swoje małe stopy we wkładki. Przebiegła dłonią po futrze polarnego niedźwiedzia. Było takie miękkie... Przerzuciła przez ramię konagen, który Rosjanie nazwali parką.

- Musisz to na siebie założyć, nakazał Hank, kiedy wchodzili do małego holu, połączonego z recepcją. - Już nacieszyliśmy się latem w Barrow. To było wczoraj.

Casey z wysiłkiem naciągnęła na siebie parkę i przeszła przez hol w stronę polarnego niedźwiedzia, zamkniętego w szklanej gablocie. W ostrym, szarym świetle niedźwiedź wydawał się żywy i groźny. Długie kły i lśniące zęby trzonowe błyszczały jak zrobione z porcelany. Brązowe, szklane oczy błyszczały i Casey czuła, że niedźwiedź na nią patrzy. Nie z gniewem, ale ze smutkiem. Ma minę łagodnego psa, z tymi małymi osadzonymi w tyle głowy uszami - pomyślała.

- Dziadku niedźwiedziu - szepnęła. - Witam cię i przyłączam się dzisiaj do grupy myśliwych z wielkim dla ciebie szacunkiem. Wybacz mi.

Otrząsnęła się z tych myśli. Przecież to absurdalne rozmawiać z wypchanym niedźwiedziem. - To pewnie z powodu tych ubrań, które mam na sobie - mruknęła. Jeszcze przez chwilę stała przed gablotą, przyglądając się uważnie zwierzęciu, które w sztuce polowania dorównywało myśliwym i często triumfowało jako zwycięzca.

Uznała, że pysk niedźwiedzia polarnego ma subtelniejszy kształt niż wklęsły pysk niedźwiedzia grizzly. Jego długi wystający nos zakończony był czarnym guziczkiem. Szyja wydawała się długa i powyginana. Ramiona były wąskie, a biodra szerokie. Właśnie taką figurę magazyny mody nazywają „gruszką" - pomyślała.

- Nie wygląda na tak wielkiego i silnego jak niedźwiedzie grizzly z Katmai - powiedziała, odwracając się do Hanka, który zatrzymał się przy recepcji.

- Czy wysłała pani wiadomość do hotelu Kapitan Cook w Anchorage? - szeptem spytał recepcjonistkę.

- Oto ona — z dumą powiedziała inuicka kobieta, wyciągając kawałek papieru spod książki meldunkowej.

- O, nie - jęknął Hank. - Ta wiadomość jest bardzo, bardzo pilna. Dlaczego pani jej nie wysłała?

- Próbowaliśmy, ale to jest Barrow, a nie Olitok Point ze stacją radarową wczesnego ostrzegania. — Czasami sprzęt pracuje, a czasami nie - uśmiechnęła się łagodnie.

- Proszę sprawdzić, czy może uda się jednak przesłać tę wiadomość jeszcze dzisiaj.

Postanowił nic nie mówić Casey. Nie chciał, żeby cokolwiek zepsuło te bezcenne dni, które jeszcze im zostały. Będą się martwić po powrocie.

- Czy są bardziej niebezpieczne, Hank? - zapytała znów Casey.

- Odważny człowiek umiera tylko raz. Tchórz tysiąc razy - wyrecytował Hank. - Mówią, że podczas polowania na niedźwiedzia polarnego na lodzie, odważny człowiek umiera tysiąc razy.

Przeszedł przez hol i zatrzymał się przed gablotą. Objął Casey ramieniem.

- Ma takie opływowe kształty...

- Ale te jego nogi i ramiona mogą ogłuszyć białuchę jednym uderzeniem. Mogą także wyrzucić do góry czterystufuntową fokę brodatą.

Casey spojrzała rozszerzonymi oczami.

- Pewnie jeszcze powiesz, że jest bardzo szybki.

- Wspina się na rumowiska lodowe wysokości czterdziestu stóp, jakby wchodził na promenadę. Jest zwinny i szybki jak kot. W razie potrzeby może gnać z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę - odpowiedział śmiejąc się Hank. - Trochę szybciej niż ty, Ticasuk - dokuczał jej.

- To prawda. Ale bez tych ubrań poszłoby mi lepiej.

Kiedy szli w stronę drzwi, zaczepiła ich inuicka recepcjonistka.

- Słyszałam, że dzisiaj będziecie polować z Traperem Jackiem na iedźwiedzia polarnego - powiedziała.

Casey była zdumiona. Skąd ta kobieta wiedziała o czymś, co postanowiono wczoraj po południu? Skinęła tylko głową.

- Pamiętajcie, my wierzymy, że po śmierci nasze dusze wstępują w ciała zwierząt. Więc wszystkie zwierzęta należy traktować z wielkim szacunkiem, szczególnie niedźwiedzia.

Casey znów kiwnęła głową i ścisnęła Hanka za rękę - chciała już stąd wyjść, z tego małego pokoju, w którym rządził niedźwiedź polarny, jarzący się upiorną bielą w perłowoszarym świetle świtu.

Traper Jack na nich czekał.

- Zamówiłem dla was jedzenie - powiedział, a Casey z przerażeniem popatrzyła na talerz, na którym piętrzyła się kupa jaj i siekanego mięsa. - Zjedz to. Dzisiaj będziesz potrzebowała dużo ciepła.

Hank trącił Casey w nogę, gdy wślizgiwali się na stołki naprzeciwko Trapera.

- Dziękuję, Traperze - powiedziała słabo i podniosła nóż i widelec.

- Na dworze mam śniegołaz. Jedyne, do czego to się nadaje, to szybkie poruszanie się po Barrow. Spotkamy się z innymi na lodzie przybrzeżnym. Ten niedźwiedź, którego znaleźli, zamierza iść w stronę morza. - Casey zmarszczyła brwi i Traper zaczął pospiesznie wyjaśniać. - Wokół wybrzeża tworzy się pas trwałego lodu. Zwykle szczelina oddziela lód przybrzeżny od ruchomego paku lodowego. Ta otwarta woda to autostrada dla zwierząt

morskich. Niedźwiedzie wiedzą o tym i idą tam na polowanie. A my pójdziemy za nimi. Bezpieczniej jest polować na lodzie przybrzeżnym.

- Wobec tego niedźwiedzie powinny trzymać się z daleka od polarnej czapy lodowej - powiedziała Casey. - Dlaczego tak nie jest?

Hank uśmiechnął się szeroko i ścisnął jej rękę.

- Jesteś jak dziecko, Ticasuk. Ciągle zadajesz pytania - dokuczał jej.

- Dobrze jest zadawać pytania, nie ma lepszego sposobu, żeby się uczyć - powiedział Traper.

- Miejmy nadzieję, że ten niedźwiedź będzie się trzymał z daleka od paku lodowego - powiedział poważnie Hank.

- Stada karibu nie są w tym roku zbyt liczne. Zdaje się, że wiele niedźwiedzi wcześnie schodzi na lód - powiedział Traper, ciągnąc rozmowę z Casey. Wysączył z kubka resztkę czarnej kawy. - Czuję, że to będzie łatwe polowanie. Niedźwiedź jest głodny, sprawdza dziury w lodzie - szuka fok. Kiedy tam dotrzemy, zatrzymamy się przy jednej z nich i będziemy czekać. - Traper wepchnął do ust widelec, na którym piętrzył się wysoki kopczyk siekanego mięsa, po czym mówił dalej. - Jest taka gęsta mgła, że będziemy mogli podkraść się do niego wystarczająco blisko, żeby strzelać, zanim nas wyczuje.

- Wyczuje nas? - spytała Casey. Hank i Traper uśmiechnęli się do siebie, przewidując jej kolejne pytania.

- O tak, Ticasuk. Niedźwiedź polarny to najgroźniejsze i najsprytniejsze zwierzę. Eskimosi nauczyli się sztuki polowania od białych niedźwiedzi.

- O - westchnęła Casey, jedząc jeszcze trochę, żeby sprawić przyjemność Traperowi. - Więc jesteście bardzo podobni do Buszmenów, którzy żyją na pustkowiach południowej Afryki. Tak jak oni żyjecie w cudownej harmonii z przyrodą i ze zwierzętami.

Hank popatrzył na Casey ze zdziwieniem, skrapiając wafle syropem, który w jednej chwili wsiąkał w gorące, siekane mięso.

- Dursley opowiadał mi o nich - wyjaśniła. - Jeździł z ojcem na safari.

Hankowi uśmiech zamarł na ustach. Casey natychmiast poczuła się winna, że wspomniała o Dursleyu. Poszukała pod stołem nogi Hanka i ścisnęła ją.

Traper potrząsnął głową, a jego proste, czarne włosy sterczały jak igły jeżozwierza.

- Nie, niezupełnie tak. Nie żyjemy w cudownej harmonii z przyrodą. Tutejsza przyroda jest zbyt okrutna i sroga. Przeraża nas jej potęga. Przepełnia nas „kappia" i „ilira". Zwierzęta, na które polujemy, są niebezpieczne, a lód i morze, gdzie one żyją, budzą grozę. Polowanie nas podnieca, ale w naszych duszach zawsze czai się lęk.

- Lęk i drżenie - przetłumaczył Hank niezrozumiałe inuickie słowa. - Łatwo to zrozumieć, kiedy człowiek uświadomi sobie, że na tej płaskiej, arktycznej tundrze jedyną nierówność terenu tworzy skała, stale smagana przez huraganowe wiatry i burze.

Traper poprosił o rachunek, a Casey przestała gonić żółtko po talerzu, myśląc z ulgą, że może je zostawić.

- Zjedz wszystko - rozkazał Traper. - Po drodze nie ma barów.

Westchnęła głęboko i wsunęła do ust kilka porcji jedzenia. Popiła resztką letniej już teraz kawy, wytarła usta i uśmiechnęła się do Trapera przez stół. Kiwnął głową i wyszli z sali.

- Ty usiądziesz za mną, a Hank za tobą - powiedział Traper, kiedy śniegołaz z rykiem szykował się do drogi. Casey z trudem powstrzymała się od krzyku, gdy droga zaczęła uciekać im spod kół i pomyślała, że poruszają się ponad ziemią. Wciągnęła w płuca haust świeżego powietrza, próbując stłumić przerażenie, ale nozdrza zapiekły ją tak, jaby podpalił je wiatr. Pochyliła głowę i ukryła twarz w plecach Trapera. Hank objął ją ramionami i mocno przytulił.

- Co ja tutaj robię? - pomyślała. „Odnajdujesz swoją inuicką krew" - odpowiedział jej wewnętrzny głos.

Ale nie wiedziałam, że moi przodkowie tak żyli... - zaprotestowała.

Skuter zarył w kałuży roztopionego śniegu na drodze. Zęby Casey zazgrzytały, więc skupiła się wyłącznie na tym, żeby nie wypaść. Wreszcie wieczna jazda dobiegła końca. Hank pomógł jej wysiąść. Casey gorzko pożałowała, że założyła własną bieliznę, a nie tę, którą dał jej Traper.

- Zawsze słuchaj ludzi, którzy żyją na tej ziemi - ostrzegał ją Hank, gdy byli na pokładzie samolotu, lecącego do Barrow. - Nie szukaj angielskich, ani nawet amerykańskich cech u Inuitów z North Slope. - Dla mnie to nadzwyczajni ludzie. Słowa „odwaga" i „nieustępliwy" musiały powstać właśnie tutaj.

Casey zaciągnęła kaptur parki ciasno wokół twarzy, a lamówka z wilczego futra sterczała w zimnym powietrzu, gęsta i sztywna.

Jakieś postacie pojawiły się i rozpłynęły w polarnej mgle. Słyszała szczekanie psów. Po omacku zaczęła szukać ręki Hanka i znalazła ją. Wirujące, szare światło sprawiło, że straciła orientację. Miała wrażenie, że się porusza, choć wiedziała, że stoi w miejscu.

- Stań w rozkroku i mocno naciskaj na podłoże - powiedział Hank. - To jest stan podobny do „rozbielenia"* podczas jazdy na nartach. Wkrótce się do tego przyzwyczaisz.

Casey skinęła głową, nie ufając sobie na tyle, by się odezwać. Ciągle czuła w ustach smak jajek i siekanego mięsa. Zmuszała się do myślenia o przejrzystym jabłeczniku i napoju jęczmiennym z cytryną. Wydawało jej się, że to oczyszcza jej usta.

- Sanie gotowe - zawołał Traper, wynurzając się zza szarej zasłony, gaszącej światło i zagłuszającej wszystkie dźwięki. Ubrany w tradycyjną

* Rozbielenie - warunki, w których nie widać horyzontu ani cieni, a szczegóły tła są niewidoczne, co jest spowodowane jednakowym natężeniem oświetlenia w każdym punkcie, obserwowane czasami w chmurach lub na obszarach pokrytych śniegiem lub lodem.

skórzaną parkę wydawał się jeszcze bardziej przysadzisty i pękaty niż zwykle. Na wierzch założył białą, o wiele za dużą koszulę.

- To kamuflaż - wyjaśnił, nim Casey zdążyła zapytać o cokolwiek.

Casey przeniosła wzrok na stary, ale najwyraźniej dobrze utrzymany karabin Remington magnum 0,338, który trzymał w ręku,

- Czy to wystarczy, by zabić niedźwiedzia polarnego? - zapytała. Spojrzał na nią zaskoczony. Nie spodziewał się, że angielska dziewczyna będzie wiedziała cokolwiek na temat broni palnej. Hank mu powiedział, że jej rodzina ma w Szkocji górzyste tereny łowieckie, mógł więc oczekiwać, że Casey będzie się trochę znała na strzelbach, ale był zaskoczony, że rozpoznała jego karabin.

- To zapasowy karabin. Zawsze się tak zabezpieczamy - odpowiedział Traper, poklepując swój 30-06. - Większość naszych myśliwych używa tego modelu. Jestem jednym z nielicznych, którzy wybierają strzelbę.

- Zawsze sądziłam, że doskonałym karabinem do polowań na wielkie zwierzęta jest Holland i Holland 0,375 - powiedziała, powtarzając to, co usłyszała niedawno od Dursleya.

- Świetna angielska strzelba - wtrącił się do rozmowy Hank - ale tutejsi myśliwi zwykle używają amerykańskiej broni.

- Oczywiście - powiedziała Casey. - Nie pomyślałam. Czy mogę obejrzeć tę broń? - zapytała Trapera. Zgodził się z uśmiechem.

Traper czuł, że jej zainteresowanie bronią wyraża miłość jej przodków do polowania. Inuickie kobiety tradycyjnie brały udział w polowaniach. Zwykle wiosłowały w wielkich łodziach umiak, pozostawiając małe i wywrotne kajaki mężczyznom, którzy ścigali zwierzynę na morzu. Odznaczały się także wielką zręcznością w rozbieraniu zwierząt na małe porcje wygodne do przechowywania.

Casey oglądała strzelbę, a gdy poczuła zapach benzyny zmarszczyła się, a potem kichnęła.

- Oleje i smary zamarzają przy tych temperaturach - wyjaśnił Traper - więc czyścimy karabiny benzyną, a potem używamy sproszkowanego grafitu, żeby je nasmarować.

Casey kiwnęła głową, głaszcząc drewniane łożysko strzelby. Muszę powiedzieć Dursleyowi o tym graficie — pomyślała. To go zainteresuje.

Natychmiast znowu poczuła mdłości. Za dzień lub,dwa będzie musiała stanąć z nim twarzą w twarz i bardzo się tego bała.

Z oddali dobiegł ich szorstki, przynaglający głos.

- Sanie są gotowe - powiedział Traper - w końcu rozplatali te głupie psy. Ruszajmy. Możesz jechać saniami - zaproponował Casey, kiedy nieomal przewrócili się w mroku.

Spojrzała na psy. Były o wiele mniejsze, niż się spodziewała. Bez przerwy się gryzły i ciągnęły w przeciwnych kierunkach. Wydawały się głuche na wszelkie polecenia.

- Nie, dziękuję, lepiej pójdę - odparła, wciskając ręce głęboko do kieszeni.

- Kiedy przewodnik wyjdzie na pierwszą pozycję i zacznie ciągnąć, pozostałe się uspokoją - zapewnił ją Traper.

- Aż do pierwszej zaspy - roześmiał się Hank. - Albo „szarego lodu", kiedy postanowią zatrzymać się w środku, zamiast przebiec przez miękki, świeży lód.

Traper przyłączył się do Hanka. Zaczęli snuć wspólne opowieści o dawnych polowaniach, a Casey słuchała ich zafascynowana.

Nagle psy się zatrzymały. Wszelkie dźwięki zamarły. Casey czuła lód pod butami i zacinający wiatr, który swobodnie pędził przez bezkresne pustkowie. Poczuła się słaba i krucha. Słowa „kappia" i „ilira" wybijały w jej uszach jednostajny rytm.

Gdzieś przed nimi, niewidzialny w polarnej mgle, znajdował się Nanuq, polarny niedźwiedź, przebiegły i okrutny myśliwy.

Casey oparła się pokusie spojrzenia za siebie. Walczyła z wyobraźnią, w której stale pojawiał się obraz wielkiego i głodnego niedźwiedzia, pędzącego przed siebie na potężnych, szeroko rozstawionych łapach. Gdy się poruszał, te wielkie łapy opadały luźno i waliły go po brzuchu.

Casey wstrzymała oddech. Gdzieś przed nimi coś miękko zatrzepotało. Wytężała wzrok tak bardzo, że piekły ją oczy, ale nie mogła przeniknąć tej wirującej, szarej mgły, unoszącej się znad lodu. Powietrze, które wydychała, tworzyło wokół jej nosa i ust kłębiaste opary mgiełki.

Wielki niedźwiedź, samiec, *Ursus maritimus,* był głodny i rozdrażniony. Potrzebował jedzenia co pięć-sześć dni. Ostatni posiłek zjadł na plaży, kiedy rozszarpał na pół zamarzniętą skórę i sadło foki, które morze wyrzuciło na kamienie, okrągłe i zimne jak kostki lodu.

Foka uśmierzyła na chwilę jego głód, ale nie zaspokoiła go. Miarowym, kołyszącym krokiem, luźno poruszając kończynami, charakterystycznie pochylony do przodu, niedźwiedź ruszył po lodzie do miejsca, gdzie zobaczył obłok pary unoszący się w zimnym powietrzu. Para zawsze oznacza otwartą wodę, a otwarta woda oznacza łatwiejsze polowanie. Chwytając w nozdrza wiatr przesuwał się nieznacznie, aż w końcu ustawił się bokiem do foczej szczeliny.

Ostrożnie przesunął się do aglu, leżąc płasko na brzuchu. Wyciągnął do przodu przednie łapy, a potem jednym ślizgiem dosunął do nich tylną część ciała.

Jego wielkie ciało zlewało się ze spiętrzonymi masami lodu. Był niewidoczny. Niedźwiedź wybrał miejsce położone dość daleko od aglu i wykopał otwór w pokrywie lodowej o grubości półtorej stopy. Następnie położył się nad otworem. Biała sierść wypełniła otwór tak, że wszystkie

przepływające pod nim foki mogły być pewne, że lód nad ich głowami jest ciągle nie naruszony, a one są wciąż bezpieczne.

Mijały godziny. W tym przerażającym krajobrazie czas płynął inaczej. Ciężka cisza dławiła każdy dźwięk, z wyjątkiem ostrych trzasków i jęków lodu.

Nagle małe, brązowe oczka niedźwiedzia nieznacznie drgnęły. Powierzchnia ciemnoszarej wody poruszyła się. Drobne fale wygięły miękki młody lód.

Gładka, czarna głowa przebiła powierzchnię wody. Foka rozejrzała się wokół, doskonale wiedząc o niebezpieczeństwach grożących jej na powierzchni. Zobaczyła zaokrąglony, żółtawobiały garb po prawej stronie swojego otworu, ale wyglądał tak samo jak inne białe bryły lodu, więc zignorowała go. Kiedy wciągała do płuc niezbędne do życia powietrze, jej oczy nieustannie badały księżycowy, lodowy krajobraz.

Niedostrzegalnym ruchem niedźwiedź przesunął się do tyłu. Bezszelestnie wśliznął się do otworu, który wydłubał w lodzie. Ciemna woda zamknęła się nad jego głową i wszystko zamarło w bezruchu. Popłynął, zręcznie jak wydra morska, w kierunku foki. Kiedy ta wciągnęła do płuc ostatni haust lodowatego powietrza i ponownie zanurzyła się pod wodą, niedźwiedź zaatakował. Jego kły wbiły się głęboko w kark ofiary i zmiażdżyły kręgosłup. Krew zbryzgała szary lód i natychmiast zastygła w kasztanowobrązowe różyczki.

Tylko spieniona woda oraz strugi krwi, tworzące na jej powierzchni szkarłatne plamy, mówiły o śmiertelnej walce, która toczyła się głęboko pod lodem. Wkrótce wszystko zamarło. Niedźwiedź polarny z trudem przedostał się na otwartą wodę i wygramolił na taflę grubego lodu. Z łatwością taszczył ciężką fokę, podnosząc ją wysoko. Rzucił ją na lód i otrząsnął futro z wody. Krople, miękkie jak łzy, opadły na martwe ciało zwierzęcia.

Niedźwiedź pojękiwał cicho, tarzając się po śniegu i susząc mokre futro.

Przyciągnął do siebie fokę, pozostawiając na lodzie smugę ciemnej krwi, podobną do śladu ślimaka. W ciągu kilku minut jego potężne ostre kły zdarły i przeżuły grubą czarną skórę i sadło. Następnie ochoczo pochłonął ciepłe, czerwone mięso. Rozrzucił wnętrzności po lodzie. Wyglądały jak pasy i plamy czerwonej, sinej i brązowej farby pozostawione na śnieżnobiałym płótnie.

Niedźwiedź odszedł spokojnym krokiem, mrucząc z zadowoleniem. Kiedy szedł, językiem oczyszczał sierść i pysk ze śladów krwi i sadła. Niedźwiedź polarny jest samotnikiem wędrowcem. Przemierza białe bezkresne pustkowia zawsze gotów do ataku, zawsze bez towarzystwa. Tylko trzy istoty budzą jego obawy - człowiek, orka i mors.

Właśnie pierwsze z tych stworzeń, za pomocą silnej lornetki, obserwowało i podziwiało jego zręczne polowanie na fokę. Właśnie człowiek zamierzał teraz odwrócić role — to niedźwiedź miał być ofiarą.

- Oto idzie - powiedział brat Trapera Jacka. Jego ręce były sine z zimna, a palce odrętwiałe. Nie założył z powrotem rękawiczek ze skóry karibu, które wetknął do kieszeni, kiedy manipulował przy ustawianiu lornetki. Nie potrzebował lornetki, bo, jak większość Inuitów, miał sokoli wzrok. Ale, podobnie jak skutery śnieżne, lornetki były teraz czymś nowym i pożądanym. Szybko naciągnął rękawiczki i energicznie poruszał palcami. Skrzywił się z bólu, kiedy ciepło zaczęło stopniowo powracać do jego palców.

Wymieniając pełne wyczekiwania uśmiechy, w namacalnej niemal atmosferze podniecenia, Traper i jego dwaj bracia złamali strzelby i załadowali do magazynków kule typu Nossler.

- Do sań - powiedział Traper, prawie przenosząc Casey przez śnieg. Krępe, syberyjskie psy husky szczekały i gryzły się nawzajem w podnieceniu. Próbując węszyć za świeżym śladem czarnej krwi, który prowadził z lodu w kierunku obozu myśliwskiego, szarpały uprząż, niemal wywracając sanie.

Wcześniej ktoś przeciągnął po lodzie krwawiące ciało foki w nadziei, że zapach zwabi jednego z „wczesnych" niedźwiedzi na lód, a wtedy łatwo go będzie wytropić.

Pies przewodnik odwrócił się i pociągnął sanie na bok. W ciągu kilku sekund sanie, wyładowane jedzeniem, zapasowymi ubraniami i wygiętymi w kształcie sierpów nożami ulu przewróciły się, a starannie zapakowane rzeczy rozsypały po lodzie.

Casey czekała, aż mężczyźni, usiłujący rozplatać psy i wyprostować sanie, zaczną krzyczeć i kląć, ale - ku jej zdumieniu - roześmieli się tylko i pospiesznie składali bagaże.

- Przecież niedźwiedź się oddala - zauważyła. - Dlaczego oni się śmieją? Mogą go stracić.

- Inuitowie nigdy nie tracą zimnej krwi. A kiedy coś się nie układa, po prostu się śmieją - wyjaśnił Hank. Następnie ruszył do sań, żeby przytrzymać psy, zanim znów wdadzą się w bójkę.

- Głupi idiota - wyszczerzył zęby Traper, kiedy przywiązywał krnąbrnego psa do uprzęży. - Będziesz następny, który trafi do garnka.

Casey wzdrygnęła się. Sama myśl o jedzeniu psów budziła w niej odrazę. W jej kraju psy były dobrze traktowane i kochane jak dzieci.

Ale to było w Anglii, pomyślała, starając się przeniknąć wzrokiem mgłę, która trochę się podniosła. Płynęła teraz ponad lodem welonami jasnej i ciemnej szarości. Casey kręciło się w głowie i ciągle trocheja mdliło, gdy wpatrywała się w wirujący krajobraz. Nie było w nim horyzontu, nie było cieni, nie było żadnej perspektywy.

Nie próbuj porównywać swojego łagodnego i cywilizowanego życia w Anglii z życiem na tej bezlitosnej ziemi - przekonywała samą siebie. Pamiętaj, że twoi inuiccy przodkowie nauczyli się tutaj żyć i przetrwać. Bądź z tego dumna.

Z zamyślenia wyrwał ją dotyk dłoni Trapera. Chwycił ją mocno za ramię i zaprowadził do sań. Trochę się ociągała, obawiając się powierzyć własne bezpieczeństwo tej warczącej na siebie sforze psów, które jednak stały teraz spokojnie. Traper owinął ją kocem ze skóry karibu i zawołał na psa przewodnika. Gdy psy napięły lejce i gwałtownie pociągnęły do przodu, jakaś siła szarpnęła ją do tyłu. Kurczowo ścisnęła skórzany koc, bo miała wrażenie, że jej świat zaczyna się walić. Chciała krzyczeć i błagać Trapera, by zatrzymał sanie, ale zamiast tego ukryła twarz w skórach. Kiedy miała zamknięte oczy i było jej ciepło, bała się trochę mniej i ku własnemu zaskoczeniu odkryła, że ta jazda jest wygodniejsza, niż przypuszczała.

Nawet lepiej niż w starym rang roverze Dursleya na wrzosowisku - pomyślała. Podparła dłonią kark, żeby podtrzymać głowę podczas gwałtownych szarpnięć, które czuła za każdym razem, gdy brat Trapera zatrzymywał same, i używając lornetki próbował zlokalizować niedźwiedzia.

Na jednym z postojów czekali pół godziny, podczas gdy myśliwy cierpliwie przesuwał lornetkę po lodzie, starannie sprawdzając każdą bryłę i zaokrąglony kopiec.

- Wygląda na to, że go zgubiliśmy - szepnął Hank, nachylając się nad saniami.

- Skąd oni wiedzą, gdzie są i jak trafić do domu? - spytała Casey, wpatrując się w biel, poprzecinaną smugami szarej mgły. - Gdzie jest wschód, a gdzie zachód?

- Tutaj na północy nie używa się pojęć wschód i zachód na określanie kierunków - powiedział Hank. - Bo tutaj słońce nie zawsze wschodzi na wschodzie, a zachodzi na zachodzie. Jest także mniej gwiazd. Inuitów prowadzą wiatry i prądy morskie, bieg rzek lub układ kanałów między lodami.

Casey potarła dłonią o dłoń i miała nadzieję, że jednak dotrą do obozu myśliwskiego. Myśl o tym, że zgubią się na lodzie, pogrążeni w wirującej mgle, przerażała ją.

- Nie martw się, Ticasuk - powiedział Hank, jakby wyczuł jej niepokój. - Ci ludzie to starzy i mądrzy myśliwi. Jesteśmy bezpieczni.

Casey miała teraz nadzieję, że nie znajdą niedźwiedzia, choć dobrze wiedziała, że Inuici potrzebują futra, sadła i mięsa. U siebie, w Anglii, mogła podnosić z ziemi kuropatwy i jednym szybkim ruchem ręki łamać im karki, ale niedźwiedź polarny był wyjątkowy. Czuła, że uosabia istotę pustelniczego życia, więc powinno mu się pozwolić na samotne wędrówki po lodowych przestrzeniach.

Brat Trapera nagle się roześmiał.

- Kiviakatitaktok, on pojawia się i znika - powiedział, opuszczając lornetkę. Wręczył ją Hankowi. Hank popatrzył w iskrzącą się biel i potrząsnął głową. - Nic nie widzę. Z pewnością nie widzę żadnych niedźwiedzi.

- Ticasuk - Traper podał jej swoją lornetkę Zeissa. - Sprawdź, czy ty go dojrzysz.

Casey podniosła lornetkę do oczu i nieznacznie poprawiła ostrość. Powoli przesuwała ją z lewej strony na prawą.

Przypomniała sobie, jak Dursley mówił, że kiedy szuka się zwierzyny, należy zwracać uwagę na ruch, a nie na barwę czy wielkość. Machnięcie ogona albo drgnięcie ucha jest tym, co zdradza zwierzęta. Ale Dursley mówił o Afryce, a nie o Arktyce, spowitej w szarą mgłę. Tutaj nie dostrzega się rozmiarów ani głębi. Pardwa może zniknąć z oczu, przycupnąwszy w odległości zaledwie kilku stóp. Niedźwiedź może być wielkim zwierzęciem widzianym z dużej odległości, albo małym, które jest tuż obok. Może ci się wydawać, że zwierzęta unoszą się w powietrze i odlatują, gdy się do nich zbliżasz. Mogą też wyglądać jak skały lub lodowce, wielkie i groźne.

Właśnie miała oddać lornetkę Traperowi, kiedy wydało jej się, że koniec pasma lodowych wzniesień lekko się poruszył. Utkwiła w nim wzrok, aż oczy zaszły jej łzami. Została wynagrodzona. Naprawdę się poruszył.

- Tam - powiedziała z tryumfem. - Siedzi na tym odległym paśmie lodowych wzniesień, mniej więcej w kierunku wskazywanym przez cyfrę dwa na zegarku.

Traper i jego brat skinęli z uznaniem głowami.

- Świetnie go wypatrzyłaś - pogratulował Hank.

- Czy niedźwiedź nas nie zobaczy? - spytała Casey, kiedy sanie pochyliły się do przodu.

- Nanuq nie ma doskonałego wzroku - powiedział Traper. - Możemy podejść jeszcze bliżej, zanim zwolnimy psy. Być może teraz powinnaś iść z nami pieszo, Ticasuk.

Nie protestowała. Hank upewnił ją, że psy będą trzymały niedźwiedzia w bezpiecznej odległości. W czasie, gdy go otoczą i rozdrażnią, mężczyźni zbliżą się i zaczną strzelać.

- To tak, jak polowanie na lisa - przekonywał Hank.

- Ale polowanie na lisy to tradycja, a poza tym lisy traktuje się u nas jak robactwo i strzela się do nich niemal we wszystkich posiadłościach.

- A tutaj polowanie na niedźwiedzie i wieloryby jest tradycją - argumentował Hank.

Casey skulona i zawinięta w skóry i futra, zasłuchana w jęki wiatru, pędzącego przez lód, mogła już zrozumieć konieczność zabijania zwierząt. Łatwo było siedzieć w dobrze ogrzanym domu i potępiać kogoś za to, że poluje na wieloryby i zdejmuje skóry z niedźwiedzi.

Walczących ekologów i obrońców praw zwierząt należałoby zmusić do spędzenia tutaj zimy - pomyślała - kładąc głowę na kolanach, by osłonić twarz od wiatru. Bez wątpienia zmieniliby zdanie.

A jednak pragnęła, by osaczany niedźwiedź wyczuł niebezpieczeństwo i odszedł. Ale on był syty i zadowolony. Nie chciał wiedzieć o czającym się zagrożeniu. Ruszy na pak lodowy, przetnie szlak samicy w rui. Wtedy

głęboką ciszę rozerwą ryki przywabionych zapachem samców. Stoczą bitwę, a potem zakrwawiony, lecz triumfujący zwycięzca pójdzie dalej, samotny, swą drogą, mrucząc i pojękując, by ostrzec inne niedźwiedzie, a nie dlatego, by je przywołać.

Psy dobiegły do foczej szczeliny, gdzie wciągnęły w płuca zapach niedźwiedzia. Popędziły w kierunku łańcucha wzniesień. Casey cieszyła się, że nie siedzi już w saniach, które podskakiwały i szarpały się na lodzie. Posuwała się z trudem u boku Hanka, chowając się od wiatru za jego ciałem.

- W porządku? - zapytał czule, obejmując ją ramieniem i przytulając do siebie. Skinęła tylko głową. Wargi miała tak zmarznięte, że bała się, że gdy spróbuje wydobyć słowo, nie zapanuje nad szczękającymi zębami, a wtedy Hank dowie się, jak bardzo jest jej zimno. Nie chciała sprawiać mu kłopotów.

Są jak mali chłopcy, bawiący się w policjantów i złodziei - pomyślała, obserwując mężczyzn, którzy ukradkiem zbliżali się do łańcucha wzniesień. Nawet psy udało im się uspokoić, a było to coś, co kilka godzin temu uznałaby za niemożliwe.

- Czy masz jeszcze mojego starego Contendera? - szepnął Traper.

- Tak. - Hank poklepał się po wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Contendera? - zdumiała się Casey. Podziękowała w myślach Traperowi, że zmusił ją jednak do założenia ubrania ze skóry karibu i butów z podeszwami z niedźwiedziego futra.

- To prawdziwa armata, Thompson Contender - odparł Hank, zadowolony z zainteresowania Casey bronią. - Z nabojami przewężanymi typu Marlin Case 0,444 do 0,375.

Casey zamrugała oczami. Utkwiła wzrok w twarzy Hanka. Prawie chciała zapytać, co oznacza termin „przewężona amunicja", lecz lata życia w rodzinie, która kochała broń, psy i dzieci, w takiej właśnie kolejności, nauczyły ją, że wyjaśnienia, dotyczące broni i amunicji, ciągną się w nieskończoność i zwykle są niezrozumiałe. Nie słuchała wyjaśnień Hanka. Nagle dotarło do niej, że zamilkł i najwyraźniej czeka, by teraz ona coś powiedziała.

- Jest potężniejszy niż Magnum 0,44 - mówił dalej, wymieniając nazwę broni, o której zapewne słyszała. - Ponieważ posiada hamulec wylotowy, hałasuje jak diabli, ale za to nie ma dalekiego odrzutu.

- Czy można nim zastrzelić niedźwiedzia? - zapytała z nadzieją, że Hank potwierdzi. Czułaby się bezpieczniej, gdyby wiedziała, że ktoś ją obroni.

- Może wyprawić na tamten świat każdego. Jeśli oczywiście zwierzę zostanie trafione we właściwe miejsce - szybko się poprawił.

- Zostań z Casey, kiedy wypuścimy psy - odezwał się Traper. - I na wszelki wypadek przygotuj broń.

Hank skinął głową, a Casey zadrżała. Teraz, gdy nadszedł czas spotka-

nia z niedźwiedziem, marzyła tylko o tym, by czarodziejski dywan przeniósł ją do pokoju hotelowego. Nie przeszkadzałyby jej nawet ślady po papierosach na fornirowanych meblach i wannie... Wszystko, byle nie wirująca biała pustynia...

Casey aż podskoczyła, gdy spuszczono psy z uprzęży. Przemknęły obok niej, kotłując się w śniegu, warcząc, gryząc się i ujadając, zanim wszystkie pomknęły za psem przewodnikiem. Głęboko wepchnęła ręce do kurtki. Psy biegły jeden za drugim, złowieszczym szeregiem jak brązowa szczelina rozwierająca się nagle wśród lodów.

Niedźwiedź usłyszał psy. Były silne i okrutne. Przyjrzał się im badawczo, a jego długa szyja przekręcała się na boki. Następnie stanął na tylnych łapach, wznosząc się w górę na wysokość dziesięciu stóp. Wiatr przyniósł zapach stworzenia, które instynktownie znał i którego się lękał. Człowieka. Drapieżnika potężniejszego i okrutniejszego niż on sam. Niedźwiedź mruknął przeciągle, a jego smutne wołanie rozdarło głęboką ciszę.

Casey przyłożyła lornetkę Trapera do oczu i dech jej zaparło, gdy niedźwiedź wstał. - Wspaniały - szepnęła. Bała się.

- Tak. Nanuą jest naszym dziadkiem - odparł Traper.

Niedźwiedź odwrócił się, szykując się do ucieczki. Instynktownie skierował się w stronę pasa otwartej wody pomiędzy lodami, gdzie mógłby zanurkować i znaleźć bezpieczną kryjówkę.

Ale wcześniej, syty i rozleniwiony, zaszył się wygodnie pod zwałami spiętrzonego lodu. Ogromne lodowe bloki zwieszały się nad jego głową i ostro wznosiły w górę. Było to wspaniałe miejsce, gdzie można było uciec przed wiatrem. Teraz okazało się śmiertelną pułapką.

Choć mógł z łatwością przeskoczyć przez trzydziestostopowej wysokości łańcuch lodowych wzniesień zwinny jak kot, zaczął gramolić się wokół zwaliska. Ale za późno. Pies przewodnik dopadł go i okrążył, szczekając histerycznie. W jednej chwili cała sfora otoczyła niedźwiedzia. Z ogłuszającym jazgotem psy rzuciły się na jego nogi. Zmuszały olbrzyma do obrotów wokół własnej osi, nie dając mu chwili wytchnienia ani szansy ucieczki. Niedźwiedź cicho pojękiwał. Jego kły, białe i ostre, sterczały w ciemnej, sinoczerwonej paszczy. Z pyska spływała piana, gdy rzucał się na psy - od jednego do drugiego, próbując je zabić. Jego zad był doskonale chroniony trzycalową warstwą sadła. Lecz psy szarpały jego nogi i boki.

- Chase z rozkoszą upoluje jeszcze jednego niedźwiedzia - odezwał się Traper, patrząc jak pies przewodnik atakuje prawą stronę zwierzęcia.

- Inuitowie wierzą, że niedźwiedzie polarne są leworęczne - szepnął Hank.

Casey przymknęła oczy. Jeden z psów niewłaściwie ocenił reakcję niedźwiedzia. Pięć zakrzywionych pazurów wysunęło się błyskawicznie i rozpruło jego brzuch. Pies zawył i ruszył niezdarnie w kierunku ludzi, pozostawiając za sobą ohydną plamę na nieskazitelnie czystym lodzie.

Casey zakryła usta dłonią i modliła się, żeby ktoś zastrzelił rannego psa

i skrócił jego cierpienia. Ale mężczyźni byli zajęci niedźwiedziem. Wiedzieli, jak bardzo jest szybki i niebezpieczny. Dopóki Nanuq nie jest martwy, tylko on będzie ważny...

Niedźwiedź złapał drugiego psa i cisnął nim do góry, trzydzieści stóp nad ziemię. Pies zawirował, po czym roztrzaskał się o spiętrzone zwały lodu, plamiąc ich półprzezroczystą biel brudną czerwienią. Traper Jack i jego brat pośpiesznie ruszyli na przód. Gdyby niedźwiedź zabił lub okaleczył za dużo psów, inne uciekłyby przerażone. Były odważne tylko w gromadzie.

Myśliwi okrążali niedźwiedzia od prawej strony. Odziedziczona po przodkach pasja łowiecka sprawiła, że krew szybciej krążyła w ich żyłach. Nie widzieli rozwścieczonego osaczonego zwierzęcia. Trwali w letargu - ich zmysły zjednoczyły się z ziemią, wiatrem, lodem i niedźwiedziem. Strzały, które go zabiją, wieńczyły tylko jakieś pierwotne rytualne doświadczenie. To, że zespolili się z ziemią, że stali się cząstką szalejących żywiołów, naprawdę coś znaczyło. Martwe ciało niedźwiedzia było symbolem mistycznej symbiozy człowieka z naturą.

Wycelowali swe strzelby w tańczącego niedźwiedzia, czekając, aż ustawi się dogodnie do strzału, tak by kula przedarła się przez pompujące powietrze płuca i złamała mu serce.

Wszyscy mężczyźni dobrze umieli zdejmować skórę z martwego zwierzęcia i dzielić jego ciało na części. Odróżniali potężne ścięgna i silne żebra, osłaniające niezbędne dla życia narządy.

W myślach śledzili tor, po jakim będą przesuwać się kule, rozrywające ciało białego olbrzyma. Jeśli nie dotrą do płuc i serca, to zmiażdżą kręgosłup, paraliżując, a w końcu zabijając Nanuąa, niedźwiedzia morskiego, którego tak bardzo czcili i kochali.

Brat Trapera wystrzelił w chwili, gdy niedźwiedź polarny odwrócił się i zagarnął gigantyczną łapą następnego psa. Jego pazury wbiły się w szyję napastnika - pies wydobył z siebie błagalny skowyt. Przednie łapy niedźwiedzia pokryły się jaskrawoczerwonymi plamami krwi. Niedźwiedź obrócił psa dokoła. Krople szkarłatu, błyszczące jak iskry, wyrzucane przez sztuczne ognie w kształcie słońca, otoczyły oba zwierzęta. Wyjąc z bólu i oszołomienia niedźwiedź strząsnął psa z wielkich pazurów. Obrócił się i zaczął gryźć się w tylną łapę, w miejsce, w którym poczuł piekący ból.

Próbował wstać, ale łapa była zdruzgotana i zwisała bezwładnie. Chciał utrzymać równowagę na trzech łapach, ale na lodzie było to niemożliwe.

Casey zamknęła oczy i przygryzła wargę, żeby nie krzyczeć. Zamarznięte łzy na policzkach nieprzyjemnie szczypały skórę. Niech Nanuą ucieknie - szeptała, wiedząc, że los niedźwiedzia jest już przesądzony. Gdyby uciekł, nie mógłby już polować i zginąłby z głodu. Zmieniła więc swoją modlitwę: Niech umrze szybko. Niech nie cierpi.

Jakby w odpowiedzi na jej błaganie huknął następny strzał. Odbił się

echem od lodowych wzgórz. Słuchała, póki nie zamarł - miękko, jak szept. Wszystko ucichło.

Niedźwiedź ustawił się do strzału dokładnie tak, jak potrzebował tego Traper. Nanuq leżał na lodzie zwinięty w kłębek. Czerwona kałuża krwi ciemniała, zamarzając na jedwabiście białej powierzchni.

Casey powoli otworzyła oczy. Nienawidziła ich wszystkich - tych mężczyzn-mordercow. Spojrzała na łańcuch poprzewracanych lodowych bloków, gotowa w każdej chwili stawić czoła Traperowi i jego bratu. Ku jej zdumieniu, obaj powiązali już pozostałe przy życiu psy, zaczepili uprząż pod lodową skałą i z powagą obracali się wokół niedźwiedzia w majestatycznym, rytualnym tańcu. W swoich białych koszulach wykończonych brązową skórą wyglądali jak pardwy, bo połowa ich ciała była zimowobiała, a druga - upstrzona ostatnimi brązowymi plamami lata.

Casey wzdrygnęła się, bo słowa ich pieśni odbiły się głęboko w jej duszy jakąś dawno zapomnianą struną. Jej gniew i gorycz powoli ustąpiły zrozumieniu i głębokiej, wszechogarniającej miłości.

Instynktownie rozumiała, że życie odchodzi w ciemność, a potem znów wraca, do nowego życia. Życie przekazuje swój płonący znicz kolejnej istocie. Śmierć nie istnieje, bo życie wciąż się odradza. Nanuąowi oddawano cześć, bo jego duch będzie żył w innych. Na zawsze.

Casey Ticasuk Chargot wyciągnęła z kieszeni ręce i zaczęła powoli klaskać w rytm dobiegającego ją śpiewu. Ticasuk, biała dziewczyna z Anglii, dołączyła do pieśni pochwalnej na cześć Nanuqa i jego lodowej ojczyzny, która teraz była także jej domem.

Hank przeniósł wzrok z Trapera i jego brata. Tyle już razy widział Inuitów oddających cześć zabitemu zwierzęciu. Zawsze było to wzruszające. Spojrzał na Casey. Klaskała wraz z innymi. Pogrążona w transie wybijała powolny rytm. Rytm śmierci i odrodzenia.

Moja mała Eskimoska - pomyślał - jak bardzo cię kocham. Życie bez ciebie byłoby jak ta lodowa pustynia. Otrząsnął się z tych myśli. Stawał się zbyt sentymentalny.

To tylko nastrój polowania - przekonywał sam siebie. Ale już wiedział, że Casey stała się całym jego życiem.

Traper głośno tupnął nogą i zamilkł. Spojrzał w dół na Hank i Casey. Uśmiechnął się do brata i obaj wykonali ten sam gest zaproszenia.

- Chodź - powiedział Hank, dotykając delikatnie ramienia Casey. Potrząsnęła głową, jakby budziła się z letargu, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Nie, Hank. Nie chcę na to patrzeć - powiedziała.

- Oni tylko zdejmują z niego skórę - przekonywał. - Chodź, Traper pokaże ci jego potężne mięśnie. To niewiarygodne, fascynujące. Proszę. Oddaj cześć Nanuq.

Casey nie była w stanie oprzeć się jego prośbie, a może jego uśmiechowi, więc niechętnie ruszyła za nim.

Traper i jego brat przecinali właśnie z wielką zręcznością skórę po

wewnętrznej stronie łap niedźwiedzia. Szybko zdjęli ciężkie futro, które teraz parowało w zimnym powietrzu. Pracując szybko, ostrymi, przypominającymi sierpy nożami ulu zeskrobywali gorące, czerwone mięso i sadło ze skóry zwierzęcia.

Casey starała się nie oddychać. Udawała, że wyciera nos, rękawiczką, ale osłaniała usta i nos. Mężczyźni rozcinali stawy niedźwiedzia i ćwiartowali tułów na wielkie porcje. Kobiety w obozie zręcznie podzielą je na mniejsze kawałki.

Traper ani na chwilę nie przestawał mówić. Pokazywał Casey drogę, którą wędrowała kula, rozmyślnie nie dostrzegając, że dziewczyna blednie, gdy podniósł do góry zmiażdżone płuca i serce.

Wyjaśnił jej, jak pracują wiązadła. Po jakimś czasie Casey nagle odkryła, że jest gotowa, by dotknąć martwego zwierzęcia. To już nie był niedźwiedź, którego widziała na lodowym spiętrzeniu. Cała tajemnica jego istoty umarła wraz z jego ciałem. Przesunęła ręką po długim nosie i pogłaskała uszy. Gdy Traper zanurzał dłonie w lodowatej wodzie, by zmyć z nich krew, ona próbowała zamknąć powieki na martwych oczach niedźwiedzia.

- Żyj szczęśliwie w swoim nowym ciele - mruknęła cicho.

Traper uśmiechnął się. Widział, jak w duszy Casey odraza ustępuje przed fascynacją. Jest jeszcze dużo naszej krwi w tobie - pomyślał z zadowoleniem. Małymi, silnymi dłońmi przesunął po wypukłych ramionach niedźwiedzia i mięśniach jego przednich łap. Wykroił wątrobę, zbyt bogatą w witaminę A, by człowiek mógł ją jeść, i odrzucił na bok.

- Mięsa niedźwiedziego nie powinno się nigdy jeść na surowo - pouczył Casey. - Surowe mięso karibu nie jest szkodliwe, ale nie gotowane mięso niedźwiedzia wywołuje choroby i wypadanie włosów.

- Trichinella spirilis* - wyszeptał Hank. - Pasożyt wykrywany u większości niedźwiedzi polarnych. Wątroba jest najgorsza. Wykazuje toksyczny poziom witaminy A, zawiera śmiertelną dawkę dla człowieka.

Casey wzdrygnęła się - nie na myśl o umieraniu, ale o jedzeniu surowej wątroby.

- Dursley mówi, że jedną z przyjemności polowania w Afryce jest gotowanie wątroby kozła nad ogniskiem i jedzenie jej, natychmiast... - Przerwała, widząc, że uśmiech zamiera na ustach Hanka.

- Mów dalej - powiedział, opanowując niechęć. To był bezcenny czas, jaki spędzali wspólnie i Hank nie chciał, by towarzyszył im duch angielskiego lorda.

...po zastrzeleniu - skończyła słabym głosem.

Hank wyciągnął ręce i ujął w nie twarz Casey, która w obszytym futrem kapturze wydawała się drobniejsza niż zwykle.

- Kocham cię - szepnął, a ona uśmiechnęła się.

* Trichinella spirilis - włosień kręty, pasożytniczy nicień, którego larwy osiadają w mięśniach szkieletowych człowieka i innych ssaków. Wywołuje chorobę, znaną pod nazwą włośnicy.

Skórę niedźwiedzia starannie zwinięto i umieszczono na przodzie sań. Mężczyźni pracowali szybko i sprawnie, by zabezpieczyć cenne mięso. Przykryli je skórą foki i mocno przywiązali.

- Dobrze się dzisiaj najemy. Wszyscy nasi przyjaciele przyłączą się do nas. Kobiety będą gotowały, a my będziemy śpiewali i tańczyli „tańce polowania". Gulasz z niedźwiedziego mięsa zawsze smakuje - powiedział Traper. - Przyjdziecie do nas?

Brat Trapera wyglądał na zaskoczonego. Wszyscy wiedzieli, że Traper uważał Hanka za syna, którego los mu odmówił, ale Hank z Casey... Razem byli „tanitz" - obcy. Miejscowym nie podobały się te wciąż powiększające się chmary turystów, które całymi gromadami opuszczały mały, szaro-bordowy budynek terminalu iotniczego Mark Air i gardziły ich inuickim sposobem życia.

Widzieli i właściwie odczytywali chichoty turystów, obwożonych autobusami po Barrow. Ci ludzie nie mogli zrozumieć miłości Inuitów do tej niegościnnej i wrogiej człowiekowi ziemi. Nie słuchali przewodnika, gdy ten pokazywał im w tundrze piękne, arktyczne kwiaty - półprzezroczyste, cytrynowe płatki maków, które jaśniały i otwierały się jakby na przekór wyjącym wichurom. Ledwie dotykali wzrokiem wielkich białych sów śnieżnych, wijących gniazda na lodowych pagórkach - jedynych wzniesieniach na rozległej lodowej równinie. Pardwę, narodowego ptaka Alaski, po prostu ignorowali, bo spieszyli do autobusu, uciekając przed lodowatymi podmuchami wiatru, które wdzierały się pod ich pożyczone parki z taką łatwością, jak nóż ulu przecina miękkie sadło.

Casey spojrzała na Hanka i mocno ścisnęła jego dłoń, pragnąc, żeby odrzucił zaproszenie Trapera.

- Dziękuję - usłyszała i zbladła jak kreda. Wiedziała, że zwymiotuje, jeśli zaproponują jej, by zjadła kawałek niedźwiedziego mięsa. - Ale to nasza ostatnia noc tutaj. Mówią, że do rana mgła się podniesie.

- Rozumiemy - uśmiechnął się Traper, gładząc się po policzkach. - Trzeba być razem, kiedy jest się młodym.

Casey uśmiechnęła się z ulgą, objęła Trapera i uścisnęła go.

- Dziękuję ci, Traperze Jacku - powiedziała. - Dziękuję ci za wszystko.

Wyraz twarzy starego mężczyzny nie zmienił się, ale Hank zauważył błysk w jego ciemnych oczach.

Gdy brnęli do namiotu Trapera, Casey uświadomiła sobie, że jest głodna i żałowała, że nie zjadła całego śniadania. Obrazy z polowania wirowały jej przed oczami. Niedźwiedź, krew, huk wystrzałów i przeszywające ciszę krzyki. Łagodne jęki niedźwiedzia. To wszystko wydawało jej się teraz snem, dziwaczną, wirującą mieszaniną piękna i grozy.

- Jeśli odmawiacie gulaszu z niedźwiedzia, to zjecie „pardwę z rury wylotowej" - zdecydował Traper.

- Powiedział coś do brata, który jednym szarpnięciem zatrzymał psy

i wyciągnął karabin schowany głęboko w bagażu. Byli teraz na lodzie przybrzeżnym, a równina tundry rozciągała się w zasięgu ich wzroku. Brat Trapera ruszył przed siebie.

Casey obserwowała go, jak odchodzi coraz dalej. W Szkocji były pardwy, ale nigdy nie słyszała o gatunku „kojarzącym się z rurą wylotową"...

- Traperze - powiedziała - co to jest...

Huk zagłuszył jej słowa. Kilka pardw, skulonych za niewielkim lodowym kopcem, wystrzeliło w powietrze. Wokół rozległy się ptasie wrzaski - ochrypłe i zgrzytliwe. Dwa strzały huknęły raz za razem, aż Casey podskoczyła. Spojrzała w górę, na otwartą plamę delikatnie szarego nieba i obserwowała, jak dwa nakrapiane ptaki padają na ziemię, otoczone chmurą piór, niczym płatkami śniegu.

- Wypadłby dobrze na angielskim polowaniu - powiedziała, gdy Traper pobiegł do ujadających psów.

Szybko oprawiono ptaki. Traper wyciągnął z sań kawałek cienkiej beżowej skóry. Owinął nią piersi upolowanej zdobyczy i wręczył ją bratu, który szybko ruszył w kierunku śniegolazu. Podniósł pokrywę silnika, po czym wsunął mięso do przewodu wylotowego. Sniegołaz z rykiem obudził się do życia i turkocząc po wybojach, ruszył przez tundrę.

Traper obserwował, jak pojazd okrąża lodowe pagórki, i z rykiem gna przez plątaninę roślin, które przywarły do cienkiej warstwy kwaśnej gleby. Grube bieżniki opon przecinały pajęczynę starych śladów wijących się wśród roślinności. Casey zastanawiała się, czy te ślady znikną, czy zostaną na zawsze, zmieniając się w płytkie kałuże topniejącego śniegu.

- Wkrótce spróbujecie tego przysmaku - powiedział Traper radośnie. - Kuropatwy przygotowane w ten sposób są bardzo smaczne, ale najlepsze są króliki.

Casey dobrze wiedziała, jak została wyróżniona, więc była zdecydowana zjeść pardwę bez względu na to, jak będzie smakować.

Brat Trapera wrócił mniej więcej dwadzieścia minut później i zatrzymał się w chmurze czarnych spalin, co wystawiło na próbę jej decyzję, by przyjmować z wdzięcznością każdy poczęstunek.

Traper wręczył jej kawałek różowego mięsa. Lekko pachniało rybą i Casey szybko oderwała kawałek ze środka porcji, by uniknąć mięsa, które bezpośrednio stykało się z foczą skórą.

Wbiła zęby w mięso i stwierdziła, że jest zadziwiająco smaczne.

- Smakuje trochę jak kurczak - powiedziała, uśmiechając się do Trapera i jego braci.

- Ale lepiej - odparł Traper, oblizując palce.

Casey włożyła rękę do kieszeni parki i znalazła garść chusteczek higienicznych. Starannie zawinęła resztki pardwy w chusteczkę, potem udała, że wyciera nos, a następnie wetknęła zwitek z powrotem do kieszeni.

Obejrzała się za siebie, kiedy wraz z Hankiem wyszli z namiotu trapera

i ciężkimi krokami ruszyli przed siebie nadbrzeżną drogą. Mgła już się podniosła i wyblakłe światło oblało srebrem tereny łowieckie.

Psy husky bezładnie leżały na kupie, odwrócone zadami do ostrego wiatru. Wetknęły nosy głęboko w brzuchy, szukając ciepła. Kiedy podmuch wiatru zawirował i przyniósł do nich zapach mięsa, suszącego się na stojakach, podniosły głowy i zawyły. Gdzieś w oddali odpowiedział im wilk. Jego wysoka, samotna pieśń uleciała z wiatrem.

Casey wetknęła rękę do kieszeni kurtki Hanka. - Mgła się podniosła - powiedziała cicho. Hank skinął głową, a jego palce owinęły się wokół jej palców. Milczeli. Nie było nic do powiedzenia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ostrożnie schodzili po schodkach samolotu. Gwałtowny podmuch wiatru odchylił poły anoraka Casey. Stopnie były śliskie i dziewczyna trzymała się poręczy. Hank szedł za nią niosąc jej torbę na ramieniu. Casey miała wielką ochotę odwrócić się i spojrzeć na niego, tak bardzo potrzebowała teraz otuchy. Postanowili nic nie mówić Dursleyowi i Kit, póki nie znajdą się w ośrodku sam na sam ze swoimi partnerami.

Hank był pewien, że Kit będzie rozsądna. W końcu oboje wiedzieli, że ich romans był luźnym związkiem. Gdy tak pocieszał sam siebie, przypomniał sobie ostatnią spędzoną z nią noc. Kiedyś mówiła o „Hanku juniorze". Mruknął „świetnie" i przewrócił się na drugi bok. Takie tam gadanie... Patrzył na ciemne włosy Casey, rozsypane obficie na kołnierzu, jak czarna burzowa chmura. Gorąco pragnął objąć ją ramieniem i całym ciałem poczuć miękkość jej ciała. I zobaczyć, jak kąciki jej ust unoszą się w uśmiechu. Chciał, żeby cały świat wiedział, że Ticasuk należy do niego.

Dursley zauważył Casey, gdy wchodziła do terminalu. Miał ochotę przefrunąć nad torbami, teczkami i tekturowymi pudłami, rozrzuconymi po podłodze. Chciał pochwycić ją w ramiona i nigdy nie przestać jej całować.

Te kilka dni samotności były dla niego całym życiem. Teraz już na pewno wiedział, że jego przyszłość jest w rękach Casey Chargot. Chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli, lecz lordowskie maniery powstrzymywały go od publicznego okazywania uczuć. Jednakże pozwolił sobie na to, żeby ją objąć i wyszeptać: - Tak bardzo mi ciebie brakowało, Bąbelku.

Dzięki Bogu, nie ma żadnych problemów, pomyślał Stewart, patrząc jak Dursley przytula Casey ten jeden raz lekceważąc opinię publiczną.

- Dursley - odezwał się Hank, wyciągając rękę. - Miło widzieć cię znowu.

Dursley wyglądał na odprężonego. Hank wiedział, że to zasługa Stewarta i w myślach dziękował mu za to. Ale kiedy napotkał wzrok pilota, od razu zrozumiał, że będzie musiał za to zapłacić. Nie cieszył się na przyjazd

do ośrodka. Zdawkowo przywitał się z Ginger i zajął się bagażami. Nie chciał patrzeć na Dursleya i Casey.

Casey poczuła usta Dursleya na swoich i były to usta obcego. Zmuszała się, żeby odpowiedzieć na pocałunek. Później z nim porozmawia. Nie teraz.

- Bąbelku, jak to dobrze, że już wróciłaś - powiedział Dursley, obejmując ją w pasie. Splótł palce na jej plecach i przytulił ją do siebie. - Niech na ciebie popatrzę.

Casey z wysiłkiem powstrzymywała się od płaczu, kiedy uważnie przyglądał się jej twarzy. Tak bardzo czuła się winna. A on był takim dżentelmenem. W jakiś sposób ciągle go kochała.

Jak to możliwe, że kocham dwóch mężczyzn? - myślała, odgarniając włosy z twarzy i zakładając je za uszy. Może w jakiś inny sposób, bo przecież to dwóch różnych mężczyzn - zastanawiała się. Ale należę do tej ziemi, do tego życia i do Hanka. Rzuciła na niego okiem, gdy przechodził obok niej, ale szybko spuściła oczy, na wypadek, gdyby chciały zdradzić jej uczucia.

Hank czekał na grupę przy ciężarówce. Postawił kołnierz kurtki i przytupywał nogami, obryzgując piasty kół czekoladowym błotem. - Fascynujące - usłyszał głos Casey, która wychodziła z terminalu lotniczego, trzymając Dursleya pod rękę. Poczuł, jak gniew i zazdrość palą go niczym ogień, ale tylko uśmiechnął się ponad ich głowami, byle tylko nie spojrzeć...

- Czy wiedziałeś, że kiedy wylądowaliśmy na lotnisku Deadhorse w Zatoce Prudhoe, widzieliśmy przez chwilę ośmiusetmilowy rurociąg, którym ropa naftowa jest transportowana do Valdez? - paplała Casey. Mówiła o wszystkim i o niczym, rozpaczliwie pragnąc, żeby w obecności Stewarta i tej nowej kucharki nie zadawano jej żadnych pytań na temat pobytu w Barrow. - Kompania naftowa płaci Eskimosom z North Slope. Zdaje się, że dostają pieniądze z tytułu eksploatacji górniczej za całą wypompowaną stamtąd ropę. Są chyba jedyną społecznością, która nie płaci podatków, a jeszcze pod koniec każdego roku inkasują gotówkę...

Dursley otworzył drzwi do furgonetki i pomógł Casey wdrapać się do środka. Jego ręka przez chwilę spoczęła na jej zaokrąglonych pośladkach. Hank zauważył, że palce Dursleya pieszczą je. Cisnął jego skórzaną torbę na oliwiarki, które wieźli do ośrodka, żeby nasmarować prądnicę.

- Mam nadzieję, że twoja torba będzie wyglądała jak pozostałość Valdez - mruknął cicho.

- Wszystko załadowane? - zapytał Stewart.

- Zrobione.

Stewart skrzywił się i zaklął pod nosem, słuchając wieży kontrolnej.

- Mgła zalega nad przełęczą. Będziemy musieli przemknąć wokół gór i polecieć do domu dłuższą drogą.

Wetknął słuchawki na uszy, a jego siwy koński ogon zatrząsł się, kiedy czarne miseczki ześliznęły się na boki.

- Nie jest w szczególnie dobrym nastroju, co? - spytała Ginger, która siedziała skulona obok Hanka na wąskim, środkowym siedzeniu.

- Stewart nie lubi rozmawiać, jeśli nie ma ku temu poważnych powodów - odparł Hank. Starał się nie oglądać przez ramię na Dursleya i Casey.

Ginger przesunęła kawałek gumy do żucia spod jednego policzka pod drugi.

- Rzeczywiście! - powiedziała znacząco. - To zapewne zależy od tego, gdzie jest, i z kim.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o niechęć Stewarta do zbliżeń między personelem z ośrodka - pomyślał. Kiedy nadarzy się okazja, postępuje dokładnie tak samo. Hank spojrzał na nią, a potem na Stewarta. Blady uśmiech wykrzywił mu wargi. Ta informacja może być użyteczna, gdy Stewart zacznie mu wymyślać z powodu Casey i zaniedbania obowiązków służbowych.

- Sprośny staruch - mruknął.

Ginger zachichotała.

Casey spojrzała w jej stronę. Nie podobał jej się sposób, w jaki rudy warkocz tej dziewczyny muskał ramię Hanka, kiedy się śmiała. Właśnie tam powinnam siedzieć, obok niego - pomyślała. To mój mężczyzna. Nie masz prawa z nim flirtować.

Dursley poczuł, że Casey sztywnieje.

- Nie martw się - pocieszył ją. - Ta mgła na pewno nie jest zbyt gęsta. Stewart nigdy nie poleciałby w niebezpiecznych warunkach. Jest dobrym pilotem i nie musi już niczego nikomu udowadniać. To ci, którzy starają się wszystkim zaimponować, kończą w roztrzaskanych samolotach. - Pogłaskał ją po palcach. Udawał, że nie zauważył, gdy wyrwała mu rękę, udając, że szuka w kieszeni chusteczki.

Casey uśmiechnęła się do niego anemicznie.

- Czuję się świetnie, tylko jestem trochę zmęczona - zapewniła go.

- Zaaplikuję ci dzisiaj słynny masaż lorda Carringtona - powiedział łagodnie.

Casey zadrżała. Będzie musiała stanąć twarzą w twarz z Dursleyem, kiedy znajdą się sami w swojej chacie. Zapragnęła nagle, żeby ten lot nigdy się nie skończył.

Kit przytupywała nogami i żwir rozpryskiwał się wokół jej stóp.

- Stewart każe ci klękać i wygładzać na nowo tę ścieżkę - zauważyła Angela. Kit uśmiechnęła się szeroko do beżowego żwiru i z wielką satysfakcją wykopała grudkę ze ścieżki.

Stewart trząsł się nad każdym kamyczkiem - przywieziono je do ośrodka promem, by wysypać śliskie ścieżki. Poza tym wszechobecne błoto nie oblepiało już butów mazistymi plackami, które potem klienci nanosili do chat.

Kit spojrzała z nadzieją w niebo, nie mogła się doczekać przylotu hydroplanu. Chmury były ciężkie i ciemne i nie widać było żadnego samolotu. Żałowała teraz, że powodowana impulsem dołączyła do Angeli, czekającej na molo, by przywitać pasażerów kieliszkiem brandy.

- Pete - Drewniana Noga mówi, że jeszcze tej nocy będzie padało - powiedziała Angela, balansując ostrożnie tacą z kieliszkami, bo wiatr w każdej chwili mógł strącić je do jeziora. Zdawała się nie dostrzegać zimna i porywistych podmuchów. - A był trzeźwy - dodała.

- Wobec tego będzie padał śnieg. Drewniana Noga nigdy nie myli się co do pogody - odparła Kit.

- Stewart będzie oszołomiony, kiedy zobaczy naszą łódź. Przysięgał, że prędzej ryby zamienią się w bieliki, niż Drewniana Noga da nam nową łódź.

Niski warkot przerwał ich rozmowę. Obie dziewczyny spojrzały w górę, na ciemną plamkę migoczącą na bezkresnym sklepieniu ponad ich głowami.

- Będą potrzebować tej brandy - odezwała się Kit, gdy obserwowały, jak samolot, niczym mokry motyl, opada bez wdzięku na lekko wzburzoną powierzchnię wody.

Kit poczekała, aż otworzą się drzwi, a potem wielkimi krokami wyszła na molo. Przywitała Stewarta gestem „brawo", wyrażając w ten sposób uznanie dla jego sztuki pilotażu. Ogarnęła ją fala podniecenia, gdy schwyciła linę i czekała, aż Hank zeskoczy do wody i pomoże jej przycumować samolot. Miała już gotowy plan jak go przekonać, że małżeństwo byłoby teraz zarówno konieczne, jak i pożądane. Postanowiła, że po prostu zajdzie w ciążę i nie będzie mogła jej usunąć z powodów religijnych. To ostatnie będzie trudne. Ale była pewna, że się uda. Będzie musiała tylko udawać, że jest wierną córką Kościoła.

Te kilka dni jego nieobecności przekonało ją, że powinna zawiesić wędkę na kołku i ustatkować się, by wychowywać jego dzieci.

Sprawdziła się w świecie mężczyzn i bycie jednym z nich zaczynało ją męczyć. Była już gotowa, by zakosztować macierzyństwa.

- Cześć - powiedział Hank, unikając jej wzroku.

- Cześć - odparła Kit. Pewnie źle się czuje, uznała.

- Proponuję toast - powiedziała, podnosząc w górę kieliszek brandy. Stali na molo w małej grupce i trzęśli się z zimna. - Za Dursleya i jego rekord świata w dziedzinie pstrąga tęczowego.

Hank, Stewart, Ginger i Casey spojrzeli na Kit ze zdumieniem. Potem zaczęli mówić, jedno przez drugie, zagłuszając krzyki nurów, dochodzące znad brzegu jeziora.

- Cudownie - powiedział Hank, potrząsając dłonią Kit, a potem Dursleya.

- Wspaniale - dodał Stewart, ciągle jeszcze trochę oszołomiony wiadomością. - Gdybym wiedział, Dursley, zamówiłbym czas na antenie telewizji Anchorage i pokazałbym to wszystkim wędkarzom w Katmai, żeby połamali wędki z zazdrości.

Dursley czekał z ogłoszeniem nowiny, pozostawiając Kit przyjemność zakomunikowania jej Stewartowi. Dziewczyna z trudem ukrywała rozpierające ją uczucie dumy, kiedy Stewart mocno poklepał ją po ramieniu, a Hank wypytywał o połów. Chciał znać każdy szczegół. Musiała 'opisać każdą skałę, o którą się potknęli i każdy ruch, jaki zrobiła ryba.

Jęknął, kiedy wspomniała o wyczynach Leroya i Earla. Wziął z tacy drugi kieliszek brandy, nie pamiętając, że już jeden wychylił.

Kit nic nie powiedziała. Wiedziała, że Hank nie pije alkoholu, a to, że dziś wieczorem będzie trochę pijany, było jej na rękę. Casey pogratulowała Dursleyowi, wyrywając się z jego objęć tak szybko, jak w granicach konwenansu było to możliwe. Cieszyła się jego sukcesem.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że Bob na zawsze cię znienawidzi? - spytała.

- Wyślę mu faks z hotelu, kiedy będziemy w Anchorage - odparł. - Prześlę na adres jego klubu.

- Na adres jego klubu - jak echo powtórzyła Casey. - Och, Dursleyu, to w równym stopniu perfidne, co błyskotliwe. Będą tam wszyscy jego przyjaciele i z prawdziwą radością przyjmą jego porażkę.

Poczuli przyjemne ciepło w żyłach po kieliszku brandy. Ruszyli wypielęgnowaną ścieżką do swoich chatek, żeby rozpakować bagaże; napięcia i problemy ostatnich dni rozwiały się w mroźnym powietrzu.

- Fiuu - powiedział Hank, potykając się na drewnianych stopniach prowadzących do kwatery personelu. - Pewnie Angela nalała czegoś mocnego.

Mały pokój był ciepły i kuszący. Hank zwalił się na jedno z łóżek. Kit spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Wszystko odbywało się wedle jej planu.

- Pozwól, że zdejmę ci buty - powiedziała. - Zamknij oczy. Mamy godzinę do obiadu. Stewart nie zrobi spotkania wcześniej niż po obiedzie. Po prostu odpręż się, stary.

Hank usłyszał jej kojący głos i zamknął oczy. Kit usiadła na skraju łóżka. Rozsznurowała mu buty, ściągnęła skarpetki i przykryła mu stopy kocem. Ostrożnie wsunęła swoje silne palce pod klamrę jego pasa. Zamarła na chwilę, bo Hank mruknął coś pod nosem i skopał koc. Rozpięła mosiężną klamrę i wyciągnęła pas ze szlufek. Zamek odpiął się łatwo; wstrzymała oddech, gdy zsuwała ciężki, zielony sztruks z jego długich, muskularnych nóg.

Odetchnęła swobodnie, kiedy zobaczyła, że Hank ma na sobie elastyczne spodenki, a nie ciasne slipy. Delikatnie pociągnęła za tasiemkę ściągającą spodenki w pasie, zsunęła je i rzuciła na drewnianą podłogę.

Szybko cisnęła na stertę ubrań swoje grube, drelichowe spodnie i ocieplane getry.

Przeszła na palcach do łazienki i wyszła z niej kilka minut później, strząsając termometr. Kiedy wpełzała do łóżka i układała się obok Hanka, na jej twarzy malował się wyraz zadowolenia. Doświadczonymi palcami przebiegła leciutko po wewnętrznej stronie jego ud po czym usiadła na nim okrakiem, a kiedy zaczęła się poruszać, Hank jęknął. Wbił palce w jej pośladki, przyciągając ją do siebie.

- Musi być szybko - mruknęła Kit, ściskając Hanka miednicą, niczym ciasną, twardą obręczą - jeśli całkiem się zbudzi, weźmie prezerwatywę, schowaną w szafce przy łóżku. - Nagle ciało Hanka wygięło się w łuk.

- Ach, Ticasuk - szepnął - moja śliczna, mała Eskimosko.

Kit pochyliła się nad nim nisko, nie wierząc własnym uszom.

Ticasuk. To było inuickie imię Casey Chargot. Powróciło teraz do niej niczym obelga. Poczuła, że ogarnia ją trudny do opanowania gniew na Hanka, mężczyznę, którego właśnie posiadła.

- Jak śmiałeś zakochać się w tym bezradnym stworzeniu o ciele małej dziewczynki! - szeptała do siebie. - Niech tylko Dursley i Stewart dowiedzą się o tym. Nie znajdziesz roboty nawet na jednej z tych komercyjnych łodzi rybackich w Cieśninie Księcia Williama. Będziesz skończony, i zasługujesz na to.

Miała ochotę okładać go pięściami po klatce piersiowej, zgolić tę jego rudą brodę nożem do skrobania ryb, podpalić gęste włosy na piersiach i wyrwać mu kręcone włosy łonowe, jeden po drugim.

- Och, Hanku Butlerze, nienawidzę cię - szepnęła - było przed nami takie cudowne życie, taka cudowna rodzina...

Na tę myśl uspokoiła się trochę. Wiedziałam, że nie mogę jej ufać. Małe kobiety o szerokich biodrach i szerokich uśmiechach są zawsze niebezpieczne. Mężczyźni, ci idioci, czują, że muszą się nimi zaopiekować. No cóż, panno Casey Ticasuk Chargot, ten mężczyzna jest mój. Mogło ci się udać wciągnąć go do łóżka, ale teraz jest w moim i w nim pozostanie.

Ostrożnie uwolniła się od Hanka. Uniosła w górę nogi i podłożyła pod pośladki podwójnie złożoną poduszkę. Wszelkie warunki do zapłodnienia były doskonale spełnione. Zamówię test ciążowy i prześlą mi go w ciągu kilku tygodni. A wtedy zobaczymy co powiesz, gdy ci oznajmię, że będziesz ojcem...

W pokoju było ciepło i zalegał półmrok. Czarny przewód kominowy od pieca klekotał na wietrze. Gdzieś w oddali, dziki krzyk nura, gnieżdżącego się na jednym z małych jeziorek odbił się od opalizującej powierzchni wody jeziora Nonvianuk. Wiatr przyniósł do pokoju strzępy pieśni i ukołysał Kit do snu.

Samica nura, której szmaragdowe i antracytowe pióra błyszczały w promieniach wieczornego słońca, płynęła poprzez ciemniejące wody jeziora, by połączyć się ze swoim partnerem. Ptaki zawołały jeszcze raz, a potem

jeszcze raz. Ich krzyki, niesamowite i zimne, rozlegały się w ciszy, która zaległa między Casey i Dursleyem - ciężka i dusząca.

Dursley siedział na skraju łóżka. Pochyloną głowę ukrył w dłoniach i palcami skubał rozwichrzone włosy. - Nie - powiedział cichym, matowym głosem. - Nie. Nie mówisz, nie możesz mówić tego poważnie.

Casey patrzyła z bólem serca na mężczyznę, którego jeszcze kilka dni temu zamierzała poślubić.

- Tak bardzo mi przykro - powiedziała, kiedy zauważyła, że jego ramiona dygoczą. - Po prostu nie jestem dość dobra dla ciebie. W Londynie znajdziesz doskonałą żonę. Za kilka lat nawet nie będziesz pamiętał mojego imienia.

Dursley podniósł na nią wzrok. Nawet w przyćmionym świetle widziała łzy, spływające po jego policzkach. Wyciągnęła ręce, a potem opuściła je bezwładnie.

- Bąbelku, wszystko załatwione. Nasze rodziny, nasi przyjaciele, wszyscy szykują się na nasz ślub! - Wstał i ruszył w jej stronę. Instynktownie cofnęła się, a on się zatrzymał.

- Wróć ze mną do domu - poprosił. - Tam wszystko będzie normalne. To tylko chwilowe zauroczenie... tym pięknem, tym nieposkromionym pustkowiem. Naprawdę to rozumiem, Bąbelku. Wierz mi, naprawdę. - Nagle opadł na twarde, drewniane krzesło, stojące przed małym, zasłoniętym oknem. Rozciągały się za nim przykryte śniegowymi czapami szczyty gór, otaczające jezioro. - Czujesz, że odnalazłaś swoje korzenie i musisz pozostać na Alasce.

- To tylko część prawdy - dodała po chwili Casey. Jej oczy były pełne łez. Nie chciała sprawiać bólu mężczyźnie, który z całą pewnością na to nie zasługiwał. - Jest jeszcze Hank.

Dursley skrzywił się z bólu na dźwięk tego imienia, ale jego głos brzmiał jak zwykle.

- Nie rozumiesz, Bąbelku, kochanie moje? Butler jest częścią tego dzikiego kraju, który cię przyciąga. W Londynie wszystko się zmieni.

Casey pomyślała o kupie zardzewiałego złomu i pochylonych słupach w Barrow, o surowym pięknie tundry, o ogromnej tajemniczej sowie śnieżnej, przygarbionej na lodowym pagórku, wznoszącym się na równinie pofałdowanej przez wiatr, o potędze osaczonego niedźwiedzia polarnego, o Traperze Jacku, który proponował jej kawałek „muktuka", zapewniając, że sadło smakuje jak guma do żucia...

Poczuła ciało Hanka tuż przy swoim, kiedy stali na pokrytej oblodzonymi kamykami plaży, wpatrując się na budzącą grozę przestrzeń paku lodowego.

- Nie, Dursleyu. To znacznie więcej, niż myślisz. Nie nadaję się do roli hrabiny Carrington. Wprawiałabym w zakłopotanie ciebie i twoją rodzinę. - Odgarnęła z oczu ciężką grzywkę, a Dursley zapłakał bezgłośnie na widok tego znajomego i kochanego gestu.

- Do diabła z tym wszystkim - powiedział. - Kocham cię i chcę, żebyś

była matką moich dzieci. Nie chcę nikogo, kto mnie poślubi dla tytułu. Jednym z wielu powodów, dla których cię kocham, Bąbelku, jest to, że tytuły nie robią na tobie wrażenia. Po prostu chciałaś mnie.

- I ciągle chcę - wykrzyknęła spontanicznie Casey, a potem przeklinała siebie samą, gdy zobaczyła błysk nowej nadziei w oczach Dursleya. - Chciałam powiedzieć, że jako przyjaciela - dodała szybko. - Chcę kochać cię jako swego przyjaciela.

- A ja chcę cię mieć i kochać jako kobietę - odparł Dursley poważnie.

Głośne łomotanie do drzwi przerwało ich rozmowę.

- Kto tam? - zawołała Casey z ulgą.

- Ja - powiedzieli jednocześnie Earl i Leroy.

- Para Laurel i Hardy - westchnął Dursley.

- Pete - Drewniana Noga jest tutaj, żeby przekazać **nową łódź** - zawołał Leroy.

- I żeby przeprosić - dodał Earl.

- Nigdy! Powiedział, że Stewart może dostać łódź, ale może też... - głos Leroya zamarł, bo niewątpliwie czyjaś dłoń zasłoniła mu usta.

- Chodźcie, czekamy na was. Ta nowa kucharka jest wspaniała. Na kolację mamy prażoną kukurydzę, małe pikantne kiełbaski i drinki.

- Idziemy - powiedział Dursley, wstając jak bokser, który podnosi się po wyliczeniu do sześciu.

- Dursley... - zatrzymała go Casey. Stał w otwartych drzwiach, a zimny wiatr wdzierał się do środka.

- Nie martw się, Bąbelku. Nie powiem w ośrodku o twojej nowej miłości. - Wyprostował ramiona i przygładził włosy. Wiatr natychmiast znów je poplątał, kiedy Dursley zatrzymał się na najwyższym stopniu.

Serce Casey ścisnęło się, jakby zgniotła je jakaś gigantyczna pięść. Nigdy nie kochała Dursleya tak bardzo, jak teraz, kiedy obserwowała jego wysiłki, by zachować spokój i opanowanie. Zaczęła szukać jego ręki. Zawsze dotąd chodzili po ośrodku, trzymając się za ręce.

- Nie, Casey - powiedział, wkładając rękę do kieszeni. - Nie pogarszaj sytuacji. Możemy udawać przed innymi, ale nie wtedy, gdy jesteśmy sami! - Zmusił się do uśmiechu, kiedy mijali Earla i Leroya, którzy łomotali do drzwi od pokoju Hanka.

Casey zamarła, gdy usłyszała głos Kit, czysty i mocny.

- Spokój, chłopaki. Idziemy.

Dursley szybko rzucił okiem na Casey, ale jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Tam nie ma Hanka - myślała Casey bliska obłędu. Ona jest w pokoju z kimś innym. Hank nigdy... Casey zacisnęła zęby, żeby nie krzyczeć. Wiedziała, że nie ma go w tym pokoju. Nie mogło go tam być. Krew odpłynęła jej z twarzy, a dolna warga leciutko drżała.

- Casey! - wykrzyknął Earl. - Cieszę się, że cię widzę. Wydaje mi się, jakby przez rok cię tu nie było.

- Usychał z tęsknoty za tobą - powiedział Leroy, upewniwszy się najpierw, że jest w bezpiecznej odległości od Earła. - Ale to pozwoliło odpocząć moim kolanom. - Uśmiechnął się szeroko i odskoczył, bo Earl rzucił się na niego.

- Chodźcie! - ryknął Earl, po raz ostatni waląc pięścią w zamknięte drzwi.

Powoli otwierał oczy. Pokój przestał wirować, ale gdzieś głęboko w żołądku czuł mdłości, i to nie z powodu brandy. Błądził oczami po ścianach, po czym odwrócił głowę do osoby, której obecność wyczuwał obok siebie.

- O, nie! - jęknął bezgłośnie, gdy zobaczył swoje spodenki splątane na podłodze z bawełnianymi majtkami Kit.

Kiedy świadomość tego, co się wydarzyło dotarła do jego zamroczonego alkoholem umysłu, wyskoczył z łóżka i chwiejnym krokiem ruszył do łazienki. Drewniane ściany zatrzęsły się, gdy zatrzasnął za sobą drzwi i pochylił się nad muszlą klozetową.

- Brandy - powiedziała Kit, uśmiechając się słodko, kiedy wrócił do pokoju, wycierając usta. - Źle ci robi na głowę i na żołądek - na chwilę zamilkła - ale na szczęście nie wpływa na istotne części ciała.

Hank zwalił się na bok łóżka i ujął głowę w dłonie. - Jak mogłem? Jak to się mogło stać? - zadręczał się.

- O, całkiem zwyczajnie - powiedziała Kit. - Pragnąłeś mnie i mnie. posiadłeś.

Hank potrząsnął głową w niemym zaprzeczeniu. A potem przypomniał sobie sen o Ticasuk, że to ona z nim była. Przypomniał sobie, że czuł na swym ciele jej miękkość i ciepło. Ticasuk! Nie, to była Kit.

- I co ja mam teraz zrobić? - powiedział cicho.

- No cóż, możemy to zrobić jeszcze raz - roześmiała się Kit - ale ci komedianci za drzwiami domagają się naszej obecności w jadalni. Drewniana Noga ma publicznie przeprosić.

Zwiesiła nogi z łóżka, a potem powoli i ostrożnie poszła do łazienki. Hank słyszał jej głos przytłumiony przez szum wody.

- Nie mogę uwierzyć, że on ma zamiar przeprosić. To musi być objaw demencji. Rąbanie łodzi, niszczenie zabytków i utrzymywanie, że rzeka jest jego prywatną własnością bardziej pasuje do tego faceta - krzyknęła Kit zza zamkniętych drzwi.

Wyszła z łazienki. Jej wyszorowana twarz była rozpromieniona, a wilgotne włosy porządnie związane w koński ogon.

- Kit - odezwał się Hank - jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

- Nie teraz. Jesteśmy spóźnieni. Earl wyłamie drzwi, jeśli nie wyjdziemy. - Włożyła majtki i naciągnęła je na płaski, napięty brzuch.

- Proszę - przerzuciła jego spodnie przez łóżko - schowaj swoje zabawki.

Hank zignorował sztruksowe spodnie. Wiedział, że musi jej powiedzieć

o swojej miłości do Casey. Im dłużej będzie zwlekał, tym będzie to trudniejsze. Wziął głęboki wdech i potarł bliznę pod okiem.

- Kit - powiedział głośno. Jego głos zabrzmiał szorstko jak krzyk bielika. - Kocham Casey Chargot i chcę się z nią ożenić. - Wypluwa słowa, jakby były kawałkami zepsutej ryby. W końcu głos mu się załamał. - Przepraszam - dokończył cicho.

- W porządku, Hank. Rozumiem. Jest malutka, miła i okrągła. Cóż innego mogłeś robić w Barrow?

Hank westchnął. Poczucie winy szybko zastąpił gniew. - Chodzi o małżeństwo, Kit, o małżeństwo. Chcę z nią spędzić resztę życia. Rozumiesz?

Kit odwróciła twarz w jego stronę, oparła się plecami o zamknięte drzwi.

- Tak rzadko dostajemy w życiu to, co chcemy mieć, Hank. Myślę, że wysłałeś swoje zamówienie trochę za późno. - Przesunęła dłońmi po brzuchu. - Właśnie zacząłeś swoje życiowe zobowiązanie i to bynajmniej nie z Casey Chargot.

Hank zamarł, kiedy dotarło do niego znaczenie jej słów.

- Przecież zgodziliśmy się, że nasz związek jest tylko doraźny, Kit. Zawsze zachowywaliśmy środki ostrożności.

- Zawsze? - ze zdumieniem spytała, patrząc na zamkniętą szufladę przy jego łóżku.

Hank otworzył ją jednym szarpnięciem. W środku szuflady, między starymi przynętami wędkarskimi i różnymi rodzajami paciorków, imitujących ikrę łososia, leżała paczka prezerwatyw. Nietknięta. Hank siedział, wpatrując się w nią w milczeniu, jeszcze długo po tym, jak drzwi miękko zamknęły się za Kit.

Casey podniosła wzrok, kiedy Kit wpadła do świetlicy. Wiatr zatrzasnął za nią drzwi, a zawieszone na ścianach obrazy, przedstawiające nury i wilki, jak pijane zakołysały się na hakach. Stewart zastygł z butelką burbona w dłoni i spojrzał na nią z dezaprobatą.

- Przepraszam - zawołała - to ta cholerna śnieżyca. Ci, którzy jutro będą łowić na rzece Henley powinni mieć mnóstwo wrażeń.

Serce Casey śpiewało. Kit była sama. Wszystko było w porządku.

Kit uśmiechnęła się do Casey. Tryumfowała. Biedne maleństwo - pomyślała. Alaska nie jest dla ciebie. Wracaj do swojej Anglii. Ciesz się swoimi teatrami, regatami, polo i Wimbledonem. To miejsce jest dla takich jak my, jak Hank i ja.

- To my - powiedział Dursley, studiując uważnie przypiętą do ściany z bierwion listę, która informowała klientów, gdzie będą łowić następnego

dnia. - Czym Henley różni się od innych rzek? - zapytał, odwracając się do Kit.

- Cudowna rzeka - powiedziała. - Wyżłobiły ją cofające się lodowce. Pomiary stężenia węgla promieniotwórczego najwyraźniej wskazują, że morena ma około dziewięciu tysięcy lat.

- Morena? - odparł Dursley - więc jest wietrzna i niegościnna.

Earl przysunął się, żeby posłuchać wyjaśnień Kit. Ciągle zdumiewało go to, że dziewczyna wie tak dużo. Zbierał informacje, żeoy zaskoczyć przyjaciół po powrocie do swojego cywilizowanego świata.

Oczy Dursleya napotkały wzrok Kit. Uśmiechnął się. - „Przyglądali się i przyglądali, a zdziwienie ich wciąż narastało. Jak jedna mała głowa mogła unieść wszystko to, co wiedziała" - zacytował miękko.

- Co to? - zapytał zdziwiony Earl.

- To o wiejskim nauczycielu i zdumionych jego wiedzą wieśniakach - odpowiedział Dursley, rozglądając się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby odstawić swój pusty kieliszek.

Kit wyciągnęła rękę.

- Dolać? - spytała.

- Nie, dziękuję. Piję tylko jeden, kiedy łowię. Nie chcę widzieć dwóch ryb i dwóch nimf za każdym razem, gdy zarzucam wędkę.

Kit roześmiała się. I już po chwili żywo rozprawiała o platformie pacyficznej i platformie północnoamerykańskiej, dwóch płytach tektonicznych, czyli fragmentach skorupy ziemskiej, które ślizgają się po powierzchni ziemi. Earl nałożył sobie na talerz wielką garść prażonej kukurydzy i żuł ją wściekle, próbując zrozumieć, w jaki sposób nowa skorupa powstaje w środkowych rozpadlinach grzbietów oceanicznych i wznosi się, a w strefach zstępujących prądów konwekcyjnych zapada się do wnętrza ziemi.

- Strefa zstępujących prądów konwekcyjnych jest dokładnie pod Katmai - powiedziała niegodziwie Kit, szczerząc zęby do Earla.

Earl zakrztusił się. Wszystko to było przerażające. - Chodzi o to, że platforma pacyficzna ma mniejszą gęstość niż platforma północnoamerykańska, więc zanurza się pod nią i wędruje do wnętrza ziemi.

- Wiem, co tam się wyprawia - powiedział Earl, śliniąc palec i zbierając resztki prażonej kukurydzy. - Jest tam tak piekielnie gorąco, więc wszystko się topi, a potem, co gorsza, wybucha na powierzchnię i w ten sposób mamy więcej wulkanów.

- To całkiem dobry opis - roześmiał się Dursley. - Może nie naukowy, ale przekonujący.

Lubił rozmawiać z Kit. Dziewczyna była wykształcona i mówiła ciekawie. Pomagało mu to zatrzymać myśli, które obracały się i wirowały jak rój owadów z wiosennego wylęgu. Za każdym razem, gdy patrzył na Casey, miał ochotę krzyczeć, a potem po prostu zabrać ją z powrotem do Londynu.

- Mamy mnóstwo wulkanów na Alasce - ciągnęła Kit wyżywając się na Earlu. - Co najmniej osiemdziesiąt, większość z nich jest wciąż aktywna.

- Są jakieś w pobliżu? - spytał Leroy.

- O, tak. Trident wybuchł w 1933.

- Około sześćdziesięciu lat temu - stwierdził Leroy z wyraźną ulgą w głosie.

- Więc właśnie teraz powinien nastąpić kolejny wybuch - wtrącił Earl, rozkoszując się wyrazem przerażenia, malującym się na twarzy małego Irlandczyka.

Leroy odwrócił się i napełnił talerz prażoną kukurydzą, a po chwili wahania dołożył jeszcze dwie pikantne kiełbaski.

- Przyłącz się do nas - zawołał Earl w kierunku Casey, która siedziała na krawędzi kamiennego kominka. Była cicha i wyglądała na smutną. Potrząsnęła głową, ale Earl nie miał zamiaru zostawić jej w spokoju. Ciężkim krokiem przeszedł przez pokój, wziął ją za rękę zmuszając do wstania i lekko popchnął w stronę grupy otaczającej Kit.

- Rozmawialiśmy o wulkanach - powiedziała Kit. - Dzień przed przyjazdem twoim i Dursleya łowiliśmy w miejscu, gdzie widać jeszcze ślady białego popiołu wulkanicznego po wybuchu Novej Erupty.

- Aa - wtrącił Dursley - oczywiście, przecież to był najpotężniejszy wybuch wulkanu w ciągu prawie dwóch tysięcy lat.

- Z pewnością w dwudziestym wieku - uściśliła Kit.

- Więc co my tutaj robimy? - jęknął Leroy, patrząc na Earla oskarżycielsko. - Pewnie są bezpieczniejsze miejsca do łowienia ryb.

- Bezpieczniejsze może i tak, ale z pewnością nie lepsze - powiedział Dursley, przypominając sobie swą walkę z rekordowym pstrągiem.

Rozległy się czyjeś kroki. Casey obróciła się na pięcie. To był Hank. Przyszedł do świetlicy i w milczeniu przyłączył się do pozostałych.

Jego włosy, wilgotne, bo wyszedł spod prysznica, były płasko zaczesane, a broda przystrzyżona. Casey spuściła wzrok, bo nie mogła patrzeć na niego, kiedy obserwował ją Dursley. Wyciągnęła rękę po prażoną kukurydzę Earla.

- Przecież ty tego nie jadasz - zaprotestował Earl.

- Wiem. - Żucie prażonej kukurydzy dało Casey trochę czasu, żeby uspokoić łomotanie serca.

Hank z rozmysłem patrzył ponad głową Casey na Earla. Nie chciał napotkać wzroku Dursleya. Palił się ze wstydu i gniewu, kiedy pomyślał o tym, jak dotrzymał swojej części umowy, którą zawarł z Casey. Mieli powiedzieć prawdę swoim partnerom od razu po powrocie do ośrodka. Ale nie wiedział, czy Casey powiedziała Dursleyowi. Oboje wyglądali na spokojnych i zainteresowanych dyskusją o wulkanach. Postanowił włączyć się do rozmowy. Przynajmniej pozwoli to jakoś zająć czas do chwili, gdy Angela i Ginger zawołają na obiad - pomyślał.

- Woodrow Wilson ogłosił Katmai rezerwatem chyba tylko po to, by chronić Dolinę Dziesięciu Tysięcy Dymów?

- Tak - zgodził się Hank - ale pamiętaj, że to nie był rezerwat, lecz

tylko pomnik przyrody. W 1942 Roosevelt włączył do niego wszystkie wyspy w odległości pięciu mil od wybrzeża.

- To musiały być te, które zostały zapaćkane ropą z tankowca Exxon Yaldez - wtrącił Leroy, który marzył, by także popisać się wiedzą. - Pamiętam, jak mój agent powiedział, żebym zapomniał o łowieniu ryb w Katmai. Wyczyszczenie jedenastu milionów galonów ropy, napływającej tu z cieśniny, zajmie całe dziesięciolecia.

- Możesz powiedzieć swojemu agentowi, że zwariował - odparła Kit, mrugając do Dursieya. - Pokaż mu zdjęcie tego pstrąga. To go przekona, że łososie ciągle płyną w górę strumieni i składają ikrę, a pstrągi dalej rosną i tuczą się na niej.

- Co to jest, ta Dolina Dziesięciu Tysięcy Dymów? - spytała Casey.

Czuła, że musi coś powiedzieć, choć nie interesowało ją nic, oprócz Hanka i wyprawy do Barrow. Chciała z nim porozmawiać, ale wiedziała, że będzie to możliwe dopiero jutro, gdy będą razem łowić ryby w rzece Henley.

- Jak mówi stary Bob, to najbardziej zdewastowane miejsce, jakie kiedykolwiek widział, a jednak uderzająco piękne - odparł Dursley, uśmiechając się do niej.

Hank skrzywił się. Chyba jednak nic nie powiedziała, wyglądało, że Dursley nadal uważa ją za swoją narzeczoną.

- Dymy i fumarole* już prawie wygasły - ciągnął dalej - ponieważ popioły ostygły i już nie powodują parowania wód powierzchniowych i podziemnych.

- Kiedy Bob ją widział, fontanny dymu ciągle igrały po całkiem wypalonej dolinie. Wydawało mu się, że ogląda miejsce, gdzie siły natury połknęły górę o wysokości siedmiu i pół tysiąca stóp. A potem przekształciły to pustkowie w dzieło sztuki współczesnej, malując koła jaskrawej czerwieni, złota, czerni, pomarańczu i błękitu.

Kit zobaczyła, że Earl marszczy czoło, ale postanowiła nie przerywać wywodu Dursieya wyjaśnieniem, że gorąca para wodna roztopiła minerały z popiołów. Kiedy się zetknęły z zimną powierzchnią skał, zamieniły się w błyszczące zeskorupienia. Wiedziała, że Earl i tak ma trudności ze zrozumieniem Dursieya z powodu jego angielskiego akcentu. Nie chciała więc jeszcze bardziej pogarszać jego sytuacji.

- Bob mówi, że jeszcze dziś, kiedy zamknie oczy, widzi wyraźnie czarną rzekę Lethe, szalejącą w rozpadlinie, i ogromne kolumny czystego, białego dymu, które wznoszą się bez końca, żeby dotknąć nieba. Właśnie tam po raz pierwszy uwierzył, że istnieje jakaś Powszechna Siła, która stworzyła wszechświat.

- Miał na myśli Boga - powiedziała cicho Casey.

- Boga, Powszechną Siłę, Boskiego Ducha, jak tylko chcecie to nazwać. Ta dolina z pewnością zmieniła Boba.

* Fumarola - wyziewy gorących (o temperaturze 200-800°C) gazów i par wulkanicznych.

- Niesamowite - powiedział Earl.

- Nikt nie może żyć w tym nieposkromionym kraju, tak blisko piękna i straszliwych sił natury i nie mieć tej wiary - powiedział Hank.

Casey spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Wiedziała, że pewnego dnia zobaczą razem tę dolinę.

Dursley poczuł się źle. Stracił ją. Ten uśmiech potwierdził jej słowa. Nagle przypomniał sobie fotografię, którą jego matka nakleiła na drzwiach biblioteki. Przedstawiała ogromną czaplę, trzymającą w dziobie wierzgającą żabę. Żaba wyciągnęła łapę i chwyciła szyję czapli. Podpis brzmiał: „Migdy się nie poddawaj. Zawsze jest jakaś szansa".

Uśmiechnął się blado. Tak, droga matko, pomyślał, mam taką samą szansę poślubienia Casey, jak ta żaba, żeby udusić czaplę.

- Więc... - powiedział Earl, zlizując tłuszcz z palców. Ta rozmowa wprawiła go w zakłopotanie. - Katmai zamieniono w rezerwat tylko po to, żeby ocalić martwą dolinę, która ciągle dymi po wybuchu wulkanu?

- Nie, ty bałwanie - odezwał się z wyższością Leroy. - To wasz przyjaciel, Jimmy Carter powiększył to miejsce do tak ogromnych rozmiarów. Dorzucił następny milion akrów. Prawie trzy i pół miliona akrów... i Katmai stało się parkiem narodowym, a nie tylko pomnikiem przyrody.

- Taak - powiedział przeciągle Earl, nie dowierzając wiedzy Leroya na temat Katmai. Spojrzał pytająco na Kit i Hanka. Kit skinęła głową. Dotknięty do żywego, napadł na Leroya.

- Teraz podaj mi choćby jedną dobrą rzecz, którą zrobił Carter. To ty głosowałeś na niego, nie ja.

- Nigdy - skłamał Leroy. - Jeszcze nie zwariowałem.

Ostre walenie metalową chochlą w kontuar zwiastowało obiad. Earl pierwszy ruszył w stronę wielkiej jadalni. Szafranowe światło wieczora zabarwiło szyby okienne i wydawało się, że jadalnia unosi się na opalizujących wodach jeziora Nonvianuk.

Dursley ujął Casey pod rękę. #

- Chodź, Bąbelku - powiedział. Casey posłusznie poszła z nim do stołu.

Kit i Hank rozdzielili się, by towarzyszyć klientom. Nie płacono im za to, żeby posiłki były dla nich przyjemnością. Znudzeni wciąż powtarzanymi pytaniami niektórzy przewodnicy mamrotali coś pod nosem w odpowiedzi, inni interesowali się wyłącznie winem, które pozwalało przetrzymać tę ciężką próbę.

Dursley dowiedział się, że jeden z wędkarzy przy ich stoliku łowił na rzece Henley w ubiegłym roku.

- To naprawdę wspaniała rzeka. Ponadto przepłynięcie tego odcinka tratwą niewątpliwie bije na głowę chodzenie po tundrze. Pamiętajcie, żeby założyć pasy na wadery i dobrze je zacisnąć - ostrzegał. Casey miała

właśnie się wtrącić, ale on nie przestawał mówić. - Ta rzeka jest naprawdę głęboka i szeroka, a prąd to podła ś... - proszę wybaczyć, proszę pani - powiedział, patrząc na Casey.

- Proszę mówić dalej - uśmiechnęła się szeroko, mając wielką ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o rzece Henley.

- Jeśli przewodnik straci panowanie nad tratwą, uderzycie w jeden z brzegów. A nurkowanie nie będzie przyjemne.

Casey zadygotała na samą myśl.

- Nie chcecie chyba mieć butów pełnych wody. A to oznacza piękny mafijny pogrzeb w „ołowianych butach". Parsknął śmiechem widząc, że Casey zbladła. - Ostatnim razem, gdy byliśmy na Henley, o mały włos grizzly nie zgotował nam takiego pogrzebu. Nasza tratwa wystraszyła go, a kiedy wgramolił się na brzeg, rozpoznał, że jesteśmy ludźmi. Odwrócił się i zamierzał zanurkować z powrotem, prosto na nas. Bill strzelił mu petardą pod ogon. Myślę, że jeszcze ucieka.

- Wszyscy się roześmieli. - Dziękuję za radę - powiedział Dursley, starannie wyławiając kawałek łososia z gęstego sosu z orzeszków ziemnych.

- Ryby w Henley są pierwszorzędne, jeśli potrafi się je znaleźć - ktoś dodał.

- Właśnie dlatego łowimy w tym ośrodku. Mogę przysiąc, że ci przewodnicy myślą jak ryby. Znajdują je tam, gdzie nikt inny nie może na nie trafić.

Dursley był zadowolony. Wędkowanie w nowej rzece zawsze go podniecało. Uśmiechnął się do Casey.

- Jutro będzie wspaniały dzień - powiedział. - Spływ tratwą sprawi ci więcej przyjemności niż chodzenie...

- Chciałeś chyba powiedzieć „potykanie się".

Podziwiała determinację Dursleya z jaką starał się zachować pozory. Jesteś silny, pomyślała z zachwytem, obserwując go, jak się krzywi, przecinając rybę. To jedna z rzeczy, które w tobie kocham.

- Weź trochę ode mnie - zaczęła mu dokuczać.

Jej nastrój nagle się poprawił. Dursley robił wszystko, by ułatwić jej sytuację. Wszystko zachowają w tajemnicy, póki nie wyjadą z ośrodka.

Dursley lekko się zakrztusił. Wiedziała, że nie znosi sosu do ryb, szczególnie do łososia. Uważał, że sosy mają wyrażać talent szefa kuchni, ze szkodą dla delikatnego smaku ryby.

Dursley spojrzał w stronę Hanka. Obmyślał plan walki. Był pewien, że jeśli uda mu się zabrać Casey z powrotem do Anglii, to bardzo szybko Hank i Alaska staną się tylko jej szalonymi i cudownymi wspomnieniami.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wiatr jęczał i kwilił jak chore dziecko, gnając przez płaską równinę, okalającą rzekę Henley. Pofałdowany krajobraz, z płytkimi stawami, błyskającymi pośród skał, mułu, gliny i skalnego rumoszu, znaczył drogę wielkiego lodowca, który cofnął się dwanaście tysięcy lat temu. Był to czas, gdy niemal całe Katmai było martwe i pogrzebane pod lodem. Kiedy ziemia się ogrzała, mech torfowiec i karłowate wierzby szybko porosły moczary i nową glebę morenową, które pozostawił po sobie lód.

Casey patrzyła, jak Hank zarzuca na ramię ogromny, niebieski, płócienny wór w kształcie kiełbasy, zawierający gumową tratwę. Jęknął, uginając się pod tym ciężarem. Chwiejnym truchtem wyruszył w górę zbocza. Wiedział, że może się zatrzymać dopiero na szczycie wzgórza. W przeciwnym razie ciężar tratwy ściągnie go po błotnistej ścieżce z powrotem w dół.

- Fiuu - wysapał Earl, próbując przy pomocy korzenia karłowatej wierzby podciągnąć się do góry. - Hank powinien brać udział w triathlonie. Pobiłby wszelkie rekordy.

- Tak - zgodził się Leroy, sapiąc za jego plecami - ten facet jest niesamowity.

Dursley milczał, również zdecydowany wejść na szczyt bez zatrzymywania się.

Kit pomagała Casey.

- Trzymaj głowę wysuniętą do przodu - powiedziała. - To najcięższa część naszego ciała.

Casey tylko skinęła głową w podziękowaniu. Uderzyło ją piękno jesiennej tundry. Nie było jej tu zaledwie przez kilka dni, a w tym czasie wzgórza wybuchły jaskrawym złotem i szkarłatem przetykanym bielą. Miała ochotę przykucnąć i zbierać jagody, które czarnymi i czerwonymi gronami zwisały tuż nad ziemią. Przypomniała sobie, że jest tutaj po to, by łowić ryby, więc dalej z wielkim trudem wspinała się po ścieżce, od czasu do czasu rzucając

na boki krótkie spojrzenia. Nie była jednak w stanie oprzeć się jaskrawoczerwonej roślinie, rosnącej na ścieżce. Wyglądała jak krzak truskawki. Pochyliła się i zerwała liść.

Podskoczyła na dźwięk głosu Dursleya.

- Chodź, Bąbelku. Daj mi rękę, to pomogę ci wejść pod górę. Śnieg, który spadł ostatniej nocy, stopniał i zamienił błoto w lodowisko.

Stała obok niego wpatrzona w purpurowe listki.

- Popatrz, to roślina nerkowa.

- Nigdy o takiej nie słyszałam - powiedziała Kit, zatrzymując się przy nich.

- Spójrz, ma ciemnozielone brzegi, a środek jest jaskrawoczerwony. Takie same kolory, jakie ma nerka po złożeniu ikry - wyjaśniła Casey.

Dursley delikatnie ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz do góry. Wiatr zrzucił jej z głowy kaptur anoraka i włosy przesłoniły oczy, tak że nie mogła dojrzeć udręki w jego spojrzeniu, ale usłyszała czułość w jego głosie.

- Bąbelku - powiedział cicho - jesteś taka śliczna. - Opuścił rękę i odwrócił się, ruszając znowu ścieżką do góry.

- Jesteś szczęśliwą kobietą, że udało ci się znaleźć Dursleya - powiedziała Kit. - Na twoim miejscu szybko wyszłabym za niego. Jest za dobry, żeby go stracić. - Dokładnie obserwowała reakcję Casey. Była zdecydowana pożegnać ich oboje pod koniec tego tygodnia.

Casey poczuła łzy pod powiekami, przełknęła z trudem. Nie będzie płakać.

Kiedy dotarli na szczyt wzgórza, Casey oddychała z trudem. Na odludnym płaskowyżu stały powyginane szczątki samolotu Piper Cub. Wyglądały z daleka jak brzydka nowoczesna rzeźba.

- Ten nie miał szczęścia - powiedział Earl.

Kit roześmiała się. Dursley podszedł do samolotu, badawczo przyjrzał się szczątkom i wgramolił się do środka.

- To było doskonałe lądowanie. Ale myślę, że facet nałapał łososi w Naknek i schował je pod siedzeniami. Potem pewnie zszedł nad Henley, żeby dołożyć do swej zdobyczy jeszcze kilka wielkich pstrągów, a tymczasem zapach łososi musiał przyciągnąć dwie niedźwiedzice. Sądzę, że jak skończyły jeść łososie odkryły, że lakier, którym pomalowano płócienne części samolotu, jest bardzo pożywny, więc zjadły także samolot.

Dursley wydostał się z wraku, potrząsając głową.

- Zjadły go z wielką przyjemnością - dodała Kit. - A teraz ruszajmy dalej, bo inaczej Hank zacznie wrzeszczeć. - Doprowadziła ich do urwistej krawędzi.

Słońce nie wzniosło się jeszcze dość wysoko, żeby stopić śnieg zalegający po ocienionej stronie płaskowyżu. Kulił się - gęsty i biały jak królicze

ogony - w zagłębieniach i dolinkach wśród krzewów i w tundrze. Krajobraz był zimowy i naprawdę piękny.

W dali, pod nimi, rozciągała się rzeka Henley, wijąc się wśród szarych, płaskich równin. Wydawała się zwodniczo płytka i spokojna. U stóp wzgórza, trące się nerki lśniły jak czerwone wino, rozlane w krystalicznie przejrzystej wodzie.

Casey zbladła, gdy spojrzała na urwistą ścieżkę biegnącą do łożyska rzeki.

- Wygląda to tak, jakby jakiś olbrzym wygryzł ogromny kawał tego wzgórza - powiedziała.

- Rzeczywiście. Lodowiec - odparła Kit.

- Mam dobre i złe wiadomości na temat tego miejsca — odezwał się Earl, stając tuż przy Casey.

Spojrzała na niego pytająco.

- Złą wiadomością jest to, że musimy zejść tą ścieżką w dół i że wiatr nie ucichnie, gdy już będziemy nad rzeką. Dobrą wiadomością jest natomiast to, że kiedy już zejdziemy na dół, nie będziemy musieli wspinać się z powrotem na górę. Hank mówi, że Stewart zabierze nas znad rzeki.

Casey roześmiała się. Dursley obejrzał się za siebie. Obserwował Hanka posuwającego się do przodu. To był pierwszy naturalny śmiech Casey, jaki usłyszał odkąd wrócili do ośrodka.

Casey musi zrozumieć, że Hank jest jej ucieczką od trudnych dla niej spraw, pomyślał. W swoim czasie pojmie, że po prostu obawiała się wejść do mojej rodziny. Wybrała więc to, co uważała za łatwiejsze... Dowiodę jej, że ich związek nie miał żadnych szans... To tylko kojąca cisza tego miejsca. Dajmy jej zakosztować zakupów na Sloane Street, hałasu ulicznego na Kninghtsbridge, londyńskich autobusów i czarnych taksówek, a zapomni o całej tej przygodzie. Casey Chargot zostanie jednak hrabiną Carrington.

- Schodźcie na dół! Dursley pierwszy. - Ledwo słyszalny głos Hanka niósł się z wiatrem do góry. Stali tam skuleni i nieco wystraszeni, a ich sylwetki odcinały się ciemną plamą na tle nieba.

- Kiedy będzie stromo, siadaj na swoim przyrodzeniu* i zjeżdżaj w dół - powiedziała Kit.

Casey wybuchnęła śmiechem na widok urażonej miny Dursleya.

- Chyba chodzi ci o tyłek - powiedziała do Kit, parskając śmiechem. - W Anglii „przyrodzenie" oznacza coś, czego mężczyźni nie mają i co z całą pewnością nie może służyć do ślizgania się.

Earl i Leroy przez chwilę wpatrywali się w Casey, po czym walnęli się nawzajem w plecy i klasnęli dłońmi, „przybijając piątkę".

Hank nie miał zielonego pojęcia, co było przyczyną tej uciechy, lecz widział swoich podopiecznych, kręcących się w kółko jak mewy podczas

* Przyrodzenie - nieprzetłumaczalna gra słów, oparta na dwóch znaczeniach słowa „farmy", użytego przez Kit. W amerykańskiej angielszczyźnie oznacza ono „dupa", natomiast w brytyjskiej „cipa".

sztormu. Spojrzał w górę rzeki. Przed nimi była inna grupa. Pięciu mężczyzn z pobliskiego ośrodka. - Chodźcie! - ryknął, przykładając zwinięte jdłonie do ust.

Nie znosił innych ludzi na Henley. Uważał ją za swoją rzekę, jak nikt inny znał jej kaprysy i nastroje. Nadał nazwy wszystkim najlepszym miejscom do łowienia, a personel z ośrodka utrzymywał, że nazwał także wszystkie ryby. Upierano się, że ryby są tak do niego przywiązane, że gdy połkną haczyk, przypływają do niego z otwartymi pyskami, by im go wyciągnął. Reputacja, którą zdobył na Henley, sprawiała mu przyjemność i miał wielką ochotę popisać się swoimi umiejętnościami przed Casey, a także przed Dursleyem. Czuł, że sukces Kit i Dursleya poderwał jego autorytet i uznanie dla jego umiejętności. Dzisiaj zamierzał odzyskać i jedno i drugie.

Trzymając wędkę wysoko w lewej ręce, Dursley usiadł na szczycie ścieżki. Zsunął się w dół, odpychając się piętami od błota.

- Uważaj na swoje przyrodzenie! - ryknął Leroy.

- Na dupę - poprawił go Earl i obaj jeszcze raz zanieśli się histerycznym śmiechem.

- Na tylek! - krzyknęła Casey. - Nie podrzyj sobie waderów!

Kit skinęła głową z aprobatą, patrząc jak Dursley zjeżdża w dół. Kolana podniósł wysoko do góry. Prawą ręką chwytał korzenie i krzewy, żeby zmniejszyć prędkość ślizgu.

- Świetnie - powiedział Hank, kiedy Dursley stanął u podstawy ścieżki. - Przejmij ode mnie pompę nożną, a ja zobaczę, czy z waderami w porządku.

Dursley zaczął pompować gumową tratwę, lecz szybko uświadomił sobie, że mięśnie jego ud nie są wcale tak silne, jak uważał. Zanim Hank z zadowoleniem oświadczył, że wadery Dursleya są nienaruszone, nogi Anglika zdecydowanie odmawiały posłuszeństwa.

- Dziękuję - powiedział Hank. - Teraz ja ją wezmę.

Dursley udawał, że jest zajęty przy wędce i lince, ale uważnie obserwował jak Hank radzi sobie z pompowaniem. Myśl o tych potężnych nogach, splecionych z nogami Casey, przyprawiała go o mdłości. Odsunął się dalej i usiadł na skale. Spojrzał w górę, na szczyt wzgórza, zarysowany na tle nieba, gdzie ciągle poruszały się małe figurki, jakby odbywało się tam przedstawienie teatru lalek.

- To naprawdę nie ma znaczenia, kto zjedzie pierwszy - przekonywała Kit, kiedy Earl i Leroy manewrowali, żeby zdobyć uprzywilejowaną pozycję na szczycie stromej ścieżki, która teraz zamieniła się w błotnistą ślizgawkę.

- Jeśli Earl będzie pierwszy, to wyżłobi Wielki Kanion - gderał Leroy - a ja się w nim zagrzebię.

- Leroy tak się boi, że zanim zjedzie, łososie złożą ikrę i zginą, a wszystkie pstrągi odpłyną na bardziej zasobne tereny - natychmiast odciął się Earl, uderzając go łokciem w żebra.

Kit podniosła brwi w stronę Casey. To było gorsze niż szkolny piknik.

- Ja zjadę - powiedziała Casey, uśmiechając się łagodnie do obu mężczyzn. - W końcu zwykle damy mają pierwszeństwo.

- Ale... - odparł Leroy. Brązowy rybacki but walnął w tył jego kostki, każąc mu zamilknąć.

- Jasne, że tak - zgodził się Earl. Po powrocie na południe zamierzał znaleźć sobie taką dziewczynę jak Casey.

- Daj mi to - Kit wyciągnęła rękę. Casey z wdzięcznością wręczyła jej swoją wędkę typu Hardy, klasy szóstej. Kit badawczo zlustrowała grafitową wędkę, wykonała kilka próbnych rzutów i uznała, że woli swoją dziewiątkę, typu Sagę. Szóstka jest trochę za lekka na Henley, pomyślała, zwłaszcza przy tym wietrze. Ale Hank dobrze wie na co stać tę dziewczynę.

Podniosła wzrok znad wędki i spojrzała w kierunku Casey. Już jej nie było. Pędziła w dół po zboczu, a Earl i Leroy wychylali się zza skalnej krawędzi, wykrzykując słowa zachęty. Dursley i Hank przeszli przez obsypane śniegiem kamienie i czekali na dziewczynę u podnóża ścieżki.

- Z pewnością przyciąga facetów - mruknęła Kit. - Przy odrobinie szczęścia skręci kark.

Jazda sprawiała Casey przyjemność. Przypominała jazdę na nartach, tyle że na tyłku. Krzaki przemykały obok. W oczach poczuła łzy, a na policzkach rumieńce. Spadła jej czapka.

Wygląda jak kruk frunący ze wzgórza, pomyślał Hank. Szkoda, że Dursley nie został na skale, razem ze swoim sprzętem rybackim. Wtedy on mógłby złapać Casey w ramiona. Zakończyłaby tę jazdę na złamanie karku w jego objęciach.

Powinien zostać i pompować tratwę - pomyślał Dursley, patrząc w bok na Hanka, którego oczy były utkwione w Casey.

- Nie - ryknął nagle Hank, aż Dursley podskoczył. - Zostaw te gałęzie! Jedziesz za szybko, żeby teraz hamować.

Jego głos przedarł się przez wiatr, od którego drętwiały jej uszy. Casey zatrzymała ręce, wyciągnięte w kierunku wierzby. Chciała ją złapać, żeby zmniejszyć prędkość zjazdu. Zamknęła oczy. Jazda nie była już zabawna i Casey się bała.

- Uważaj! - wrzasnął Hank.

- Bądź ostrożna! - krzyknął Dursley. Casey nie zauważyła, że zbacza ze ścieżki, bo miała zamknięte oczy.

- O, nie - powiedział Earl, patrząc, jak Casey leci w gęste zarośla. Kopiec śniegu wystrzelił w górę, gdy stado białych, zimowych pardw wyfrunęło ze splątanych gałęzi wierzb, wywrzaskując swoje oburzenie.

Casey ostrożnie otworzyła oczy. Była żywa. Obolała, ale żywa. Zjazd się skończył.

W jednej chwili Hank i Dursley byli przy niej, pomagając jej wstać i prowadząc ją po ostatnim krótkim odcinku ścieżki.

Dursley objął Casey ramieniem, czule otarł jej błoto z twarzy i powy-

jmował gałązki z włosów. Hank został z tyłu. Ogarnęły go mdłości. Najwyraźniej Casey nic nie powiedziała Dursleyowi. Zmusił się, żeby o tym nie myśleć i bacznie przyglądał się rzece. Wiatr przeszedł od kwilenia dziecka do głośnych przechwałek tyrana. Oczy Hanka zwęziły się.

Powierzchnia szarej rzeki wyglądała teraz tak, jakby obsiadły ją tysiące maleńkich, białych mew, których spiczaste skrzydła wznosiły się na falach. Wiatr zmienił Henley z marzenia wędkarza w senny koszmar.

Mieli do wyboru albo spuszczenie tratwy na wodę, albo spędzenie całego dnia na brzegu. Jeśli wiatr nie osłabnie, Stewart nie będzie mógł wylądować na rzece. Wtedy będą musieli wędrować czternaście godzin po morenie do brzegów jeziora Nonvianuk, gdzie w końcu znajdzie ich łódź z ośrodka. Hank nie lubił długich wędrówek. Stwarzały ryzyko, że grizzly zakwestionuje ich prawo do obecności na jego terytorium.

Hank pomyślał z zadowoleniem o broni schowanej w plecaku. Uznawał wszystkie reguły rezerwatu, ale przy takiej okazji dobrze było wiedzieć, że można się obronić. Instynktownie poklepał kieszenie koszuli pod waderami. Tak. Petardy do odstraszania niedźwiedzi znajdowały się w lewej, a amunicja ekspandująca w prawej.

Właśnie miał się odwrócić i krzyknąć do Kit, kiedy coś z tyłu trzasnęło go w nogi z siłą uderzenia łapy niedźwiedzia grizzly. Cios powalił go na kolana, wydawało mu się, że zamarznięte kamienie przewierciły się przez gumowe ochraniacze w jego waderach. Był pewien, że słyszał trzask kości.

Ostrożnie wyciągnął ręce z zaspy śnieżnej. Obrócił głowę do tyłu i zobaczył Earla i Leroya na ziemi, leżących jeden na drugim i splątanych jak para kochanków. Wstał, ocierając mokre ręce o wadery. Czuł palący ból w kolanie. Powstrzymał się jednak od komentarza...

- Nic ci nie jest, Hank? - zawołała Casey, kiedy udało jej się wreszcie wydostać spod opieki Dursleya. Ślizgając się dotarła po kamieniach do miejsca, gdzie stał Hank, rozcierając kolano.

- W porządku - odpowiedział, próbując przenieść ciężar ciała na stłuczoną nogę. Stwierdził, że kolano jest pewnie złamane.

Uśmiechnął się bez entuzjazmu, kiedy pomyślał o reakcji Stewarta na wiadomość, że jego przewodnik będzie musiał polecieć do Anchorage i zostać w szpitalu. Postanowił bezpiecznie odprowadzić grupę do plaży przy Rainbow Run, a potem dopiero zająć się swoją nogą.

Kit pognała w dół zbocza jak slalomista, z wdziękiem wylądowała u podnóża wzniesienia i wielkimi krokami ruszyła w kierunku Earla i Leroya.

- Mówiłam wam obu, żebyście się opanowali - powiedziała. - Jeśli kolano Hanka jest uszkodzone, będziecie wiosłować na Galley Stretch. Wierzcie mi, będziecie gorzko żałować, że mnie nie posłuchaliście!

- Wszystko w porządku, nic mi nie jest - powiedział Hank, krzywiąc się z bólu, kiedy pochylił się, żeby podnieść tratwę.

Kit zmrużyła oczy i przyglądała się, jak Hank kuśtyka w stronę brzegu rzeki, ciągnąc tratwę za sobą. Po kilku godzinach spędzonych na tym

wietrze i w lodowatej wodzie nie będziesz w porządku - pomyślała. A ja sama nie poradzę sobie z tratwą. Była wściekła na Earla i Leroya.

Kiedy mieli zjeżdżać w dół, Leroy wpakował się na ścieżkę przed Earlem. Ten w poczuciu krzywdy, że został oszukany, rzucił się w dół za Irlandczykiem. Kit została na górze z jego czapką i była to jedyna rzecz, którą udało jej się schwycić, kiedy usiłowała go zatrzymać. Earl natychmiast wpadł na Leroya i zaczęli zjeżdżać razem, splątani ciasno, jak węzeł zaplątany przez wiatr.

Mimo gniewu, Kit uśmiechnęła się, gdy spojrzała na grupę ludzi stojących wzdłuż brzegu rzeki. Brązowe błoto, rozmazane na siedzeniach ich waderów sprawiało, że wyglądali jak gromadka przedszkolaków, które taplały się w błocie.

Casey wdrapała się na gruby, gumowy przód tratwy i zwiesiła nogi do wody. Udając, że patrzy, jak Earl i Leroy szykują się do wejścia do łodzi, ukradkiem owinęła sobie wokół nadgarstka kawałek mokrej liny holowniczej, żeby mieć coś, czego mogłaby się uchwycić.

Tratwa skrobnęła o dno rzeki i wystraszyła łososie, po czym skręciła w główny nurt. Casey skrzywiła się, czekając tylko aż guma się rozedrze. Wkrótce jednak zapomniała o lęku i pochyliła się do przodu, obserwując zafascynowana, jak coraz to inne ryby odskakują od ciemnego kształtu, który przepływał nad ich głowami.

Hank pochylił się przy wiosłach i z wysiłkiem skierował tratwę na środek rzeki, z dala od mężczyzn, którzy już łowili przy brzegach. Dursley bacznie przyglądał się ich technikom zarzucania przynęty, które wyraźnie różniły się od używanej przez niego wersji dwuręcznej. Mężczyźni łowili w Eye Opener, najmniej obiecującym, a jednak ulubionym przez Hanka miejscu na tej rzece. Patrząc na ich ponure miny, z zadowoleniem stwierdzał, że ryba nie bierze.

Casey wpatrywała się w wysokie urwiste brzegi, które mijała tratwa. Guano kapało ze skał i z gleby jak biały lukier, a mewy szybowały na wietrze. Ich szeroko rozpostarte skrzydła chwytały każdy podmuch. Mewy wirowały, wznosiły się w powietrze i wywijały koziołki, jakby odprawiały namiętny taniec godowy. Okrążały wygładzone przez wodę kamienie, bez końca szukając rozkładających się i wzdętych łososi. Ich ochrypłe wrzaski i skrzeczenia pasowały do tego surowego krajobrazu.

Earl i Leroy, potulni i cisi, siedzieli na desce za Hankiem, trzymając się z daleka od zasięgu wioseł. Leroy nie puszczał boku tratwy. Za każdym razem, gdy skała zazgrzytała o gumowe dno dinghy, albo podmuch wiatru przechylał ich na jedną stronę, przechodził go dreszcz. Odetchnął z ulgą, kiedy Hank w końcu załadował wiosła do łódki i pozwolił tratwie dryfować w kierunku wąskiego cypla, wrzynającego się w rzekę.

- Będziemy łowić tutaj - zarządził. Skinął głową na Kit, która wyszła z dinghy na płyciznę i złapała linę holowniczą.

- Earl, ty wychodzisz pierwszy - rozkazał Hank - i powoli.

Poczekał, aż Earl przebrnie przez wodę do brzegu, a dopiero potem pozwolił Leroyowi wygramolić się z łodzi. Dursley przytrzymywał Casey, kiedy ześlizgiwała się z przodu dinghy. Następnie Hank i Kit przeciągnęli łódź po gładkich kamieniach na brzeg.

- Rainbow Run - powiedział Hank z dumą. - Będziemy tu łowić aż do lunchu. Rozstawcie się tak, żebyście stali na całym spływie. Tutaj wypuszcza się złowione ryby - wyjaśnił Dursleyowi i Casey, uśmiechając się do dziewczyny. - Nie chcemy przecież, żeby konkurencja wepchnęła się na nasze łowisko.

- Dołożymy im wędkami, to uciekną - roześmiał się Leroy, z ulgą przyjąwszy wiadomość, że nie wejdą na tę kołyszącą się tratwę aż do lunchu.

- Nie będziesz musiał nic robić, żeby sobie poszli - powiedziała Kit - ale nie dyndaj im przed oczami przynętą jak będą tędy przechodzić.

- To brutalna, podła rzeka - wyjaśnił Hank. - Walczymy bez litości. Nasze przynęty utrzymujemy w tajemnicy.

- Tak - zgodził się Earl - niech sobie sami znajdą kolor ikry, na którą będą łowić.

Earl i Leroy wiedzieli już od dawna, że ich przewodnicy są fanatykami łowienia ryb. Spędzali całe miesiące na wymyślaniu przynęt, które skusiłyby i oszukały potężne pstrągi. Przez całe lata rzucano do rzek chyba wszystko, oprócz nitrogliceryny. Przewodnicy z ośrodka „Black Legs" byli przekonani, że wielki pstrąg „Granddad" przyznał im nagrodę za pomysłowość, bo każdego roku wypróbowy wali coraz to nowe przynęty. W tej rzece żyły stare, chytre ryby, które nieustannie wprawiały przewodników w stan gorączkowego podniecenia. W wolne dni wyruszali nad Henley, mając nadzieję, że złowią „naprawdę wielką rybę". Obawiali się, że któryś z przypadkowych wędkarzy będzie miał więcej szczęścia - złowi olbrzyma, a potem straci go, i nikt nigdy się nie dowie, jaki naprawdę był wielki. Wydawało się, że te ryby mają komputerową pamięć, w której przechowują listę przewodników i przynęt, na jakie przez lata usiłowano je złapać.

Hank wysłał Dursleya aż do szczytu spływu, skąd łódź była prawie niewidoczna.

- Obchodź ten spływ powoli - powiedział - wzdłuż brzegu można znaleźć kilka świetnych ryb. To miejsce wymaga dobrego, długiego rzutu. Tylko ty potrafisz tak rzucać.

Dursley skinął głową.

- Zaopiekuj się Casey - krzyknął odchodząc. Dobry ruch, pomyślał, brnąc w górę rzeki. Wiatr i prąd co chwila go zatrzymywały. Hank myśli, że sprytnie się mnie pozbywa. To powinno go zbić z pantałyku, zobaczy, że wcale nie uważam go za groźnego przeciwnika. - Dzisiaj Casey może sobie z tobą łowić, ale pod koniec tygodnia poleci ze mną do domu. - Dursley z dużym wysiłkiem posuwał się do przodu. Fale rozbijały się o jego uda i ochlapywały mu twarz.

Był zaskoczony siłą wiatru, który zdawał się nabierać mocy na brzegach, a potem gnał nad otwartą wodę. Przez chwilę Dursley zastanawiał się, czy to było mądre, żeby pozwolić Casey tutaj łowić, w takiej rzece, w takich warunkach...

Lecz wkrótce całkowicie pochłonęło go zarzucanie wędki. Dzisiaj łowił „na ślepo", bo pokryta drobną falą powierzchnia wody skutecznie maskowała pływające pod nią ryby.

- Zabierz Earla i Leroya na środkowy odcinek i uważaj na „fontannę" - zwrócił się Hank do Kit. - Ja będę łowił z Casey na zakręcie. Tam powinien być mniejszy wiatr.

I będziecie dobrze schowani - pomyślała Kit. Świetnie, stary, ale pamiętaj -już jesteś mój. Mój i małego Hanka.

Kit była pewna, że jest w ciąży. Czas nie mógłby być wybrany lepiej. Wielu ludzi wprowadza medycynę w zakłopotanie, intuicyjnie odgadując, czego potrzebuje ich ciało, żeby wyzdrowieć. Podobnie Kit - była teraz przekonana, że zobowiązanie Hanka na całe życie właśnie się zaczęło.

- Weź mnie pod rękę - powiedział Hank do Casey, wyciągając z dinghy dwie wędki i kierując się w stronę rzeki. Casey czuła się dziwnie zażenowana, idąc z nim pod rękę w dół rzeki. Było tak za każdym razem, kiedy szli łowić ryby, ale teraz wszystko się zmieniło. Nagle wydało jej się to czymś intymnym. Była pewna, że wszyscy widzą tę różnicę.

Obróciła się za siebie. Dursley był tylko małą plamką w oddali, a Kit i Earl właśnie pomagali Leroyowi wstać. Leroy siedział w wodzie, sięgającej kilku cali i wyglądał na niepocieszonego.

Casey potknęła się, gdy uderzył w nich podmuch wiatru. Hank objął ją ramieniem w pasie, żeby pomóc jej odzyskać równowagę. Miała wielką ochotę położyć mu głowę na piersiach i zamknąć oczy.

- Och, Hanku - powiedziała, a jej słowa zabrzmiały na tym wietrze jak szept. - To jest takie okropne. Nie miałam pojęcia, że to będzie tak. W Barrow wszystko wydawało się takie proste i piękne.

- Jest takie. Jest - pocieszał ją Ifank, przytulając ją do siebie. - Kochamy się i będziemy razem. Po prostu pamiętaj o tym. Nigdy o tym nie zapominaj, Ticasuk, bez względu na to, co się jeszcze wydarzy.

Casey spojrzała na niego. Miała na głowie zieloną, narciarską czapkę, naciągniętą nisko na czoło, a kaptur jej rybackiej kurtki był zapięty aż pod brodę. Pod polaroidowymi okularami Hank nie widział jej oczu, ale jej dolna warga drżała.

- Przestań - zażartował - czy jesteś tą dziewczyną, której przodkowie polowali na Nanuqa jedynie przy pomocy oszczepu? Jesteś odważna, moja Ticasuk. Teraz musisz to wykorzystać.

Casey potknęła się jeszcze raz, więc mimo bólu w kolanie, Hank przeniósł ją przez rzekę.

- Chodzi o Dursleya - powiedziała, kiedy stanęli na brzegu. Hank poczuł się tak, jakby jakiś ciężar, niczym ołowiany obciążnik wędkarski, uderzył go w żołądek i utkwił w nim. - On zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen, a ja wiem jak bardzo go ranie. Czuję się taka zła i samolubna.

Hank radował się bezgłośnie, zachowując poważny wyraz twarzy i zaniepokojony głos. Casey powiedziała Dursleyowi. Nie będzie już odwrotu. Była jego.

Weszli na ścieżkę, obrośniętą czarnym bzem i karłowatymi wierzbami, które osłaniały ich od spojrzeń innych i od wiatru.

- Ticasuk - szepnął półgłosem, biorąc ją w ramiona i kosztując jej ust.

Casey poczuła czysty zapach mydła. Resztki Deetu, rozpylone na jego czapce, połaskotały ją w nozdrza. Potem wciągnęła do płuc jego oddech, ciepły od piżmowego zapachu pożądania, i rozchyliła usta.

Usłyszała szorstki zgrzyt, gdy Hank jednym szarpnięciem odpiął zapinane na rzepy, szerokie paski od jej waderów.

Nie! Chciała zaprotestować. Nie, nie tutaj! Dursley! Earl! Leroy! Kit! Ale nagle odkryła, że jej własne palce, ciepłe i zwinne, rozpinają klamrę od paska i zwijają jaskrawoniebieskie ocieplacze aż do kostek.

Nie czuła mokrego mchu, chlupiącego pod jej pośladkami ani nawet ukąszeń owadów, ukrytych przed wiatrem w zaroślach. Wszystko, co się liczyło, to Hank, jego ciężar napierający na jej ciało, i te dreszcze, które ogarniały ją całą, gdy rozkoszowała się jego dotykiem.

Nigdy tego nie zapomnę. To było absolutnie doskonałe - myślała Casey, leżąc cicho jak dziecko, kiedy Hank ją ubierał.

Wiatr pochylił krzewy czarnego bzu tak, że utworzyły namiot dla kochanków. Przez gałęzie, Casey widziała skrzydła mew unoszące się na wietrze. Otwierając silne, żółte dzioby, krzyczały i nawoływały jedna drugą.

- Właśnie tak należy się kochać - szepnął Hank, pomagając jej wstać. - Właśnie tak to zostało pomyślane.

- Ziemia jako łóżko, a niebo jako baldachim - powiedziała leniwie Casey.

Hank pocałował ją lekko w usta.

- Nie daj jej uciec. - Głos Leroya, ostry jak haczyk na ryby, dobiegł do nich znad rzeki. Odskoczyli od siebie.

Hank rozejrzał się po krzakach. Złapał wędkę Casey, po czym wyszarpnął plastikowy pojemnik z przynętami ze swojej wędkarskiej kamizelki, którą zostawił na kamieniach. Następnie pochylił się, by poprawić linkę prowadzącą i ponownie przywiązać przynętę.

Casey szybko wyciągnęła pudełka z przyborami z kieszeni swojej kamizelki i zaczęła sortować już wcześniej poukładane haczyki i przynęty.

Niewinnie podniosła wzrok, kiedy Earl i Leroy brnąc w wodzie, przeszli obok. Wiatr i prąd rzeki pchały ich szybciej niż byli w stanie iść.

- Dobry? - zawołał Hank.

- Potwór!

Kit pokręciła głową, idąc za mężczyznami. Tymczasem oni, kołysząc się

i zataczając, biegli w dół rzeki, jakby była aleją nabitą szpilkami i Kit tylko czekała, kiedy się przewrócą.

Świetnie - pomyślała, rzucając okiem na Hanka i Casey, zajętych przygotowywaniem wędek. Myślałam, że Hank przewróci ją na tyłek w krzakach. Widać trochę zwalnia.

Pełen samozadowolenia uśmiech rozpromienił jej -twarz. Pospieszyła w dół rzeki, aby dopędzić Earla i Leroya, którzy stali po pas w wodzie, nerwowo przytulając się do siebie. Ze strachu, że zostaną wciągnięci w nurt rzeki i porwani z prądem, zupełnie zapomnieli o rybie.

- Czy Kit wie o nas? - zapytała Casey, patrząc jak Kit, zadowolona i pewna siebie podąża za Earlem i Leroyem.

Hank ciągle pochylał głowę nad linką, udając, że zmaga się z węzłami. Obawiał się, że gdyby na nią spojrzał, Casey wyczytałaby winę w jego oczach.

- Tak. Powiedziałem jej.

Casey czekała, że powie więcej, ale milczał. Właśnie miała zacząć domagać się od niego szczegółów, kiedy przypomniała sobie uwagę, którą zrobiła jedna z dziewcząt w ośrodku. - Kit jest jedną z tych, co to zawsze grzeją łóżko dla najprzystojniejszego faceta. Hank będzie potrzebował wszystkich gumek, jakie tylko znajdzie.

Śmiech i głos tej dziewczyny przypomniały jej się bardzo wyraźnie. To była Angela, jednak wtedy miejscowi mężczyźni i kobiety byli dla niej nierozpoznawalnym, anonimowym personelem. Palce jej drżały, kiedy znowu zabrała się do sortowania haczyków. Wielka, mocna dłoń zamknęła się nad jej dłonią i haczyki wpadły z powrotem do żółtego pudełka.

- Ciebie kocham, Ticasuk - powiedział Hank. - Kit i Dursley należą do przeszłości. Teraźniejszość i przyszłość są nasze.

Zwały chmur, pchane przez wiatr, przykryły słońce. Rzeka straciła swój srebrny połysk i zmatowiała, przyjmując odcień posępnej szarości. Ciała mew, zwykle białe i świeże jak irlandzkie płótno, wyglądały teraz jak brudne plamy, unoszące się na grzywach fal.

Casey zadrżała. Słowa Hanka, zamiast pocieszyć ją, zabrzmiały jak zły znak, który kusi los. Uśmiechnęła się do niego.

- Wiem, Hanku. Odnaleźliśmy się nawzajem i to jest najważniejszą rzeczą na świecie.

Hank z powrotem pokuśtykał do miejsca, gdzie położył jej wędkę. Przed założeniem waderów skorzystał z okazji i zabandażował kolano, ale gdy klęczał nad Casey, opierał na kolanach cały ciężar ciała. Teraz przy każdym kroku ból szarpał mu nogę.

Casey zauważyła, że stara się ukryć to, że kuleje. Nalegała, że sama pójdzie nad rzekę.

- Chcę ci pokazać, jak poprawiłam zarzucanie wędki - skłamała. - Musisz zostać na brzegu i patrzeć. - Nie chciała, żeby stał w lodowatej wodzie, narażając się na uderzenia wiatru. - Nie będę odchodzić od brzegu - powiedziała.

Jej słowa były prorocze. Wiatr pochwycił ją i wywrócił na kolana niemal natychmiast. Szybko, choć nie bez trudu, wstała na nogi, zanim Hank zdążył podbiec, żeby jej pomóc. - Wszystko jest w jak najlepszym porządku - zawołała, gdy wiatr wywrócił ją po raz drugi. Siedziała w wodzie, głębokiej na cztery cale i śmiała się do Hanka. - To jest sposób Chargotów na łowienie podczas huraganowego wiatru. Teraz podmuch nie może mnie przewrócić.

- A ty nie możesz zarzucić wędki - odparł Hank. - Dojdziesz do tej skały? - Wskazał na wygładzony przez wodę głaz, sterczący dumnie nad falami, kilka jardów od brzegu.

- Jasne.

Casey zacisnęła zęby. Zaklęła, gdy wiatr ściągnął jej okulary na koniec nosa. Szła po głazach, jakby kroczyła po kryształowych kulach. Dotarła do skały. Woda sięgała jej teraz powyżej kolan. Czuła, jak ciągnie ją w dół, próbując zepchnąć filcowe podeszwy z wygładzonego podłoża.

Zdecydowana pokazać Hankowi, że jest tak samo niezależna i pewna siebie w rzece jak Kit, zaczęła wdrapywać się na skałę. Natychmiast zjechała z jej śliskiego, zielonego boku.

Hank ryknął śmiechem i brnąc przez wodę ruszył na pomoc.

- W moje ramiona, Ticasuk - powiedział. Radośnie owinęła mu ręce wokół szyi, a on podniósł ją wysoko do góry i posadził na skale.

- Czuję się jak wiatrowskaz - powiedziała, kiedy uderzył w nią mocny podmuch wiatru.

- Wcale tak nie wyglądasz. Masz na sobie dość ubrań, żeby przetrwać miesiąc na paku lodowym. - Uśmiechnął się. - Ja wiem o tym najlepiej.

Gdy jej policzki zarumieniły się, ogarnęła go taka czułość, jakiej dotąd nie znał. Pochylił się nad nią i zaczął ją całować.

Przeciągły, niski gwizd rozdzielił ich w jednej chwili.

- Czy wszyscy twoi klienci spotykają się z taką zachętą? - głos Kit zabrzmiał głośno i czysto, odbijając się od powierzchni wody.

- Nie. Tylko ci ładni - odkrzyknął Hank, odwracając się.

- To eliminuje cię od razu, Leroy - parsknął rubasznym śmiechem Earl.

- Ale ty się kwalifikujesz, Earl - powiedziała Casey, szczęśliwa, że wszystko tak szybko obróciło się w żart.

- Nie, dziękuję. Lubię, kiedy moi mężczyźni się golą - odparł.

- Gdzie jest ten potwór? - zapytał Hank, mając wielką ochotę zmienić temat.

Następne dwadzieścia minut było jedną litanią nieszczęść, bo wszyscy przeżywali stratę pstrąga przez Leroya.

Nagle Casey gwałtownie szarpnęła wędkę do góry. Czubek niebezpiecznie się wygiął. Jej pełne zachwytu piski wygnały mewy z wody. Ptaki zawirowały wysoko i lekko, jak skrawki papieru na porywistym wietrze.

Hank złapał Casey za paski waderów, zsunął ją ze skały i popchnął w dół rzeki za rybą.

- Ja nie umiem chodzić po powierzchni wody, Hank! Postaw mnie na ziemi.

- Ściągnął ci łinkę aż do zapasu - powiedział Hank, trzymając ją jeszcze wyżej. - Jeśli jej nie zbierzesz, pstrąg się urwie. - Protesty Casey powoli zamierały w oddali.

- Hank narobi sobie kłopotów, jeśli wplątał się w coś z kobietą Dursleya - słusznie zauważył Leroy. Earl skinął głową w geście milczącej zgody. Skrycie żałował, że nie jest na miejscu Hanka.

- To nic takiego - powiedziała beztrosko Kit. - W takie dni, kiedy Willawaws w podmuchach dochodzi do pięćdziesięciu mil na godzinę, Hank często lubi sobie poflirtować. Wtedy kobiety nie narzekają i pozwalają mężczyznom łowić w spokoju.

Uspokojeni jej wyjaśnieniem, Earl i Leroy powrócili do narzekań na wiatr, fale i ryby, w takiej właśnie kolejności.

Kiedy Hank ogłosił porę lunchu, przyjęli to okrzykami radości.

- Przyprowadzę Dursleya - zaproponowała szybko Kit. Chciała pobyć sama. Ranek był koszmarem. Rozplątywała węzły namotane przez wiatr i przywiązywała nowe linki prowadzące, aż bolały ją zdrętwiałe palce. Widok Casey i Hanka w rzece, nie poprawił jej nastroju. Podobnie jak plamy mchu wgniecionego wysoko w tył anoraku Casey.

Dursleya trzeba było trochę poprzekonywać, żeby nawinął linkę i zrobił sobie przerwę na lunch. W końcu z dużym wysiłkiem ruszyli w dół rzeki, walcząc z wiatrem, by nie wpaść do wody. Kit wypytywała Dursleya o przygotowania do ślubu. Zanim dotarli na miejsce wyznaczone na lunch, wiedziała już, że nie ma się czego obawiać. Było oczywiste, że Casey zostanie hrabiną Carrington. Kit przyjęła tę wiadomość z dużym zadowoleniem.

Usiedli na twardych, mokrych kamieniach, sącząc z kubków pożywną zupę fasolową. Właśnie w tej chwili wyjrzało słońce. Wysokie, nadrzeczne krzewy chroniły ich przed wiatrem. Docierały tylko najsilniejsze podmuchy.

Gdy jedzenie rozgrzało ich w środku, a słońce zdradliwie obiecało, że ogrzeje im twarze, nastrój wszystkich szybko się poprawił.

- Ach, spójrzcie - powiedziała Casey, wskazując na przesmyk w gęstym listowiu. W obramowaniu z liści widoczne było wzgórze, miękkie i lśniące od szkarłatnych i złotych jesiennych porostów i ciężkich od jagód krzewów. Na wzgórzu baraszkowały dwa złote niedźwiadki.

- Rozkoszne - powiedział Earl.

- Tak, naprawdę śliczne. Kiedy są małe - dodał szybko Leroy.

- Ten mniejszy to roczniak, pewnie urodzony tego lata - powiedział Hank. - Ten drugi wygląda na jakieś trzy lata. Zastanawiam się, gdzie jest ich matka?

Leroy rozejrzał się nerwowo dokoła.

- Musi być blisko dzieci - powiedziała Kit.

Leroy odprężył się. To oznaczało, że jest po drugiej stronie rzeki.

Chwycił paczkę miętowych ciasteczek w czekoladzie i oparł się o brzeg, chrupiąc je z zadowoleniem.

- Wyglądają tak pięknie i łagodnie - powiedziała Casey, potrząsając głową, co miało oznaczać, że nie chce już trzeciej kromki orzechowego chleba.

- Mniej więcej tak samo nieszkodliwe, jak granat ręczny z wyciągniętą zawleczką - powiedział półgłosem Hank, próbując przełknąć skibkę chleba razem z zupą. - Trzymajcie się od młodych z daleka. Gdzieś w pobliżu jest zawsze czworonożny czołg Shermana.

Wszyscy się roześmieli. Dursley nachylił się do Casey. Wyglądała tak pięknie i taka była szczęśliwa...

- Trochę inaczej niż w Henley nad Tamizą, prawda? -^ powiedział. Wytarł czubkiem palca kropelkę zupy z policzka dziewczyny. Kiedy oblizywał palce, obserwował wyraz twarzy Hanka.

Podobasz mi się, owszem, owszem - pomyślał, kiedy Hank popatrzył w dal. Ale chcesz mieć Casey. Tylko spróbuj.

- Z pewnością inaczej - odparła Casey, wyciągając kubek po dolewkę. Piękny odcinek rzeki, przepływającej przez miasteczko Henley stanął jej przed oczami jak żywy. Tam się właśnie poznali. Dursley siedział na trawie wraz z grupą przyjaciół, a sir Bob Franshaw chwiejnym krokiem próbował do nich dotrzeć. Trzymał butelkę szampana w jednej ręce, a dwa kieliszki z ciętego kryształu w drugiej. Radził sobie doskonale, dopóki nie zobaczył Casey. Potknął się i szampan wylał się na przód wytwornej koronkowej sukienki, którą Casey miała na sobie.

- To wszystko przez to - powiedział sir Bob, kiedy Dursley podszedł, żeby zobaczyć co się stało. Wskazał na piersi Casey, które, kremowe i gładkie, wzbierały w niskim, koronkowym staniku. Casey roześmiała się i przyjęła zarówno przeprosimy sir Boba, jak i zaproszenie Dursleya na obiad.

- Pamiętasz? - powiedzieli równocześnie i wybuchnęli śmiechem, przez chwilę zamknięci w swoirn prywatnym świecie.

- To jest właśnie to - radośnie pomyślał Dursley. Ciągle przypominaj jej o tych najlepszych wspólnych chwilach. Przywiąż ją do siebie wspomnieniami. A on ma tylko tych kilka dni...

Na myśl o Barrow, Dursley poczuł znajomy, ogarniający całe ciało ból, ostry i nieprzyjemny, jak przy zatruciu rybami.

- Jak się tutaj łowi? - zapytał Hanka, zdecydowany skupić uwagę na pstrągach, a nie na wyobrażaniu sobie Casey w ramionach rywala.

- Zwykle nie łowimy na tym odcinku, ale tylko dlatego, że jest tu tak wiele innych lepszych miejsc - powiedział Hank, badawczo przypatrując się głębokiemu odcinkowi rzeki przy drugim brzegu. - Zarzuć kilka razy, kiedy będziemy tu sprzątać - zaproponował.

Hank zgarnął wszystkie tekturowe talerze do czarnego worka, a w tym czasie Kit starannie spakowała ciasto i ciasteczka.

- Chodź, przyłącz się do mnie - zawołał Dursley do Casey. Zawahała się, zakłopotana, że przyjdzie jej zarzucać wędkę przy grupie uważnych obserwatorów.

- Dalej - namawiał ją Hank. - Pokaż im, jaka jesteś dobra. - Casey spojrzała na niego błagalnie. - Teraz już naprawdę masz bardzo wyrafinowany rzut - powiedział. - Idź i pokaż Dursleyowi jak my łowimy.

Punkt dla ciebie, pomyślał Dursley. Casey wzięła wędkę, rozwinęła linkę i przypomniała sobie instrukcje Hanka. Trzymała łokieć mocno przy boku i używając go jako punktu podparcia, machnęła wędką do tyłu.

- Ostro do tyłu. Odczekać, aż linka się wyprostuje. Ostro do przodu. Koniuszek w górę - mruczała do siebie. Była zachwycona, gdy usłyszała, że linka śpiewa swą cichą pieśń, pędząc do przodu.

- Zuch dziewczyna - zagwizdali i zaklaskali Earl i Leroy. Zobaczyli, że koniuszek jej wędki wygina się, a kołowrotek błyskawicznie wiruje. Natychmiast podskoczyli i wyciągnęli swoje wędki z krzaków czarnego bzu, które służyły im jako stojaki.

- Zostań na brzegu. Prowadź go z tej pozycji - krzyknął Hank, oceniając wielkość pstrąga po ruchach wędki.

Casey skinęła głową i powoli poszła wzdłuż plaży, oddalając się od grupy. Zamierzała wyciągnąć tę rybę na brzeg bez niczyjej pomocy.

- Na końcu plaży jest dopływ - krzyknął Hank, gdy Casey znikała w oddali. - Nie przekraczaj go i sprawdź, czy jest wolny.

Casey skinęła głową.

- Wolny od czego? - spytał Leroy. Hank spojrzał na Kit, a ona szybko odpowiedziała.

- Od niedźwiedzi, Leroy. Samice z młodymi często łowią ryby w dopływach. Woda jest płytka, więc można bez trudu wygarniać zdychające łososie. I na ogół nie ma tam samców-samotników, które strzegą dobrych łowisk.

- Tylko samice, to pięknie - powiedział z ulgą Earl. - To te wielkie, podstępne samce przyprawiają mnie o gęsią skórkę.

- Samica z młodymi jest mniej groźna tylko od samca-dominanta - powiedziała Kit. - I bywa agresywna. Broni młodych.

- Gdy się natrafi na samicę z dziećmi, dobrze byłoby mieć buty, które pozwalają chodzić po niebie - dodał Hank, upychając worek ze śmieciami na dnie łodzi. Po powrocie do ośrodka wywiozą go hydroplanem.

- Włóż go do plecaka - powiedziała Kit.

- Nie lubię mieć za bardzo wypchanego plecaka.

Kit milczała. Wiedziała, że Hank nosi w plecaku Contendera i chce mieć łatwy dostęp do broni w razie potrzeby. Noszenie broni palnej w rezerwacie było nielegalne, ale Hank uważał, że lepszy martwy niedźwiedź, niż martwi lub zmasakrowani klienci.

Jasnowłosa samica przedzierała się przez wierzby i czarne bzy, porastające brzeg rzeki. Krzewy sięgały ponad głowę dorosłego mężczyzny. Pomrukiwała cicho do dwóch małych niedźwiadków, które spokojnie posuwały się za nią. Ten milutki, jak miękka miś-zabawka urodził się tego lata i samica troskliwie się nim opiekowała. Drugi miał dwa i pół roku. Wkrótce matka przestanie się nim zajmować. Będzie musiał zacząć radzić sobie sam.

Mniejszy niedźwiadek wpadł na matkę i mruknął. Nie zauważył jej, bo uciekając przed zębami brata, oglądał się do tyłu. Łagodnymi warknięciami samica zganiła dzieci i ostrzegła, żeby były cicho. Stanęła na tylnych łapach, by wyjrzeć zza krzaków rosnących wzdłuż dopływu. Zanim zabierze młode na otwartą przestrzeń, musi sprawdzić czy nic im nie grozi.

Wytężała swój krótki wzrok, wpatrując się poprzez wodę w drugi brzeg dopływu. Kiedy węszyła, wydawało się, że jej nos się wydłuża. Nagle wypukłe nozdrza, dostatecznie czułe, by wytropić zwierzę po zapachu jego śladów, napełniły się kwaśnym odorem człowieka. Kiedy tak stała przy ujściu dopływu do rzeki, wyglądała jak istota dwunożna.

Casey usłyszała warknięcie, basowe i groźne, jak szczekanie psa obronnego. Dziwne, pomyślała. Zastanawiam się, jak psy mogą tu przeżyć? Psy! - ostrzegła ją podświadomość. Tutaj nie ma psów. W Katmai to niedźwiedzie szczekają. Ostrzegają, a potem atakują.

Podniosła wzrok. Przez chwilę widziała tylko krzewy, gnące się na wietrze. Potem zobaczyła złote, puszyste uszy, lśniące w jesiennym słońcu.

To tylko kolory jesieni - pomyślała rozpaczliwie. Ale wiedziała, że te zaokrąglone uszy, puchate i miękkie, należą do niedźwiedzia, który jest dostatecznie wielki, by wyjrzeć ponad wysokimi zaroślami.

- Wbij wędkę i zerwij rybę - usłyszała słowa Hanka, wypowiedziane dawno temu. Nigdy go nie pytała, jak zerwać pstrąga, który z determinacją ucieka w dół rzeki. Zacisnęła palce na wędzisku. Była zbyt przerażona, żeby wypuścić wędkę z rąk i pozwolić jej popłynąć z prądem. Zaczęła nawijać, ale z niewielkim skutkiem. Pstrąg szykował się do wspaniałej, popisowej wałki. W końcu uciekła się do ręcznego zbierania linki i w ciągu kilku sekund pętle białego nylonu pokryły jej buty. - Proszę, zerwij się - błagała rybę - rybo, proszę cię.

- Hau.

Casey wyraźnie usłyszała ten dźwięk, ale niedźwiedź zniknął. Bała się, kiedy go widziała, a teraz, gdy straciła go z oczu, wpadła w panikę. Stanąć twarzą w twarz z niedźwiedziem na jego terenie! Czuła się tak bardzo mała, bezbronna i krucha.

- Niedźwiedź! - krzyknęła, ostrzegając grupę rybaków. Dursley i Kit stali dalej na brzegu, w pobliżu miejsca, gdzie jedli lunch, i dyskutowali na temat przynęt. Casey próbowała do nich dotrzeć, ale nylonowa linka krępowała jej nogi i dlatego jej ruchy były ciężkie i niezdarne.

- Zerwij rybę i idź powoli w naszym kierunku - krzyknął Hank, jednym szarpnięciem otwierając plecak i szperając w nim w poszukiwaniu

Contendera. Wygrzebał go z zapasowej bielizny i pudełek z przyborami. Palce mu drżały, kiedy poklepywał się po kieszeniach, sprawdzając, gdzie schował petardy służące do odstraszania niedźwiedzi.

Śmielszy z młodych wyczuł gniew i niepokój matki. Przepychał się i kręcił wokół niej, ryzykując klapsa wymierzonego jej ciężką łapą. Samica jednak była całkowicie zajęta zagrożeniem, jakie intruz stanowił dla jej dzieci. Nie zniknął natychmiast, a więc rzucał jej wyzwanie.

Silniejszy niedźwiadek zaczął się przepychać przez poplątane gałęzie i wysokie trawy. Młodszy siedział za matką, popiskując niezdecydowanie. Nagle postanowił, że nie będzie się nudził, czekając aż niedźwiedzica się ruszy. Wpełzł na swojego brata, dokładnie wtedy, gdy starszy niedźwiadek przedarł się przez zarośla nad rzekę. Rzucił się na niego, szczęśliwy, że skutecznie udało mu się go podejść.

Oba niedźwiadki potoczyły się, warcząc na siebie w pozorowanej bitwie. Brzeg ustąpił. Niedźwiadki zwaliły się do rzeki, rozpryskując kamienie i błoto. Młodszy przeraźliwie pisnął, wzywając matkę. Próbował znaleźć oparcie dla nóg na śliskich skałach. Starszy otrząsnął wodę z filtra i stał, żałosny i niezdecydowany, jak mokry kot, spoglądając w kierunku brzegu. Lękliwie czekał na spotkanie z karzącymi zębami i łapą matki.

- Młode niedźwiedzie! - krzyknął Hank. Blizna na jego policzku zmieniła się w białą szramę. Obserwował Casey, która potykając się, szła w ich kierunku. Bezskutecznie próbowała uwolnić się od linki, zaplątanej teraz ciasno wokół jej butów.

Samica z rykiem wypadła z krzaków. Rzuciła się daleko w głąb rzeki, unosząc się ponad swoimi dziećmi, gotowa zabić człowieka, który zajął jej miejsce połowu, a teraz także zagraża jej młodym.

Casey zamarła i utkwiła spojrzenie w złocistej niedźwiedzicy, pędzącej w jej stronę. Przez ułamek sekundy samica wyglądała jak jedna z rzeźb inuickich przedstawiających lecącego niedźwiedzia. Casey niemal czekała, że zobaczy mędrca-szamana, przywiązanego do jej grzbietu.

- Zwiń się w kłębek. Osłoń głowę. - Głos Hanka pobudził ją do działania. Kiedy niedźwiedzica wylądowała w rzece, woda, jak fala przypływu, zalała Casey. Dziewczyna rzuciła wędkę, nakryła głowę ramionami i bezgłośnie krzyczała, czekając na rozdzierający ból. Wiedziała, że musi nadejść.

- Dursley! - usłyszała wrzask Kit i Hanka. - Nie biegnij! Stój spokojnie! - Ale Dursley jak szalony ruszył wzdłuż plaży, wymachując ramionami i krzycząc łamiącym się głosem - Stój, niedźwiedziu! Niedźwiedziu, stój. Niedźwiedziu! Niedźwiedziu!

- Cholerny idiota - zaklął Hank, kuśtykając za Dursleyem. Wlókł za sobą prawą niesprawną nogę. Ból wykrzywił mu twarz - wyglądał jak starzec. - Teraz nie mogę dobrze wycelować.

Niedźwiedzica nawet nie przystanęła, żeby otrząsnąć wodę z futra. Widziała Casey wyraźnie. Była zdecydowana bronić młodych. Niedźwiadki

siedziały teraz oba w rzece, wystraszone i otumanione jej gniewem i błyskawiczną akcją.

Zagrzmiał strzał. Niedźwiedzica podskoczyła, kiedy petarda eksplodowała pod jej zadem. Zwykle jeden wybuch wystarcza, żeby odstraszyć niedźwiedzia grizzly. Ale ta samica była zbyt rozwścieczona i zawzięta.

- Zastrzel to cholerstwo. Nie baw się z nim - wrzasnął Dursley, biegnąc w kierunku Casey.

Hank już załadował ekspandujący pocisk do swojego ręcznego karabinu, ale potykający się co krok Dursley uniemożliwiał mu bezpieczny strzał.

- Zostań z Earlem i Leroyem - krzyknął do Kit przez ramię. Czuł, jak ból, niczym piła taśmowa, przerzyna mu nogę. Coś zazgrzytało mu w kolanie, upewniając go, że czekają go bolesne operacje i kuśtykanie do końca życia. Zignorował rozpaczliwe sygnały wysyłane przez własne ciało. Musiał dotrzeć do Dursleya i usunąć go z drogi.

Kit nie musiała nic robić. Earl i Leroy byli już dobrze schowani w zaroślach. Widać było tylko okrągły zadek Earla.

Z jakąś sadystyczną fascynacją Kit obserwowała, jak niedźwiedzica dosięga zwiniętej postaci Casey. - Nie można jej odmówić odwagi - szepnęła. Nie była pewna, czy ona w tych samych warunkach leżałaby bez ruchu. Zamknęła oczy, by nie patrzeć jak zwierzę rozszarpuje dziewczynę.

Casey zacisnęła usta, kiedy woda spływała jej po twarzy. Ciągle trzymała ramiona ciasno splecione na karku i nad głową. Mięśnie barków sztywniały jej i niemal pękały z bólu, gdy przyciskała brodę do piersi.

- Nanuą - wyszeptała bezgłośnie, a potem zmieniła swoje zaklęcie. - Niedźwiedzico, szanuję cię i kocham. Nie chcę skrzywdzić ciebie i twoich dzieci.

Słowa te zaskoczyły ją. Zdawały się pochodzić od kogoś innego, ale przyniosły ukojenie. Oddaliły natrętny obraz zakrzywionych pazurów i długich kłów...

- Chyba tak czuje się ktoś, kto zwariował - powiedziała.

Dźwięk własnych słów pomógł jej trwać w niezmienionej pozycji. Leżała ciasno zwinięta w kłębek.

Krzyki, głosy. To, czego nie widzisz, a tylko słyszysz. Ciemność i strach.

Nagle wyczuła nad sobą obecność czegoś ogromnego. Zrobiło się ciemno, jak podczas zimy polarnej. Poczuła stęchły smród gnijących ryb. Byli na paku lodowym, a Traper rozpruwał brzuch niedźwiedzia polarnego. To właśnie ten przyprawiający o mdłości smród gazów żołądkowych poczuła w tej chwili. Nie, to był oddech jasnowłosej niedźwiedzicy grizzly. A to, co ciekło jej po szyi, to była gorąca ślina.

W końcu się poddała. Jej wrzask był wysoki i przeraźliwy, jak krzyki mew, które teraz były tylko plamkami na niebie. Kołowały w oczekiwaniu na chwilę, gdzy będą już mogły wrócić do dopływu rzeki.

Hank nie umiał podjąć decyzji. Miłość przynaglała go, żeby pobiec i ratować Casey, lecz wiedza na temat niedźwiedzi mówiła mu, że trzeba

zastrzelić tę samicę, bo w przeciwnym razie ona zmasakruje i najprawdopodobniej zabije ich wszystkich.

Fortel Dursleya zadziałał. Niedźwiedzica właśnie pochylała się nad Casey, kiedy dostrzegła go, biegnącego w jej stronę. Natychmiast porzuciła dziewczynę, żeby ruszyć za nim. Kiedy biegła, wydawało się, że jej tylne nogi podnoszą się ponad jej uszy. Ciało Casey potoczyło się po szarych kamieniach. Leżało teraz na nich, bezwładne jak zbyt długo wodzona ryba. Niedźwiedzica uderzyła ją, zanim odwróciła się, żeby gonić Dursleya.

Dursley z krzykiem biegł przed siebie, odciągając zwierzę od Casey. Modlił się, żeby Hank zdołał ją zastrzelić, zanim będzie za późno. Był w pełni świadomy niebezpieczeństwa. Działał instynktownie, tak jak niedźwiedzica. On, by ochronić swą przyszłą żonę, a ona - swoje dzieci.

- Zwiń się w kłębek! - krzyknął Hank, potrzebując wolnej linii strzału, bo niedźwiedzica prawie sięgała Dursleya. Chciał także, by Dursley możliwie najlepiej się osłonił.

Dursley posłuchał natychmiast. Ból szarpnął mu uda, gdy kolanami uderzył o kamienie.

Huknął strzał. Samica grizzly ryknęła i błyskawicznie się odwróciła. Jak oszalała szarpała pazurami ramię, próbując uśmierzyć ból, który palił ją od wewnątrz. Kula przedarła się przez mięśnie ramienia i roztrzaskała kość. Zanim przeszła obok szybko bijącego serca, zamieniła płuca w czarną galaretę. Kula trafiła doskonale i utkwiła głęboko w ciele zwierzęcia.

Hank odetchnął z ulgą, sapiąc ciężko. Wiedział, że strzelił celnie. Teraz mógł przerzucić uwagę na Casey. Już wstała, sztywno i z trudem, i zataczając się szła w kierunku Dursleya i niedźwiedzicy, jak dziecko, które dopiero uczy się chodzić.

Przeraźliwy wrzask Kit kazał Hankowi spojrzeć na ranne zwierzę.

Z niedowierzaniem utkwił wzrok w samicy grizzly. Strzał zatrzymał ją, ale jej nie zabił. Oszalała z bólu i wściekłości, odwróciła się do Dursleya. Dursley zajrzał głęboko w ciemną czerwień jej paszczy.

Zęby samicy poplamione były sokami jagód i korzeni. Strzępy zgniłych ryb zaklinowały się głęboko w szczelinach między nimi. Nic więcej nie pamiętał. Jego mózg wyłączył swój skomplikowany system.

Owłosiona skóra na czaszce Dursleya poruszyła się i ześliznęła pod zębami zwierzęcia, jak skóra na karku szczeniaka. Nie mogła długo chronić człowieka.

Szczęki niedźwiedzicy zacisnęły się. Skóra rozdarła się i zęby samicy przestały się ślizgać po skalpie. Znalazły oparcie na czaszce. Jak kość kurczaka w zębach psa, tak czaszka Dursleya pękła w zębach niedźwiedzicy, a fragmenty kości przeszły przez oponę twardą, rozrywając ostatnią warstwę chroniącą mózg.

Jak stalowe gwoździe wbijane głęboko gigantycznym młotem ostre zęby zanurzyły się w szarą, podobną do leguminy substancję. Rozszarpały

naczynia krwionośne, zasilające mózg, bez żadnego szacunku dla nadzwyczajnej anatomii, piękna i subtelnej struktury tego organu.

Z poszarpanej sieci naczyń krwionośnych krew przeciekała teraz do kremowo-szarych zwojów mózgowych Dursleya. Wskutek wzrostu ciśnienia, spowodowanego krwotokiem, kremowe kłaczki zranionego mózgu zaczęły przesączać się poza czaszkę. Zwisały z niej ohydnie, jak kulki zaschniętego śluzu, zatykające nos dziecka.

Hank był tak blisko niedźwiedzicy i Dursleya, że nawet nie musiał celować. Podniósł karabin i wpakował jej kulę w jedno z puszystych uszu. Nawet nie ryknęła, ciężko opadła na Dursleya, jak stara, zmęczona kobieta.

- Na pomoc! - wrzasnął Hank, usiłując zepchnąć ogromne zwierzę z człowieka. Poziom adrenaliny w jego krwi podniósł się gwałtownie. I to wciąż utrzymywało go w ruchu, mimo zranionej nogi. But Kit przeleciał w powietrzu i wylądował na tyłku Earla.

- Idziemy - wrzasnęła, gdy Earl i Leroy tchórzliwie wypełzli z zarośli. Słyszała, jak Leroy się modlił, gdy biegli wzdłuż kamienistego cypla.

Earl objął ramionami głowę niedźwiedzicy. Jego mięśnie wybrzuszyły się i napięły, gdy razem z Hankiem próbowali ją odciągnąć.

Leroy zatkał sobie usta dłonią. Zwymiotował, gdy ledwie dotarł do brzegu rzeki. Został tam, klęcząc na brzegu, odwrócony tyłem do pozostałych.

Casey, blada i zdrętwiała z przerażenia, opadła na kamienie. Szare kamyki szybko zabarwiły się na czerwono od krzepnącej krwi. Pogłaskała Dursleya po twarzy, mrucząc coś niezrozumiale. Błagała go, by otworzył oczy. Krew poplamiła jej palce i wsiąkła w mankiety anoraka. Nie docierało do niej nic poza tym, że mężczyzna, którego zraniła i skrzywdziła, leży teraz nieprzytomny u jej stóp.

Kit jednym szarpnięciem otworzyła apteczkę. Próbowali z Hankiem, jak dotąd bezskutecznie, zatamować krew, która spływała po szyi Dursleya, otulając ją jak czerwony szalik. Pajęczyną oplatając kamienie tworzyła koronkową poduszkę pod jego głową.

- Napój Casey kawą i okryj ją moją kurtką - nakazał Kit, patrząc na dygocącą dziewczynę.

- A Dursley? - spytała Kit.

- Rób, co ci mówię - ryknął Hank, mocno przyciskając tampony z gazy do dziur w czaszce Dursleya. - Nie potrzebujemy dwóch ofiar. Będzie musiała nam pomóc go podnieść i przenieść do łodzi. Potrzebna nam teraz każda pomoc.

Kit pobiegła do Casey, po drodze dopadła Leroya, kazała mu się ruszyć i iść z nią razem.

- Czy on...? - zapytał poważnie Earl, starając się nie patrzeć na głowę Dursleya.

- Żyje - odparł Hank - ale musimy go zawieźć do szpitala, i to szybko.

Dwa niedźwiadki, przerażone strzałami i rykami matki, zjechały po skałach, wgramoliły się na brzeg i schowały w gęstych krzakach. Młodszy obwąchiwał ślady stóp niedźwiedzicy i popiskiwał cicho, nawołując ją. Kiedy nie przyszła go pocieszyć, skulił się przy bracie i zamknął oczy.

- Cześć, ludzie. - Męski głos zabrzmiał nad wodą. Hank i Earl obrócili się na pięcie. Casey ciągle głaskała Dursleya, a jej oczy wciąż były zamglone i rozbiegane. Wyglądała jak szalona.

Pięciu rybaków, którzy łowili w górze rzeki, zbliżało się w swojej dinghy.

- Szalejące samice! - wykrzyknął ich przewodnik. W jednej chwili zrozumiał co się stało. Dobił do kamienistego brzegu i szybko wyciągnął tratwę na brzeg. - Nie żyje?

- Żyje, ale jak najszybciej musimy go zabrać do szpitala.

- Nie ma problemu.

Hank i Kit utkwili wzrok w przewodniku.

- Jestem z ośrodka Drewnianej Nogi. Jego dwaj przewodnicy wybrali się do King Salmon, do cywilizacji. Drewniana Noga dziś rano wyruszył za nimi, a ja zabrałem tych facetów na ryby.

Kit ciągle wyglądała na skonsternowaną.

- A więc? - powiedziała.

- Więc jestem pilotem Drewnianej Nogi, a mój samolot jest niedaleko. Zaraz go przyprowadzę. - Przyjrzał się badawczo odcinkowi rzeki i zmarszczył czoło. - Normalnie nie próbowałbym tutaj lądować. Ale, do diabła, Drewniana Noga jest dziś w takim nastroju, że nawet strata samolotu nie zdoła go pogorszyć.

Kiedy dinghy zniknęła za zakrętem rzeki, Kit i Hank spojrzeli na siebie bez słowa. Cichutki, niepewny głos przerwał zalegającą wokół ciszę.

- Żyje? Będzie żył, prawda, prawda, Hank?

- Mamy samolot Drewnianej Nogi, który go stąd zabierze, ma więc wszelkie szanse, by za rok znów tu przyjechać na ryby - odparł Hank, próbując wstać. Oparł ciężar ciała na lewej nodze i oparł się na ramieniu Kit. Jego prawa noga zwisała jak podarte wadery.

- No cóż, ty z pewnością nie będziesz tu łowił w przyszłym roku, jeśli nie doprowadzisz tego kolana do porządku - stwierdziła Kit.

- Martwimy się teraz o Dursleya i Casey - odparł Hank ochrypłym z bólu głosem. - Ona ma pewnie pęknięte lub połamane żebra i, miejmy nadzieję, że nie ma żadnych obrażeń wewnętrznych. Ten cios, jakim uraczyła ją niedźwiedzica, mógłby odrąbać głowę.

- Na szczęście ma na sobie kilka warstw ubrania - dodała Kit.

Hank szybko na nią spojrzał, a ona odpowiedziała mu szczerym spojrzeniem dziecka.

- Anorak i swetry chyba pomogły...

Ryk hydroplanu zagłuszył głosy. Kit zorientowała się, że gryzie dolną wargę, patrząc, jak pilot kołuje w powietrzu, a potem przygotowuje się do

lądowania na wodzie. Kwaśny smak krwi w ustach sprawił, że rozwarła zaciśniętą szczękę.

Zamknęła oczy, gdy ryk silników narastał w ogłuszającym crescendo, a potem przeszedł w pisk i zamilkł.

- Zrobił to - wyszeptała. - Udało mu się.

- Casey, chodź i pomóż Hankowi - zawołała Kit, używając podstępu, by oderwać ją od Dursleya.

Casey posłuchała. Stąpając uważnie, oddychając płytko i szybko, przeszła do miejsca, gdzie Hank siedział na krawędzi łodzi. Earl i Kit unieruchamiali mu nogę używając do tego szyny, zrobionej z aluminiowych lasek, przeznaczonych do brodzenia po wodzie. Pożyczyli je od wędkarzy, których przyprowadził pilot Drewnianej Nogi.

Pilot wraz z innymi wyjęli drewniane siedzenia z łodzi i przywiązywali do nich Dursleya tak szybko, jak było to możliwe. Przymocowali mu szyję do deski, starając się unieruchomić głowę. Jego twarz wyglądała teraz jak groteskowa, szkarłatna maska. Grube tampony najwyraźniej nie były w stanie powstrzymać czerwonej fali krwi. Nieruchomy Dursley wyglądał jak martwy.

- Zadzwonię do waszego ośrodka, gdy tylko będę na odpowiedniej wysokości, żeby złapać fale - powiedział pilot, wspinając się po stalowych schodkach do kokpitu. - Czy wiecie, do jakiego szpitala będą dzwonić?

- Pewnie do Humany - powiedziała Kit. - Chociaż Providence też jest dobry. Ten facet jest angielskim lordem, więc niech dostanie to, co najlepsze...

- Macie to zapewnione - odparł z uśmiechem.

Czułby się spokojniejszy, gdyby Kit z nim leciała. Nie mogli jednak pozostawić samych Earla, Leroya i jeszcze jego czterech klientów.

Leroy odmówił dalszej wędrówki w dół rzeki bez Hanka, dopóki Kit nie pokazała mu karabinu. Udowodniła, że potrafi strzelać, przestrzeliwując z odległości pięćdziesięciu jardów jego czapkę rybacką, zawieszoną na gałęzi czarnego bzu.

Z hydroplanu wyjęto siedzenia i schowano je do ładowni, żeby zrobić miejsce dla rannych.

Pilot westchnął głęboko. Czekał go trudny, długi lot.

- To będzie długi lot, kochanie - powiedział głośno do swojego samolotu. - Wiatr dochodzi w porywach do siedemdziesięciu węzłów. Ale z wiatrem potrafimy sobie poradzić. Ty i ja dobrze o tym wiemy.

- O co chodzi? - spytał Hank, słysząc jak pilot mamrocze coś do siebie.

- Przy tym południowo-zachodnim wietrze wpadniemy w turbulencje i pewnie będziemy lecieć we mgle. Postaram się wznieść wysoko, ponad dwa tysiące stóp. To powinno wystarczyć, żebyśmy mogli zadzwonić do waszego ośrodka.

Hank skinął głową. Stewart powinien wezwać pogotowie ratunkowe, które czekałoby na nich przy lądowisku nad rzeką w King Salmon. Tam

przejąłby ich asystent lekarza, który przewiózłby ich na lotnisko. Znając skuteczność działania Stewarta, samolot sanitarny z Anchorage będzie gotowy do startu natychmiast po ich przylocie. Pilot mógłby wtedy wrócić do ośrodka Drewnianej Nogi.

Hank wykrzywił się ponuro. Wyobrażał sobie reakcję Drewnianej Nogi na wiadomość, że jego pilot zabrał klientów Stewarta do King Salmon. Natychmiast pojawi się w ośrodku, żądając ekwiwalentu za benzynę lotniczą. - Klientów można kupić taniej niż samolot - to przecież jego ulubione powiedzonko...

- Jak długo? - szepnęła Casey, patrząc na Hanka. Była przywiązana do deski i mocno wciśnięta do Beavera.

- Przy tej pogodzie będziemy lecieć do rzeki Naknek około czterdziestu pięciu minut - odpowiedział, szukając spojrzeniem potwierdzenia pilota. - Potem przeniesiemy Dursleya do samolotu sanitarnego. Będzie pod dobrą opieką - pocieszył ją. - On wyzdrowieje - dodał z przekonaniem, którego wcale nie czuł. Zabrał rękę Casey z przypominającej maskę twarzy Dursleya. Jej dłoń leżała w jego dłoni, zimna i bez życia. Zaczął nacierać jej palce, ale wyrwała mu rękę i wetknęła do kieszeni kurtki.

Trzymanie kochanka za rękę wydało jej się ohydne w chwili, gdy jej narzeczony walczy o życie.

- To wszystko moja wina - szepnęła. Hank musiał się pochylić do przodu, by ją usłyszeć. Poczuł potworny ból w kolanie. Zacisnął zęby. Kropelki potu pokryły mu czoło. - To się z nim stało... tylko dlatego, że mnie kocha.

Hank milczał. Mówiła prawdę. Brakowało słów pocieszenia.

- A ja go już nie kocham. - Kiedy powiedziała to głośno, jej ramiona zaczęły drżeć. Rozpoczęła się długo powstrzymywana reakcja na przeżyte okropności.

Hank pochylił się nad noszami Casey i przytulił ją do siebie, podczas gdy ona próbowała wykrzyczeć swoją udrękę i ból.

Pilot rozejrzał się wokół i szybko odwrócił się do tablicy rozdzielczej. Teraz rozumiał, dlaczego leśnym pilotom* nigdy nie mówiono, jaki przypadek mają zabrać. Zdarzały się przypadki, gdy pilot, wiedząc o ciężkim stanie chorego przesadzał z prędkością, co kończyło się tragicznie. Latali na misje ratownicze w najbardziej zdradliwych warunkach. I dobrze o tym wiedzieli.

Alaskańscy leśni piloci to wyjątkowa rasa ludzi, pomyślał Hank, kiedy samolot przechylał się i pikował. Latają do najbardziej niedostępnych miejsc w najbardziej zdradliwych warunkach pogodowych. Kiedy po raz

* Leśni piloci (ang. *bush pilots)* - piloci latający nad dzikimi, rzadko zaludnionymi, niedostępnymi terenami.

pierwszy przyjechał na Alaskę, zdumiało go, gdy się dowiedział, że piloci, którzy mają za sobą trzy do czterech tysięcy godzin latania są traktowani jak nowicjusze. Tutaj przyjmuje się, że ktoś jest dobrym pilotem dopiero wtedy, gdy ma na swym koncie piętnaście tysięcy godzin w powietrzu.

Doświadczeni piloci wiedzieli, co trzeba robić, by przeżyć w tych straszliwych warunkach. Uczyli się na błędach. Alaskański pilot zwykle mylił się tylko raz...

Hank wzdrygnął się. Wystarczało mu brodzenie po rzekach. Nie miał najmniejszego zamiaru zajmować się czymś takim, jak leśne latanie. Tego nikt cię nie może nauczyć. Musisz nauczyć się sam.

Pilot Drewnianej Nogi przez kilka chwil słuchał Casey, a potem wcisnął sobie słuchawki na uszy i mocno je zaczepił. Był doskonałym pilotem i twardym mężczyzną, ale nie mógł słuchać płaczu kobiet. Słuchawki zapewniały ciszę, której potrzebował, by skupić się na tym jak przechytrzyć mgłę, pokrywającą teraz tundrę białą szczelną warstwą.

W King Salmon pacjent zostanie przekazany załodze samolotu Cessna Conąuest, którym poleci do Anchorage. Cessna wyląduje na prywatnym lądowisku Merrifield, skąd podkołuje do tylnego wejścia szpitala Humana. Jedyną rzeczą, jaka będzie obchodzić następnego pilota, to warunki pogodowe, w jakich przyjdzie mu pokonywać odległości.

Nikt mu nie opowie o ataku niedźwiedzia, ani o stanie pacjenta. Pilot Drewnianej Nogi zazdrościł mu. Nie będzie musiał lecieć, widząc człowieka ze zmiażdżoną czaszką.

Nagle samolot obniżył lot.

- Oto jesteśmy - powiedział Hank.

Beaver przechylał się i kołysał, dryfując po rzece w kierunku pomostu, gdzie już stała furgonetka, mająca przewieźć pacjentów do Cessny.

Pilot Drewnianej Nogi z niekłamaną ulgą przywitał się z pielęgniarką i lekarzem-stażystą, którzy czekali przy Cessnie. Poczuł się o dwadzieścia lat młodszy, gdy przekazywał pacjentów. -Dursley i Casey od razu zostali przypięci do właściwych noszy i przeniesieni do samolotu. Butle z tlenem, defibrylator i pakunki z napisem „sterylne", przestraszyły dziewczynę. Znalazła się w świecie, w którym śmierć była o krok. Respirator i sprzęt do intubacji nie sprawiały wrażenia urządzeń, które mogłyby odwrócić wyrok losu. Lśniący metal, pozwijane rurki, tarcze i gałki były obce Casey i dlatego budziły niepokój.

Obserwowała, jak lekarz pochyla się nad Dursleyem. Ogarnęło ją poczucie winy i z trudem powstrzymywała wymioty. Nie chciała myśleć o przyszłości. Na razie musiała nauczyć się żyć z tym, co przynosiła teraźniejszość.

Lekarz i pielęgniarka odwinęli poplamiony bandaż z głowy Dursleya. Hank zauważył, jak lekarz zacisnął usta na widok tego co zobaczył. Nie -

pomyślał lekarz. Tkanka mózgowa sączy się razem z krwią. Muszę zaalarmować Humanę.

Zacisnął pięść, a potem mocno i szybko nacisnął na mostek Dursleya. Chciał sprawdzić reakcję pacjenta na bodziec bólowy. Dursley podniósł rękę i odepchnął lekarza.

- Cholerna świnia - zaklął. Po raz pierwsey od ataku niedźwiedzia otworzył oczy. Były przepełnione bólem i wściekłością.

- Zostawcie go! - krzyknęła Casey. - Czy nie dość się już nacierpiał?

Hank przytulił ją.

- Ciii - powiedział. - Lekarz przeprowadza testy. Nie będzie sprawiał Dursleyowi bólu bez potrzeby.

- Będzie żył? - zapytała.

Lekarz zignorował zarówno wybuch Casey, jak i jej pytanie. Nie miał dla niej odpowiedzi. Obserwował tylko Dursleya w skupieniu, po czym wyciągnął Glasgow Coma Scalę*. Obserwował reakcje pacjenta na ból, na głośno wypowiadane polecenia oraz rodzaje bodźców, wywołujących otwieranie oczu.

- Będzie, Ticasuk. Będzie. Wkrótce to wszystko stanie się tylko sennym koszmarem - pocieszał ją Hank. Wygładził jej przyklejone do czoła włosy, po czym przeniósł uwagę na lekarza.

Odpowiedzi werbalne, motoryczne oraz reakcje oczu Dursleya na bodziec bólowy, dały mu dziesięć na piętnaście punktów.

- Nie tak źle - stwierdził lekarz, wbijając Dursleyowi igłę do żyły w zgięciu łokciowym i szybko mocując kroplówkę.

- Co to jest? - zapytała Casey przyciszonym głosem.

- Masa krwinkowa w roztworze soli fizjologicznej, która zwiększy objętość krwi krążącej w organizmie, uzupełniając płyny stracone przez pacjenta - wyjaśnił lekarz. Następnie zwrócił się do Hanka i Casey.

- Teraz zobaczymy, co da się zrobić dla was.

Zbadał Casey i stwierdził, że ma pęknięte żebra - jedno lub dwa.

- Prześwietlą panią w Humanie.

Zdjął szynę z kolana Hanka i dotknął silnych mięśni jego nóg.

- Pewnie wykręci się pan longetą**. Większość z was, przewodników, ma nogi jak ze stali. Longeta powinna to utrzymać.

- Złamanie czy pęknięcie? - zapytał Hank.

- Trzeba to będzie prześwietlić, ale wygląda na pęknięcie.

Pilot Drewnianej Nogi patrzył jak Cessna z rykiem silników wznosi się do góry i kieruje w stronę Anchorage. Powoli wrócił do swojego Beavera. - Pasy startowe są takie nudne - powiedział, kopiąc mokrą nawierzchnię. Kiedy wdrapał się do swojego hydroplanu, uświadomił sobie, że gdyby jego podopieczni nie spędzili tyle czasu przy Eye Openerze, mogliby także

* Glasgow Coma Scalę - skala zaburzeń świadomości, stosowana także przez polskich neurochirurgów. Jej nazwa używana jest w wersji angielskiej, lub skrótu wersji angielskiej (GCS).

** Longeta - rodzaj łuski, zakładanej na złamaną kończynę w celu unieruchomienia jej.

zostać zaatakowani przez niedźwiedzicę. Podniósł oczy ku szaremu sklepieniu nad głową, które zdawało się nigdzie nie kończyć. - Dziękuję - wyszeptał, przygotowując samolot do startu.

Kiedy Cessna mknął wstronę Anchorage, łkania znowu zaczęły wstrząsać ciałem Casey. Hank próbował ją objąć, ale słabym gestem odepchnęła jego rękę. Drażnił ją każdy ruch. Ciężko chwytała oddech i miała wrażenie, że jej płuca ściska wciąż mocniej dokręcane imadło.

Gestem nakazała Hankowi, by się pochylił.

- Płacimy za naszą miłość - szepnęła, a krew odpłynęła jej z twarzy, tak że była teraz równie blada, jak Dursley.

- Nie, Ticasuk - zaprzeczył gwałtownie. - Nigdy nawet nie myśl w ten sposób. To nieprawda. - Położył dłoń na jej dłoni i tym razem splotła swoje palce z jego palcami. Targał nią ból, jak głodny niedźwiedź. Potrzebowała od Hanka siły i poczucia bezpieczeństwa.

- Tak bardzo cię kocham - powiedziała, patrząc mu w oczy, które były tylko o kilka cali oddalone od jej oczu - ale nie mogę teraz zostawić Dursleya. Zawdzięczam mu życie. - Poczuła dotyk brody Hanka, gęstej i miękkiej, gdy oparł głowę na krawędzi jej noszy.

- Nie, nie, Ticasuk - mruczał drżącym głosem. - Ocalił ci życie, ale nie musisz poświęcać naszej przyszłości. Ciężko nam będzie przez to przejść. Ale to nie może nas złamać. Musisz mi uwierzyć.

Słabym ruchem uniosła ramię i delikatnie pogłaskała go po brodzie.

Pielęgniarka, siedząca na jednym z rozkładanych krzeseł, właśnie miała kazać Hankowi wrócić na swoje miejsce, lecz odwróciła wzrok, gdy zobaczyła, że ich mokre policzki spotkały się, a usta Hanka nakryły usta Casey.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Niecałe dwie godziny później Cessna okrążył kwadratowy szpital. Zespół reanimacyjny stał przy bramie ze srebrzystego drutu, czekając, aż samolot przykołuje na lądowiska dla helikopterów. Lekarz już skontaktował się ze szpitalem przez radio i przekazał, na ile, po ogólnych oględzinach, poważne są obrażenia pacjentów.

Casey ciągle bolało w boku, ale tylko wtedy, gdy nagle się obracała lub pochylała. Hank z ulgą zauważył, że wychodzi z samolotu z mniejszym trudem niż do niego wsiadała.

- Mogę iść - słyszał, jak przekonywała sanitariuszy. Ale mimo to umieszczono ją na noszach. Hank zaczął sztywno kuśtykać po smołowanej nawierzchni, a w tym czasie ratownicy popędzili z noszami Dursieya w kierunku wielopoziomowego parkingu dla personelu szpitala i zniknęli w środku budynku. Zespół reanimacyjny szpitala Humana wiedział, że przyjmuje pacjenta w stanie krytycznym, dlatego też działali szybko i sprawnie.

Natychmiast został zaalarmowany neurochirurg i anestezjolog, którego zatrzymano w samolocie, ustawionym już na pasie startowym w Merril Field. Zrezygnował więc z wyprawy na ryby i wrócił do Humany.

Zdołano zebrać cały zespół operacyjny i zanim wózek z Dursleyem wtoczył się do sali urazowej, wszyscy już byli gotowi.

- Ma pani szczęście - powiedział ktoś do Casey. - Jest u nas profesor Matt Siebens. Wspaniały facet. Właśnie wrócił z Seattle, gdzie wygłosił odczyt. Jest najlepszy. To światowy ekspert w dziedzinie urazów i autorytet w sprawach zranień przez niedźwiedzie.

- Czy jest neurochirurgiem? - spytała Casey.

- Neurochirurgiem? To słowo wymyślono specjalnie dla niego.

- To cudotwórca - dodała jedna z kobiet.

- Tak, z pewnością ma niemałą praktykę - roześmiał się jakiś mężczyzna o wyglądzie futbolisty. - Alaska to wspaniały stan. Jeśli faceci nie zostaną pokiereszowani przez niedźwiedzie lub łosie, to samolotami

rozbijają się o góry lub spadają z lodowców. Profesor Matt jest pewnie najbardziej doświadczonym lekarzem na świecie, jeśli chodzi o strzaskane czaszki.

Dziękuję, szepnęła Casey do swojego Boga. Nie miała żadnych wątpliwości, że On - Boska Siła Stworzenia -jest przy niej. Dziękuję, że profesor Siemens na czas wrócił do Anchorage, żeby leczyć Dursleya.

- Co z rodziną Dursleya? - zapytała Hanka.

- Nie martw się, Ticasuk. Stewart już się z nimi pewnie skontaktował. Potrafi działać bardzo skutecznie.

Casey głośno przełknęła ślinę. Myśl o lady Edbury w Anchorage była prawie tak samo nieprzyjemna, jak atak niedźwiedzia.

Na myśl o tym, że będzie musiała wrócić do Anglii z Dursleyem i jego rodziną, poczuła przejmujący ból, surowy i okrutny jak polarna zima.

Wózki przepchnięto przez jaskrawopomarańczowe drzwi wahadłowe.

- Gdzie jest Dursley? - zapytała, przeszukując wzrokiem małą salę urazową. W jej głosie drżał niepokój.

- Niech się pani nie martwi - powiedziała jedna z pielęgniarek, wchodząc do pokoju i poklepując ją po ramieniu. - Jest pod najlepszą opieką.

- Teraz spójrzmy na panią, młoda damo - odezwał się lekarz, niewiele starszy od Casey. Właśnie miała zapytać, czy ma pełne kwalifikacje, czy jest jeszcze studentem, lecz nagle przestało ją to obchodzić. Kiedy dotykał jej żeber, Casey odprężyła się i zamknęła oczy, tak bardzo była zmęczona.

- Zdaje się, że nic nie jest złamane - powiedział do pielęgniarki. - Być może jedno lub dwa żebra są pęknięte, ale trzeba ją prześwietlić.

W chwilę później Casey otworzyła oczy. Słyszała jakieś obce głosy. Sala była zimna i ciemna.

- Miała dużo szczęścia - powiedziała pielęgniarka. - Radiolog twierdzi, że ma tylko dwa pęknięte żebra, a płuca w porządku. Będzie ją bolało, dopóki żebra się nie zrosną, ale to wszystko.

- Niewielu wychodzi z obolałym bokiem po tym, jak grizzly trzepnie łapą - odparł jakiś głos, którego nie kojarzyła z osobą. - Ale była dobrze ubrana. Myślałam, że do obiadu będziemy z niej ściągać te wszystkie ocieplacze.

Casey szybko zamknęła oczy i udała, że śpi.

- Zawieźcie ją do sali urazowej. Tam ją zabandażują i ubiorą.

Casey otworzyła oczy i poszukała wzrokiem Hanka, który czekał na nią z niepokojem.

Cichym głosem rozmawiał z pielęgniarką i kuśtykał po sali. Jego kule piszczały na wypastowanej podłodze.

- Hank, co ci się stało?

- Nic, Ticasuk - uspokoił ją, całując ją lekko w policzek.

- Tylko uraz rzepki. W zimie może tylko strzykać. Będzie mi przypominać o Earlu i Leroyu - zażartował, chcąc sprowokować jej uśmiech. -

Nawet nie założyli gipsu, tylko te cholernie niewygodne, stalowe szyny - przepraszam, siostro - powiedział z udawaną pokorą.

- Jeszcze trochę, młody człowieku, a weźmiemy pana w gips aż do pasa - ostrzegła pielęgniarka.

Casey uśmiechnęła się, słysząc, jak się przekomarzają, a Hank głęboko odetchnął z ulgą.

W sali urazowej panował względny spokój. Nie czuło się tam tej straszliwej konieczności robienia wszystkiego bardzo szybko.

Casey wstała z twardego krzesła, które odepchnięto do kąta, żeby nie przeszkadzało personelowi. Hank wyciągnął do niej rękę, ale za chwilę ją puścił. Casey ostrożnie podeszła do wózka. Jedna z pielęgniarek chciała zagrodzić jej drogę. Lekarz potrząsnął przecząco głową. Być może po raz ostatni widzi go żywego - pomyślał.

Casey pochyliła się nad Dursleyem i delikatnie pogłaskała go po policzku. Czuła się taka bezradna. Gdzie jest ten neurochirurg? Dlaczego nie interesują się Dursleyem? Poruszają się tak powoli i bez celu... Czy on nikogo nie wzrusza?

Lekarz dyżurny zacisnął pięść i mocno nacisnął na mostek rannego. Dursley otworzył oczy, ale jego spojrzenie było nieprzytomne. Powoli podniósł ramię. Opuścił je wzdłuż ciała, nie był w stanie odepchnąć ręki mężczyzny. Nie wykazywał już żadnej celowej reakcji. Mruknął cicho, niezdolny do wydobycia głosu.

- Gdzie jest ten chirurg? Dlaczego go tutaj nie ma? - krzyknęła Casey.

- Już jedzie - skłamała siostra uspokajająco, klepiąc dziewczynę po ramieniu. Dobrze rozumiała lęk i niepewność, jakie przeżywały tutaj rodziny pacjentów.

Lekarz dyżurny znów pochylił się nad Dursleyem. Zanotował reakcję oczu oraz najlepszą odpowiedź ruchową, po czym sprawdził je na GCS. Siebens od razu będzie potrzebował tych danych. Personel szanował Marta Siebensa jako lekarza, kochał go jako człowieka, ale wszyscy obawiali się jego gniewu, gdy dostrzegł najmniejsze choćby uchybienie.

Lekarz zmarszczył czoło i skinął na siostrę, żeby zmierzyła pacjentowi ciśnienie. Miał informację, że odczyt na skali GCS wynosi dziesięć. Podczas dwugodzinnego lotu z King Salmon do Anchorage obniżył się do ośmiu. Lekarz szybko podszedł do telefonu. Nie było żadnych wątpliwości - stan pacjenta wyraźnie się pogarszał.

Hank śledził wzrokiem ruchy lekarza, po czym spojrzał na Casey. Stała przy wózku Dursleya - wydawała się taka mała i opuszczona... Z trudem zmusił się, by nie pokuśtykać po wyszorowanej podłodze z terakoty i stanąć przy niej.

Potrzebuje tej chwili tylko z Dursleyem - pomyślał. Kiedy jego rodzina przyleci z Anglii, będzie musiała podjąć decyzję.

Myśl o tym, że Casey może się zdecydować na powrót do Anglii z poczucia obowiązku i zwykłego współczucia, przeraziła go. Spuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Czy na pewno nie wyprze się ich miłości?

- Wszystko w porządku? - spytał miękki głos.

Hank podniósł wzrok i zobaczył, że jedna z pielęgniarek troskliwie się nad nim pochyla.

- Świetnie - wykrzywił usta w szerokim uśmiechu. - Zastanawiałem się tylko, jak bym się sprawdził jako pielęgniarz. Po tym wszystkim będę pewnie musiał szukać nowego zajęcia.

Pielęgniarka spojrzała na niego ze zrozumieniem.

- Niech pan nie traktuje tego tak poważnie. Gdyby z powodu każdego spotkania z niedźwiedziem, wyrzucano przewodnika z pracy, bylibyście, chłopcy, wymierającą rasą.

Hank uśmiechnął się. Wiedział, że robi wrażenie na kobietach i zwykle sprawiało mu to przyjemność. Ale cały jego świat zmienił się, odkąd spotkał Casey. Teraz pragnął dzielić swe życie i marzenia tylko z jedną kobietą. Myśli o ich wspólnej przyszłości przetoczyły się przez jego głowę jak wygładzone przez wodę kamienie. Na krótką chwilę przyćmiły scenerię sali urazowej.

Profesor Mart Siebens słuchał uważnie, mocno przyciskając słuchawkę do ucha. Pies rasy siberian husky położył mu głowę na nogach i patrzył błagalnie, z nadzieją, że pan przyzwalającym gestem pozwoli mu wskoczyć na tapczan obok siebie. Ale on tylko pieścił w roztargnieniu jego szpiczaste uszy.

Długie, delikatne palce doktora zaprzeczały sile, jaką zdobyły podczas letnich wspinaczek po górach i zimowych po lodowcach. Te niebezpieczne sporty zarówno go odprężały, jak i podnosiły poziom adrenaliny we krwi, co pozwalało mu odreagować ogromny stres towarzyszący jego pracy.

Gdy słuchał lekarza z sali urazowej, miał w oczach obraz mózgu Dursleya. Dobrze znał rodzaj uszkodzeń, jakie mogły spowodować zaostrzone kły osmiusetfuntowego niedźwiedzia. Pod ich naciskiem ludzka czaszka pęka równie łatwo, jak skorupka jajka, w którą stuka się długopisem.

Kiedy lekarz opisywał dwumilimetrowe szare kłaczki, osadzone w ciemnoczerwonej krwi, zakrzepłej na bandażu, Matt zepchnął z kolan głowę psa.

- Z tego, co słyszę, to wygląda na wieloodłamowe złamanie z wgłębieniem w okolicy ciemieniowej tylnej. A to dobra wiadomość. - powiedział. - Miejmy nadzieję, że ośrodki mowy nie zostały uszkodzone.

- Husky zaskomlał i podrapał pana po nodze, domagając się zainteresowania. Ale Matt już był zajęty czym innym - naprawianiem najwspanialszego i najbardziej tajemniczego narządu organizmu ludzkiego. - Złą wia-

domością jest to, że być może krwotok nie powstrzymał wycieku tkanki mózgowej przez ranę. Czy...?

- Sala operacyjna i cały zespół są gotowi i czekają, Matt.

- Dobrze. Chcę mieć prześwietlenie czaszki, prześwietlenie kręgosłupa szyjnego i tomografię komputerową przekroju mózgu - powiedział energicznym głosem. - Mają być gotowe, kiedy się zjawię. Będę za piętnaście, nie, za dziesięć minut.

- Jedź ostrożnie. Trzymaj się jezdni wszystkimi czterema kołami - odparł lekarz dyżurny. - Potrzebujemy neurochirurgów w Anchorage.

Krzyk Casey wyrwał Hanka z zadumy.

- Nie! Pozwólcie mi z nim iść!

Pielęgniarka chwyciła Casey za ramiona i siłą odciągnęła od wózka Dursleya.

Hank ostrożnie wstał. Jego nowe kule skrzypiały, kiedy wymachiwał nimi, idąc w stronę pielęgniarki.

- Zanim zjawi się chirurg, musimy zabrać lorda Carringtona na badania. Będzie nam łatwiej, jeśli pan się nią zajmie.

- Chodź, Ticasuk - uspokajał Hank. - Oboje chcemy dla Dursleya jak najlepiej. W niczym tutaj nie możemy pomóc.

Casey ukryła twarz w anoraku Hanka, a jej ramiona zadrżały.

- Proszę, niech pani to weźmie. - Pielęgniarka wyciągnęła rękę z filiżanką i białą tabletką.

- Nie chcę żadnych leków.

- Te są tak łagodne, że podajemy je niemowlętom i małym dzieciom - uspokoiła ją pielęgniarka, ale Casey zacisnęła wargi.

Hank gestem pokazał pielęgniarce, żeby podała mu kubek i tabletkę. Pielęgniarka obserwowała, jak delikatnie wyprowadza Casey z sali urazowej. Skręcili na prawo, do małego pokoju odwiedzin, połączonego z poczekalnią. Casey usiadła na jednym z kwadratowych krzeseł. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w oprawione w ramki zdjęcia bielików i dzikich zwierząt, wiszące na szaroniebieskich ścianach.

Posłusznie otworzyła usta, a Hank włożył w nie tabletkę, po czym szybko wypiła wodę z plastikowego kubka. Hank objął ją ramieniem, a ona oparła się o niego. Chwyciła jego dłoń, znajdując otuchę w sile i cieple jego dłoni. Pielęgniarka zmarszczyła czoło i odwróciła się w stronę sali urazowej.

Dziwne, pomyślała. Ta dziewczyna wydaje się szaleć na punkcie tego Anglika, ale najwyraźniej też coś się dzieje między nią a tym przewodnikiem...

- Ticasuk - szepnął Hank - kiedy jest źle, myśl o tych chwilach, kiedy było ci dobrze. Myśl tylko o szczęściu.

- Szczęściu?

- Tak. - Zaczął opowiadać jej stare rybackie historyjki i bajki Inuitów. Jej myśli biegły za jego głosem i wkrótce była znowu na paku lodowym z Nanuąiem i Traperem Jackiem.

Oboje wzdrygnęli się, gdy usłyszeli, że ktoś wywołuje ich nazwiska. Pielęgniarka weszła do małego pokoju w towarzystwie mężczyzny, który wyglądał tak, jakby właśnie zszedł z boiska do koszykówki.

Matt Siebens, przechodząc przez drzwi, lekko pochylił głowę. W szkole grał w koszykówkę i przepowiadano mu wielką karierę. Kilka wstępnych kursów medycyny zmieniło jego życie i zamiast sławy i bogactwa koszykarza dotarł do niepowtarzalnej tajemnicy działania ludzkiego mózgu.

- Panna Chargot. - Jego głos był zaskakująco cichy. Casey spodziewała się, że usłyszy tubalny, głośny ryk, odpowiadający jego posturze.

Chciała wstać, ale poczuła na ramieniu jego wielką rękę. Opadł obok niej na krzesło i wyciągnął przed siebie swoje długie nogi. Wyglądał na beztroskiego i rozluźnionego.

Casey stwierdziła, że napięcie, które towarzyszyło jej, gdy wszedł, zupełnie ją opuściło.

Matt przyglądał się jej badawczo znad pliku papierów, które trzymał w ręce. Każdy nerw jego ciała ponaglał go, by wrócić na salę operacyjną. Palce rwały się do skalpela, by jak najszybciej pomóc kolejnemu z jego pięknych mózgów - uważał wszystkie mózgi za swoje i pamiętał złożoność każdego z nich przez długie lata po wykonaniu operacji - ale najpierw musiał pouczyć rodzinę o wszelkich możliwych konsekwencjach zabiegu.

Niektórzy z jego kolegów woleli „uderzyć pacjentów i ich najbliższych w splot słoneczny", pozbawiając ich tchu i przyprawiając o mdłości opisem tego, co może się zdarzyć. Argumentowali, że wszelkie późniejsze komplikacje wydadzą się w porównaniu z tym drobną dolegliwością. Matt wolał jednak „wyrzucić koło ratunkowe nadziei", którego mogliby się uczepić. Rozumienie emocji i współczucie innych były jego narzędziem pracy. Wolał to, niż zimne, twarde fakty, łatwe do przyjęcia przez lekarzy, lecz przerażające dla laików.

Kiedy czekał na sygnał od pielęgniarki, że wszystkie badania są gotowe i może już ocenić wyniki, przewrócił na drugą stronę opis przekazany mu przez lekarza dyżurnego. Zwrócił uwagę na obniżenie się progu reakcji Dursleya na bodźce. Teraz poważnie zaniepokoił się tym skrzepem krwi, który tworzył się głęboko w mózgu.

Szybko naszkicował zarys czaszki na papierze i było w tym coś uspokajającego. Casey obserwowała go zafascynowana. Kiedy spokojnym cichym głosem wyjaśnił jej całą złożoność operacji czaszki, odetchnęła z ulgą i rozluźniła się. Teraz już wiedziała, że Dursley jest bezpieczny. Matt Siebens uratuje go. To nie był człowiek, który pozwoliłby Dursleyowi

umrzeć. Uśmiechnęła się, gdy doktor pospiesznie opuszczał poczekalnię, wezwany przez pielęgniarkę.

- Wspaniały facet - powiedział Hank. - Dursley pewnie wróci nad rzekę, żeby dokończyć swoją wyprawę.

Casey chwyciła go za rękę.

- Może nie tę wyprawę, ale może za kilka lat tutaj wróci, żeby znów walczyć z pstrągami tęczowymi.

- Będziemy tu, żeby go przywitać.

Casey otworzyła usta i znowu je zaniknęła. Będzie musiała porozmawiać z Hankiem o przyszłości, ale nie teraz, nie tutaj...

Matt wielkimi krokami wszedł do przyciemnionego pokoju, w którym znajdował się monitor. Przez kilka sekund jego oczy przyzwyczajały się do półmroku. Spojrzał przez szklaną ścianę na pacjenta.

Grube wadery Dursleya rozcięto i rozebrano go. Był teraz w cienkiej, bawełnianej szpitalnej koszuli. Lekarz dyżurny w obawie, że badania zajmą zbyt wiele czasu, zaintubował nieprzytomnego mężczyznę, żeby utrzymać drożność dróg oddechowych i zabezpieczyć je w przypadku wymiotów.

Matt Siebens kiwnął głową. Pacjent sprawiał wrażenie krzepkiego i zdrowego. Łatwiej było pracować z organizmem, z którego nie robiono niewłaściwego użytku. Palenie papierosów, picie i nadmierne objadanie się, produkowało ciała niezdolne do zniesienia wymogów chirurgii mózgu.

Skupił uwagę na ekranie monitora. Wyraz jego twarzy był nieodgadniony. Maszyna wyświetlała na ekranie jedną warstwę mózgu po drugiej, szybko i starannie, jakby był to naukowy opis obierania cebuli. Wydał głośne westchnienie ulgi, kiedy nie dostrzegł ucisku na pień mózgu. Praca w tym obszarze przypominała przechodzenie w pojedynkę przez lód o grubości jednego cala. Martwił się wcześniej, że straszliwa siła niedźwiedzich szczęk, zamykających się na głowie, mogła spowodować wtórne uszkodzenia wysoko na szyi.

Na ekranie zaczęły się teraz ukazywać obrazy z miejsca zranienia. Wyraźnie widział fragmenty kości wepchnięte przez kły niedźwiedzia do mózgu.

- Wieloodłamowe złamanie kości czaszki z wgłębieniem w okolicy ciemieniowej tylnej z rozerwaniem mózgu - mruknął.

Nagle pochylił się nad ekranem, jakby przysunięcie się bliżej mogło dać wyraźniejszy obraz i umożliwiło głębszą penetrację narządu. Jego oczy miały kolor bladego półprzezroczystego błękitu, jaki można znaleźć w lodowcach, które niedawno ocieliły się* do morza. Asystenci upierali się, że

* Cielenie się lodowców - proces odrywania się gór lodowych od lodowców

to jego bezbarwne tęczówki umożliwiają mu wnikanie wzrokiem do wnętrza mózgu i zapewniają nadzwyczajne sukcesy w dziedzinie neurochirurgii-

Podniósł rękę, dając radiologowi znak, żeby zatrzymał klatkę. Tak, ta biała smuga była teraz wyraźna. Naczynia krwionośne, zasilające mózg, zostały rozerwane i pod kawałkami kości uformował się skrzep. Widział teraz, że skrzep uciska jeszcze zdrowe obszary obok rany, niszcząc je i w ten sposób zagrażając dalszym ograniczaniem funkcji mózgu. Gdyby ten proces nie został zatrzymany, doprowadziłby do obumarcia całego narządu.

Matt poczuł znajomy przypływ adrenaliny. Dursley Carrington, lord Edbury umrze, jeśli ten skrzep nie zostanie usunięty.

Podniecenie szefa wprawiło w ruch wszystkich obecnych. Personel szpitala prędko ustawił się na stałych pozycjach, gotów do podjęcia dobrze znanej walki ze śmiercią.

Przeprowadzono jeszcze jeden test według GCS. Stan Dursleya nie pogorszył się. Ustabilizował się na poziomie ośmiu punktów.

Personel operacyjny trzymał tace z lśniącymi narzędziami. Kiedy zacznie się operacja, umieszczą je na sterylnych, niebieskich prześcieradłach, wysoko ponad pacjentem. Wszyscy szeptali cichutko, poprawiając swoje bordowe czepki, podczas gdy Matt starannie golił głowę Dursleya. Obserwowali, jak przebiega palcami po czaszce, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby wymacać wypukłość.

Siostra operacyjna uśmiechnęła się szeroko do asystenta profesora. Jej ciemne oczy mrugały figlarnie.

- Nasz Matt znowu wsiadł na swojego konia. Jego sześciostrzałowce plują ogniem. Grizzly zabrał skalp.

Asystent spojrzał na nią z dezaprobatą. Nie lubił dowcipkowania na bloku operacyjnym. A ona była dobrze znana ze swojego lekceważenia dla autorytetów i nieco dziwacznego poczucia humoru.

- Alaska jest gorsza niż Dziki Zachód - mruknął anestezjolog bez entuzjazmu. Większą część nocy był na nogach, bo chirurdzy usiłowali uratować pilota. Młody chłopak leciał z klientami, którzy spieszyli się na polowanie na niedźwiedzie i łosie.%Wleciał we mgłę, próbował zawrócić, ale na drodze stanęła mu góra. Klienci zginęli na miejscu, a chłopak już nigdy nie będzie latał.

Matt słuchał przekomarzania się swojego zespołu, kończąc golenie czaszki. Kiedyś myślał o małżeństwie i siostra operacyjna miała wysokie notowania na jego liście. Straciła punkty, gdy zrozumiał, że zwisanie ze skały na paznokciach czy testowanie swojej wytrzymałości aż do jej granic, podczas przechodzenia przez lodowce, albo ślizganie się po oblodzonych zboczach górskich, wcale nie sprawia jej przyjemności.

Kiedy badawczo przyglądał się nieprzytomnemu Dursleyowi, rozmowy i śmiechy ucichły. Czaszka Dursleya była teraz biała i obnażona w jaskra-

wym świetle wyglądała bezbronnie. Głębokie, czerwone dziury, wyszarpane przez siekacze i poszarpane szczeliny, wygryzione w czaszce przez dolną szczękę niedźwiedzicy, wyglądały jak graffiti na ścianach Białego Domu.

Matt zmuszał się, by podejść, a nie podbiec do umywalki, aby wyszorować ręce. To zawsze był najgorszy moment. Widział tę głowę i dotykał jej, w ogólnym zarysie miał już plan operacji. Instynktownie wiedział, gdzie mózg jest uszkodzony i nie mógł się doczekać, by otworzyć czaszkę i odkryć jej tajemnice.

Anestezjolog asystował Mattowi przy wielu operacjach. Miał dla niego wiele szacunku, ale nawet on, słynny Matt Siebens, który teraz wielkimi krokami, jak niedźwiedź zamknięty w klatce, przemierzał salę operacyjną, nie mógł zmusić go do pośpiechu. Chłodno i precyzyjnie wieszał kroplówki i sprawdzał swój sprzęt. Przejechał dłonią po głowie Dursleya i pozwolił sobie na skąpy uśmiech. Cokolwiek Matt robił, robił dobrze. Głowa była starannie ogolona. Nie musiał niczego poprawiać.

Matt nie był człowiekiem, którego ponosi fantazja, ale za każdym razem, gdy czekał niecierpliwie na chwilę, kiedy zajmie swoje miejsce u wezgłowia stołu operacyjnego, wsłuchując się w miękkie tony Mozarta, miał wrażenie, że personel tańczy przed nim menueta, zbliżając się i oddalając od nieprzytomnego ciała, leżącego na wąskim stole.

Ich ruchy były precyzyjne i bezszelestne. Każdy miał swoją rolę do odegrania w tym makabrycznym tańcu ze śmiercią. Zbliżyli się do ciała i założyli cewnik. Zawiesili woreczki, do których spłynie żółta ciecz z pęcherza. Następnie odsunęli się i włożyli okulary ochronne. Spędzą przecież wiele godzin w tej jasnej, zimnej sali.

Odplątano przewody i przekręcono pokrętła, włączając aparat do rejestracji EKG, skanulowano tętnicę. Metaliczne, podobne do dźwięków sonaru piski będą dawać sygnał, że serce Dursleya podejmuje wysiłek, na jaki skazują je leki i stalowe narzędzia, zagłębiające się w mózg.

W końcu wszyscy ustawili się w kręgu wokół stołu operacyjnego. Przerwano taniec i zaproszono Matta. Wszedł na środek sceny i zajął swoje miejsce przed klamrą Mayfielda przy głowowej części stołu. Urządzenie to trzymało głowę Dursleya w podobnych do imadła szczękach, uniemożliwiając najmniejsze choćby ruchy w czasie kolejnych stadiów operacji.

Na ręce Matta założono świeże, lateksowe rękawiczki. Ścisnął razem dłonie i splótł palce, żeby kremowa guma dokładnie dopasowała się do dłoni. Dursley leżał na wznak, ciężki wałek przytrzymywał głowę i szyję w wybranej przez Matta pozycji. Matt był skupiony i pełen zapału. Energia tworzyła wokół niego niemal dotykalną aurę. Rozejrzał się po sali, sprawdzając czy wszyscy są na swoich miejscach i czy wszystko jest w porządku. Jego zespół nauczył się, że nie wolno zmieniać niczego, co ustalił szef.

Matt osobiście przetarł gołą głowę Dursleya środkiem dezynfekującym. Ta głowa należała teraz do niego. Chwytał każdą sposobność zajęcia się nią, zanim ją otworzy. Pewną ręką narysował ciemnoniebieskie linie z tyłu. Bez

tych linii ogolona głowa, udrapowana w sterylne prześcieradło, byłaby jak jajko pozbawione znaków wyróżniających. Matt nie wiedziałby, w którym miejscu ciąć. Byłby zdezorientowany.

Na jego znak do oznaczonego obszaru wprowadzono cienkie igły, nasączając skalp roztworem, który powstrzyma nadmierne krwawienie. Dobrze wiedzieli, jakie potoki krwi mogą spłynąć z obfitej sieci naczyń krwionośnych, pokrywających skórę na głowie. Matt czekał, starając się opanować swoją niecierpliwość i podniecenie, kiedy personel zeszywał fałdy niebieskiego materiału, który miał wchłonąć tę czerwoną falę. Podniósł rękę i gestem pokazał, żeby przesunięto górne światło. Zadowolony z oświetlenia przymknął oczy.

- Obdarz me ręce zręcznością, której będę potrzebował do tej operacji - modlił się. - Nie opuszczaj mnie i prowadź.

Większość chirurgów modli się przed przystąpieniem do operowania ludzkiego ciała. Każdy neurochirurg, którego Matt znał, z pewnością to robił, choć wielu zaprzeczało, uważając, że mogłoby to zostać uznane za oznakę słabości. Matt nie miał takich zahamowań. Za każdym razem, kiedy czuł, jak mózg pulsuje pod jego palcami, wierzył, że dotyka duszy, tej cząstki Boga, o której wiedział, że znajduje się w każdym ludzkim ciele. Przeżycie to zawsze napełniało go pokorą i przejmowało lękiem.

Inne narządy w ciele ludzkim fascynowały go także, lecz nie miał ochoty ich operować. To mózg był święty. To była istota człowieka. Każda operacja była aktem adoracji.

Personel czekał, aż Matt otworzy oczy, po czym osłonił głowę Dursleya sterylnym, bladoniebieskim prześcieradłem, pozostawiając odkryty tylko obszar oznaczony.

- Walka pit-bullów - powiedziała Holly. Anestezjolog roześmiał się. Teren operacji przypominał trochę arenę walki psów. Dursley leżał w dolnej części stołu. Okrągłe, górne światła świeciły jaskrawo, jak tropikalne słońce. Tace z narzędziami mogły, przy pewnym wysiłku, być tacami wypełnionymi pieniędzmi z zakładów.

- Doktor Siebens jest jednym z pit-bullów, a... - Jej głos i śmiech zamarł, ponieważ Matt powrócił do stołu, wyszorowany i przebrany w fartuch.

- A śmierć jest tym drugim, siostro - dodał. - A teraz weźmy się do roboty i wygrajmy tę walkę.

- Kopnijmy śmierć w zadek - zgodziła się Holly.

Matt roześmiał się. Miał tubalny, zaraźliwy śmiech, niepodobny do łagodnego głosu. Chwytając jego spojrzenie ponad maską, Holly poczuła tęsknotę za tym, co mogłoby między nimi być.

Do diabła - pomyślała. Spotykalibyśmy się tylko na kawie w szpitalnej stołówce. Pewnie widywałabym go częściej na bloku operacyjnym niż w łóżku. Nie, dziękuję.

- Dzisiaj tylko „korona cierniowa" - zażartowała, wiedząc, że kiedy

operacja się zacznie, wszyscy będą pracowali w niemal absolutnym milczeniu.

- Brakuje „żelaznej maski" i „koła tortur".

- Przykro mi, doktorze. Naprawdę starałam się je zdobyć.

Matt potrząsnął głową, ale oczy mu się śmiały. Kiedyś nazwał klamrę Mayfielda koroną cierniową. Nazwa się przyjęła, bo szczęki przyrządu, zaopatrzone w ostre bolce wbijające się w czaszkę, rzeczywiście wyglądały jak narzędzie tortur.

Matt starannie założył klamrę na głowie Dursleya, umieszczając dwa stalowe bolce po jednej stronie. Bolce te, wraz ze swoimi odpowiednikami po drugiej stronie, zagłębią się w czaszkę, unieruchamiając ją. Zacisnął klamrę, aż jęknęła zapadka, a sprężyny docisnęły bolce do czaszki, wbijając je w kość.

Holly jęknęła.

- Czyśmy oszaleli, czy co? Biedaczysko ma już dziury w głowie, a my robimy mu nowe.

- Siostro, skalpel - zażądał Matt, definitywnie kończąc rozmowę.

Holly natychmiast zamieniła się w poważną, oddaną siostrę operacyjną. Pewnymi ruchami podawała mu narzędzia prosto do rak. Kiedy nóż, ostry jak brzytwa, wędrował po niebieskich konturach, krew, niczym płynna lawa, tryskała z przeciętych naczyń i zalewała czaszkę. Wkrótce prześcieradła pokryte były ciemnoczerwonymi plamami.

Wstawiono rozwieracze, które rozszerzały krwawiącą ranę, podczas gdy zręczne ręce uwijały się wokół niej, zaciskając kleszczyki Dandy'ego na powięzi, z której sączyła się krew. Gdyby szybko nie uszczelniono tych naczyń, palce Matta zatonęłyby w kałuży krwi.

Wkrótce nacięcie w kształcie migdała wyglądało jak rozzłoszczony jeżozwierz. Czubki kleszczy uderzały jeden o drugi przypominając błyskotki - talizmany przyczepione do bransoletki. Holly rozciągała gumki i starannie wiązała brzęczące główki kleszczyków w schludne, stalowe końskie ogonki.

Skóra głowy, z której zwisały paciorki krwi, była rozcięta. Zaglądając do rany przez okulary, Matt zastygł z gniewu. Pojedyncze włosy oraz nici z zielonej rybackiej czapki, utkwiły pośród kawałków kości. Niektóre fragmenty kości skierowane były do wewnątrz. Inne przecinały oponę ostrymi krawędziami. Bezgłośnie przeklął niedźwiedzia. Każdą nitkę i kosmyk włosów trzeba będzie usunąć.

Matt sięgnął po napędzany sprężonym powietrzem trepan. Teraz był gotowy do wywiercenia otworu w różowej czaszce. Holly z trudem przełknęła ślinę. Tego nie lubiła najbardziej. Gdy słyszała piskliwy jęk trepanu i czuła swąd palonej kości, robiło jej się niedobrze.

Wciągnęła głęboko chłodne powietrze.

Jęk urwał się gwałtownie, gdy trepan przebił się przez kość i automatycznie wyłączył.

Holly odetchnęła z ulgą. Instynktownie nie ufała komputerom. Była pewna, że któregoś dnia trepan sam się nie wyłączy. Będzie dalej wiercić, zagłębiając się w mózg, jakby bił pianę z białek.

Z każdej strony nawierconego otworu wygryzano teraz osteotomem rowek wokół wgniecionej i popękanej kości. Prawie tak łatwe, jak obcięcie słoniowi paznokci u nóg, pomyślał anestezjolog, odrywając na chwilę wzrok od swoich monitorów. Obserwował, jak mięśnie ramienia Matta napinają się i rozluźniają, a kostki palców bieleją za każdym razem, gdy odcina kawałek kości.

Matt, jakby czytał w jego myślach, powiedział: - To nie wymaga aż takiej siły. trzeba mieć smykałkę, a wtedy to nic trudnego.

- Smykałkę i ręce twarde jak stal, wyćwiczone na twardych występach skalnych, na których nawet bielik nie czułby się bezpiecznie i nie byłby na tyle szalony, by na nich lądować.— Anestezjolog potrząsnął głową. - Jesteś niesamowity, Matt. Codziennie reperujesz sześć połamanych czaszek, a dla relaksu uprawiasz ten zwariowany sport, który jest najprostszym sposobem na roztrzaskanie łba.

- Albo nogi czy karku - dodała Holly.

Matt uśmiechnął się szeroko. Wiedział, że mieli rację. Wspinanie się po skałach było niebezpieczne, wymagało jednak tyle koncentracji, że nie pozwalało ani przez chwilę myśleć o niczym innym. A wtedy Matt odpoczywał.

- No i już - powiedział, błyskawicznie unosząc dłoń i jednym zręcznym ruchem wyłamując ostatni kawałek kości. Teraz przystąpiono do usuwania kości z obszaru złamania. „Wygryzanie czaszki" było zawsze czasochłonną i precyzyjną, choć również ciężką, fizyczną pracą. Doskonała technika, jaką zademonstrował Matt, wymagała lat praktyki.

Delikatne brzęczenie przyrządu, rejestrującego bicie serca brzmiało głośno w kompletnej ciszy, która zaległa, gdy chirurg ostrożnie wydobywał fragmenty kości z białej tkanki opony twardej. Zespół operacyjny wstrzymał oddech.

Matt poprawił okulary i utkwił wzrok w miejscu uszkodzonym przez kły niedźwiedzia. Tam, gdzie przeniknęły przez warstwy ochronne, opona była brudna i poszarpana. '

Wydawało się, ża Matt zatrzymał w dłoniach czas, kiedy zręcznie wyciągał wbite w substancję mózgową okruchy kostne. Ostrożnie wprowadził ssak z cienką końcówką oraz pęsetę bipolarną do rozerwanego mózgu, usuwając zakrzepłą krew i uszkodzoną tkankę. Nie mógł sobie pozwolić na pośpiech. Najmniejsza nawet odrobina obcej materii musiała zostać usunięta.

Machnął pęsetą w powietrzu, a Holly szybko podstawiła tacę. Wypuścił na nią coś, co wyglądało jak mały skrzep krwi.

- Włosy grizzly i jakaś tkanina. Najprawdopodobniej nici z czapki rybackiej - wyjaśnił.

Holly odłożyła tacę na bok. Pacjenci często chcieli mieć to, co wydobyto z ich mózgów. Nie mogła tego zrozumieć, na pewno wolałaby zapomnieć o ataku niedźwiedzia. Jednak wiele osób znajdowało przyjemność w przechowywaniu tych dziwacznych pamiątek.

Matt, przygarbiony nad Dursleyem, nie czuł skurczu mięśni ramion ani bólu zdrętwiałych palców. Całkowicie pochłaniało go oczyszczanie mózgu. W końcu, zadowolony, że w rozdartych, kremowych zwojach nie pozostał już najmniejszy fragment obcej materii, wyprostował się. Zupełnie zlekceważył szarpiący ból pleców i ramion. Jeszcze czegoś szukał.

- Jest! - krzyknął triumfalnie. Skrzep krwi, gęsty i śliski jak ślimak, przesączył się z głębi poszarpanej rany, którą właśnie oczyścił.

Zespół operacyjny stał spokojnie w oczekiwaniu na szybką akcję, która , za chwilę miała nastąpić.

- Czas na lewatywę - zażartowała asystentka Matta, trzymając przyrząd, który wyglądał jak gruszka do lewatywy, używana w czasach wiktoriańskich.

Natychmiast ręce w rękawiczkach, pracowite jak mrówki, otoczyły zagłębienie. Musiały oczyścić i zamknąć ranę, uważając, by nie dopuścić do kolejnego skrzepu, nie zniszczyć ważnych naczyń krwionośnych i nie wywołać następnego krwotoku. Nikt nie wypowiedział tej koszmarnej myśli na głos - mogli zaszyć ranę, nie zauważając powolnego sączenia się krwi.

Wkrótce cała sala operacyjna wypełniła się kakofonią dźwięków - ssak usuwał krew, asystentka pompowała gruszką roztwór soli fizjologicznej, żeby delikatnie przepłukać mózg i wymyć resztki skrzepu.

Holly zmarszczyła nos, kiedy elektroda igłowa do koagulacji diatermicznej przypalała przeciekające naczynia krwionośne. Poczuła zapach niedzielnej pieczeni. Mózg obłożono cienkimi jałowymi wacikami i w miejscach, gdzie jeszcze sączyła się krew, pojawiły się plamy. Elektroda igłowa natychmiast je uszczelniła.

Anestezjolog spojrzał na okrągły zegar na ścianie. Trzy godziny. Operacja trwała dłużej niż przewidywano. Pewnie dlatego, że Matt znalazł włókna tkaniny i przeszukiwanie rozległego obszaru mózgu zajęło mu więcej czasu niż zazwyczaj, pomyślał.

W końcu, zadowolony, że krwawienie ustało i wszelkie ciała obce zostały usunięte, Matt nisko pochylił się nad pacjentem. Obserwował, jak kremowe zwoje unosiły się i opadały w rytm bicia serca Dursleya. Delikatnie położył koniuszek palca na odsłoniętym mózgu, w geście niemego błogosławieństwa. Dziękuję, szepnął bezgłośnie.

Rozwinął białą oponę twardą i zeszył ją wchłanialną nicią. Mózg znowu był bezpieczny.

Anestezjolog sprawdził wszystkie wskazania przyrządów i ziewnął. Jeśli pogoda się utrzyma, chyba uda mu się namówić kumpli, żeby zrezygnowali z oglądania meczu w telewizji i pojechali z nim do Katmai. Rzucił okiem na Dursleya, który w tyle głowy miał wstawioną płytkę. Nie, może

nie do Katmai. Mogliby wybrać się na pstrągi tęczowe nad rzekę Kenai, zanim zakończy się sezon. Byłaby to pewnie ostatnia wędkarska wyprawa w tym roku. Te jesienne wycieczki zawsze były bardzo szczególne. Pstrągi były wielkie i głodne, a w powietrzu rozbrzmiewał szum miliona skrzydeł ptaków, które uciekały przed ciemnością i mrozem.

- Błogosławiony jest on mocą magiczną, pełnym haustem pije tam, gdzie inni sączyli małymi łykami, a dzikie stworzenia piszą dla niego swoje życiorysy w niekończących się rękopisach - wyrecytował, nieświadomy, że Matt zrobił sobie przerwę i patrzył na niego.

- Marzysz o głowach ze stali?

Anestezjolog drgnął i powrócił myślami do ponurej sali operacyjnej.

- Nie - skłamał. - Cytowałem Seatona i zastanawiałem się, kiedy zamkną Katmai dla turystów, myśliwych i wędkarzy, a pozostawią go dla niedźwiedzi.

- Kiedy wyginą ludzie, którzy będą płacić za sportowe licencje i nie będzie pieniędzy, które będzie można na tym zarobić - przewidywał Matt. - Niedźwiedzie będą musiały dzielić tę ziemię i rzeki z ludźmi. Od czasu do czasu jakiś niedźwiedź zaprotestuje, a wtedy my będziemy robić operacje mózgu...

Matt przeciągnął się i strzelił palcami. Skończył. Teraz inni zajmą się Dursleyem.

- Jeszcze jedno - ostatnia odsłona. Czy masz ochotę pójść ze mną odwiedzić jego krewnych? - zwrócił się do anestezjologa.

- Nie, dziękuję. Kiedy brałem tę robotę, podpisałem, że będę twardy, ale nie aż tak twardy. Muszę zainstalować go na OIOM-ie. Zastanowił się.

- Weź Holly. Ona jest dobra w tych rzeczach. Ta dziewczyna sprawia, że wiercenie w czaszce wygląda tak samo poważnie, jak zadrapanie kolana.

\

*

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Casey spojrzała na zegar wiszący w małej **sali odwiedzin za blokiem** operacyjnym.

- Prawie cztery godziny - powiedziała.

Hank delikatnie ścisnął jej palce. - Operacje mózgu trwają wiecznie, Ticasuk - uspokajał ją. - Cztery godziny to nic.

- Czy Carringtonowie skontaktowali się już ze szpitalem? - zapytała, zmieniając nagle temat.

Hank powoli odwinął paczkę gumy do żucia i podał jedną Casey.

- Lady Edbury jest szczęśliwa, że Dursley ma tak doskonałą opiekę.

Rozmawiał z lady Edbury, kiedy Casey miała prześwietlane żebra. Po dwudziestu minutach słuchania jej wywodów na temat nieudolnie prowadzonych ośrodków wędkarskich, niekompetentnych przewodników i lekarzy, którzy tylko dlatego operują na Alasce, że nikt nie chce ich przyjąć w wielkich miastach i dobrych szpitalach, cierpliwość i dobre maniery Hanka nagle się wyczerpały. Zaczął udawać zwięzły, amerykański sposób mówienia i przeciągłą wymowę. - Proszę pani, rozmowa zostaje przerwana. Połączenia ze szpitalem są przeciążone. Przerywamy wszystkie rozmowy trwające ponad dziesięć minut. Odłożył słuchawkę, co wywołało potok słów, jakich żadna dama nie powinna znać, nie mówiąc już o ich używaniu.

- Tak, Ticasuk - powiedział, odpowiadając na pytanie Casey.

- Wszystko w porządku. Rodzina będzie tu jutro.

Środki przeciwbólowe, które mu zaaplikowano podczas unieruchamiania kolana powoli przestawały działać. Hank miał wrażenie, że ból promieniuje aż do głowy. Czuł się tak, jakby Drewniana Noga walił go siekierą w czoło. Powstrzymał się od poproszenia przechodzącej pielęgniarki o tabletki, bo nie chciał okazać słabości przy Casey.

Lekarz dyżurny, który przyjmował Dursleya, Hanka i Casey, przyłączył się do Matta w drodze do sali odwiedzin, gdzie pokruszone, styropianowe kubki świadczyły o tym, że długo czekano.

- Kolano i żebra powinny spędzić noc w szpitalu - powiedział, myśląc o Hanku i Casey. - Wetkniemy im pigułkę do gardła i będą dobrze spać.

- Pewnie będą jej potrzebować po tej bitwie z niedźwiedziem - zgodził się Matt.

- Tygodniami będą łykać prochy, żeby odpędzić ten koszmar - przepowiadała Holly. - Może prochy nie będą potrzebne - zawahała się, gdy wchodzili przez uchylone drzwi, a dywan stłumił odgłosy ich stóp.

Hank i Casey odskoczyli od siebie. Casey zaczerwieniła się zawstydzona, lecz Hank bez zażenowania starł kciukiem łzy z jej policzków. Potem odwrócił się, by przywitać lekarzy.

- Co z nim?

- Co z Dursleyem?

- Operacja się udała - powiedział Matt, używając tych trzech magicznych słów, których rodzina zawsze potrzebowała. - Pacjent czuje się dobrze, ale ciągle jest nieprzytomny. Teraz jest na Intensywnej Terapii.

- Będzie go pani mogła jutro zobaczyć - szepnęła Holly, odczytując błaganie w oczach Casey. - Jeśli profesor Siebens się zgodzi - dodała pospiesznie, gdy zauważyła, że ciepłe oczy Matta zrobiły się nagle lodowate.

- Żebra i kolano muszą zostać na noc w szpitalu - wtrącił lekarz dyżurny. - Przypomniał sobie, że może jest potrzebny w ośrodku pomocy doraźnej.

Hank i Casey spojrzeli na niego lekko zakłopotani.

- On zawsze tak mówi o nagłych wypadkach - wyjaśniła Holly.

- Ale...

- Już mamy noclegi w mieście - powiedział Hank.

- To jest polecenie, a nie zaproszenie - odparł Matt. - Zostaliście przyjęci przez lekarza odpowiedzialnego za wasze zdrowie i zostaniecie wypisani, gdy on zadecyduje.

Hank i Casey zakosztowali ostrza legendarnej chłodnej irytacji Matta Siebensa. Krew odpłynęła z twarzy Casey, poczuła, że warga jej drży - choć bardzo się starała powstrzymać to drżenie. Jak cień w środku dnia tak szybko przeminął zły nastrój ^pierwszego chirurga.

- Wiem, że to trudne - odezwał się, kładąc rękę na ramieniu dziewczyny. - Niecodziennie człowiek pełni rolę kuli na kręgielni dla niedźwiedzia. Chcemy być pewni, że nie jnacie żadnych wewnętrznych obrażeń, których nie zauważyliśmy. Więc zostańcie tu dziś w nocy. Jutro będzie pani mogła porozmawiać ze swoim przyjacielem.

- Porozmawiać? - powiedziała Casey.

- Tak. Za dwa, trzy dni powinien wstać.

Casey uśmiechnęła się.

- Ale przez pewien czas żadnego łowienia **ryb - zażartował, odwracając** się do drzwi - i z pewnością żadnych zabaw **z niedźwiedziami.** Są **zbyt** brutalne.

- Na dzisiaj mamy wolną salę z dwoma łóżkami - stwierdził lekarz t z urazówki, starannie przeglądając listę, przypiętą do tablicy.

Hank skinął głową.

- Moja teściowa padnie trupem - powiedziała Casey.

- Teściowa? Mam panią zapisaną jako pannę Casey Chargot.

- Powinnam powiedzieć - przyszła teściowa - poprawiła Casey.

Hank położył dłoń na jej dłoni i Matt zauważył, że jej palce instynktownie wtuliły się w nią.

Matt spojrzał na Holly i przez chwilę w powietrzu zawisła niemal dotykalna mgiełka żalu, ciepła jak para unosząca się nad otworem oddechowym foki. Zniknął tak szybko, jak szybko znika ten obłoczek pary, gdy foka zanurza się w czarnej, lodowatej wodzie. Życie Matta poświęcone było badaniu ludzkiego mózgu i nie było w nim miejsca na przyjemności i problemy życia z kobietą.

Kiedy wielkimi krokami szli korytarzem, w myślach przeglądał plan operacji na przyszły tydzień. Grafik był wypełniony, a to oznaczało szczęśliwy tydzień.

Hrabina Carrington trzepnięciem rozłożyła delikatną, koronkową chusteczkę, wytarła siedzenie w taksówce i uważnie przyjrzała się białemu batystowi, szukając na nim śladów kurzu.

- Zakurzone, oblepione brudem miejsce to Anchorage - oświadczyła. Zignorowała wyjaśnienie kierowcy, że to pozostałości popiołu wulkanicznego. - Powinien być natychmiast sprzątnięty - dodała. - Tak samo, jak z tym wyciekiem ropy. Nikt się nie ruszył, dopóki wszystko nie pokryło się czarnym błotem. Serce się krajało, kiedy człowiek oglądał w telewizji te biedne ptaki. Skandaliczna nieudolność - to właśnie dolegliwość tego miejsca.

Taksówkarz próbował bronić miasta, ale kiedy hrabina na dobre się rozpędziła, trudno ją było powstrzymać czy z nią polemizować. Jej brat i inni członkowie rodziny, których uznała za dość ważnych, by mogli wybrać się z nią razem, tłoczyli się w drugiej taksówce. Podczas męczącego lotu z Londynu do Seattle, a potem dalej, do Anchorage, jej zły humor skrupił się na nich. Brat miał nadzieję, że długi lot wyczerpie ją. Lecz ona dalej miała pretensje o wszystko i do wszystkich. Typowa dla niej niechęć i nieufność do „obcego" wydawała się bardziej do przyjęcia w Anglii niż w Stanach, gdzie to oni byli obcy.

- Szpital Humana - powiedział do kierowcy i szybko zamknął oczy.

Mam nadzieję, że Casey uprzedziła personel... - pomyślał.

W chwilę później taksówka toczyła się w kierunku Humany przy akompaniamencie głośnego, przerywanego chrapania.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Casey uważnie przyglądała się dwóm wąskim łóżkom. Prześcieradła były mocno napięte, jak papier na desce kreślarskiej. Wydawały się zimne i odpychające. Rzuciła przelotne spojrzenie na lśniącą aparaturę przymocowaną do ściany u wezgłowia. Na ciężki zapach środków odkażających, jakim przesiąknięte są szpitale, reagowała takim strachem, jak bażant reaguje na odór lisa. Skuliła się w sobie i zadygotała, zanim zdecydowała się ruszyć przez salę w stronę kwadratowego okna.

Niebo było czyste, zimnoszare, gdzieniegdzie upstrzone plamami chmur, zwisającymi w strzępach jak spodnie żebraka. Lekkie samoloty brzęczały wśród chmur. Casey wpatrywała się w niebo niewidzącym wzrokiem. Zdawała sobie sprawę, że będzie musiała porozmawiać z Hankiem. Cairingtonowie będą tu następnego dnia i nie zostawią jej chwili dla ukochanego, którego teraz musi porzucić...

- Hank. Muszę porozmawiać...

Drzwi do sali otworzyły się gwałtownie i wpadła pielęgniarka. Nad jej głową unosiła się neonowa aureola akuratności.

- Przepisano wam dwudziestoczterogodzinny odpoczynek w łóżku i te pigułki. /-

- Co to jest? - zapytała pasey, podejrzliwie patrząc na plastikowy pojemnik.

- Środki przeciwbólowe i coś, co zapewni wam dobry sen. Bez koszmarów - dodała. - Tu są wasze koszule nocne. Ręczniki są w łazience. Szczoteczki i pasta do zębów będą wliczone do rachunku.

W tej chwili rozległo się delikatne pukanie do drzwi i stanął w nich kelner, trzymając notatnik i menu.

- Proszę zamówić obiad - powiedział.

Hank szeroko uśmiechnął się do Casey, kiedy składali zamówienia.

- Mógłbym polubić takie leczenie - powiedział.

- Jedzenie dostarcza firma z zewnątrz. Szczycimy się standardem, jaki możemy zapewnić naszym pacjentom - oświadczyła krótko pielęgniarka.

- Oczywiście, siostro - uśmiechnęła się Casey.

- Przyjdę tu po obiedzie, żeby wpakować was do łóżek i sprawdzić, czy połknęliście swoje tabletki. - Jej głos trochę złagodniał. Wiedziała, że mają za sobą bardzo ciężki dzień.

- Fiuu! - Hank odetchnął, kiedy drzwi zamknęły się za jej wykrochmalonym fartuchem. - Nie chciałbym, żeby mnie przyłapała na podkradaniu jej prażonej kukurydzy.

- Kazałaby ci oddać dwa razy tyle i jeszcze walnęłaby cię pustym pudełkiem - powiedziała Casey.

Hank i Casey podchodzili do tematu Dursleya z wyjątkową ostrożnością. Jak zimowi podróżnicy przechodzący po cienkim lodzie, którzy wiedzą, że jeśli się zatrzymają, to lodowa skorupa załamie się pod ich ciężarem.

Kiedy słowa zostaną wypowiedziane, już pozostaną... W cichości ducha Hank wiedział, że atak niedźwiedzia dał Dursleyowi niesprawiedliwą przewagę w ich milczącej „bitwie" o Casey. Żal mu było każdego, kto miał nieszczęście znaleźć się w pobliżu *Ursus arctos horribilis**. Były przerażające, gdy wpadły w gniew. Urazy psychiczne, zadane przez rozwścieczonego niedźwiedzia towarzyszyły człowiekowi długo po tym, jak zagoiły się obrażenia fizyczne.

Ranny człowiek budził współczucie. Hank obawiał się, że cierpienia Dursleya przywiążą do niego Casey silniej niż miłość mogłaby przywiązać ją do niego. Wiedział, że musi pozwolić jej mówić. Potrzebowała namysłu i refleksji. Musiała teraz podjąć decyzję.

Podniósł ją delikatnie i posadził na wysokim, wąskim łóżku. Skrzywiła się z bólu, lecz milczała. Podłożył białe poduszki pod jej plecy. Wyciągnęła rękę i pogładziła jego jedwabistą brodę.

- O, Hank - jej głos się załamał, a ciemne oczy wypełniły się łzami.

- Jak będę żyła bez ciebie?

Poczuł straszliwy chłód alaskańskiej zimy. Podjęła decyzję. Zamierzała poślubić Dursleya.

Instynktownie nie zaprotestował, o nic też nie prosił. Odwrócił się i zaczął się bawić gałkami od radia. Za chwilę muzyka country skocznymi, radosnymi dźwiękami wypełniła salę, rozwiewając szpitalny chłód.

Podtrzymuj lekką rozmowę - podpowiadała intuicja. Casey jest ciągle wstrząśnięta i przygnębiona. Spraw, żeby się śmiała. Spraw, żeby zrozumiała, że z powodu tego wypadku nie musi poświęcać życia.

- Ticasuk. Czy zdajesz sobie sprawę, czym będzie bez ciebie moja przyszłość? Zostawiasz mi dwie możliwości - jedną jest wysłanie zdjęcia i danych do magazynu „Alaska Men". Jeśli dołączę zdjęcie ładnego psa, to pewnie dostanę co najmniej trzysta listów od nieszczęśliwych kobiet. Tu, na północy, mężczyzn jest osiem razy więcej niż kobiet. - Zauważył błysk

* *Ursus arctos horribilis* - łacińska nazwa niedźwiedzia grizzly.

zainteresowania w jej oczach. - Na terenach położonych bardziej na północ ten współczynnik dochodzi do trzydziestu pięciu. - Niewiele kobiet przyjeżdża tutaj polować na łosie czy strzelać do niedźwiedzi - ciągnął z żałosną miną. - Żadna z nich nie będzie moją Ticasuk, więc wszystkie te listy pozostaną bez odpowiedzi. Drugą możliwością jest przyłączenie się do Ewenków w radzieckiej Arktyce i hodowanie reniferów.

- Jak Święty Mikołaj, tylko musisz rozjaśnić brodę - uśmiechnęła się.

Hank w milczeniu zacisnął pięść w geście tryumfu. Odnosił sukces. Casey reagowała i uśmiechała się.

- Jedynym ubraniem, które może tam ogrzać człowieka, jest futro z renifera. Więc nie dość, że będę wyglądał jak dwunogi renifer, to jeszcze będę pachniał jak on!

- To powinno przyciągać kobiety Ewenków - zauważyła Casey.

- Podejrzewam, że większość z nich zostaje w obozie.

- Mądra decyzja - wtrąciła Casey. - Przy siedemdziesięciu stopniach poniżej zera, któż chciałby przebywać na dworze i hodować renifery?

- Widują mężczyzn raz na rok. Bywa, że częściej... - poprawił się.

- Jeśli byłoby to praktykowane w krajach Trzeciego Świata, problem gwałtownego przyrostu naturalnego byłby rozwiązany.

- Ticasuk, jesteś paskudna.

Hank był zachwycony, że wykazała zainteresowanie bzdurami, które opowiadał. Przywoływał z pamięci jakieś strzępy informacji o Ewenkach, pasterzach reniferów. Chciał ją rozbawić, chciał, żeby choć na chwilę zapomniała o Dursleyu i Carringtonach.

- Przy siedemdziesięciu stopniach poniżej zera, wydychana para wodna natychmiast zamarza, nazywają ją „szeptem gwiazd", bo uderzając o ziemię cichutko dźwięczy.

- Och, to piękne.

- To jest piękny kraj, Ticasuk - powiedział miękko. - To twój kraj. Nie odwracaj się do niego plecami. Zostań tutaj, na twojej ziemi...

Casey spuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Hank w myślach kopnął się w pogruchotane kolano. Jak mógł być taki głupi? Przez kilka minut był tak bliski zwycięstwa, a teraz wszystko zepsuł... Głupcze, zasługujesz na to, żeby się znaleźć w „Alaska Men" wraz z tymi, którzy jeszcze próbują na coś liczyć.

W tej chwili rozległo się dyskretne pukanie. Drzwi otworzyły się bezszelestnie i ze zgrzytem wjechał do środka stolik na kółkach.

- Obiad.

Casey przetarła oczy i przebiegła palcami po włosach. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że jest głodna. Odłamała kawałek bułki na zakwasie i przetarła nim talerz, zbierając sos cytrynowy, którym polano łososia.

- Lepszy niż sos z orzeszków ziemnych - zauważyła.

- To nikomu nie smakuje - Hank uśmiechnął się szeroko - ale w ośrodku najważniejszą osobą jest kucharka. Nie można jej zniechęcać,

więc wszyscy zajadają się tym przysmakiem, dławią się nim i mówią, że jest wspaniały.

Casey roześmiała się. Nie potrafiła być smutna w towarzystwie Hanka.

- Gdyby Angela cię teraz usłyszała, jadłbyś tylko herbatniki dla psów, te nie przyprawione.

Ledwo opróżnili tace obiadowe, gdy do sali wpadła pielęgniarka. Hank poczuł się jak uczniak, którego tylko przez przypadek nie przyłapano na organizowaniu zawodów w pluciu, gdy nauczyciel wszedł do klasy.

- Pani pierwsza - powiedziała, pomagając Casey zejść z łóżka. Chwyciła szpitalną koszulę nocną i popchnęła Casey do łazienki.

Przeczuwając, co go wkrótce spotka, Hank chwycił swoją, z wysiłkiem wyplątał się z ubrania i wetknął ramiona do rękawów koszuli. Była zimna i niewygodna, kiedy trzepotała wokół nóg. Lekarz z urazówki naciągnął mu przez szynę ogromne spodenki z wciąganymi sznurkami. Hank ich nie zdjął, tylko mocniej zacisnął sznurki.

Siostra poprawiła poduszki Casey i patrzyła na Hanka, gdy ten połykał środki przeciwbólowe.

- Proszę mi pozwolić połknąć moje pigułki później - powiedziała Casey błagalnym głosem. - Obiecuję, że je wezmę, jeśli nie będę mogła zasnąć.

Siostra skinęła głową. Rzuciła okiem na Hanka, który teraz leżał płasko i nieruchomo, szczelnie przykryty szpitalnym kocem.

- Potrzebuje pan pomocy w łazience - drażniła się z nim, a na jej twarzy nie malował się nawet cień emocji.

- Czuję się świetnie, siostro. Dobranoc, siostro. Nie będę potrzebował środków nasennych, przynajmniej nie dzisiaj - powiedział, naciągając prześcieradła pod brodę.

Siostra uśmiechnęła się szeroko do Casey i popatrzyła na nią tym
» szczególnym spojrzeniem, które kobiety wymieniają między sobą, kiedy mężczyznom wydaje się, że je przechytrzyli. Cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Proszę pamiętać - te różowe pigułki pozwolą pani spać bez koszmarów - rzuciła w drzwiach.

Hank odetchnął z ulgą i odwrócił się do Casey.

Dziewczyna miała zamknięte oczy i wydawało się, że odpływa w sen. Patrzył na nią przez długą chwilę, lecz wydarzenia dnia wkrótce zamknęły mu powieki i zasnął.

Casey otworzyła oczy, gdy usłyszała pierwsze delikatne pomruki. Hank zawsze się upierał, że nigdy nie chrapie. Jej podstęp się udał.

Leżała w półmroku, który zdawał się trwać aż do świtu i tęskniła za ciemnością. Jej myśli, ruchliwe jak łosoś strzegący gniazda, przeskakiwały z jednego tematu na drugi, ale wszystkie zbiegały się w jednym punkcie. Kochała Hanka i pożądała go, a obiecała wyjść za Dursleya.

Nasłuchiwała przyciszonych głosów nocnych pielęgniarek. Czasem dobiegał ją zgrzyt kółek wózka, pchanego w pośpiechu po korytarzu.

Trzaskanie drzwi i dzwonki telefonu były jedynymi dźwiękami zakłócającymi nocną ciszę. W końcu ciemność zdołała przepędzić ociągające się z odejściem światło i Casey zapadła w głęboki sen, którego tak bardzo potrzebowała.

*

Nagle obudziła się, jakby ktoś nią potrząsnął. Leżała sztywna, wytężając wzrok, żeby zobaczyć czy ktoś jest w pokoju. Było jej niedobrze. Kiedy mdłości się zmniejszyły, wysunęła się z łóżka, krzywiąc się z bólu, bo jej popękane żebra ostro reagowały na jakikolwiek ruch. Nagle szpitalna sala zaczęła w niej budzić klaustrofobiczny lęk. Musiała odetchnąć świeżym nocnym powietrzem, albo przynajmniej wyjrzeć przez szczelnie zamknięte okno. Chciała popatrzeć na przestrzeń nie ograniczoną ścianami szpitalnej sali, miejsce, w którym nie czai się lęk. Odsunęła zasłony i zamarła bez ruchu. Niebo żyło. Płynęły po nim zielenie i róże, miękkie i delikatne, jak dźwięki otwierające symfonię. Potem zwinęły się w ostre serpentyny i znów rozwinęły, nakładając się ria siebie w crescendo, żeby znowu płynąć i wirować, igrając na wietrze, kiedy drżąca symfonia cichła powoli.

Casey ogarnęło uczucie zachwytu i grozy, i głębokiego spokoju, kiedy patrzyła na tańczące niebo.

„Musisz uwierzyć w Boga, jeśli żyjesz wśród tego piękna i tej wspaniałości" - zabrzmiały jej w uszach słowa Hanka. Teraz zrozumiała, o czym wtedy myślał. Czuła ten sam kojący spokój, jaki przepełniał jej duszę, kiedy wchodziła do wspaniałej, starej katedry. Łzy zalały jej policzki, ale były to łzy oczyszczenia, więc nawet ich nie otarła.

- Zorza polarna - wyszeptał Hank, podchodząc do niej i obejmując ją ramieniem. Casey oparła głowę na jego piersi. Milczała. Po raz pierwszy od wyprawy do Barrow była spokojna. Jakby wzniosłość zorzy polarnej wzmocniła ją duchowo.

- Inuici mówią, że to duchy zmarłych noszą pochodnie, żeby można było polować podczas ciemnej polarnej zimy. Niektórzy wierzą, że bawią się ogniem nie narodzone jeszcze dzieci. - Głos Hanka był cichy i łagodny, tak jak jego ręce, którymi ją pieścił. - Traper Jack wierzy, że jeśli się zagwiżdże cichutko, to zasłony światła zbliżą się.

Casey uśmiechnęła się. Cieszyła się tymi darowanymi im tylko godzinami przed świtem.

- Wygląda tak, jakby wypełniała całe niebo - szepnęła, kładąc swoje dłonie na dłoniach Hanka. - A ty wierzysz, że co to jest? - zapytała.

- Ja wiem, co to jest. To energia emitowana w postaci światła widzialnego, wydzielana podczas wyładowań elektrycznych w jonosferze - odpowiedział. A potem, wyczuwając, że dziewczyna nie rozumie, spróbował uprościć swoje wyjaśnienie. - Słońce wyrzuca w naszym kierunku strumień zjonizowanych cząstek, nazywa się je wiatrem słonecznym. Ponieważ wiatr słoneczny wiruje wokół Ziemi, wytwarza prąd elektryczny. Prąd ten dociera

do powierzchni najprostszą drogą, czyli wzdłuż linii indukcji ziemskiego pola magnetycznego, które zakrzywiają się w dół w obszarach polarnych.

- Aha - skinęła głową Casey.

- Cząstki wiatru słonecznego, schwytane przez ziemskie pole magnetyczne w obszarach podbiegunowych, zderzają się z atomami w atmosferze, wytwarzając barwy, które widzimy. Ale ja wolę myśleć, że to Wieczna Siła, która stworzyła wszechświat, pokazuje nam, jak niepowtarzalne piękno jest w stanie stworzyć.

- Podoba mi się to - powiedziała Casey. - Podoba mi się także interpretacja Inuitów. Bardziej niż te naukowe...

- Ja też - zgodził się Hank i delikatnie pocałował ją za uchem.

- Jest taka ogromna - powiedziała Casey, patrząc jak zwiewne zasłony rozbielonego różu i zieleni rozsuwają się na niebie. - Dotyka ziemi. A może jest jak tęcza? Nie można znaleźć miejsca, w którym styka się z ziemią.

- Ma setki mil długości i prawie dwieście stóp wysokości - mruknął Hank. - Nigdy nie schodzi niżej niż na mniej więcej sto stóp nad powierzchnią ziemi.

Casey zadrżała, kiedy język Hanka przesunął się po brzegu jej ucha.

- Wygląda tak, jakby dotykała ziemi, bo nie potrafimy dokładnie ocenić przestrzennej głębi obiektów o nieznanych rozmiarach, szczególnie wtedy, gdy są w ruchu, tak jak zorza.

Hank poczuł szarpiący ból w kolanie. Lecz ten czas, gdy tak stali wpatrzeni w zorze polarną, był zbyt cenny, by zmarnować choćby minutę. Trwali więc, połączeni miłością, jak przed ołtarzem, dopóki - wraz z nastaniem świtu - świetlne draperie nie podzieliły się na płachty, blade jak nowo powstałe chmury.

- Hank - wyszeptała Casey, odwracając się twarzą do niego. Była opanowana i spokojna. Wiedział, że obserwując taniec nieba podjęła decyzję. - Jeśli na mnie zaczekasz, przysięgam, wrócę na Alaskę i zostanę twoją żoną.

- Ale...

Położyła mu palec na ustach.

- Muszę wrócić do Anglii z Dursleyem. Gdy tylko on poczuje się lepiej, zerwę zaręczyny i przyjadę do ciebie.

- Och, Ticasuk, Ticasuk - szeptał Hank. - Tak bardzo się boję, że kiedy będziesz daleko ode mnie, oni sprawią, że zmienisz zdanie.

- Obiecuję ci, że tylko ty będziesz mógł zmienić moją decyzję. Jeśli postanowisz, że już mnie nie chcesz - zrozumiem. Ale jeśli będziesz na mnie czekał - wrócę i zostanę twoją żoną.

Kiedy już zapisali w pamięci dotyk, smak i zapach swoich ciał, niebo rozjaśniło się nad nimi, zwiastując koniec ich intymności.

Pukanie do drzwi oderwało ich od siebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Drewniana Noga stał na kamienistej plaży, otaczającej jego ośrodek od frontu. Głęboko wetknął laskę w wilgotną ziemię pomiędzy szarymi kamieniami, w ten sposób mógł utrzymać równowagę. Porywisty wiatr podnosił jego starannie przygładzone włosy, wystawiając na widok publiczny różową skórę głowy i rozwiewając wokół niej wiotkie kosmyki, niczym postrzępioną flagę. Podniósł rękę, osłaniając oczy od blasku lśniącego, szarego nieba. Usiłował rozpoznać hydroplan, który zniżał lot, przygotowując się do lądowania na lekko wzburzonej wodzie.

- Idiota - mruknął, gdy dojrzał pierwiosnkowożółty samolot z ogromnym komarem, wymalowanym z boku czarną farbą. - Tylko Saunders jest na tyle głupi, żeby lądować w takich warunkach.

Był zdenerwowany. Jego samolot i grupa wędkarska jeszcze nie wrócili. Wiedział, że przy złej pogodzie jego pilot nie poleci. A to będzie znaczyło, że wszyscy wrócą wściekli i zmarznięci i liczba zamówień na przyszły rok spadnie do zera.

Żółty samolot miał właśnie siadać na białych grzywach fal, kiedy uderzył w niego podmuch wiatru. Jedno skrzydło zanurzyło się w jeziorze i Drewniana Noga uśmiechnął się. Sanders był bliski utraty swego źródła dochodu. Uśmiech zamarł mu na ustach, gdy zobaczył, że skrzydło wynurza się z wody i samolot odzyskuje równowagę. Kołysząc się na wodzie hydroplan powoli zbliżył się do brzegu.

- Jeszcze jedno szczęśliwe lądowanie - powiedział z niechęcią.

Drewniana Noga patrzył spode łba na Kit, która zeskoczyła ze schodów, chwyciła linę wyrównawczą i brnęła przez wodę w kierunku brzegu.

Nie dość, że Sanders zdołał ocalić hydroplan, to jeszcze przywiózł ze sobą tę kobietę. Drewniana Noga uważał, że wędkarstwo jest sportem przeznaczonym wyłącznie dla mężczyzn. Widok kobiety-przewodnika doprowadzał go do furii. Kiedy dotarły do niego informacje o rekordowym pstrągu, na którego naprowadziła Dursleya, wyruszył na dwudniową pijatykę i zniszczył inuicką barabarę. Czekał teraz z obawą na

inspektorów z Urzędu Parku Narodowego i Ochrony Katmai. Wzrokiem pełnym nienawiści wpatrywał się w Kit, która wlokła samolot do brzegu.

Wyczuwając kłopoty, Sanders wyłączył silniki i wyszedł pierwszy z hydroplanu. Kit ochoczo zawróciła do samolotu, żeby pomóc klientom zejść do wody i dotrzeć do brzegu. W grubych waderach i butach poruszali się bardzo niezdarnie.

- Wynocha z mojej wody! - wrzasnął Drewniana Noga, wymachując laską przed Stewartem. Prawie się przewrócił, bo podmuch wiatru uderzył go w żebra. - Wracajcie do swojego zbytkownego ośrodka, gdzie jest wasze miejsce. Precz... - Przerwał zmieszany, gdy rozpoznał swoich klientów, brnących przez wodę.

- Jasne - powiedział Stewart. - W porządku, Kit załaduj sprzęt i ludzi z powrotem do hydroplanu. Mogą spędzić noc u nas.

Leroy skulił się na siedzeniu, przysłuchując się kłótni. Nie miał zamiaru znowu spotkać się z tym szaleńcem.

- Chodź - przynaglił go Earl. - Pomóżmy Kit. Nie da rady sama dotaszczyć tego płóciennego worka na brzeg.

Leroy z determinacją potrząsnął przecząco głową. Nie zamierzał znaleźć się w pobliżu Drewnianej Nogi w chwili, gdy ten się dowie, że to właśnie on niechcący wbił nóż rybacki w jego gumową dinghy.

Leroy starał się pomóc Kit wypuścić powietrze z łódki i wepchnąć ją do płóciennego worka. Sznurek od worka zaplątał się i Irlandczyk przeciął go nożem. Sznurek ustąpił od razu, a nóż wcale się nie zatrzymał, rozciął dinghy i obciął zawór zamykający wylot powietrza.

- Chcecie pozwolić kobiecie taszczyć ten ciężar? - wrzasnął Earl, próbując zawstydzić Leroya i w ten sposób skłonić go do pomocy.

- Jest ode mnie wyższa i pewnie silniejsza - odparł tamten, zaciskając pas bezpieczeństwa.

Drewniana Noga uspokoił się natychmiast, kiedy zobaczył, że jego klienci posłusznie odwracają się i idą ze Stewartem do wody.

- Nie chodziło mi o was, chłopcy - poprawił się szybko. - Chodźcie. Czeka na was whisky i ogień w kominku. Ogrzejemy was z wierzchu i w środku. - Roześmiał się z zakłopotaniem, ale nie zawtórował mu żaden śmiech.

- W porządku - powiedział Stewart. - To pewnie najlepsza propozycja, jaką można dziś otrzymać. Rozpakujemy wasz sprzęt.

- Życzę smacznej whisky - krzyknęła Kit, kiedy grupa ciężkimi krokami brnęła w kierunku ośrodka.

Drewniana Noga poczuł tak wielką ulgę, że zaproponował pomoc, kiedy Kit wypakowywała wędki. Wykorzystując sytuację, Earl podszedł do niego i zwalił mu płócienny worek pod nogi.

- Twoja łódka. Przypadkiem nadziała się na nóż. Wymaga naprawy.

Drewniana Noga spojrzał na wielkiego mężczyznę, który górował nad

nim wzrostem i tylko skinął głową. Musiał porozmawiać ze Stewartem, żeby dowiedzieć się, gdzie podział się jego pilot i samolot.

- Ornery, ty sukinsynu - mruknął, kuśtykając do miejsca, gdzie Stewart rozmawiał z Kit. Wiedział, że będzie musiał najpierw go przeprosić, ale szybciej go szlag trafi, niż zrobi to przy tej kobiecie.

Kit kiwnęła głową w odpowiedzi na coś, co powiedział Stewart. Odwróciła się i ciężkim krokiem ruszyła do samolotu, uśmiechem dziękując jednemu z rybaków, który teraz trzymał linę holowniczą.

Leroy obserwował, jak fale uderzają o jej nogi i rozbryzgują się, sięgając aż do pasa. Zgubiła gumkę, którą wiązała koński ogon i teraz jej splątane włosy przypominały wronie gniazdo. Była zmęczona i zmarznięta. Wiedziała, że zaczyna odreagowywać i chciała być już w swojej chatce.

Myśl o Hanku martwiła ją. Co się z nimi stanie, jeśli nie będzie mógł pracować do końca sezonu? Musiał być przy niej, dopóki nie będzie miała pewności... Musiał przy niej spać, co noc, przez następne kilka tygodni.

Musiała go przekonać, że jajeczko, które z pewnością przykleja się już do błony śluzowej macicy, zostało zapłodnione przez niego. Dzieli się teraz na tysiące skomplikowanych komórek, po to, by mogło stać się dzieckiem. Instynktownie wierzyła, ze je czuje. Zastanawiała się, czy uda jej się przekonać Stewarta, żeby pozwolił Hankowi wykonywać prace administracyjne w ośrodku do końca sezonu. Wtedy nie mógłby się wyprzeć ojcostwa. Uśmiechnęła się słabo.

Atak niedźwiedzia sprawił, że Stewart złagodniał. Był zmartwiony i roztargniony. Prawdopodobnie nie będzie miała lepszej okazji. W chwili, gdy miała wdrapać się do samolotu, podjęła decyzję. Leroy zadygotał i opuścił czapkę na oczy, potężny podmuch wiatru o mało nie wywlókł go z siedzenia.

- Czy ten upał na zewnątrz to dla ciebie zbyt wiele? - spytał Leroy. Kit zamierzała właśnie zamknąć drzwi i wrócić na brzeg, żeby stanąć przed Stewartem i zapytać o przyszłość Hanka w ośrodku.

- Leroy, jesteś prostakiem i leniuchem - odparła i trzasnęła drzwiami.

- Kobiety! - mruknął Leroy. - Moja matka miała rację, niech będzie błogosławione jej serce. - Nigdy się nie żeń, synu, bo jedyna kobieta, której możesz zaufać, to matka.

Kiedy wypowiadał tę uwagę, zauważył, że Stewart, rozmawiając z Kit wyrzuca ręce w powietrze i potrząsa głową. Ku jego zaskoczeniu, w chwilę później Stewart wetknął dłonie w górne kieszenie wiatrówki i skinął głową. Brnąc z powrotem do samolotu Kit odzyskała swój zwykły, lekki i żwawy krok. Poczekała, aż Earl usadowi się na swoim siedzeniu i wetknęła głowę w drzwi.

- Ale miły leniuch - powiedziała.

- O co w tym wszystkim chodzi? - spytał Earl, zwalniając pas bezpieczeństwa, żeby go zapiąć na brzuchu.

- Coś tylko między mną a Kit - powiedział Leroy, pożądliwie łypiąc oczami.

- Możesz marzyć dalej, bo to jest wszystko, co kiedykolwiek zdołasz uczynić - odparował Earl.

Fale przywarły do pływaków, jak kochankowie, którzy mają się właśnie rozdzielić, kiedy samolot zanurzył się, po czym uniósł w wodzie. Jezioro Nonvianuk pokazywało swoją kapryśną naturę. Stewart zaklął cicho, usiłując poderwać samolot do góry.

Leroy kurczowo przylgnął do siedzenia, bo wiatr wspomagał fale i próbował wcisnąć pływaki pod wodę. Samolot trzeszczał i jęczał pod naporem wody i podmuchów wiatru. Leroy zdjął rybacką czapkę z głowy i położył ją na kolanach. Potrzebował jakiegoś pojemnika, w razie, gdyby nie udało mu się opanować mdłości.

Zamknął oczy i w myślach odmawiał zdrowaśki. Tymczasem hydroplan zdawał się obijać pomiędzy półprzezroczystą szarością nieba, a głęboką, ołowianą szarością jeziora.

Stewart panował nad samolotem. Przeklinał i pogodę i swojego pecha, że niedźwiedź zmasakrował właśnie Dursleya. Nie dość, że polubił tego Anglika, to w dodatku wypadek z całą pewnością odstraszy dobrze urodzonych Brytyjczyków. Będą dalej łowić na oburęczne wędki w swoich bezpiecznych, angielskich rzekach, gdzie grizzly, łosie amerykańskie i wilki nie zagrażają nikomu. A ośrodek straci pieniądze...

Światło, zimne i szare jak stal, sprawiło, że nury wyglądały jak gumowe przynęty, kiedy szybko wiosłowały w stronę bezpiecznego brzegu. Hydroplan zakołował im nad głową. Spojrzały w górę, na ogromnego, żółtego ptaka i samica wydała swój lodowaty, a jednak piękny krzyk. Wołanie, niesamowite i groźne, odbiło się echem po wodzie, a potem przepadło gdzieś w rzadkich, świerkowych lasach, ciągnących się wzdłuż jeziora.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Holly zmarszczyła czoło, przeglądając tygodniowy grafik. Przebiegła palcem po spisie, by znaleźć przerwę, podczas której mogłaby wyjść z bloku operacyjnego na pół godziny. Z całego serca pragnęła poznać hrabinę Carrington. Matt Siebens był nieugięty - nie pozwolił jej zobaczyć Dursleya po operacji. Hólly wiedziała, że nie było sensu sprzeczać się z nim. Kiedyś trzymał ją w objęciach i z twarzą zanurzoną w jej włosach szeptał słowa miłości, ale było jasne - Holly nie miała, nie ma i nie będzie miała żadnych przywilejów.

- Nigdy nie widziałam prawdziwej hrabiny, ale teraz ją zobaczę - mruknęła cicho. - Potrzebuję tylko przerwy wcześnie rano, żebym mogła wśliznąć się do sali, gdzie leży jej syn. To musi się zdarzyć po wyjściu Matta, bo w przeciwnym razie będę szukać posady salowej.

Przeraźliwy dzwonek telefonu natarczywie domagał się jej uwagi. Podniosła słuchawkę i nagle uśmiechnęła się. Jeśli teraz wyjdzie, to plan się powiedzie. Z powodu komplikacji, jakie wystąpiły u pacjenta, pierwsza operacja została odłożona. Holly rzuciła okiem na zegarek przypięty do fartucha na piersi. Matt powinien właśnie kończyć obchód, więc będzie bezpieczna. Szybko przygładziła włosy i wyprostowała fartuch.

Wyszła z bloku operacyjnego! energicznym, zdecydowanym krokiem ruszyła wzdłuż korytarza. Bardzo chciała przedstawić się hrabinie jako usposobienie troski i oddania. Pospiesznie minęła oddział intensywnej opieki medycznej. Dursley spędził tu tylko jeden dzień, a teraz leżał w prywatnej sali.

Gdy dobiegły ją podniesione głosy, dochodzące z małej poczekalni przy prywatnych salach, zatrzymała się. Uśmiechnęła się szeroko, gdy wśród nich rozpoznała głos Matta - zimny i twardy. Matt najwyraźniej był zły.

- Proszę pani, pani syn był, jest, i będzie leczony tak samo, jak wszyscy pacjenci w naszym szpitalu, to znaczy doskonale, tak doskonale, że należałoby to słowo napisać wielkimi literami.

- Nasza rodzina pochodzi z czasów...

- Rozumiem, proszę pani. Może być pani pewna, że z tego powodu, iż pani syn urodził się lordem, nie zostanie ukarany gorszym traktowaniem. Wojna o niepodległość zakończyła wszelkie animozje między Anglią i Stanami bardzo dawno temu.

- Nie przywykłam, żeby mówiono do mnie w ten sposób. Będę...

- Główną pani troską powinien być stan zdrowia pani syna, a nie ton mojego głosu ani też sposób, w jaki wypowiadam swoje opinie.

Matt obserwował, jak ramiona hrabiny opadły, a twarz wykrzywiła się. Tylko trochę złagodniał.

- Pani syn został przywieziony ze złamaniem kości czaszki w okolicy ciemieniowej tylnej. Z wieloodłamowym złamaniem kości czaszki z wgłębieniem - wyjaśnił.

Hrabina zbladła i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu chusteczki.

- Przeprowadziliśmy kraniektomię...

- Kraniotomię* - poprawił wujek Dursleya.

Matt nie przerwał swoich wyjaśnień.

- Fragmenty zgniecionej kości zostały usunięte z mózgu, co pozwoliło uwolnić skrzep, który utworzył się przy ranie. - Przerwał i popatrzył na wujka Dursleya. - Kraniektomia zakończyła się powodzeniem.

- Czy będzie normalny? - zapytała hrabina.

- Można się spodziewać lekkiej dezorientacji przestrzennej. Może ona trwać przez tydzień albo przez miesiąc.

Matt przewidział następne pytanie.

- W tej chwili pod jego łóżkiem czai się lew.

Wszyscy spojrzeli na niego zdumieni.

- Kiedy tam wejdziecie, od razu zajrzyjcie pod łóżko. Zapewnijcie go, że lew jeszcze mocno śpi. Dopiero wtedy usiądźcie i zacznijcie rozmawiać. Będzie tego od was wymagał także przy wyjściu. Ustępujcie mu we wszystkim. To przejściowe.

Matt rzucił okiem na zegarek, wziął swój notatnik i skierował się do drzwi.

- Najprawdopodobniej na początku będzie lekko utykał przy chodzeniu. Jutro go uruchomimy.

- Ale mój syn jest poważnie chory. Jak można przypuszczać, że tak szybko zacznie chodzić? - Hrabina skręciła chusteczkę w ciasny węzeł, pragnąc, żeby to kark tego aroganckiego Amerykanina znajdował się teraz w jej rękach. - Jeśli jest to sprawa pieniędzy, żeby zatrzymać tę salę dla niego...

Matt zesztywniał i wydawało się, że wznosi się nad nimi jak grizzly.

- Pieniądze? - warknął. - Nie, proszę pani. Tu chodzi o zdrowie pani

* Kraniotomia - operacyjne otwarcie czaszki, różniące się od kraniektomii tym, że wycina się od razu całą kość, a nie fragmentami.

syna! Dobrego dnia życzę. - Z trudem powstrzymał się, żeby nie trzasnąć drzwiami.

I to byłoby wszystko, jeśli chodzi o maniery wyższych sfer - pomyślał. Żadnego „dziękuję". Kroczył przez korytarz ze spuszczoną głową, raz jeszcze przeżywając nieprzyjemną rozmowę z matką i krewnymi Dursleya. Nie zauważył Holly, gdy wśliznęła się do jednej z sal.

Uśmiechnęła się do pielęgniarki z porannego obchodu. - Przepraszam, pomyliłam sale - powiedziała. - Wiedziała, że nie może wyjść z tej sali, dopóki nie uzyska pewności, że Matt opuścił teren. Spacerowała więc bez celu, podziwiając kwiaty i uśmiechając się do pacjentów.

Pielęgniarka wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym powróciła do swoich obowiązków. Nie miała zamiaru się spóźnić i znosić gniewu przełożonej tylko dlatego, że siostra z bloku operacyjnego zachowuje się dziwacznie.

Holly wyjrzała na korytarz. Był pusty. Skierowała się w kierunku poczekalni, skąd dochodziły podniesione głosy.

- Wstrętny człowiek. - Głos hrabiny słychać było wyraźnie przez zamknięte drzwi. - Wyobraźcie sobie mojego biednego chłopca żyjącego z płytką w czaszce. Niekompetencja, to najlepsze określenie. Gdyby ta operacja została przeprowadzona w kraju przez jakiegoś przyzwoitego neurochirurga z Queens Sąuare, zamiast przez tego niekompetentnego gbura...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka weszła Holly. Hrabina spojrzała na nią zaskoczona.

- Hey - powiedziała Holly, wiedząc, że taka poufałość zwykle irytuje Anglików. Nie lubili u Amerykanów tego, że mówią niedbale i używają kolokwializmów. Ale Holly była wściekła, bo hrabina obraziła Matta.

- Ludzie, nie widzieliście przypadkiem doktora Siebensa? - spytała. Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, ciągnęła dalej. Niepohamowana złość pozbawiła ją wszelkiej ostrożności i ubarwiła jej monolog. - Grzebie w mózgach. - Hrabina przełknęła ślinę. - To wspaniały gość. Lecz kiedy jest zły, silni faceci leją w majtki ze strachu, a słabi zwiewają do mysich dziur. - Holly nie dała nikomu szansy na odpowiedź. - Powiedzcie staremu, że szuka go siostra operacyjna. Zostało nam na dzisiaj kilka wypływających mózgów...

Wypadła z sali i zatrzymała się za drzwiami.

- Natychmiast musimy zabrać Dursleya z tego okropnego miejsca i od tych okropnych ludzi - usłyszała hrabinę. - Bardzo żałuję, że mnie nie posłuchał. Tyle razy go błagałam, żeby nie jeździł do tych barbarzyńskich krajów. Ale on się upierał. Na Trzeci Świat., najpierw Afryka, a teraz ta Alaska.

- Trudno uznać Stany za Trzeci Świat - przerwał jej bardzo głupio brat.

- A jak nazwałbyś tego mężczyznę i tę okropną kobietę? - Podniosła głos i wujek Dursleya zabrał się do uspokajania jej, zanim weszli do Dursleya.

Holly uśmiechnęła się. Hrabina mogła mieć najpiękniejszą cerę bez skazy, mogła mieć włosy ułożone w elegancki francuski kok i nosić najbardziej zachwycające perły, jakie Holly kiedykolwiek widziała, ale nie będzie oczerniać Matta i szpitala Humana.

Przeszła obok drzwi do sali Dursleya, a potem zawróciła. Lepiej będzie, gdy zobaczy pacjenta - będzie miała wymówkę, dlaczego opuściła blok operacyjny. Była pewna, że gdyby Matt podejrzewał, że jeszcze gdzieś była, wszystko by dokładnie sprawdził. A lepiej, żeby nie wiedział o jej wizycie u hrabiny.

Delikatnie otworzyła drzwi. Z sali dochodził cichy szmer głosów. Drobna kobieta o włosach o jakie zawsze były marzeniem Holly - grubych, prostych i lśniących - siedziała przy łóżku, trzymając Dursleya za rękę. Obok niej stał wysoki mężczyzna o ostrych rysach, który sprawiał wrażenie kogoś, kto czuje się bardzo nie na miejscu w szpitalnej sali.

Obaj są wysocy i przystojni - pomyślała Holly, taksując w wyobraźni ich ciała. Pacjent, przypominający małego chłopca, budził uczucia macierzyńskie - zdecydowała, podczas gdy ten z brodą i blizną pod okiem przypominał swoim wyglądem radę matki, żeby nie rozkładać nóg za wcześnie.

Holly pochyliła się i zajrzała pod łóżko.

- Lew mocno śpi, proszę pana. Wygląda na to, że będzie spał przez cały dzień.

Dursley podziękował uśmiechem, a Casey i Hank spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Jestem Holly - powiedziała do Dursleya. - Pańska siostra operacyjna. Doktor Siebens zrobił wspaniałą robotę na pańskim mózgu. Z pewnością uratował panu życie. Ten człowiek czyni cuda.

- Poznałem go dziś rano - odpowiedział słabo Dursley. - Jest wspaniały.

- Naprawdę. Jest niesamowity.

Holly poprawiła poduszki pod głową Dursleya. Jego głowa, owinięta bandażami, leżała na świeżej, bawełnianej poszewce i wyglądała jak zaokrąglona, polna pieczarka.

- A pan, według opinii doktora Siebensa, ma nadzwyczajny mózg - dodała, kiedy skrzywił się z bólu. - Doktor Siebens twierdzi, że zawsze może poznać, czy mózg, który operuje, jest dobrze używany i inteligentny. Kretyni mają chude, malutkie zwoje mózgowe. Pańskie są pulchne i wielkie.

- Musi istnieć jakiś łatwiejszy sposób, żeby się dowiedzieć, czy ktoś ma dobry mózg - zauważył Dursley.

Holly badawczo przyjrzała się jego twarzy.

- Wyzdrowieje pan - powiedziała zadowolona, że Dursley jest zdolny, by żartować na temat operacji. - Mam być na sali operacyjnej za dziesięć minut - dodała po sprawdzeniu godziny. - Chciałam się tylko przywitać i powiedzieć panu, że wszystko będzie dobrze.

Dursley podziękował uśmiechem i zamknął oczy. Ciągle był senny po lekach.

- Lwy? - szepnęła Casey, odprowadzając Holly do drzwi. - Czy jest pomylony? - Holly zmarszczyła czoło. - Chciałam powiedzieć, czy zwariował?

- Nie, to tylko niewielka dezorientacja przestrzenna - odparła Holly, powtarzając określenie, jakiego użył Matt w rozmowie z hrabiną. - Proszę udawać, że pani widzi to, co on widzi. To minie za kilka tygodni.

- Dziękuję - powiedziała Casey, z ulgą przyjmując informację, że mózg Dursleya nie doznał żadnych trwałych uszkodzeń. Chory spał, kiedy ona i Hank cicho weszli do sali, więc nie musieli sprawdzać, czy lew śpi. Holly zauważyła, że Casey zesztywniała, gdy ostry, władczy głos matki Dursleya rozległ się na korytarzu.

- Powodzenia - szepnęła konspiracyjnie i ścisnęła ramię Casey.

Pielęgniarka odetchnęła z ulgą, kiedy drzwi na blok operacyjny zamknęły się za nią. Hrabina Carrington rozczarowała ją. Spodziewała się kogoś godnego i eleganckiego.

Jak większość Amerykanów, miała słabość do arystokracji. Wytrwale śledziła telewizyjne reportaże, dotyczące brytyjskiej rodziny królewskiej.

- Siostro... - głos Matta wyrwał ją z marzeń, więc przygotowała się na kolejny długi dzień na sali operacyjnej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Casey westchnęła z ulgą, kiedy Boeing należący do British Airways nabrał szybkości i oderwał się od pasa startowego. Jej oddech pokrył mgiełką nieregularne koło na płaskiej szybie okna na Międzynarodowym Dworcu Lotniczym w Anchorage. Hank pochylił się do przodu i napisał „H. kocha C."

Casey oblała się rumieńcem i wytarła plamę rękawem anoraka, zanim grupa młodych ludzi z plecakami, rozwalona obok nich na podłodze, zdążyła to skomentować.

- Casey. - Obróciła się na pięcie, rozpoznając głos Earla. Jej szyję i policzki pokrywał rumieniec. Odsunęła się od Hanka, stwierdzając z ulgą, że zdradzieckiej plamy na oknie już nie widać.

- Gdzie jest Dursley? - zapytał Leroy, zbliżając się za Earlem. Schylił głowę, bo Earl rzucił się wściekle na niego. - Mieliśmy nadzieję, że go zobaczymy i pożegnamy się z nim, zanim nasz samolot odleci.

- Jest jeszcze w Humanie. Minęliśmy się z jego rodziną o kilka minut - odparła Casey. - Wrócili już do Londynu. Ja polecę z Dursleyem i lekarzem, który będzie się nim opiekował. Mamy nadzieję, że już wkrótce wyjedziemy.

Zanim Leroy zdążył zadać jakieś kolejne nietaktowne pytanie, wtrącił się Hank.

- Casey nie mogła wracać z rodziną, bo wszystkie miejsca w samolocie są zarezerwowane. Jej lekarz nie pozwolił, by leciała najtańszą klasą. Nalegał, by podczas podróży miała krzesło z regulowanym oparciem.

Earl z powagą skinął głową. Stewart na bieżąco informował ich o zdrowiu całej trójki.

- Brakowało nam ciebie - powiedział.

- To pozwoliło mi odetchnąć. Siniaki na moich kolanach są teraz żółte - powiedział Leroy, stale uważając na nogę Earla.

- Tak - zadrwił Earl. - Ten bałwan nie potrafi zdenerwować Kit, więc moje nogi nie miały zbyt wiele gimnastyki.

Casey roześmiała się.

- A jak tam Kit?

- Bardzo się zmieniła od chwili, gdy Stewart przywiózł jej z King Salomon jakąś paczkę - odparł Earl.

- Jest teraz jak kot, co ma śmietanę na wąsach - dodał Leroy. - Coś w tej paczce musiało być. Tylko się uśmiecha. Nawet pocałowała Earla na pożegnanie.

- Zamknij się - warknął Earl, ale Leroy był przygotowany na cios. Wśliznął się za Casey i położył jej ręce na ramionach.

- Nie można uderzyć kobiety, szczególnie, gdy ma pęknięte żebra - powiedział.

- Jak noga? - zapytał Earl, zwracając się do Hanka.

- Do następnego sezonu powinna b^ć w porządku. Na razie będę pracował w ośrodku jako urzędas przy biurku.

Metaliczny głos kobiecy, identyczny na każdym lotnisku, wezwał pasażerów lecących do Seattle, by odebrali swoje karty embarkacyjne. Earl i Leroy podnieśli torby i uścisnęli ręce Hanka i Casey. Earl nagle przystanął, odwrócił się i wielkimi krokami podszedł do nich, pochylił się i pocałował Casey. Ona stanęła na palcach i objęła go.

Hank i Casey patrzyli, jak dołączył do Leroya. Leroy coś powiedział i uśmiechnął się szeroko. Hank i Casey wybuchnęli śmiechem, gdy turystyczny but Earla wylądował na jego kolanie.

- Ten żółty siniak znowu zrobi się siny - powiedziała Casey. Pomachała do nich ręką, gdy jeden za drugim wychodzili z sali.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nimi, uświadomiła sobie, jak bardzo ich obu polubiła w ciągu tych kilku dni, gdy razem łowili ryby.

- Będzie mi ich brakowało - powiedziała. - Obu.

- Tworzyli razem świetną parę, jak Tom i Jerry, ale to dobrzy chłopcy - odparł Hank. Objął ją ramieniem i ostrożnie poprowadził do frontowego wyjścia z budynku. - Stewart mi mówił, że zarezerwowali pobyt na następny sezon.

Kiedy wyszli z budynku, dopadł ich ostry wiatr i Casey zachwiała się, wpadając na Hanka. Jej torba zaczepiła o jego nogę w szynie, tak że prawie jęknął. Zagryzając wargę zatrzymał taksówkę. Pomógł Casey wejść na tylne siedzenie i sam ostrożnie wcisnął się do środka, siadając przy niej.

- Co się wam stało? - ze zdziwieniem zapytał kierowca. - Bawiliście się z niedźwiedziami?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział szorstko Hank, ucinając rozmowę. Kierowca potrząsnął głową, rozwinął z papierka gumę do żucia, odkręcił ogrzewanie i głośniej nastawił radio. Podskakując na wybojach, ruszli do Anchorage z przepisową prędkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Hank ustalił ze Stewartem, że sam weźmie odpowiedzialność za wyekspediowanie Casey i Dursleya do Londynu, kiedy Matt Siebens zadecyduje, że Dursley może już podróżować.

Zadowolony Stewart wrócił do ośrodka. Przed odlotem zjadł obiad z hrabiną i całą rodziną Dursleya. Ku zdumieniu Hanka i Casey podczas całego posiłku milczał. Od czasu do czasu uśmiechał się lub kiwał głową.

- Nie mogłem zrozumieć ani słowa z tego, co mówili - wyznał później Hankowi. - Dlaczego oni po prostu nie mówią po angielsku?

Hank uśmiechnął się szeroko, rozumiejąc jego położenie. Przez pierwszych kilka lat, gdy zimą mieszkał w Anglii, często zastanawiał się, czy Anglicy mówią po angielsku, czy też w jakimś dziwnym dialekcie. Gdyby nigdy nie mieszkał w Londynie, wątpliwe czy on także byłby w stanie zrozumieć hrabinę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Hank sprawdził bagaż Casey, kiedy boy wyładował go z pozłacanego wózka bagażowego. Jego ręka szybko zamknęła się z napiwkiem i chłopiec opuścił narożny apartament, rzucając znaczące spojrzenie na Hanka. Hank udał, że nic nie widzi albo nie rozumie i szybko zamknął za nim drzwi.

Rzucił czapkę na kanapę i przebiegł palcami po swoich krótko obciętych włosach. Sterczały jak kolce jeża.

- Wyglądasz jak szczotka klozetowa - roześmiała się Casey. - Ale ładna - dodała, kiedy udał oburzenie. Odwróciła się i stanęła przy wielkim oknie, wychodzącym częściowo na Zatokę Cooka i Knik Arm.

- Spójrz! - zawołał z podnieceniem, kiedy fontanna wody uniosła się wysoko w powietrze i opadła do morza, tworząc kaskadę delikatnej mgiełki.

- Wieloryby, Hank. Och, jakie wspaniałe.

- Wieloryby przynoszą szczęście - odparł Hank.

- Teraz zaczynasz mówić jak Traper Jack. - Casey badawczo przyglądała się jego twarzy, ale Hank był poważny.

- Każdy dobry Inuit wie o tym - dokuczał jej, a potem zamilkł. - W dawnych czasach w Barrow używali kawałka rozciągniętej foczej skóry jako trampoliny i podrzucali młodą dziewczynę jak najwyżej, by mogła dostrzec wieloryby.

- Słyszałam o podrzucaniu na kocu, ale myślałam, że to rozrywka wymyślona dla turystów.

- Nie - powiedział Hank. - Nie mają wzgórz ani drzew, ani wielopiętrowych hoteli takich jak Kapitan Cook. Kiedyś potrzebowali wysokości, żeby zobaczyć białuchy czy wieloryby grenlandzkie, które przepływały z okolic Morza Beringa i krążyły wokół Przylądka Barrow.

- Żeby je zabić - powiedziała Casey, przyciskając twarz do szyby w nadziei, że zauważy wydmuchującego powietrze wieloryba.

- Ale nie dla zysku, Ticasuk. Ściganie wielorybów w otwartych łodziach z foczej skóry nie jest sportem. Inuici potrzebują tych ssaków. Polowanie na wieloryby to sens ich życia.

- Mieli właśnie zebrać obfity plon, zabijając te biedne zwierzęta, które kilka lat temu morskie lody złapały w pułapkę. Pamiętasz, jak przypłynął rosyjski lodołamacz i utorował im drogę? - spytała Casey.

- Los zabijanych zwierząt budzi sumienie świata. Ludzie szaleją, wydają miliony i w efekcie kończą na położeniu plastra na trąd - łagodnym głosem sprzeciwił się Hank.

- Ale te wieloryby... - wtrąciła Casey.

- Żyją, krążąc po polarnych morzach. Prawdopodobnie setki wyruszają w swe doroczne wędrówki zbyt późno i kiedy gruby lód pokryje morze, nie mogą go przebić, by zaczerpnąć powietrza, więc giną. Środki masowego przekazu nagłośniły ten problem, ale to właśnie umiejętności Inuitów, a nie wielkie lodołamacze, ocaliły te wieloryby. Pamiętaj o tym, kochanie.

- O, tak - powiedziała Casey. - Wycinali otwory oddechowe w lodzie i wyprowadzali wieloryby na otwarte wody, prawda?

Hank przytulił twarz do jej karku, wdychając jej zapach, by go zapamiętać na zawsze. - Tak właśnie robili, moja mała Ticasuk. - Przytulił ją mocniej. - Co ja bez ciebie zrobię?

Casey objęła go ramionami, nie zwracając uwagi na ból, który przeszył jej klatkę piersiową. - Cierpliwości, Hank. Właśnie tego teraz nam potrzeba.

- Quinuitug - odpowiedział miękko, podnosząc jej włosy z karku i puszczając je, by opadły swobodnie, ciężkim, hebanowym deszczem. - To inuickie słowo, oznaczające głęboką cierpliwość, tak potrzebną w Arktyce - wyjaśnił. - Bez tej zdolności do pozornie niekończącego się wyczekiwania niewielu by przeżyło.

- Ale my przeżyjemy - odparła Casey. - Cierpliwość będzie dla nas łatwa, bo mamy naszą miłość.

Hank oparł policzek na jej dłoni. W jego oczach malował się niepokój. Poznał hrabinę Carrington i już wiedział czemu Casey będzie musiała stawić czoło. Lękał się o nią. Obawiał się, że nie mając go przy sobie, podda się i zgodzi na małżeństwo z Dursleyem.

Odczytując jego myśli, Casey podniosła rękę i pogłaskała go po policzku.

- Nigdy nie przestanę cię kochać. Bez względu na to, jak długo Dursley będzie wracał do zdrowia. Wrócę i zostanę twoja żoną, Hanku Butlerze. Przysięgam. - Kiedy się odwróciła jej oczy były ciepłe i mokre od łez.

- A ja przysięgam, że będę czekał na ciebie, Ticasuk. Te wieloryby za oknem to nasz dobry znak. - Ich usta się spotkały i na króciutką chwilę ich szczęście wróciło.

Żadne z nich nie usłyszało dzwonka do drzwi.

- Przepraszam, proszę pana. Dzwoniłem trzy razy, a potem użyłem zapasowego klucza - powiedział młody mężczyzna, balansując podpartą na ramieniu tacą z wiaderkiem na lód.

Owinięta złotą folią szyjka butelki, głęboko zanurzonej w lodzie, zwróciła uwagę Hanka. Zapomniał, że zamówił kraby królewskie i butelkę

szampana do apartamentu. Ten wydatek mocno nadszarpnie jego skromny budżet.

Widząc, jak Casey, zarumieniona odwraca się od kelnera, by popatrzeć na morze, wiedział, że oddałby wszystko co ma, byleby tylko zatrzymać ją przy sobie.

Casey pisnęła, gdy Hank odłamał gigantyczne kleszcze kraba. Odsunęła się, kiedy soki rozprysnęły się po stole. Mięso było białe i soczyste.

Ich nastrój poprawił się przy szampanie. Obserwowali, jak morze naśladuje stale zmieniające się, subtelne odcienie nieba, które słońce pokrywało prążkami i malowało barwę brzoskwini, złota i srebra.

- Mamy tak wiele szczęścia - powiedziała Casey, oblizując palce i odsuwając talerz, na którym piętrzył się stos połamanych i pustych, czerwonych kleszczy. - Odnaleźliśmy się. Pomyśl o tych milionach nieszczęśliwych ludzi, którzy szukają miłości i zawsze znajdują nie tego, kto jest im przeznaczony.

- Naprawdę mamy wiele szczęścia - uśmiechnął się Hank. - Czy zdajesz sobie sprawę, że ja mam zdruzgotane kolano, ty połamane żebra, ale wciąż mamy razem pewne części ciała, które pracują bez najmniejszych usterek.

Casey popatrzyła na niego ze zdumieniem, a potem zaczęła chichotać. Przez wiele już dni nie czuła się tak wolna i szczęśliwa. Straszliwa hrabina opuściła Anchorage. Załatwiła lekarza, który poleci z nimi do Londynu. Dursley wyzdrowieje.

Casey całym sercem była oddana Hankowi i wiedziała, że do niego wróci. Wszelkie wątpliwości i rozterki rozwiały się w powietrzu, jak smuga pary wodnej, ciągnąca się za Boeingiem.

- Wypróbujmy więc te zdrowe części ciała - roześmiała się i poprowadziła go do sypialni.

Kilka godzin później zjawił się kelner, żeby zabrać talerze. Znowu zadzwonił do drzwi. Nikt nie odpowiadał. Otworzył więc sam.

Przywitały go ciche okrzyki kobiety, śpiewającej swą miłosną pieśń. Poczuł, że oddycha coraz szybciej. Zły był na siebie, że przyjął od boya, którego spotkał w windzie, tę wiadomość i zgodził się, że ją odniesie.

Odwrócił oczy od nieodgrodzonej ścianą sypialni, łączącej się z salonem i zajął się zbieraniem pustych kieliszków i talerzy najciszej jak potrafił. Był przerażony, że go zobaczą i będą przekonani, że jest zboczeńcem - podglądaczem. Upuści karteczkę przy wejściu, żeby wyglądało, że ktoś wsunął ją do pokoju przez drzwi.

Przeraził się, kiedy okrzyki Casey stały się głośniejsze i mocno wibrowały w powietrzu. Wyczuwając, że kobieta zbliża się do orgazmu, a wkrótce potem jego obecność może zostać wykryta, pospiesznie opuścił apartament, nie zapominając o położeniu karteczki na dywanie. Zamknął cicho drzwi.

- Zostańmy tu na zawsze - mruknęła Casey, wtulając się w zagłębienie ramienia Hanka.

- Możemy spróbować. Przynajmniej do jutra, kiedy będziemy musieli pójść do szpitala, żeby ci przebandażowali żebra i... Zamilkł. Nie chciał myśleć o tym, że ona opuści szpital i Anchorage z Dursleyem.

- Żebra? - powiedziała Casey, wyczuwając, dlaczego przerwał w połowie zdania. - Po prostu muszą się zagoić. Zamierzam powiedzieć temu młodemu lekarzowi, że znalazłam doskonałe lekarstwo na pęknięte żebra.

- To ty jesteś doskonała - odparł, całując ją w kark. Jej skóra była miękka, wilgotna i lekko słona.

Obudzili się w pokoju pomalowanym na kolor morelowy i brązowożółty. Zatoka Cooka, jak zwierciadło, odbijała łagodny blask zachodzącego słońca. Hank nienawidził tych delikatnych promieni. Zwiastowały początek krótkiej nocy. Ciemność będzie trwała tylko kilka godzin, a potem wstanie nowy dzień. Dzień, w którym Casey wróci do Anglii.

Nie był już w stanie jej dotknąć. Jego myśli pędziły naprzód i zatrzymywały się na tych długich miesiącach, które będzie musiał spędzić bez niej. Dręczyła go rozpacz, głęboka, czarna i przytłaczająca. Objął ją mocniej. Położył policzek na jej pełnych piersiach, szukając pocieszenia w rytmicznym biciu jej serca.

Casey, wyczuwając jego udrękę, przycisnęła jego głowę mocniej do piersi i delikatnie przesunęła dłonią po jego włosach, starając się dodać mu otuchy.

Gorąco pragnęła zachować tę chwilę i powracać do niej, kiedy będzie sama w Anglii, lecz wiedziała, że podobnie jak stara, ciemnobrązowa fotografia, chwila ta także z czasem wyblaknie...

Ginące słońce schwytało fontanny wody, wyrzucone w górę przez wieloryby, i zamieniało je w lśniące kaskady złota i srebra. Tryskająca woda wybuchała milionem kropelek i rozpływała się w powietrzu. Chwilowe i zapierające dech w piersiach zjawisko, cudowny fajerwerk.

Ale Hank i Casey nie oglądali tego niepowtarzalnego pokazu. Leżeli, spleceni w objęciach, mrucząc czułe słowa i planując wspólną przyszłość, w którą nie mogli przestać wierzyć.

W pokoju było jeszcze ciemno, gdy Hank usłyszał skrzyp lekko uchylanych drzwi. Nie otwierał oczu. Wiedział, że gdyby zobaczył Casey, nie pozwoliłby jej odejść. Musiał ją kochać na tyle mocno, by znieść rozłąkę.

Kiedy drzwi się zamknęły, przycisnął jej poduszkę do twarzy i wykrzyczał w nią swoją udrękę.

Casey zatrzymała się na korytarzu. Mało brakowało, a zawróciłaby do pokoju, myśląc, że Hank ją woła. Ściskała w dłoni skrawek papieru. Przeczyta go w windzie, przy dobrym świetle. Musieli wsunąć go pod drzwi, gdy spaliśmy - pomyślała. Wokół panowała cisza. Dziewczyna wcisnęła kwadratowy przycisk windy i szybko wśliznęła się do jej jaskrawo

oświetlonego wnętrza. W windzie tłoczyła się zaspana grupa turystów i Casey wepchnęła karteczkę do kieszeni. Przeczyta później.

Hank trzymał poduszkę mocno przy twarzy, jakby tulił w ramionach Casey. Jej zapach przylgnął do białej poszewki jak miłosny pocałunek, pełen najsłodszych obietnic. Hank wyszlochał w poduszkę cały swój lęk i tęsknotę. Kiedy uświadomił sobie, co robi, cisnął poduszką, która uderzyła o ścianę z głuchym plaśnięciem. Ten gest przywołał w jego pamięci jakiś głos z przeszłości.

Masz w sobie siłę, żeby zdobyć to, co chcesz. Ty jesteś tą siłą. Uwierz w siebie. Użyj swej siły, a będziesz miał to, czego pragniesz.

- Traper Jack - wyszeptał Hank. Podniósł znowu poduszkę, wdychając delikatny zapach eleganckich perfum. Starannie ułożył poduszkę w głowach łóżka. Spróbował wstać, jęknął, bo noga w szynie boleśnie zaprotestowała.

- Muszę skontaktować się z Traperem Jackiem i uprzedzić go, że będę tej zimy w Barrow - mruknął, kuśtykając do łazienki. Czuł się wyprany z wszelkich emocji, lecz spokojny, prawie obojętny. Będzie sobie wyobrażał przyszłość z Casey. I to mu się przydarzy.

Winda szarpnęła i zatrzymała się. Casey czekała, aż grupa leniwych turystów wreszcie ją opuści. Było jeszcze za wcześnie, żeby jechać na lotnisko. Musiała uregulować wszystkie szpitalne rachunki, zanim polecą do Londynu.

Hrabina skontaktowała się z wybitnymi londyńskimi specjalistami, żeby sprawdzić kompetencje Matta Siebensa. Starsza dama była nieco zdumiona, gdy okazało się, że jej londyński lekarz nie dość, że słyszał o takim doktorze[1], ale na dodatek mówił o nim z wielkim szacunkiem. Niemniej jednak nie będzie zadowolona, dopóki Dursley nie zostanie porządnie zbadany.

Casey szybko znalazła swoją kartę kredytową Gold Amex i zapłaciła za hotel. Postanowiła zmitrężyć trochę czasu nad śniadaniem w Pantry, restauracji hotelowej, zanim nie nadejdzie pora, by jechać do Humany. Ureguluje rachunek za szpital, a potem pojedzie na lotnisko.

Kiedy przesuwała wafle z syropem klonowym po żółtku, które wylało się z jajek sadzonych, myślała o Hanku, który był tak blisko. Wystarczyło do niego pójść...

Nagle przypomniała sobie o karteczce spoczywającej w kieszeni. Kiedy przeczytała, sala zawirowała jej przed oczami. Odepchnęła krzesło, wywracając je, i zbiegła ze schodów, a potem wypadła na ulicę. Kelnerka wpatrywała Się w przewrócone krzesło. W ręku trzymała rachunek. - Zabierz to do recepcji - powiedziała zmęczonym głosem dziewczyna przy kasie. - Kelnerka potrząsnęła głową. Ta młoda dama nie wyglądała na osobę, która ma zwyczaj zjadać śniadanie za darmo i wybiegać z restauracji przed zapłaceniem rachunku.

Casey nie spojrzała na ciężki budynek hotelu, kiedy taksówka z trudem przedzierała się w kierunku szpitala. Wymruczała pożegnanie dla Hanka i obietnicę, że wróci, gdy tylko będzie mogła.

Słowa, napisane na białym skrawku papieru, brzmiały: „Pilne. Proszę jak najszybciej przyjść do pokoju lorda Carringtona. Potrzebujemy pani pomocy."

>

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kit ściągnęła świeżo umyte włosy w kok na czubku głowy. Związała go niebieską wstążką.

- Na szczęście - szepnęła. - To będzie chłopiec.

Hank miał wrócić do ośrodka z nową grupą klientów, którą pilot Stewarta odbierał w King Salmon.

Kit bawiła się kokardą. Polizała palec wskazujący i przejechała nim po swoich ciemnych brwiach, nadając im kształt prostej linii. Przejrzała się w małym lustrze przymocowanym do drzwiczek wiszącej na ścianie szafki.

- Nieźle - stwierdziła i naniosła odrobinę błyszczyku na kształtne usta. Spojrzała w stronę muszli klozetowej. Plastikowe siedzenie wydawało się zimne i niezachęcające. - Zostało jeszcze piętnaście minut do ich przyjazdu...

Szybko zamknęła małe okienko. Zrobiło się cieplej. Pogrzebała w torbie z przyborami toaletowymi i postawiła mały, plastykowy dysk obok miski. Wzięła styropianową miseczkę i ostrożnie usiadła na sedesie. Zadygotała, gdy jej ciepłe ciało odruchowo cofnęło się od lodowatego plastiku.

- No, już. Tylko kilka kropelek - poganiała samą siebie, odsuwając mankiet grubego, kraciastego żakietu, żeby sprawdzić godzinę. Wiedziała, jak bardzo wymagający był Stewart; nie tolerował żadnych spóźnień. Cały personel w wyznaczonej minucie miał czekać w głównym budynku na powitanie nowo przybyłych.

W tej chwili była w jego łaskach i zajmowała się najważniejszymi klientami. Zależało jej na tym, by jej pozycja nie uległa zmianie, ale nie mogła oprzeć się pokusie zrobienia ostatniego testu ciążowego przed przyjazdem Hanka.

Uśmiechnęła się szeroko, czując, że miseczka robi się coraz cięższa. Jej jasne włosy zawirowały nad wstążką, kiedy pochyliła się nad plastikowym dyskiem.

- Pięć - powiedziała, gdy ostatnia kropla moczu wpadła do małego wgłębienia w dysku, który miał potwierdzić jej ciążę.

Jej oczy zwęziły się i zaczęła bębnić palcami po plastikowej misce, gdy na tabliczce nie pojawiła się niebieska linia. Poczekała chwilę... i... jest, kreska sięgała aż do obszaru kontrolnego.

- Oto i on! - wykrzyknęła w podnieceniu. - Mały Hank. - Po raz ostatni rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze i pospiesznie wyszła z ubikacji.

Teraz wystarczy tylko powiedzieć Angeli - pomyślała. Do śniadania wszyscy, włącznie z Drewnianą Nogą po drugiej stronie jeziora będą wiedzieli, że jestem w ciąży z Hankiem.

Kiedy biegła do głównego budynku, uświadomiła sobie poważniejsze konsekwencje, związane z macierzyństwem. Odkąd została przewodniczką, myśl o opiekowaniu się dzieckiem coraz mniej ją cieszyła. Szybko aooaia miesiące na palcach. - Cholera - zaklęła. - Do maja, kiedy zaczyna działać ośrodek, nie będę jeszcze gotowa. Jeśli mnie tu nie będzie, Stewart zatrudni na przewodnika jakiegoś faceta i nigdy już nie wrócę na tę posadę.

- Czerwiec. Dałabym radę na czerwiec, gdyby ciotka Lily zajęła się dzieckiem.

Kit miała ciotkę, starą pannę, która była przekonana, że mężczyźni są istotami niższej kategorii i zostali stworzeni przez pomyłkę. Uwielbiała dzieci i adoptowała troje niemowląt - jedno chińskie i dwa tajskie.

- Pokocha moje dziecko - powiedziała Kit. - Będzie najbardziej podobne do jej własnego, którego nigdy nie będzie miała. Powiem jej, że w jego krwi są także jej geny.

- Mówisz sama do siebie, Kit? - To się często zdarza pod koniec sezonu. Właśnie wtedy zaczynamy odreagowywać.

Kit podniosła wzrok i zobaczyła Stewarta, stojącego na drewnianym pomoście przed budynkiem. Opierał się o drzewo flagowe, trzymając ręce głęboko wetknięte w kieszenie wiatrówki. Piękna, ciemnoniebieska flaga Alaski z ośmioma złotymi gwiazdkami, przedstawiającymi Wielką Niedźwiedzicę i Gwiazdę Polarną na niebie, leżała w powietrzu wyprostowana przez wiatr, tak samo jak kitka Stewarta.

To najlepsza chwila - pomyślała Kit. Powiedz mu i załatw sobie posadę na przyszły rok.

Zanim się odezwała, z trudem przełknęła ślinę. Bała się reakcji szefa. Trzeba twardo walczyć o to, czego się pragnie - pomyślała. Mało ją obchodziło, że Hank z pewnością będzie zły i zażenowany, kiedy usłyszy od niej, że Stewart już wie, że to on jest ojcem jej dziecka.

- Stewart - powiedziała. - Muszę z tobą porozmawiać. Świetnie, że jesteś sam.

Stewart w milczeniu wskazał gestem na jeden z leżaków. Doświadczenie nauczyło go, że kiedy ktoś z personelu potrzebuje osobistej rozmowy, to zwykle czegoś chce. Usiadł w milczeniu, wpatrując się w jezioro Nonvianuk. Chciał, żeby Kit zaczęła. Sprawdził, że milczące oczekiwanie zwykle denerwuje petenta, co znacznie zmniejsza żądania.

«

Nie zareagował na wyznania Kit o głębokiej miłości, jaka łączy ją z Hankiem, i o ich ślubie, planowanym na koniec sezonu; pozwolił sobie na lekkie uniesienie brwi na wiadomość o ciąży.

- Czy Hank wie?

- Nie. Dopiero sama się zorientowałam, ale będzie wzruszony. Tak bardzo tego pragnęliśmy.

Druga brew Stewarta uniosła się w ślad za pierwszą. Hank nic nie mówił o małżeństwie. Niedawno rozmawiali o kontrakcie na następne dwa lata. W milczeniu wzruszył ramionami i dalej obserwował jezioro, połyskujące w promieniach słońca. Nie mógł się oprzeć złudzeniu, że jego powierzchnia pokryta jest tafelkami lodu. Falująca woda wyglądała tak, jakby te cienkie, przezroczyste lodowe tafle nasuwały się na siebie, wysoko, coraz wyżej, aż do rozpryśnięcia na drobne kryształki, i z powrotem opadały na fale.

Stewart przymrużył oczy, patrząc na to tańczące światło. Kit obserwowała go z niepokojem, nieświadoma i nieciekawa piękna, które go urzekło.

- Od czerwca będę już mogła prowadzić klientów - powiedziała.

Stewart odwrócił się tyłem do jeziora Nonvianuk i utkwił wzrok w dziewczynie.

- W tym ośrodku nie ma miejsca dla niemowląt - warknął. - Jeśli chcesz być matką, to twoje miejsce jest w domu z dzieckiem.

Kit myślała gorączkowo. Nie było sensu go błagać. Dobrze wiedziała, że żadne prośby go nie wzruszą.

Wstała i wepchnęła ręce w tylne kieszenie dżinsów. Była wyższa od Stewarta i teraz miała tę przewagę, że patrzyła na niego z góry.

- Chcę być przewodnikiem - powiedziała - i to przewodnikiem tutaj, w twoim ośrodku. Jestem dobra i mężczyźni mnie akceptują.

Stewart wiedział, że ma rację. Wpatrzył się w jezioro, starając się rozwiązać problem, który wyłonił się tak niespodziewanie i pokrzyżował jego plany dotyczące następnego sezonu wędkarskiego.

- Załatwiłam, że moja ciotka, która mieszka na Florydzie, zaopiekuje się dzieckiem, kiedy ja będę tutaj przewodnikiem. Przez resztę roku będę się sama nim opiekować - kłamała bezwstydnie.

Wpatrywała się w Stewarta, prowokując jego spojrzenie. Już dawno odkryła, że mężczyźni w głębi duszy są tchórzami. Łatwo im jest okazać gniew, czy przyznać się, o co im naprawdę chodzi, w listach lub przez telefon, a najlepiej nagrać się na automatyczną sekretarkę. Kiedy staną z człowiekiem twarzą w twarz głęboko ukrywają prawdziwe intencje, muszą być „dobrymi facetami", lubianymi i podziwianymi.

Stewart popatrzył na nią, a jej ciemnobrązowe oczy przeszyły go na wylot. Cholerne dzieciaki i ich szalejące hormony. Ale ona ma rację - pomyślał. Jest piekielnie dobrym przewodnikiem i nie ma w tym nic złego, że się ma przystojną kobietę, która prowadza mężczyzn po rzekach.

- Spróbujemy przez jeden sezon - ustąpił. - Ale podpiszesz kontrakt,

że nie będziesz opłacana za okres, który spędzisz na Florydzie. Musisz zdecydować, kim chcesz być, przewodnikiem czy matką. Nie możesz być jednym i drugim jednocześnie.

- Czyżby, do diabła! - pomyślała Kit radośnie. Wygrała pierwszą rundę.

Gdy dotarł do nich warkot hydroplanu, oboje podnieśli wzrok. Pilot okrążał ośrodek, by klienci mogli przez chwilę podziwiać wspaniałe położenie tego miejsca i cieszyć się na czekający ich tydzień wędrówek i połowów. Personel powoli wyszedł na dwór przygotowując się do entuzjastycznego powitania gości.

- Przedostatnia grupa - powiedział Bill, wychodząc z samolotu i wkraczając na pomost. - Jeszcze tylko jedna i po sezonie. - Uśmiechnął się szeroko do Stewarta i ku jego zaskoczeniu Stewart odwzajemnił uśmiech.

Stewart nie lubił, gdy ktoś inny pilotował jego samolot. Czuł się wtedy bezradny jak bielik z podciętymi skrzydłami. Brakowało mu wolności, jaką daje błądzenie po niebie, ale teraz, niestety, nie mógł opuścić ośrodka. Zajął miejsce Hanka i pracował jako przewodnik. W jego wieku była to ciężka i męcząca praca. Po raz pierwszy on także z radością przywita koniec sezonu. Był zadowolony, że postanowił zakończyć go wcześniej. Ryb było coraz mniej i przewodnicy musieli coraz ciężej pracować, by znaleźć dobre pstrągi.

Nie chciał, żeby jego ośrodek stracił opinię miejsca, w którym naprowadza się klientów na najlepsze okazy, zarówno pod względem ilości, jak i jakości. Należało więc dobrze zabezpieczyć wszystko na zimę. Budynki zostaną zabite deskami, żeby nie grasowały po nich niedźwiedzie i łosie. On i większość pracowników przeniosą się na południe.

Ginger, pomocnica Angeli w kuchni, miała pozostać w Anchorage. Jej wyobrażeniem Nieba, jak zwierzyła się Angeli, był taki stan, w którym liczba mężczyzn przewyższała liczbę kobiet w stosunku siedem do jednego. Stewart nie odnowił z nią kontraktu na następny rok i wcale jej to nie zaskoczyło. Była dobrą kucharką i z przyjemnością dzieliła łóżko z przewodnikami. Ale wiedziała, że jej obecność stale przypomina Stewartowi o incydencie w hotelu. Nie rozumiała, dlaczego martwił się tą jedną wspólną nocą. Mężczyźni są śmieszni i są po to, żeby się z nimi dobrze zabawić.

Stewart był jedynym żonatym mężczyzną, którego znała, dręczonym wyrzutami sumienia. Było to dla Ginger okropnie nudne.

Jaki to facet - pomyślała. Sam robi coś, czego się wstydzi, ale cierpieć mam ja. To ja nie będę miała pracy. Nikomu w ośrodku nie opowiedziała o nocy, którą spędziła z nim w Anchorage, bo potrzebowała roboty. Ale przed wyjazdem, pod koniec sezonu, to Angela będzie pierwsza, która się o tym dowie. Postanowiła, że personel nie tylko zostanie poinformowany o jego niewierności, ale dowie się także w szczegółach o jego chrząkaniach i pojękiwaniach w czasie, gdy się kochali. To mu trochę utrze nosa - pomyślała radośnie. Zgromadzeni na pomoście przyglądali się badawczo

nowym klientom. Kit natychmiast rozejrzała się za Hankiem. Wydawało się, że lekko staje na chorej nodze, ale z powodu longety wyraźnie kuleje.

Przywitano gości i zaprowadzono do chatek. Przewodnicy otoczyli Hanka, pytając o Dursleya i Casey.

- Gratuluję - powiedział Stewart, dołączając do grupy.

- Tak, świetnie jest móc kuśtykać - uśmiechnął się trochę niepewnie Hank.

Kit spojrzała na Stewarta błagalnie. Położyła mu rękę na ramieniu. Stewart ustąpił.

- Mam na myśli operację Dursleya - powiedział nieprzekonywająco.

- Tak - odparł Hank, przenosząc wzrok z bladej twarzy Kit na Stewarta, jakby szukał wyjaśnienia tego dziwnego powitania. - Myślę, że te gratulacje należą się doktorowi Siebensowi. To była naprawdę wspaniała robota.

Przewodnicy, jeden przez drugiego, zasypywali Hanka pytaniami o jego kolano i operację Dursleya. Kit wykorzystała okazję i wśliznęła się za Angelą do kuchni, zostawiając Hanka na leżaku z nogą opartą o ławkę.

Hałas i zamieszanie, towarzyszące przybyciu nowych klientów, już zamarły i ośrodek pogrążył się znowu w głębokiej ciszy Katmai. Hank pokuśtykał do biura obok świetlicy. Jego pracą będzie teraz wydawanie zezwoleń na łowienie ryb i wypełnianie dziesiątków formularzy.

Tęsknił za Casey. Czuł delikatny, kwiatowy zapach jej perfum. Ciągle czuł smak jej oddechu. Pamiętał jej uśmiech. Wydawało mu się, że jej jedwabiste włosy wciąż prześlizgują się pomiędzy jego palcami.

Westchnął głęboko i usiadł, przesuwając w swoją stronę stertę papierów. Nagle otwprzyły się drzwi. Hank wzdrygnął się, kiedy cichy głos powiedział - Hank.

Przez jedną cudowną chwilę myślał, że to Casey. Rozejrzał się i zobaczył Ginger, która opierała się o szafkę z kartotekami i uśmiechała do niego. Ta dziewczyna sprawiała, że czuł się nieswojo. Uważał, że to mężczyzna powinien inicjować związek. Nie był przyzwyczajony do kobiet, które wprost okazywały swoje pragnienia i zapraszały mężczyzn do łóżka.

- Gratulacje - powiedziała, a potem dodała - tatusiu.

Słowa te ukłuły Hanka jak wąsy haczyka, wbijające się w ciało ryby. Wyprostował się i uderzył longetą o biurko. Ból przeszywający kolano i antypatia, jaką czuł do Ginger, dodały twardości jego słowom. Nagle, wspomnienie Kit, siedzącej na nim okrakiem, podziałało na niego jak zimny prysznic. Uświadomił sobie, że Kit musiała powiedzieć dziewczynom, że jest w ciąży.

- Tatuś! - zadrwił. - Pierwszy czy czwarty?

- Mężczyźni! - wybuchnęła Ginger. Pragnęła zobaczyć, jak Hank zareaguje na tę radosną wiadomość. Był jedynym przewodnikiem, który z nią nie sypiał i Ginger nie wybaczyła mu tego lekceważenia. - Wszystko

to jest doskonałą zabawą, dopóki gra nie stanie się poważna, a wtedy jedno o czym marzycie, to siedzieć za linią autową.

Hank odwrócił się do niej plecami i udawał, że przerzuca papiery na biurku.

- To właśnie wszyscy będziecie robić za kilka lat - naigrawała się. - Miła robota w biurze od dziewiątej do piątej, a potem do domu - do żony i dzieci.

Hank zignorował ją, choć jej słowa kąsały i parzyły jak chmary białonogich owadów. Ginger odwróciła się, by wyjść, zadowolona ze swojego poselstwa. Zderzyła się z Kit, której ściągnięte wargi i zawzięta twarz powiedziały jej, że powinna opuścić ten pokój jak najszybciej.

- Suka - syknęła Kit. - Wiesz, że sama chciałam mu o tym powiedzieć.

- Wszystko w porządku - roześmiała się Ginger. - Nasz tatuś jest zachwycony.

- Naprawdę? - twarz Kit złagodniała. Ścisnęła ramię Ginger. - Dzięki. Dobra z ciebie kumpelka.

Kit weszła do pokoju, wygładzając niebieską wstążkę na włosach.

- Hank - powiedziała cicho. Kiedy nie odpowiedział, podeszła na palcach do jego krzesła i pocałowała go delikatnie w pochylony kark.

Rzucił się na nią z wściekłością. Złapał ją z boku za szyję. Zatoczyła się do tyłu, wpatrując się w niego z przerażeniem.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z tobą, ani z twoimi kłamstwami — powiedział. Jego słowa, ciche i opanowane, przestraszyły ją bardziej niż cios.

- Ależ ono jest nasze, Hank. Będziemy mieć dziecko.

- To ty będziesz. - Wpatrywał się w nią uporczywie. W jego oczach widziała tylko nienawiść i wstręt. - Jesteś podła. Zamierzam ożenić się z Casey. Do diabła z twoimi machlojami. Wiedziałaś, że nic nas nie łączy. Nie dam się przymusić do małżeństwa. Idź i poszukaj prawdziwego ojca tego dziecka. Nie jestem jedynym, który cię miał.

Gwałtownie odwrócił krzesło w stronę biurka, a potem nagle znowu postawił je przodem do Kit.

- Zabieraj swoje zabawki z mojego pokoju. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nie chcę nawet słyszeć twojego imienia!

- Ależ Hank! - łzy wezbrały w brązowych oczach Kit. Otarła je ze złością. Łzy to oznaka słabości. Hank był ojcem dziecka i Kit już dopilnuje, żeby przyjął na siebie odpowiedzialność.

- Łzami być może da się coś załatwić u innych twoich kochanków, ale nie u mnie.

- Łzami może nie, ale testem na ojcostwo to tak. Uznasz to dziecko, Hanku Butlerze, nawet gdybym musiała iść do sądu.

Jej słowa zmroziły Hanka. Walka z Kit to nie najlepszy pomysł. Jak

wytłumaczy £asey, że ma dziecko z tą dziewczyną? Nienawidził jej, groziła zrujnowaniem całego jego życia.

Hank znał Kit wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie ugnie się przed groźbami. Będzie walczyła. Wiedział, że nie zawaha się wciągnąć w to Casey, jeśli cokolwiek pokrzyżuje jej plany.

Kit obserwowała, jak jego palce odsuwają się od blizny na policzku. Kiedy skubnął brodę, wiedziała już, że wygrała.

Niech myśli, że jest górą - pomyślał Hank. Jeśli starczy mi czasu, prawdopodobnie przekonam ją, żeby usunęła tę ciążę. Ona tak naprawdę wcale nie chce mieć dziecka. Jest urodzonym wędkarzem i doskonałym przewodnikiem. Ma przed sobą wielką przyszłość.

- Przepraszam, Kit - powiedział, wyciągając do niej rękę. - To wszystko przez Ginger. Zaszokowała mnie tą wiadomością. Usiądź. Przedyskutujmy to. - Widząc, że waha się, czy powinna dotknąć jego ręki, wyciągniętej jak gałązka oliwna, dodał - wiesz, że zostanę przy tobie. Nie zostawię cię samej.

Kit rozluźniła się i usiadła na drewnianym fotelu naprzeciwko niego. Uda się. Prawie się uśmiechnęła.

- Nasze życie oczywiście się zmieni - ciągnął dalej. - Nie będzie już więcej tego absurdalnego latania na Alaskę i po całym świecie, żeby oprowadzać klientów czy łowić ryby w egzotycznych miejscach. Od dziś dom będzie dla nas najważniejszym miejscem.

Uśmiechnął się do siebie widząc, że mina jej rzednie, a palce skubią nerwowo wełnę z żakietu.

- Miejsce matki jest w domu, przy dziecku. Wiem, że uważasz tak samo - dodjłł. - Postaram się znaleźć pracę w biurze. Będę wracał do domu o szóstej, bawił się z dzieckiem i jadł z tobą kolację.

Kit wyglądała coraz gorzej. Tak sobie tego wcale nie wyobrażała.

- Jeśli nie zarobię dość pieniędzy, być może będę musiał zatrudnić się jako przewodnik, prawdopodobnie tutaj. Zarobki i napiwki są niezłe. Ty, na szczęście, jesteś bardzo zaradną kobietą i świetnie sobie beze mnie poradzisz przez tych kilka miesięcy.

Kit chrząknęła, ale Hank mówił dalej, nie pozwalając jej dojść do głosu.

- Oczywiście jak najszybciej postaramy się o następne dziecko. Jestem zwolennikiem dużych rodzin, w których dzieci przychodzą na świat jedno po drugim. Wtedy lepiej się chowają. Kto wie, może nawet będziemy mieli własną drużynę baseballową. The Butler Busters. Czyż to nie brzmi wspaniale?

Mówił z entuzjazmem, a im bardziej zapalał się do ich wspólnej przyszłości, tym bardziej Kit wyglądała na zdenerwowaną i nieszczęśliwą. Wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż przewidywała... Nagle przypomniała sobie o kontrakcie, który właśnie nie bez wysiłku wywalczyła u Stewarta.

Wyjrzała przez małe okno. Jego rama tworzyła oprawę dla świerkowego lasu, ciągnącego się aż do jeziora. Jeśli wyjdzie za mąż za Hanka i da

swemu dziecku nazwisko Butler, będzie musiała wyrzec się całego tego piękna i wolności. Nie znała poglądów Hanka na rodzinę i dzieci. Był strasznym konserwatystą, a ona z pewnością nie była klaczą rozpłodową i sama myśl o wielkiej rodzinie przyprawiała ją o mdłości.

Dopiero kiedy spotkała Hanka, zaczęła myśleć o dziecku. Jej ideałem było jedno dziecko, najlepiej chłopiec, którego mogłaby zabierać na ryby.

Hank ciągle mówił, malując szatańskie obrazy przyszłości, pełnej brudnych pieluch, kwilących niemowląt, nocnych karmień, rachunków za wizyty lekarzy, szkolnych ubrań i opłat za szkoły. I jeszcze być może używany samochód i pożyczka z banku na wynajęcie mieszkania w centrum miasta.

- Rozumiem, Kit, że będziemy musieli zacisnąć pasa. Honoraria za moją książkę o Alasce napłyną dopiero, gdy będzie w druku. Jeszcze przynajmniej przez rok będę musiał nad nią popracować. A z dziećmi... No, cóż. - Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. - Ale poradzimy sobie. Nie martw się. Życie będzie piękne, tylko inne. Chrząknął i potarł palcem bliznę. Wiedział, że w tej chwili rozstrzyga się jego przyszłość - albo małżeństwo bez miłości, albo wolność.

- Przepraszam, że byłem taki brutalny, kiedy usłyszałem o twojej ciąży, Kit. To było tak, jakby walnął mnie grizzly. - Przerwał, bo znów ujrzał jasnowłosą niedźwiedzicę, pochyloną nad Casey. Musiał przekonać Kit, że małżeństwo z nim wcale nie jest jej pragnieniem. Casey miała jego słowo i jego serce.

- Nie miałem pojęcia, że chcesz rzucić łowienie ryb i wieść życie gospodyni domowej i matki.

- Nie chcę... - Kit zagryzła wargę. Słowa te wyrwały jej się spontanicznie.

Hank milczał. Odpiął z półki kartonik z muszkami na pstrągi. Czule pogłaskał i zbadał muszki, wszystkie powiązane tak, żeby przypominały owady i komary wiszące latem nad rzekami. Lekko dotknął czarnych, brązowych, czerwonych i białych piórek czarnego komara, muchy Coho i polarnej krewetki. Przynęty poruszyły się jak żywe.

Wiedział, że każda z nich przypomni Kit o jakiejś szczególnej rzece czy wyjątkowej rybie. W wyobraźni będzie widziała pstrąga wyskakującego w powietrze i wodę, spływającą z jego cętkowanego ciała. Piękny pstrąg, w swej srebrno-różowej szacie, zatrzyma się na kilka sekund nad wodą, z szeroko otwartym pyskiem. Będzie obserwowała, jak połyka muszkę i po spirali mknie w rzeczne głębiny. Poczuje jego ciężar i siłę, kiedy ryba zacznie walczyć, a haczyk wbije się głęboko w jej pysk.

Hank miał nadzieję, że przeżycie w wyobraźni tego podniecenia sprawi, że Kit uświadomi sobie, czego naprawdę pragnie. A sensem jej życia jest brodzenie po dziewiczych strumieniach i wyszukiwanie forteli, żeby przechytrzyć starego i przebiegłego pstrąga.

- Osiemnaście lat - mruknął, trącając pióra ogonowe komara. - Tyle

właśnie lat poświęcimy każdemu z naszych dzieci. Osiemnaście lat naszej niepodzielnej uwagi.

Kit ciężko chwytała powietrze. Była przerażona. Hank coraz bardziej zapalał się do perspektywy poświęcenia reszty życia wychowywaniu chmary dzieci.

Ty idiotko, wymyślała samej sobie. Dlaczego nie dowiedziałaś się wcześniej, jakie są jego poglądy na temat rodziny?

- To była pomyłka - szepnęła.

Hank nawet nie podniósł wzroku. Wydawał się całkowicie pochłonięty kartonikiem z muszkami. Cisza dławiła ją. Wstała i wielkimi krokami zaczęła przemierzać pokój.

- Hank. To wszystko było straszliwą pomyłką - powiedziała głośno.

- Kit! - wykrzyknął, przykrywając papiery kartonikiem z przynętami. - Czy chciałaś przez to powiedzieć, że nie chcesz tego dziecka? Jeśli mówisz, że to był błąd i chcesz usunąć ciążę, to musisz wiedzieć, że nie będę mógł się z tobą ożenić.

Bez słowa skinęła głową.

- Znasz moje zdanie - moja żona musi całkowicie, bez reszty, poświęcić się wychowaniu moich dzieci.

- Hank, to nie jest żywe dziecko. Gdyby urodziło się teraz, nie mogłoby żyć. Ono nie potrafi samo oddychać! - wyjaśniła Kit.

Hank ze smutkiem potrząsnął głową.

- Nie pojmujesz, Hank? - ciągnęła dalej, rozpaczliwie pragnąc, by ją zrozumiał i jej pomógł. - Uważam to za okrutne i złe, kiedy sprowadza się na świat nie chciane dziecko. Mamy tysiące porzuconych niemowląt, czekających na adopcję lub dzieci, ofiary przemocy własnych rodziców.

Jej niebieska kokarda rozwiązała się, kiedy Kit potrząsała głową w podnieceniu. Długie pasma włosów opadły jej na oczy. Gniewnie wyszarpnęła niebieską wstążkę. Wetknęła ją do kieszeni i pochyliła się nad Hankiem.

- Masz rację. Należy poświęcić dziecku niemal dwadzieścia lat. Nie mamy domu ani kapitału i tylko tymczasowe zajęcie. Byłoby okrucieństwem pozwolić tym komórkom, by stały się dzieckiem.

Hank udawał, że się zastanawia.

- Dzieci to cudowne, malutkie istotki i nie mógłbym pozwolić, by urodziło się nie chciane dziecko. - Dotknął palcem blizny. - Masz rację, to byłoby okrutne, Kit.

Już prawie dobrze - pomyślał z ulgą. ,

Zgodzi się - pomyślała Kit.

- Ośrodek będzie wcześniej zamknięty w tym roku. Moglibyśmy polecieć na Florydę do kliniki. To zajmie tylko jeden dzień. - Westchnęła głęboko. - Pojedziesz ze mną, Hank?

Każda cząstka jego ciała krzyczała „Nie". Nie miał najmniejszej ochoty mieć z nią cokolwiek wspólnego. Jej dwulicowość przerażała go. Jednak zdrowy rozsądek podpowiadał, że jeśli chce mieć Casey, musi mieć

pewność, że ciąża została usunięta, żeby Kit nie mogła go w przyszłości szantażować. Bez słowa skinął głową.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Jesteś wspaniałym facetem.

- Pozwolenie na łowienie gotowe? - drzwi się otworzyły i stanął w nich Stewart z nachmurzoną miną.

- Dobrze, dobrze. Później skończycie, mamusiu z tatusiem. Hank, te papiery są mi potrzebne. Teraz!

- Za dwie minuty. Są prawie gotowe. - Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

- Proszę, nie mów nikomu, że jadę do kliniki, Hank. Po prostu powiem, że miałam poronienie. Proszę cię.

Hank pospiesznie wypisywał formularze i tylko skinął głową.

Kit przyglądała mu się przez chwilę, a potem wyszła z biura. Cichutko zamknęła za sobą drzwi, niemalże obawiając się, że ich szczęknięcie przeszkodzi mu i sprawi, że zmieni zdanie.

Miała ochotę tańczyć, kiedy szła ścieżką prowadzącą do głównego budynku, gdzie zgromadzili się klienci w oczekiwaniu na pozwolenia na łowienie ryb. Ich niezadowolone twarze wkrótce się rozpogodziły, gdy opowiedziała im zmyśloną historyjkę o pstrągach-potworach, które tego dnia rano ściągnęły dwóm rybakom linkę z kołowrotka aż do zapasu.

- Gdyby byli w naszym ośrodku, wyciągnęliby rybę wcześniej, niż zapasowa linka w ogóle by się ukazała - zaczęła się przechwalać. Mężczyźni przekomarzali się z nią wesoło i wkrótce sala znowu wypełniła się śmiechem i tubalnymi głosami.

- Szkoda, że postanowiła mieć dzieci - powiedział Stewart, gdy Hank wręczył mu plik formularzy.

- Mam przeczucie, że wróci tu łowić ryby, jak zwykle - odparł Hank.

Krzaczaste brwi Stewarta podniosły się i zetknęły nad jego nosem.

- Te domowe testy ciążowe mylą się częściej niż wędkarz, który po raz pierwszy wybrał się na ryby.

Stewart uśmiechnął się z ulgą, rozglądając się po pełnej sali. Kit z pewnością była wartościowym pracownikiem jego ośrodka i byłby szczęśliwy, gdyby w przyszłym sezonie miał ją w swoim zespole.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Angielska pielęgniarka popatrzyła na zegarek. Została wynajęta z prywatnej agencji przez hrabinę, która nie ufała personelowi szpitala. Starsza dama była pewna, że tylko angielska pielęgniarka może zapewnić jej synowi całodobową opiekę, jakiej według niej potrzebował. Agencja zapomniała poinformować ją jednak, że zarejestrowana u nich angielska pielęgniarka jest już bardziej alaskańska niż sami Sourdoughowie; wprawdzie urodziła się w samym sercu Londynu, ale od trzydziestu lat mieszka i pracuje na Alasce.

Kobieta potrząsnęła głową. Wysłała wiadomość do panny Chargot co najmniej dwie godziny temu. Jej doświadczenie podpowiadało, że powinna się skontaktować z oddziałową i poinformować ją o tym, że Dursley jest bardzo niespokojny i majaczy. Jednak dolary, wsunięte jej do ręki oraz polecenia wszechpotężnej hrabiny, kazały jej skontaktować się z kobietą, którą obiecała wezwać, jeśli zaniepokoi ją coś w stanie pacjenta.

Ciche, lecz natarczywe pukanie do drzwi sali, kazało jej wyjrzeć na korytarz.

- Niedźwiedzie? Śmierć? Krwotok do mózgu? Ślub teraz? - powtarzała osłupiała Casey.

Według siostry, która pełniła nocny dyżur, Dursley zaczął majaczyć i szaleć mniej więcej trzy godziny temu, błagając niedźwiedzia, żeby go zabił, wołając Casey, domagając się ślubu z kobietą, którą kochał.

Casey poczuła, jak wyrzuty sumienia pokrywają jej twarz i policzki ciepłym rumieńcem. Trzy godziny temu kochała się z Hankiem i obiecywali sobie nawzajem, że aż po wieczność będą należeć tylko do siebie. Ani razu nie pomyślała o mężczyźnie, leżącym samotnie w zimnej, ciemnej sali.

*

- Muszę go zobaczyć - powiedziała, przepychając się obok pielęgniarki. Zatrzymała się tuż przy łóżku Dursleya. Trudno go było rozpoznać. Widziała bladego, spoconego mężczyznę, mamroczącego coś i wyrzucającego bezładnie ramiona.

- Bąbelku, Casey - zawołał, a jego ramię uderzyło w szklankę wody, stojącą na stoliku przy łóżku. Szklanka spadła na podłogę.

Casey objęła Dursleya i przytuliła policzek do jego policzka. Był gorący i mokry. Wokół łóżka unosił się kwaśny zapach potu.

- Wszystko w porządku. Jestem z tobą - powiedziała jękliwie. - Jestem z tobą. Wszystko będzie dobrze.

- Kochaj mnie, Bąbelku - wymamrotał.

- Kocham cię, Dursleyu, kocham cię.

Obejmowała go mocno, a głos drżał jej ze strachu. Pielęgniarka powiedziała, że jeśli jej obecność go nie uspokoi, będzie musiała wezwać oddziałową i doktora Siebensa, gdyż przyczyną tego stanu może być krwotok do mózgu. A to oznaczałoby kolejną operację albo śmierć.

- A kiedy krwawi mózg, śmierć przychodzi szybko. Widziałam to - powiedziała pielęgniarka, popisując się swoją rzekomą wiedzą.

Wydawało się, że głos Casey uspokoił Dursleya, który otworzył oczy. Były zamglone od bólu i leków, ale wyraźnie utkwione w Casey.

- Wyjdź za mnie, Bąbelku - wyszeptał.

- Ale... - zaczęła Casey, a Dursley natychmiast rzucił się na łóżko, zwijając prześcieradło w przesiąknięty wilgocią powróz.

- Teraz, Bąbelku, teraz - błagał.

Casey spojrzała na pielęgniarkę. Była przerażona. Nie chciała, żeby Dursley umarł.

- Musi go pani uspokoić - powiedziała kobieta, trzymając swoje krótkie, mocne palce na przegubie chorego i mierząc mu puls. Był bardzo przyspieszony. Trzepotał jak tętno ptaka złapanego w sieci.

- Wyjdź za mnie, wyjdź - krzyczał Dursley.

- To niemożliwe. Jesteśmy w szpitalu - odparła Casey. Jej łzy lęku i współczucia wymieszały się z jego potem.

- To jest możliwe - powiedziała pielęgniarka. - Na tym piętrze jest duchowny. Dzisiaj wieczorem wezwano go do umierającego pacjenta i jeszcze nie wyszedł. Mógłby wam udzielić ślubu. Gdyby nawet pani narzeczony potem umarł, przynajmniej spełniłaby pani jego ostatnie życzenie. On panią kocha.

Casey spojrzała na pielęgniarkę. Tak jak Dursley instynktownie popędził po plaży, żeby odciągnąć od niej niedźwiedzicę, tak teraz ona musiała spełnić jego życzenie, bo to uratuje mu życie.

- Proszę go zawołać - powiedziała i za chwilę usłyszała już cienkie skrzypienie obcasów kobiety, która pospiesznie szła po korytarzu.

- Dursleyu - szepnęła, kładąc głowę na poduszce obok jego głowy. - Wyjdę za ciebie. Ksiądz już idzie.

Nie zareagował. Zrobiło jej się niedobrze. Powinna była natychmiast się zgodzić. A teraz jest za późno. W jego mózgu otworzyła się rana, z której sączy się krew. Dursley umrze. Zacisnęła oczy.

- Proszę, niech on nie umiera - modliła się. - Niech krwotok ustanie. -

Ostrożnie wyciągnęła się na łóżku obok narzeczonego i przytuliła się do niego. Objęła go mocno, starając się przekazać mu swoją własną siłę.

Wstrząs towarzyszący rozstaniu z Hankiem i szok, jakiego doznała, gdy zobaczyła umierającego Dursleya, wyczerpały ją. Oczy zamknęły jej się same i zasnęła, trzymając go w ramionach.

Trochę czasu zajęło pielęgniarce przekonanie księdza, że pacjent prawdopodobnie umiera i jego jedynym życzeniem jest poślubienie narzeczonej, która jest teraz u niego. Pielęgniarka była starą panną i naczytała się za dużo romansów. Wyobrażała sobie, że jest aniołem miłosierdzia, łączącym rozdzielonych kochanków, z których jedno jest lordem. To było lepsze niż którakolwiek z tych książkowych historii. Jego matka, hrabina, najprawdopodobniej przyśle jej piękny podarunek, najlepiej dolary, by dać wyraz swemu uznaniu, gdy usłyszy, że to właśnie ona uratowała życie jej synowi. Oczy pielęgniarki błyszczały, gdy błagała księdza o zgodę.

Ciężkie i lekkie kroki, wybijające wspólny rytm na pokrytej terakotą podłodze korytarza, prowadzącego do sali Dursleya, obudziły Casey.

Dursley jęknął i po omacku sięgnął po jej rękę.

- Wyjdziesz za mnie? - wyszeptał.

Pielęgniarka zmierzyła puls pacjenta i skinęła głową.

- Cudownie. Dużo wolniejszy. Mieści się w granicach normy.

Casey uśmiechnęła się do niej, a potem odwróciła się do księdza.

- Czy on rozumie, co się dzieje? - zapytał, patrząc na Dursleya z powątpiewaniem.

- Tak - powiedział Dursley, otwierając oczy.

Łzy ulgi zalały, twarz Casey. Dursley wyzdrowieje. Ona go uratuje.

- Obrączki? - spytał ksiądz, patrząc na Casey.

- Obrączki? - jak echo powtórzyła Casey, rozglądając się nieprzytomnie po sali.

- Proszę wziąć tę - pielęgniarka zdjęła z palca tanią, srebrną obrączkę i wręczyła ją Casey. Za nowe, szeleszczące dolary będzie mogła bez wątpienia kupić sobie nową, może nawet pozłacaną.

- Czy chcesz tego mężczyznę... - Przez jedną przerażającą chwilę Casey ujrzała Hanka stojącego przy niej i mówiącego z dumą, że jest jego żoną. Odepchnęła ten obraz i skupiła się na ceremonii.

- Tak - usłyszała swoją odpowiedź.

Wraz z brzmieniem tego słowa dotarła do niej waga zobowiązania, które na siebie wzięła i nagle się przeraziła. Hank. Jej rodzina. Rodzina Dursleya. Co ona zrobiła?

Uratowałaś życie człowiekowi, który uratował twoje, powiedział jej głos sumienia. Posłuchała go i powracał jej spokój. Stało się.

Ksiądz podał rękę Casey, pobłogosławił Dursleya i pospieszył do umierającego, któremu udzielał ostatniej posługi.

Casey siedziała przy Dursleyu, aż zapadł w cichy, spokojny sen. Obie z pielęgniarką odetchnęły z ulgą. Casey dlatego, że Dursley był uratowany

i nie umrze, że jego mózg nie rozerwie się, a nocna pielęgniarka dlatego, że nie będzie musiała wyjaśniać siostrze przełożonej, dlaczego natychmiast nie zameldowała o pogorszeniu stanu pacjenta.

- Siostro - powiedziała Casey, odwracając się od okna - czy mogłaby pani pojechać do hotelu Kapitan Cook i zanieść mojemu przyjacielowi wiadomość? Chcę, żeby pierwszy usłyszał tę dobrą nowinę - dodała, wyczuwając, że pielęgniarka się waha. - Wiem, że miała pani długą i męczącą noc, ale zapłacę za taksówkę, która odwiezie panią do hotelu, a potem do domu. - Proszę. To nasz bardzo bliski przyjaciel.

Pielęgniarka skinęła głową i pospiesznie poszła do dyżurki po pióro i papier.

Casey patrzyła, jak na niebie pojawiają się wiśniowe i bladocytrynowe smugi, miękkie jak atłasowe wstążki, i rozpraszają ciemność. Cóż mogłaby powiedzieć Hankowi? Jak mogłaby mu kiedykolwiek wytłumaczyć, dlaczego wyszła z jego łóżka i poszła do szpitala, żeby wziąć ślub z Dursleyem?

Kochanie - nigdy nie złamię obietnicy, jaką ci dałam. Bez względu na to, co stanie się ze mną, gdy nie będziemy razem. Masz moje serce i moją miłość na zawsze.

Papier nasiąknął jej łzami. Pióro darło go, zostawiając w nim postrzępione dziury.

Casey wypełniła stronę wyjaśnieniami, że wie, iż Dursley zwolni ją z przysięgi małżeńskiej, gdy wyzdrowieje. Serce jej kołatało i było jej niedobrze. Dursley może ja zwolnić, ale przecież złożyła uroczystą przysięgę. Czy Bóg wybaczy i zrozumie? Wytrwale pisała dalej. Przelewała na papier swoją miłość i swój lęk. Powierzała je jedynemu człowiekowi, o którym sądziła, że może ją zrozumieć.

Pielęgniarka kaszlnęła. W sali było teraz jasno. Miała za sobą męczącą, lecz podniecającą noc. Chciała iść do domu, żeby w intymności swego małego pokoju jeszcze raz przeżyć tę wspaniałą, romantyczną przygodę - jedyną, jakiej doświadczyła w swoim samotnym życiu.

Casey westchnęła i złożyła papier. Pospiesznie nabazgrała na nim wielkimi literami: pan Hank Butler i wręczyła list pielęgniarce. Przeszła przez pokój i zajęła miejsce na twardym krześle przy łóżku Dursleya, czekając na przyjście lekarza, który go zbada i pozwoli mu wracać do domu. Czuła się pusta w środku. Wyzuta z wszelkich uczuć, jak bezmierne alaskańskie niebo, teraz szare i bezbarwne. Nowa hrabina Carrington spuściła głowę na krawędź łóżka Dursleya. Włosy opadły jej na twarz i zasnęła, nakryta nimi jak całunem z czarnego jedwabiu.

Pielęgniarka wielkopańskim gestem przywołała taksówkę. Zanudzała gadatliwego zwykle kierowcę nie kończącą się i bezsensowną paplaniną.

Westchnął z ulgą, kiedy wysadził ją przy hotelu Kapitan Cook. Poczekał, aż wysokie drzwi zamkną się za nią, po czym zakręcił i z piskiem opon odjechał, zostawiając za sobą hotel i rezygnując tym samym z opłaty za przejazd. Ktoś inny niech znosi tę kobietę do końca jej podróży - postanowił. Płacono mu, żeby był cierpliwy, ale nie aż tak cierpliwy.

Pielęgniarka rozejrzała się po holu, starając się zapamiętać najdrobniejsze szczegóły wystroju, żeby zrobić wrażenie na znajomych. Podeszła do recepcji i zapytała o Hanka.

- Pan Butler pół godziny temu zapłacił rachunek i wyjechał, proszę pani. Czy to ważne?

- Nie, nieważne. Tylko wiadomość, że jego przyjaciele właśnie się pobrali.

Dziewczyna błyskawicznie przeniosła wzrok na komputer.

- Rozumiem. To wszystko, proszę pani?

Pielęgniarka trochę się przestraszyła i recepcjonistki, i imponującego hotelu, pełnego turystów. Pospiesznie skierowała się do szklanych drzwi o ciężkich, rzeźbionych drewnianych brzegach. Kiedy minęła restaurację Pantry, zgniotła list i wyrzuciła go do kosza przy schodach.

Jakiś mężczyzna, czekający na wolny stolik, strzepnął do kosza popiół ze swojego cygara. Drobiny popiołu opadły na list Casey jak łzy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Dwór Edbury drzemał w promieniach późnojesiennego słońca, jak zadowolony kot. Park mienił się jaskrawością barw, gdy promienie słońca padały na brunatnożółte, złote i rdzawe liście. Zabłąkane promienie oświetlały gruby dywan więdnących liści. Szeleściły pod nogami biegających po parku złotobrązowych bażantów i szarych królików. Posiadłość była pogrążona w głębokim śnie. Casey przycisnęła gorące policzki do szyby w wysokim oknie salonu. Po szybie spłynęły łzy, pozostawiając na szkle mokre ślady, jakby przeszły po nim ślimaki.

- Casey, proszę cię, Casey, nie rób tego.

Dursley podniósł się ze skórzanego krzesła, stojącego przed kominkiem i powłócząc nogą przeszedł przez pokój i zbliżył się do niej. Położył jej dłonie na ramionach. Jego palce zanurzyły się w miękkim kaszmirze jej swetra. Casey odwróciła się od okna i ukryła twarz na piersi Dursleya.

- Dursleyu, kocham cię, ale... - Zakrztusiła się, a on czekał, aż złapie oddech. - Jeśli zostanę z tobą, jakaś część mnie będzie zawsze tęskniła za Hankiem. W końcu unieszczęśliwię nas oboje. - Podniosła na niego wzrok. Jej poznaczona śladami łez twarz i pełen udręki szloch rozdzierały mu serce. Pocałował ją lekko w zaczerwieniony nos.

- Casey, wiesz, że przyjmę cię na każdych warunkach, na jakich mógłbym cię mieć. Wiem także, dlaczego zgodziłaś się na ślub w szpitalu. Doceniam twoją miłość i troskę. Ale teraz wiem, że zmuszanie cię do dotrzymania tamtych ślubów i ponowna ceremonia w kościele w Londynie to zamykanie orła w klatce... - Przerwał i pogłaskał ją po włosach, lśniących w promieniach słońca, przenikającego przez szyby okienne.

Casey jeszcze mocniej objęła go za szyję. Wiedziała, że życie tutaj byłoby cudowne. Ale teraz znała już dzikie piękno Alaski i jej krew odpowiedziała na wezwanie. Jak srebrny łosoś, który pokonuje wszelkie przeciwności, by wrócić do miejsca, gdzie przyszedł na świat, tak ona także musiała powrócić do ziemi, która była domem jej przodków. Musiała znów zobaczyć Nanuqa wśród przerażającego przepychu arktycznego paku lodo-

wego. Musiała usłyszeć tubalny, apodyktyczny głos, który woła ją imieniem Ticasuk.

Sumienie mówiło jej, że postępuje źle, łamiąc przysięgę i obietnice. Sprawiała ból człowiekowi, który na to nie zasługiwał. Najprawdopodobniej przez resztę życia będzie musiał brać leki, żeby uspokoić mózg podrażniony przez rany zadane przez grizzly. Powinna zostać na dworze Edbury i poślubić Dursleya w kościele, tak jak wcześniej planowano. Jej obowiązkiem było odwdzięczyć się człowiekowi, który uratował jej życie, a teraz będzie cierpiał z jej powodu...

Lecz miłość do Hanka i pragnienie wielkich, cichych przestrzeni Alaski były silniejsze niż wszystkie skrupuły.

- Możesz zatelefonować z biblioteki - powiedział Dursley, delikatnie kołysząc ją w ramionach. - Nikt ci nie będzie przeszkadzał. Poczekam tu na ciebie.

- Och, Dursleyu - Casey głośno szlochała. - Nie zasługuję na ciebie.

- Wiem, że jestem, jak to mówią Jankesi, kapitalnym facetem - odparł ze śmiechem. Z ulgą zauważył, że blady uśmiech przebija się przez jej łzy.

- Jesteś kapitalny - zgodziła się. - I strasznie klawy.

Dursley śmiał się, dopóki nie wyszła z pokoju. Wielki rozdział jego życia zamknie się, gdy Casey wyjedzie na Alaskę.

- Niech cię cholera weźmie, Bobie Franshawie - mruknął, kiedy wielkie podwójne drzwi zamknęły się za dziewczyną. - Dlaczego nie zaproponowałeś nam łowienia ryb na Tasmanii albo na Nowej Zelandii? Nie znalazłaby tam żadnych eskimoskich korzeni.

Stał, wpatrując się w doskonale przycięte trawniki, prowadzące do złocistych lasów. Nagle chrapliwy krzyk dzikiej kaczki przykuł jego uwagę. Odlatujące ptaki pokrywały niemal całe niebo. Leciały, wyciągając długie szyje i każda wyglądała tak, jakby bardzojej zależało na tym, by wyprzedzić inne i poprowadzić klucz. Dursley przyglądał się im dopóki nie zniknęły nad zagajnikiem w dolinie. Odwrócił się od wysokich okien i powoli pokuśtykał do swojego krzesła z regulowanym oparciem. Oparł nogę na malutkim podnóżku i przymknął oczy. I znów pojawił się grizzly, i Dursley raz jeszcze przeżył chwilę ataku niedźwiedzia. Zajęczał cicho i przekręcił się na krześle.

Skórzane wysokie krzesło, dumnie stojące za wielkim, dębowym biurkiem, zaskrzypiało, gdy Casey na nim siadała. Przez kilka minut rozkoszowała się wspaniałością biblioteki.

Pradziadek Dursleya uważał, że książki są równie niezbędne do życia, jak powietrze. Bez obu nie można było istnieć. Spędził życie na kolekcjonowaniu i czytaniu dzieł wielkich filozofów, podróżników i biografów. Opasłe tomy spoczywały teraz na woskowanych, dębowych półkach zajmujących trzy ściany pokoju, od podłogi aż do sufitu. Czwartą ścianę przeci-

nały ogromne okna, przez które można było wyjść do otoczonego parkanem ogrodu.

Na ścianach między oknami wisiały obrazy przedstawiające Afrykę pędzla Thomasa Bainesa. Lecz ten, który zawsze przyciągał Casey, przedstawiał wspaniały, urwisty, turkusowy brzeg zawieszony w przestrzeni, gdzie lodowce cieliły się do morza. Wielorybniki płynęły po płótnie, w pogoni za ogromnymi wielorybami, a na brzegu ludzie ciągnęli sanie załadowane skórami i surowym mięsem.

Tajemnicza Alaska przyciągała nie tylko takich ludzi jak kapitan Cook, ale także pradziadka Dursleya. Ograniczył jednak swój romantyzm do książek i obrazów przedstawiających nieznane arktyczne pustkowia.

Patrząc na ten obraz, Casey przypomniała sobie słowa Edmunda Carpentera. Zacytował je Dursley, kiedy po raz pierwszy zaproponował, by pojechali na Alaskę. „Tam wszystko jest proste - nietknięte, ciche i zupełne. Człowiek jest tam bardzo samotny, jednak ta samotność sprawia, że czuje, iż rozumie tę ziemię i może znaleźć na niej swoje miejsce."

Słowa te dodały jej otuchy i powtarzała je cicho, przerzucając strony notatnika w poszukiwaniu numeru do King Salmon, z którego można skorzystać, by drogą radiową połączyć się z ośrodkiem w Black Legs nad jeziorem Nonvianuk.

Wykręciła numer. Czekając na połączenie bębniła nerwowo palcami po biurku i modliła się, żeby w ośrodku mieli włączone radio.

Wpatrywała się w obraz Arktyki, jakby to mogło przynieść jej szczęście. Tymczasem wciąż słyszała w słuchawce głuchy, przerywany sygnał. Przeszukała notatnik, żeby sprawdzić kiedy zamykają ośrodek. Na falach eteru coś hałaśliwie zatrzeszczało, ale przez te piski i skrzeczenia nie przebił się żaden głos.

- Hank - szepnęła. - Usłysz mnie. Wiem, że masz dyżur w biurze. Przełknęła głośno ślinę i wyjrzała przez okno. Obserwowała ogrodników, którzy starannie przygotowywali ogród do zimy. Kolorowe rośliny jednoroczne zostały już wykopane. Odleciały białe i żółte motyle. Bezbarwny i szary ogród już czekał na wiosnę.

- Proszę cię, Hank, proszę.

Casey miała właśnie odłożyć słuchawkę i spróbować dodzwonić się do ośrodka Drewnianej Nogi, kiedy wśród trzasków usłyszała kobiecy głos - niewyraźny i załamujący się. To była Ginger. Casey niemal się rozpłakała. Udało się! Za chwilę usłyszy Hanka.

- Z Hankiem? - powróciło do niej, metaliczne i zniekształcone. - Wyjeżdżam stąd jutro. Zostałam, bo nie uciekam do żadnego z tych czterdziestu ośmiu stanów, gdzie jest cieplej. Spędzam zimę tutaj, na północy.

Casey w poczuciu bezradności kopnęła w biurko. Nie obchodzi ją to, co robi Ginger. Połączenie się przerywało. Głos Ginger milkł w oddali. Musiała mówić z Hankiem.

- Hanka! - krzyknęła. - To pilne. Daj Hanka.
- Nie mogę. Ośrodek zamknięto wcześniej. Wszyscy wyjechali.
- Jego numer telefonu albo adres? - wrzasnęła Casey.

Ogrodnicy spojrzeli na okno biblioteki i powrócili do swojej pracy. To, co się działo w tym wielkim domu nie było ich sprawą.

Na linii coś trzasnęło i nagle głos Ginger zabrzmiał głośno i wyraźnie.

- Hank wyjechał razem z Kit - powiedziała. - Wkrótce ma się urodzić ich dziecko - skłamała. - Myślę, że pojechali do jej rodziny, ale nie mam adresu.

Głęboka i znacząca cisza zawisła na falach eteru.

- Casey? Słyszysz mnie, Casey? - Przez kilka minut Ginger próbowała uzyskać odpowiedź, a potem wzruszyła ramionami i odłożyła słuchawkę. Miała plany na popołudnie, związane z tym majstrem do wszystkiego, który kończył zabezpieczanie ośrodka przed zimą. Plany te z całą pewnością nie obejmowały szukania numerów telefonów i adresów dla jakiejś histerycznej klientki z Anglii.

Casey rozbolały palce, zanim jeszcze odłożyła słuchawkę. Siedziała zimna i nieczuła, jak ten wielki lodowiec na obrazie. Skupiła się na masowaniu dłoni, byle tylko nie myśleć.

Skrzypienie taczek pod oknami biblioteki obudziło ją z transu bólu i niedowierzania. Ogrodnicy pakowali swój sprzęt i wybierali się do domu. Będzie musiała spojrzeć w oczy Dursleyowi. Wiedziała, że kiedy mu powie, co usłyszała, zacznie ją znowu przekonywać, żeby została i wzięła z nim ślub.

Hanku, krzyczało jej serce. Czy nie zrozumiałeś mojego listu? Czyżbyś mi nie ufał? Przysięgałam, że wrócę, a ten ślub miał tylko uratować życie Dursleya.

Przeszła przez pokój i podeszła do obrazu. Lekko dotknęła płótna. Dotyk farby olejnej zdawał się ją uspokajać. Wzdrygnęła się, kiedy otworzyły się drzwi i do biblioteki wszedł Dursley.

- Udało się? - zapytał, podchodząc do niej.

Casey skinęła głową. Nagle wiedziała już, co ma robić. Nie chciała okłamywać Dursleya, lecz zdawała sobie sprawę, że gdyby się dowiedział o Hanku i Kit, nie pozwoliłby jej odejść.

- Następnym samolotem lecę do Anchorage.

Dursley zbladł. Miał nadzieję, że jakoś uda mu się odwlec nadejście tego, co nieuniknione. Zwalił się na krzesło, z którego ona właśnie wstała.

- Bąbelku? - Czułość w jego głosie kazała jej się odwrócić. - Zawsze będę tu na ciebie czekał. - Podniósł rękę, by powstrzymać jej protest. - Wszyscy potrzebują przyjaciół. Pozwól mi zostać twoim przyjacielem. Jeśli po roku czy dwóch zrozumiesz, że popełniłaś pomyłkę, dwór Edbury będzie dla ciebie otwarty.

Casey objęła go ramieniem. t

- Żałuję, że nie mogę zostać twoją żoną - szepnęła.

Ich usta spotkały się w długim, czułym pocałunku, który przypieczętował jego miłość i jej przyjaźń. Nie usłyszeli, że drzwi do biblioteki otworzyły się.

- No, no, Dursleyu przecież wiesz, że nie lubię tego publicznego okazywania uczuć. W moich czasach...

Dursley nie zwracał uwagi na monolog matki.

- Czy nie czas na podwieczorek? - zapytał.

Pytanie natychmiast zwróciło jej uwagę na służącą, która spóźniała się z tacą, i na lokaja, który jeszcze nie rozpalił ognia w kominku.

- Odkąd zaczęłam się zajmować przygotowaniami do waszego ślubu, służba zaniedbuje swoje obowiązki - narzekała hrabina. Niecierpliwy dźwięk dzwonka przywołał dziewczynę z tacą, a ogień wesoło trzaskał na wielkim, mosiężnym palenisku.

Dursley nałożył łyżkę gęstej śmietany na trójkątny placuszek z jęczmiennej mąki i ze smakiem wbił w niego zęby. Do górnej wargi przykleił mu się biały półksiężyc śmietany.

- Będziesz miała czas, by przywrócić dyscyplinę - powiedział. - Nie ożenię się z Casey.

Delikatna filiżanka i spodek firmy Limoges zadrżały w dłoni hrabiny. Zanim odpowiedziała, ostrożnie postawiła je na wypolerowanym, mahoniowym stoliku do podwieczorku.

- Czy mógłbyś to powtórzyć, Dursleyu? - rozkazała, a jej słowa zabrzmiały zgrzytliwie i zimno.

- Casey Chargot zwolniła mnie z mojej propozycji małżeństwa.

- Casey tylko skinęła głową, uważając, że najroztropniej będzie milczeć.

- Zamierza wyjechać z Londynu. Planuje dłuższy pobyt na Alasce. Ja, oczywiście, pokryję wszystkie koszty.

- Pokryjesz wszystkie koszty? - syknęła hrabina. - O czym ty mówisz?! Na szczęście twój drogi ojciec cię nie słyszy. Jak możesz przynosić nam taki wstyd? Nikt w naszej rodzinie nigdy nie odstąpił od obietnicy ślubu.

Dursley z ulgą pomyślał o tym, że przystał na prośbę Casey, żeby ich ślub w szpitalu utrzymać w tajemnicy. Jego matka nigdy by im nie wybaczyła.

Nagle, ku zaskoczeniu Dursleya i konsternacji Casey, hrabina wybuchnęła płaczem. Dursley nigdy nie widział, żeby jego matka płakała. Nawet na pogrzebie ojca. Zawsze była taka silna...

Natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. Mógł z nią walczyć, gdy była silna i wyniosła, ale nie mógł patrzeć na jej łzy.

- Kochana mamo. Tak jest lepiej. Wiele się zmieniło od czasu tego wypadku. Zrozumiałem, że jeszcze nie jestem gotowy do małżeństwa. Potrzebuję czasu, żeby wyzdrowieć... psychicznie.

Przyłożyła do oczu ozdobioną koronką chusteczkę. Zdążyła już polubić

Casey. Natychmiast pomyślała o przyszłości. Teraz będzie mogła poszukać jakiejś dziewczyny z dobrego, starego domu, odpowiedniej dla swojego syna. Była pewna, że Dursley wkrótce będzie gotów do małżeństwa.

Casey spojrzała na narzeczonego z miłością i podziwem. Wziął wszystko na siebie i podał doskonałe usprawiedliwienie jej powrotu na Alaskę. Dursley rzucił okiem na Casey, mrugnął do niej i dalej ciągnął rozmowę z matką.

- Casey - powiedziała hrabina, czując nagle głębokie przywiązanie do dziewczyny, właśnie teraz, kiedy wyjeżdżała. - Będziesz zawsze mile widziana w moim domu. Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała... Głos jej zamarł, gdy Casey uśmiechnęła się do niej.

- Dziękuję pani, lady Carrington. Ma pani naprawdę szczególnego syna. Dziewczyna, która zostanie jego żoną, będzie miała szczęście. Naprawdę mi przykro, że nie będę nią ja.

Hrabina skinęła głową, pociągnęła łyk chłodnej już teraz herbaty i zakomunikowała, że musi ich opuścić, pozwalając Casey na zaszczyt pocałowania jej w policzek. Musiała teraz przeprowadzić wiele rozmów telefonicznych. Zawiadomienie przyjaciół i odwołanie wesela zajmie jej wiele dni.

- Naprawdę jesteś kimś wyjątkowym, Dursleyu. Dziękuję ci, że to zrobiłeś - powiedziała Casey, gdy ciężkie drzwi do biblioteki zamknęły się za hrabiną.

- Kocham cię, Bąbelku - odparł. - Moja miłość będzie zawsze tutaj na ciebie czekała.

Casey próbowała się do niego uśmiechnąć, ale wargi jej drżały.

- Nie płacz w mojej obecności - zaczął się droczyć. - Jedna płacząca kobieta, z którą trzeba sobie poradzić, to mi wystarczy na dzisiaj.

Wzięła kawałek kruchego ciasta i udawała, że je gryzie, próbując się uspokoić. Dlaczego nie mogę tu zostać i wyjść za ciebie? - pomyślała, strzepując cukier ze spódnicy. Bez Hanka nic już tam dla mnie nie zostało, a jego straciłam.

Natychmiast odrzuciła tę myśl. Wiedziała, że nie ma żadnego powodu, żeby wracać na Alaskę. W rozpaczy biegła tam, gdzie kiedyś znalazła miłość. Wiedziała też, że tylko wtedy, gdy zobaczy Hanka i Kit, albo gdy sam Hank jej powie, że Kit oczekuje jego dziecka, uwierzy, że go straciła.

Jak wszystko w życiu, co jest zbyt straszne, by o tym myśleć, odsunęła od siebie obraz Hanka jako ojca. Ukryła tę myśl głęboko, w najdalszych zakamarkach mózgu. To był jedyny sposób, by pozostać przy zdrowych zmysłach.

Dursley i Casey siedzieli w milczeniu przy kominku, wsłuchani w trzaski i syczenie ognia. Płomienie pożerały orzechowe kłody starych parkowych drzew.

Siedzieli zwróceni twarzami do siebie, milczący i pozbawieni wszelkich

emocji jak małżeństwo po gorzkiej kłótni. Do pokoju weszła służąca i opuściła kotary, odcinając ich od wilgotnego, angielskiego zmierzchu.

- Proszę pana, pani życzy sobie, żebym powiedziała, że samochód, który ma zawieźć pannę Chargot do Londynu, czeka pod domem. - Dursley odesłał ją skinieniem głowy.

Gdy nadszedł czas odjazdu, Casey uświadomiła sobie, że chciałaby przylgnąć do Dursleya i zostać tutaj w bezpiecznym, dobrze znanym miejscu. Poczuła lęk przed tym, co znajdzie na Alasce. Decyzja, żeby natychmiast wyjechać i szukać Hanka wydała jej się teraz szaleństwem.

Dursley przygładził zmierzwione włosy i wstał z wysiłkiem. Wyciągnął ramiona, a Casey podeszła do niego. Na chwilę przywarła do niego, zanurzając twarz w szorstkiej wełnie jego swetra.

Po chwili się odsunęła, a jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

- Nigdy cię nie zapomnę, Dursleyu. Pozostaniesz na zawsze jednym z moich najszczęśliwszych wspomnień. - Walczyła ze łzami. Nie chciała, żeby łkanie towarzyszyło ich rozstaniu.

- Na zawsze pozostaniesz częścią mnie, Bąbelku.

Jakby na ten sygnał pojawił się lokaj i przytrzymał otwarte drzwi do biblioteki. Dursley czule pocałował Casey. Odwróciła się i szybko wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie. Najgorsze miała za sobą. Rozstanie z Dursleyem. Teraz była sama i czekało ją przerastające jej siły zadanie odnalezienia Hanka.

Dursley bezgłośnie zapłakał, kiedy usłyszał, jak drzwi się zamykają i ciężka, mosiężna klamka z trzaskiem powraca na swoje miejsce. W jakiś sposób rozumiał Casey - jej pragnienie, by wrócić do Hanka i do tej ciszy, która była częścią dzikiego piękna Alaski.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Casey siedziała przy małym, okrągłym stoliku śniadaniowym w swoim pokoju w hotelu Kapitan Cook.

Ołówek, który trzymała w ustach, był obgryziony aż do rysika. Kiedy obracała go językiem, smakował dziwnie metalicznie. Stolik był zarzucony rozkładami jazdy i świstkami papieru, czarnymi od wciąż dopisywanych numerów telefonów. Casey wpatrywała się w panoramiczny widok na Zatokę Cooka, ale tym razem nie sprawiało jej to żadnej przyjemności. Była w Anchorage już od dwóch tygodni, lecz ani na krok nie posunęła się w swoich poszukiwaniach.

Wydawało się, że w hotelu i na lotnisku zostawił tylko trzy adresy kontaktowe. Jeden do ośrodka wędkarskiego, drugi - dla korespondencji w King Salmon, a trzeci - mieszkania w Londynie. Casey skontaktowała się nawet z ośrodkami narciarskimi, o których wspominał, że czasem zatrudniał się tam zimą jako instruktor. Ale nie mieli jego adresu.

W końcu postanowiła zadzwonić do Stewarta Saundersa, do jego domu w Idaho, lecz jedynym adresem Hanka, jakim dysponował, był adres londyński. Hank mieszkał tam, gdy pracował nad swoją książką o Alasce.

Stewart powiedział jeszcze, że Kit jest w ciąży i że wyjechała z Hankiem na Florydę, ale nie zna ich adresu. Wydawał się zaskoczony pokrętnymi wyjaśnieniami Casey, dlaczego próbuje ich odnaleźć.

- Masz dla nich prezent na chrzciny? Ale nie maszach adresu? - Nie zauważył szczególnej przyjaźni między Casey i Kit.

Nagle przypomniał sobie list, który leżał na dnie worka z pocztą, który jego pilot zabrał do King Salmon. Był zaadresowany do Casey Chargot, a nadawcą był Hank Butler. Pilot wrócił do ośrodka z nie wysłanym listem, a Stewart położył go na swoim biurku z zamiarem wysłania go po zamknięciu ośrodka. Ciągle tam leżał. Stewart podjął szybką decyzję. Rozsądniej będzie zapomnieć o tym liście. Casey była zaręczona z Dursleyem, a on nie chciał żadnego skandalu z udziałem swego przewodnika.

Casey odniosła wrażenie, że Stewart nie wiedział, albo go nie obchodzi-

ło, kiedy dziecko ma się urodzić. - W przypadku tych wysokich, szczupłych dziewczyn nigdy nie da się nic powiedzieć na pewno. Mogła być równie dobrze w pierwszym, jak i w siódmym miesiącu. Ale miała kontrakt na pracę w jego ośrodku na najbliższe lato.

Casey odłożyła słuchawkę. Więc to była prawda. Hank i Kit byli razem. Hank pewnie źle zrozumiał wiadomość, którą mu przekazała przez tę pielęgniarkę, albo poczuł się tak bardzo zraniony i zły, że poszedł do Kit...

Nie. Nie uwierzę w to. Nie Hank. Gwałtownie potrząsnęła głową i łzy popłynęły jej po policzkach. Zadzwoniła do linii lotniczych, żeby zarezerwować bilet powrotny do Londynu, lecz kiedy usłyszała czyjś głos, odłożyła słuchawkę. Przygryzła ołówek w ustach, a kawałki kremowej i brązowej farby odpadły i przykleiły się do jej warg.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie polecieć na Florydę, ale zdrowy rozsądek zwyciężył. Zdała sobie sprawę z bezsensowności włóczenia się po ulicach w nadziei, że przypadkiem wpadnie na Hanka i Kit. Zwłaszcza w mieście, które stawało się coraz bardziej sławne z powodu przestępczości, a nie tylko przyciągającego turystów pięknego wybrzeża. Westchnęła, przesuwając papiery po stole.

- Musisz się z tym pogodzić - powiedziała do siebie. - Kit jest w ciąży. Hank jest ojcem jej dziecka. Nie ma już dla ciebie miejsca w jego przyszłości. Gdyby było, zostawiłby ci wiadomość albo napisał list. Wyjechał razem z Kit, pewnie po to, żeby się z nią ożenić. Walnęła pięścią w stół, rozsypując papiery, a potem zaczęła ssać obolałe kostki. - Co za idiota powiedział, że „Lepiej jest kochać i stracić niż nie kochać wcale"? — Najwyraźniej był masochistą. Kto potrzebuje takiego bólu? - położyła głowę na stole, a włosy, którymi Hank tak się zachwycał, pokryty kartki papieru czarną satyną.

Leżała z twarzą przykrytą całunem gęstych włosów. Przypomniała sobie nagle wzruszającą historię, którą kiedyś jej opowiedział. Pewnego dnia gwałtowna śnieżyca zmroziła jezioro, na którym gnieździła się para nurów. Nury nie umieją chodzić po lodzie i potrzebują wody, żeby wzbić się w powietrze. Samica zaczęła więc zataczać wielkie koła, zapamiętale przebierając w wodzie nogami. Prooowała w ten sposób nie dopuścić do zamarznięcia przerębla, żeby samiec mógł wylądować z pożywieniem dla piskląt. Jednak lód okazał się silniejszy. Plama czystej wody zamarzła i ptaki musiały się poddać. Wszelkie wysiłki uratowania młodych okazały się bezskuteczne.

Casey czuła się tak, jakby była samicą nura, zakreślającą kręgi na wodzie, z góry skazaną na* klęskę. Znalezienie Hanka było niemożliwe. Kiedy zgasł dzień, zabrakło jej łez, został już tylko strach. Krew InuitóW' która ciągle płynęła w żyłach tej dzisiejszej Ticasuk, przyniosła jej lęk, z którym Inuici żyją na co dzień, lęk, o którym mówił stary szaman, %&? odpowiadał na pytanie badacza Arktyki: „My nie wierzymy. My *ię boimy".

Inuici boją się ciemności i żywiołów. Casey bała się, że nigdy już nie zobaczy swojego ukochanego. Czuła paniczny lęk przed tym, że część jej duszy na zawsze pozostanie martwa i samotna.

Siedziała przy stole, pokonana i zniechęcona, dopóki ból karku i ramion nie kazał jej wstać. Przeciągnęła się i poczuła swoje obolałe żebra.

Przeszła przez pokój sztywnym krokiem starej kobiety, powłócząc nogami. Podniosła ciężką książkę telefoniczną. W jej małych rękach wyglądała jak bryła magnetytu.

Kiedy ją otwierała, pasek papieru, którym zaznaczyła numer British Airways, wypadł na podłogę. - Jeśli mają wolne miejsce na następny lot do Londynu, będzie to oznaczało, że muszę zapomnieć o Hanku i Alasce - powiedziała do siebie, wykręcając numer. Słuchała, jak bezosobowy głos prosił ją, żeby poczekała, bo linia jest zajęta. Powtarzająca się jak sygnał melodia niewiele mogła ją uspokoić.

Wieloryb, jeden ze stada białuch, które zimowały w Zatoce Cooka, wynurzył się na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza. Kiedy srebma fontanna wody wystrzeliła wysoko do góry, z ust Casey wyrwał się suchy szloch.

- Hanku - jęknęła udręczona - gdzie jesteś? Nie chcę żyć bez ciebie. Dlaczego nie napisałeś?

- Słucham panią?

Casey wzdrygnęła się i przez kilka sekund próbowała zebrać myśli.

- Proszę pani?

- Tak. Proszę o bilet do Londynu. - Zaciskała dłonie, podczas gdy komputer linii lotniczych wypluwał potrzebne informacje.

- W której klasie, proszę pani?

- W pierwszej i dla niepalących, proszę. - Zacisnęła powieki.

Niech wszystko będzie zajęte...

- Oczywiście, proszę pani. Miejsce przy przejściu czy przy oknie?

Chciało jej się płakać. Nie będzie miała szczęścia.

- Przy oknie - powiedziała cicho.

Zanotowała godzinę odlotu i rejestracji pasażerów, po czym powoli opuściła słuchawkę na stół, a potem zaczęła chodzić po pokoju, bezładnie wrzucając ubrania do walizki. Zwykle wszystko starannie składała i pakowała.

Hank drażnił się z nią, mówiąc, że to pewnie inuickie geny każą jej gromadzić i pakować niemal puste słoiczki i tubki po kosmetykach, sterty broszur i dziwacznych, do niczego nie potrzebnych pamiątek. W odpowiedzi odwoływała się do typowej dla Inuitów logiki, twierdząc, że wszystko ma jakąś wartość i nie wiadomo, kiedy może się przydać.

Kiedy następnego dnia siedziała na tylnym siedzeniu zardzewiałej, kasztanowej taksówki i jechała na lotnisko w Anchorage, ogarnęło ją głębokie przygnębienie, niczym nastrój ciężkiej żałoby. Niemalże nie zwracała uwagi na ostatnie mewy, gęsi i rybitwy, krzyczące na jeziorach wokół

lotniska. Ciaśniej owinęła szalik wokół szyi. Wełna z arktycznego wołu piżmowego ogrzała ją i Casey przymknęła oczy.

Kierowca westchnął. Lubił rozmawiać, bo rozmowa zabijała nudę, ale ta pasażerka była milcząca. Ukradkiem przyglądał jej się w lusterku. Milcząca, ale przystojna - pomyślał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Hank zarzucił na ramię swoją zielono-czarną torbę podróżną i pospiesznie ruszył długim chodnikiem lotniska w Seattle. Nie zwracał uwagi na sklepy i ich kuszące wystawy. Czekał na następny samolot do Anchorage. Wydawało mu się, że wszyscy mieszkańcy wielkiego Seattle przyjechali na lotnisko i wszyscy zamierzali mu przeszkadzać.

Szedł najszybciej jak mógł. Nie był już w longecie, ale kontuzjowane kolano wciąż o sobie przypominało.

- Niech pan uważa! Czy spieszy się pan na samolot? - spytał pracownik obsługi lotniska, kiedy Hank wpadł na niego.

- Coś w tym rodzaju - uśmiechnął się szeroko Hank.

Kiedy zbliżał się do punktu rejestracji pasażerów, jego utykanie było bardziej widoczne. Dziewczyna za biurkiem okazała mu zainteresowanie i zanim Hank opowiedział jej historię ataku niedźwiedzia, miał już zapewnione miejsce w samolocie.

Kolejka powoli, noga za nogą, przesuwała się w kierunku samolotu. Hank zastanawiał się, czy Casey dostała od niego list. Przed wyjazdem zostawił go w ośrodku i prosił, żeby wysłano go w King Salmon.

Postanowił wyznać jej prawdę o tym, jak Kit udało się go uwieść. Pisał do późnej nocy, zapełniając stronę po stronie. Zawiadomił ją o planowanej aborcji, która miała się odbyć w klinice na Florydzie, i o tym, że pojedzie z Kit do kliniki, a potem zostawi ją w Miami, gdzie zamierzała spędzić zimę z jedną ze swoich sióstr.

Przelał na papier całe poczucie winy w stosunku do Kit i całą bezgraniczną miłość do niej, do Casey. Dodał jeszcze, że spędzi zimę na północy, w Barrow, z Traperem Jackiem. Błagał ją, żeby do niego przyjechała. Opisywał świat ciemnego, polarnego piękna, bez jednego promienia słońca przez siedemdziesiąt dni. Czas, który spędzą z Traperem Jackiem, ucząc się starych obyczajów i kultury północnych Inuitów, polując i łowiąc ryby na lodzie przybrzeżnym. Starał się, zwabić ją do świata, który znało tak niewielu. Do miejsca, gdzie wieczność nabiera znaczenia.

„W Barrow będziemy mieli cały czas, czas przeznaczony tylko na naszą miłość".

Ten namiętny list, nie przeczytany i bezużyteczny, leżał teraz na biurku pod kartoteką. Nikt go nie znajdzie, aż do następnej wiosny.

Wysiadł z samolotu i wszedł wolnym krokiem na międzynarodowy dworzec lotniczy w Anchorage. Pod żadnym adresem, jaki podał Casey, nie znalazł odpowiedzi. Nie chciał myśleć, że nie mogła mu przebaczyć i zrozumieć.

Wiedział, że odnajdzie ją w Barrow. Zanim on tam przyjedzie, Casey zamelduje się w ich hotelu i będzie na niego czekać. Musiał kurczowo trzymać się tej myśli. To była jedyna jego przyszłość, jedyna jaką miał i jakiej pragnął. Chwilę później wyszedł z budynku lotniska, potrząsając głową. Lot do Barrow został odwołany.

Rozkładem lotów na Alasce, podobnie jak życiem arktycznych Inuitów, rządzi pogoda. Czasy odlotów i przylotów wyglądają dobrze na tablicach, ale mgły przybrzeżne, śnieżne burze i szalejące wichury niewiele sobie robią z wymyślonych przez ludzi godzin i dat. Życie w Arktyce to czekanie.

Hank postanowił zatrzymać się na jeden dzień w hotelu Kapitan Cook. Nie znosił włóczenia się po lotnisku. Było to bezcelowe zajęcie, które zawsze wyprowadzało go z równowagi. Myśl o treningu w sali gimnastycznej i gorącym prysznicu, po którym zjadłby w restauracji Pantry kiełbaski, jajka i bułeczkę na zaczynie, wydawała się o wiele bardziej atrakcyjna.

Rzucił swoją torbę na tylne siedzenie taksówki. Usiadł bokiem, wyciągnął nogę i odetchnął z ulgą.

- Wypadek? - zapytał kierowca.

- Tak, można to tak nazwać - odparł Hank. Wkrótce byli pogrążeni w rozmowie o zwyczajach niedźwiedzi, przechodząc następnie do zwyczajów łosi i karibu.

- Ten facet okropnie się spieszy - zauważył Hank, kiedy zardzewiała, kasztanowa taksówka przemknęła obok nich.

- Pewnie musi złapać samolot British Airways. Chyba odlatuje około jedenastej trzydzieści.

Hank tylko skinął głową, a kierowca ciągnął dalej swoją opowieść o grizzly, który ukradł martwego łosia myśliwym. Zaledwie skończył, zatrzymali się przed hotelem.

- Jednoosobowy na dzień? - z powątpiewaniem spytała dziewczyna w recepcji. - Nie sądzę, żebyśmy taki mieli, proszę pana. - Uderzyła w klawiaturę i komputer posłusznie odpowiadał na jej pytania.

Jakiś młody mężczyzna pochylił się nad nią. Hank obserwował, jak dziewczyna ukradkiem odsuwa się od niego.

Jeden z tych facetów, co to nie potrafią trzymać rąk przy sobie - pomyślał Hank.

To pewnie nie jest dla niej łatwe, bo ten facet najwyraźniej jest jej szefem. Jeśli chce mieć tę robotę, musi nauczyć się wykręcać i robić uniki.

- Proszę! - powiedział urzędnik. - Daj mu ten. Pani Chargot właśnie wyjechała. A może w końcu zdecydowała, że jest hrabiną Carrington? - zapytał dziewczynę. Delikatnie pogłaskał ją po plecach.

- W końcu postanowiła zameldować się jako pani Chargot - odparła dziewczyna - ale Anglicy często tak robią. Nie chcą, żeby ludzie wiedzieli, kim są. - Wstrząsnęła ramionami i zrzuciła z pleców jego palce, czując się trochę bardziej bezpieczna, bo Hank stał przy biurku i patrzył.

Hank był oszołomiony. Dlaczego Casey miałaby meldować się pod nazwiskiem Carrington? Pewnie w końcu poślubiła Dursleya. Nie! Jeśli to zrobiła, to dlaczego była tutaj sama, w Anchorage?

„Przysięgam, że wrócę i wyjdę za ciebie za mąż." - Powtarzał jej słowa. Musiał ją zobaczyć.

Stał spokojnie i uśmiechał się przymilnie do recepcjonisty. Ten człowiek był teraz jego jedyną nadzieją.

- Chargot? Carrington? - wykrzyknął. - Jak ona wygląda?

Recepcjonista zapamiętał Casey, a nawet usiłował z nią flirtować, kiedy płaciła rachunek. Wspomnienie jej pełnej oburzenia reakcji było jeszcze świeże i gorzkie. - Nie wolno nam...

- Jestem jej szwagrem - powiedział Hank uspokajająco. Zdawał sobie sprawę, że jeśli zrazi do siebie tego faceta z pryszczatą gębą i włosami przylizanymi do tyłu, to nigdy nie wyciągnie od niego opisu tej „pani Chargot".

- Nie wie pan, jak wygląda - odparował młody mężczyzna z tryumfem. - Niech mi pan powie.

- Niska, ciemnobrązowe oczy, prawie czarne, gęste, proste włosy.

- To ona. I do tego świetny biust.

Kiedy ręce mężczyzny opisywały w powietrzu ciało Casey, Hank zacisnął pięść, marząc o tym, żeby walnąć tego faceta.

- To moja szwagierka. Czy ma pan jakieś pojęcie o tym, gdzie się ta szalona kobieta wybrała? Zostawiła mojego brata - wyjaśnił.

- Nie miała obrączki - powiedział urzędnik.

- Lepiej więc byłoby, gdybym ją szybko znalazł i przekonał, żeby wróciła do dzieci, zanim zrobi jakieś głupstwo.

- Chciała odlecieć lotem BA do Londynu.

Hank popatrzył na zegarek. Nigdy nie uda mu się zdążyć na lotnisko, zanim skończą odprawę pasażerów.

- Muszę się połączyć z halą odlotów British Airways - powiedział. - Pan jest tu chyba kierownikiem - przypochlebiał się bezwstydnie. - Czy mógłby mi pan pomóc?

- Jasne - odparł recepcjonista, przyciskając się do młodej dziewczyny, kiedy odsuwał ją od komputera i sięgał po telefon. Wydawało się, że telefon

dzwoni wiecznie i Hank z trudem powstrzymywał się, żeby nie wyrwać mężczyźnie słuchawki.

- Oczywiście, że rozumiem wasze przepisy, ale muszę rozmawiać z jednym z moich gości, zanim wsiądzie do samolotu. - Obserwował dziewczynę, pewien, że robi na niej wrażenie. - Jestem kierownikiem hotelu Kapitan Cook. Muszę rozmawiać z panią Chargot. - Odsunął słuchawkę od ucha i słuchał.

- Oczywiście, że rozumiem, proszę pani. Proszę mi wierzyć, że tak. Sam prowadzę hotel i ludzie niemal bez przerwy doprowadzają mnie do szału.

Hank odetchnął z głośnym świstem. Nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech.

- Zrobi to pani? Dziękuję pani. - Zakrył ręką słuchawkę i zwrócił się do dziewczyny. - Tego właśnie musisz się nauczyć. Nieustępliwości.

I kłamstw - pomyślała dziewczyna.

- Pani Chargot, mówi kierownik hotelu Kapitan Cook. Jest tutaj pani szwagier.

Dziewczyna z British Airways, która przywołała Casey do telefonu, obserwowała jej twarz, na której malowało się bezgraniczne zdumienie. Zaraz potem zastąpił go wyraz totalnego niedowierzania, a potem rozjaśniła się radością.

- Bez względu na to, co zostawiła lub zgubiła w hotelu, zostało to odnalezione - powiedziała stewardesa do koleżanki, która na chwilę oderwała wzrok od sprawdzania pasażerów wchodzących na pokład.

- Sądząc po jej uśmiechu, pewnie wygrała w irlandzkiego totolotka - powiedziała i wróciła do pracy.

- Dziękuję - roześmiała się Casey, odkładając słuchawkę. - Czy może mi pani powiedzieć, gdzie można zarezerwować miejsce do Barrow?

- Do Barrow! - zdumiały się obie kobiety. - Nikt nie leci do Barrow. No, chyba że musi.

- Czy pani coś wie o tym miejscu? - zapytała stewardesa z załogi lotu BA, ciągle sprawdzając bilety.

- O, tak. Kocham wszystko, co ma z nim związek. To cudowne miejsce.

Kobiety spojrzały na Casey z głębokim zdumieniem. Słyszeli, że Barrow było nazywane na wiele sposobów, ale nigdy nie mówiono „cudowne miejsce".

- Czy ona zwariowała, czy co? - patrzyły za Casey gdy biegła wzdłuż przejścia pomiędzy niewygodnymi, plastikowymi siedzeniami.

- Proszę pani - powiedziała jedna z dziewcząt, goniąc Casey - czy pani sobie zdaje sprawę, że pani bagaż został już odprawiony na ten lot, a nasz planowy odlot ma nastąpić za dwadzieścia minut?

- Możecie zatrzymać ten bagaż - roześmiała się Casey.

- Nie rozumiem, proszę pani. Odlot zostanie opóźniony, bo trzeba

będzie znaleźć pani walizkę i wynieść ją z samolotu. Nie możemy wystartować z bagażem bez właściciela.

Słowa Hanka, ciepłe i głębokie, brzmiały wciąż w jej uszach.

Twój mąż, Hank, kocha cię, Ticasuk. Chce pozostać z tobą aż po wieczność. Mówi, że muszę ci powiedzieć, że będzie czekał na ciebie w Barrow, dopóki piaski pustyni nie zasypią Arktyki.

Zanim do niej dotarło, że Hank dzwoni z hotelu Kapitan Cook, z jakiegoś powodu udając, że jest jej szwagrem, minęło kilka minut.

Dostał list i zrozumiał! - śpiewało jej serce.

Kiedy usłyszała jego głos lato wybuchło na Alasce. Szare dotąd niebo tonęło w promieniach słońca. Zdeptany dywan w budynku lotniska zamienił się w pole rododendronów kamczackich, a stopy Casey, kiedy biegła do drzwi, tańczyły.

- Czy myślisz, że powinnyśmy wezwać pogotowie? - spytała jedna z dziewcząt.

- Nie. Mam wrażenie, że ten telefon od kierownika hotelu Kapitan Cook dotyczył rzeczywiście zguby, ale nie czegoś, tylko kogoś. - Uśmiechnęła się do swojej asystentki. - Ona nie jest szalona. Jest po prostu zakochana.